

Antoni Marczyński
JUTRO



SK

Antoni Marczyński
JUTRO



SK

Antoni Marczyński

JUTRO



KRAKÓW 2016

Spis treści

Prolog

- 1 [Rozdział I](#)
- 2 [Rozdział II](#)
- 3 [Rozdział III](#)
- 4 [Rozdział IV](#)
- 5 [Rozdział V](#)
- 6 [Rozdział VI](#)
- 7 [Rozdział VII](#)
- 8 [Rozdział VIII](#)
- 9 [Rozdział IX](#)
- 10 [Rozdział X](#)
- 11 [Rozdział XI](#)
- 12 [Rozdział XII](#)
- 13 [Rozdział XIII](#)
- 14 [Rozdział XIV](#)
- 15 [Rozdział XV](#)
- 16 [Rozdział XVI](#)
- 17 [Rozdział XVII](#)
- 18 [Rozdział XVIII](#)
- 19 [Rozdział XIX](#)
- 20 [Rozdział XX](#)
- 21 [Rozdział XXI](#)
- 22 [Rozdział XXII](#)

Opracowano na podstawie edycji Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1934.

Na okładce: ruiny katedry warszawskiej, 1946 r.

PROLOG

Nie było na ten rok żadnych złych przepowiedni. Nic a nic nie wróżyło takiego kataklizmu...

Ongiś, w średniowieczu, przedziwne znaki na niebie i ziemi oznajmiały ludziom, że nadchodzą lata klęsk, wojen, zarazy. Niby dym nad zgliszczami kłębiły się ołowiane chmury wokół słońca pobladłego od przeczuć pełnych grozy. Cudny wachlarz jutrzeńki ociekał krwią. Wieczne zorze płonęły późno w noc, jak łuny olbrzymich pożarów. Lśniły krzywe pałasze komet, koło tarczy księżycy sterczał krzyż cmentarny a łyżki zasmuconych aniołów oblewały ziemię deszczem spadających gwiazd. Upiorne widma jęczały przy kurhanach, dusze zmarłych krewnych nawiedzały w snach osierocone rodziny, z trzaskiem pękały zwierciadła, psy wyły ponuro i powracający z ciepłych krain bociek omijał strzechy, w które grom nieszczęścia miał latoś uderzyć.

Lecz dziwy te działy się ongiś.

A dzisiaj nic!

Zrazu w początkach dyktatury kryzysu pocieszano się, że długo tak być nie może, że lada dzień nastąpi wielka odmiana na lepsze. Lecz fala rozmaitych bankructw nie oszczędziła nawet optymizmu. Fiasko tyłu konferencji rozbrojeniowych, tragiczna bezsilność [Ligi Narodów](#), rysy w gmachu pokoju wersalskiego, za słabo snadź scementowanego krwią dwunastu milionów poległych, i obłąkańcze pogroźki niedoszłych cesarów, wytworzyły wojenną psychozę już w dziesięć lat po tamtej rzezi bezprzykładnej. Więc znowu wojna? Wojna gazowa. Bakteriologiczna! Może koniec świata nadchodzi?... Pędząc z wartkim potokiem pesymizmu, nastroje wpadały w odmet [eschatologicznych](#) oczekiwań...

A tymczasem nic!

Nic się nie stało, choć dni mijały, i miesiące, i lata. Nic się nie stało, tylko z kolei pesymizm także zbankrutował i przyszła kamienna apatia. Nawet ludzie wczoraj zamożni przywykli do wegetacji [pariasów](#) i z głuchą rezygnacją przyjmowali każdą chłostę nędzy. O ileż tedy łatwiej było oswoić się z beznadziejną terażniejszością tym, którzy cierpieli niedostatek jeszcze onegdaj, za czasów złotej koniunktury gospodarczej. Ci żyli dziś gorzej, niż dawniej bezdomne psy. Ale żyli. Stosunkowo niewielu padło z głodu.

Stopa życiowa w ubiegłym roku obniżyła się bardzo nieznacznie...

powtarzała prasa za urzędami statystycznymi i od siebie dodawała kilka słów otuchy:

Miejmy nadzieję, że w roku bieżącym nie nastąpi nowe pogorszenie.

Już tylko o to chodziło. Stabilizacja smutnej terażniejszości była szczytem marzeń dla znękanych ludzi.

Wyrazem tego stała się nowa modlitwa, której wiele, wiele matek uczyło swoje dzieci:

Spraw, dobry Boże, aby zostało wszystko tak, jako jest dzisiaj, i żeby nie było znów gorzej, amen.

Mogłoby się zdawać, że tak pokorne modły muszą przebić niebiosą. Nie było żadnych złych przepowiedni, żadnych symbolicznych znaków na niebie ni ziemi. Grudzień przeszedł w styczeń prawie niepostrzeżenie, tylko mróz zelżał odrobinę. Nic a nic nie wróżyło na ten nowy rok pański największej z klęsk, przed którymi wierni ubezpieczają się w [suplikacjach](#). Nikt nie przeczuwał, że TAMTO ma się już powtórzyć. Tyle lat przecież upłynęło. Tyle lat, że Zło mogło być odlecieć na gwiazdy!

A jednak nie odleciało. Szatan chciwości czuwał!!!

ROZDZIAŁ I

Van Kampen startł sobie kropelki potu z czoła.

--- Sir, czy nie dałoby się partiami? --- oponował nieśmiało. --- Bo zwolnić naraz trzydzieści tysięcy ludzi... w środku zimy, to... to może wywołać...

--- Niech wywoła! Tego chcę!

--- Nnnie rozumiem, sir. --- Van Kampen naprawdę nie rozumiał. Był nazbyt przygnębiony, nazbyt zatroskany o los nowych ofiar bezrobocia. To jest o swoich dwóch synów, również dyrektorów. --- Czy oni aby zdążyli uciuć sobie choć po dwadzieścia pięć tysięcy funtów na czarną godzinę? --- rozmyślał z trwogą.

Mr. Samuel Forban obserwował go uważnie. W lustrze. Jak zwykle o tej porze zmieniał zakiet na frak i właśnie wiązał białego motylka.

--- Być może --- odezwał się --- iż za tydzień zwolnię wszystkich. --- (Van Kampen jęknął głucho.) --- Lecz równie możliwe, że niebawem ruszymy pełną parą, na trzy zmiany! Że we wszystkich podległych panu przedsiębiorstwach każę błyskawicznie zwiększyć produkcję do normy sprzed dziesięciu lat!

--- Sir, wiem, że pan nigdy nic żartuje. Tym bardziej się dziwię, iż...

--- Niech pana nic nie dziwi! Nawet jeśli powiem, iż za pół roku nie będzie w Europie i w Ameryce ani jednego bezrobotnego... co uważam za zupełnie możliwe. Za bardzo prawdopodobne!... Słowem, proszę być przygotowany na największe niespodzianki i najbardziej nieoczekiwane zarządzenia. Tego tylko wymagam od mego europejskiego generalnego administratora. Tego, aby pana absolutnie nic nie zaskoczyło! I... nie zatrzymuję pana dłużej. Jutro proszę się zgłosić do mojego sekretarza. Do widzenia.

Forban skinął głową zwierciadłu, William van Kampen skłonił się nisko przed grzbietem chlebodawcy i wyszedł. Równocześnie wślizgnął się sekretarz.

--- Sir, jeszcze jeden petent czeka --- zameldował --- oto jego karta wizytowa --- dorzucił z ironią.

Na brudnawej karteczce, wydartej snadź z niechlujnego notesu, było nagryzmołone ołówkiem:

Z 66, z polecenia p. R. v. E.

--- O! --- Błysk szczerego zainteresowania zamigotał w szarych oczach Amerykanina. --- Dawaj go pan natychmiast!

Tajemniczy *Z 66* wyglądał podobnie jak jego bilet wizytowy, był tylko trochę mniej brudny; za to uszy odstawały mu rekordowo.

--- Mogę panu dzisiaj poświęcić tylko cztery minuty --- zaczął Forban, patrząc na to niepokazne indywiduum jak na raroga. --- Więc pan czuje się na siłach spełnić wiadomą misję? --- powątpiewał. --- I w ciągu pół roku?!

--- Nawet wcześniej, jeśli otrzymam od razu wszelkie potrzebne środki...

--- To znaczy, ile?

--- Szczegółowy preliminarz mógłbym przedstawić za kilka dni.

--- Chodzi mi na razie tylko o pańskie honorarium.

--- Dwa miliony, sir. Zaledwie dwa miliony franków... szwajcarskich.

Forban był przyjemnie zdziwiony, niemniej zrobił zgorszoną minę.

--- Szwajcarskich?! Ależ to ogromna suma!

--- Sir, ja będę codziennie narażał swoje życie!

--- Nie tyle pan, co pańscy agenci... Zresztą nie ma o czym mówić w tej chwili. Sprawa jeszcze nie dojrzała na tyle, by...

--- Wiem --- przerwał tamten z ukłonem --- panowie nie doszli jeszcze do porozumienia z panem Ablem Lazare'em.

--- Niesłychane! Mój przyjaciel wtajemniczył pana we wszystko?!

--- Broń Boże! Pan Roger von Elden jest równie powściągliwy w słowach, jak pan... To tylko moja... moja intuicja.

--- Pańskie domysły mogą być najzupełniej mylne.

--- Nie, sir. Fakt, że natychmiast po przybyciu do Paryża udał się pan do pałacu barona Lazare'a świadczy, iż...

--- O, widzę, że pan pozwolił sobie śledzić mnie w Paryżu!

--- W pańskim interesie, sir. Dzięki temu mogę panu zakomunikować już teraz bardzo sensacyjną wiadomość...

--- Za cenę?

--- Bezinteresownie!

--- Słucham.

--- Pan zastał w domu tylko młodego barona, który oświadczył, że jego ojciec bawi od dłuższego czasu na Riwierze.

--- Istotnie. Ale skąd pan to wie?

--- Intuicja, powiedzmy... Ważniejsza dla pana będzie informacja, że Armand Lazare skłamał. Stary baron był w domu podczas pańskiej wizyty, a zaledwie pan wyszedł, spakował manatki i samolotem odleciał do Marsylii. Jutro, przypuszczam, otrzyma pan od niego depezę z Juan-les-Pins...

Po wyjściu osobnika obdarzonego tak niezwykłą "intuicją", mr. Forban ponownie przeczytał list, jaki mu poczta pneumatyczna doręczyła godzinę temu:

Drogi Panie!

Zaraz po Pańskiej wizycie połączyłem się telefonicznie z Juan-les-Pins. Niestety, ojca nie zastałem; był u lekarza. Polecilem sekretarce ojca, by mu bezzwłocznie zakomunikowała, że Pan już przybył do Paryża... Tyle, jeśli chodzi o mego papę.

Co do mnie, to z największą przyjemnością skorzystam z milego zaproszenia i zjawię się w loży Państwa, a potem będę do Ich dyspozycji, chociażby do rana.

*Mocny uścisk dłoni łączy
Armand Lazare*

Forban zacisnął pięść.

--- Drapnął na Riwierę, a synalkowi kazał nas tutaj zabawiać, --- warknął. --- I pomyśleć, że klucz sytuacji znajduje się w rękach takiego tchórza! Że od niego zależy, czy kryzys diabli wezmą, czy... nas! Od takiego...

Tu pod adresem barona Abla Lazare'a padł epitet bardzo ordynarny, po czym mr. Samuel Forban gwałtownym ruchem zerwał słuchawkę z widełek aparatu telefonicznego.

--- Z moją córką --- oświadczył zwięźle centrali telefonicznej hotelu. Ponieważ nie lubił tracić czasu, myślał. --- Roger ma specjalny dar do wynajdywania odpowiednich ludzi... Ten *Zet 66* ogromnie mi się podoba. Dzielny człowiek!... Gdyby tak jeszcze zechciał umrzeć, zanim zdąży zainkasować swoje dwa miliony, hum...

--- Hellooou? --- zabrzmiał w mikrofonie płacząco-pieszczotliwy głosik.

--- Wajolet?

--- Tak, papo.

--- Jesteś gotowa?

--- Tak, papo.

--- Chciałem ci przypomnieć, że pójdzie z nami młody baron Lazare!

--- Wiem, papo.

--- Jest to jedyny człowiek, za którego wychodząc za mąż, nie popełniłabyś mezaliansu!

--- Wiem, papo.

--- Za osiem minut przyjdę po ciebie.

--- Dobrze, papo.

Miss Violet Forban odłożyła słuchawkę i powróciła do przerwanej pracy. Zgubiwszy wątek myśli skutkiem telefonicznej rozmowy, musiała przeczytać, co przed chwilą zanotowała w swoim dzienniczku podróży:

...Przede wszystkim pojechałam do Katedry i rozczarowałam się. W naturze jest o wiele mniej efektowna, niż była w filmie "Dzwonnik z Notre Dame" ze świetnym Lonem Chaneyem, a jej obecny dzwonnik już nie jest garbusem, niestety.

Paryż wygląda jak któraś z mniej ruchliwych dzielnic New Yorku, lecz dosyć mi się tu podoba. Najwięcej się cieszę na zobaczenie pasów cnoty w muzeum Cluny. Pocziwa Maud tyle mi o tym naopowiadała!

Dziś wieczór pójdziemy na Fausta. Nie lubię tej opery, bo właściwie nie ma w niej happy endu, ale interesuje mnie gmach opery paryskiej. Przecież to w nim straszyl okropny [upiór opery](#), także Lon Chaney.

Po drugim akcie pojedziemy na obiad do "Ambassadeurs", a potem...

W tym miejscu kończyły się zapiski. Dalszego ciągu nie było ani na welinowym papierze, ani w zaondulowanej dziś przez samego *Antoine'a* główce. Dopiero po dłuższej chwili Violet przypomniała sobie, że poleciła Betty, swojej pokojówce, zasięgnąć języka u służby hotelowej w sprawie nocnych lokali. Los sprawił, że Betty natknęła się w korytarzu właśnie na Susanne, która dawniej była kelnerką w *Małej Alhambrze*. Dzięki temu Gaspard Duvet otrzymał w pół godziny później radosną wiadomość:

--- Mówi Susanne od Ritza. Poleciłam waszą budę młodej Amerykance, która chce swój pierwszy wieczór w Paryżu zakończyć w *trochę zakazanym* lokalu, gdzie się schodzą *apasze* w *szalikach* i *autentyczne kokoty*.

--- Zrobione, Susanne. Jeśli ona przyjdzie, otrzymasz swoje pięćdziesiąt franków.

--- Sto, panie Duvet!

--- Z powodu?

--- Tą z lekka zwariowaną osóbką jest miss Violet Forban!

Gaspard Duvet oniemiał w pierwszej chwili, a potem nastąpił zamęt i rwetes, jakiego *Mała Alhambra* nie pamiętała od roku 1925. Dość powiedzieć, że na gwałt woskowano posadzkę w głównej sali i wyciągnięto ze skrzyni hiszpańskie kostiumy dla orkiestry i służby.

Okolo godziny dziewiątej Hieronim Kallinos wślizgnął się do budki telefonicznej przeznaczonej wyłącznie dla gości. Hieronim był dzierżawcą szatni i toalet w *Małej Alhambrze*.

--- Proszę Gobellins 75-57... Halo, Urban? Mówi Hieronim. Czy twój szwagier znalazł już sobie jakie zajęcie?

--- Diabła tam znalazł! --- odparł Urban Kallinos, właściciel maleńkiego sklepiku przy rue du Moulin des Prés. --- Kto dziś znajdzie pracę?!

--- Niech więc przyjdzie do mnie za godzinę. Nasz stary jest dzisiaj w wyjątkowo dobrym humorze. Spróbuję...

--- Bóg ci zapłać, drogi bracie. Nie masz wprost pojęcia, w jakiej nędzy żyje ten biedak i jego dzieciarnia. Pomagam, jak mogę, ale i mnie teraz ciężko przy tym cholernym kryzysie. Serdecznie ci dziękuję.

--- Jeszcze nie dziękuj. Za nic nie ręczę. Myślę tylko, że skoro Duvet jest dziś taki rozochocony, to może się coś da zrobić dla twego szwagra.

Ukończywszy rozmowę, Urban Kallinos podzielił się z żoną radosną wiadomością i wyszedł do izby sąsiadującej ze sklepikiem.

--- Pójdiesz po wujka --- rzekł do swego jedynaka. --- Musi zaraz przyjść.

--- Wiem! --- Dziesięcioletni Pierre aż podskoczył z radości. --- Słyszałem wszystko, jak tata rozmawiał. Wujek ma dostać posadę! Telefonował stryjek Hieronim z *Małej Alhambrzy*!

--- Ten smyk ma grecki spryt --- pomyślał Kallinos z dumą i wsunął chłopcu do kieszeni płaszcza kromkę chleba. --- Daj to Zosi, ale tak, żeby wuj nie widział! I matce ani słowa!

W sklepie matka wręczyła Pietrkowi kawałek kiełbasy.

--- Daj Zosi, Pierre. Tylko przed ojcem sza!... I włóż rękawiczki. Mróz dzisiaj taki, jak... jak u nas, w Polsce --- westchnęła.

Pierre miał ochotę magnąć kozła. Lubił wujka, który mu cuda nieraz opowiadał o życiu górników, lubił swoich dwóch kuzynów, ale już najbardziej Zosię. Samo patrzenie na nią sprawiało mu ogromną radość, co dopiero jej uśmiech, jej wstydlive podziękowania. A będzie miała dzisiaj za co dziękować, no! Chleb od

ojca, od matki kielbasa, a od niego najśladniejszy dar, spora garść miętowych cukierków świśniętych ze słoika, gdy rodzice jedli obiad, a on, Pierre, miał dyżur w sklepie.

--- Ona dziś pewnie znowu nie jadła kolacji... biedula --- współczuł jej.

Nie tylko kolacji, ale i obiadu nie było tego dnia u Bartka Ropy. Jego najstarsza latorośl, Zosia niańczyła młodszego braciszka, trzyletniego Jędrka i z dużą rutyną wmawiała w niego, że najadł się dziś do syta.

--- Jeszcześ głodny? --- Mistrzowsko umiała udawać zdziwienie. --- Po takim objedzie?! Czy już nie pamiętasz, cośmy dziś jedli?

--- Nie-e-e-e --- płakał zgłodniały dzieciak.

--- No, to słuchaj. Najpierw była zupa ziemniaczana i czarny chleb. Potem kielbasa w kapuście. A w końcu herbata z obwarzankami od cioci...

--- Ooooch! --- jęknął Maciek, drugi syn Ropy i zatkał sobie uszy co prędzej; wyliczanie takich przysmaków tylko zwiększało jego mękę. Lecz po chwili schował dłonie pod koc, w izbie było przeraźliwie zimno.

--- Żeby tu był gaz... --- myślał równocześnie Bartłomiej Ropa.

--- Obwarzanków zjadłeś pięć, pamiętam.

--- No to czemuś głodny? Eeeee-eeee...

--- Boś taki żarłok!

--- Zośka? Dej herbaty.

--- Dziś już nie można. Węgla nic nie zostało --- westchnęła ciężko.

--- Żeby tu był gaz, ha...

--- Ciekawym --- warknął Maciek --- co nam dasz jutro na śniadanie.

--- Do jutra daleko. Śpij teraz.

--- Mogę to, jak się bąk drze? Jak mi w brzuchu piszczy?

--- Oho, znów tamtemu piszczy!

--- A co?! Może i mnie będziesz obelgiwać, żeśmy jedli kielbasę?! Że Jędrak frajer i wierzy w takie bajki, to...

--- Maciek! --- krzyknęła. Za późno. Jędrak już się połapał, i w bek.

--- Żeby tu był gaz --- Bartłomiej nie mógł odegnąć pewnej upartej myśli --- gdyby tu był gaz, to byście się niebożęta nie męczyły. A tak, to co; siekierą mam was zarządzać?... Nawet siekiery nie ma.

--- Jak jutro znów nic nie będzie do żarcia --- Maciek podniósł głos, chcąc przekrzyczeć głośny płacz brata --- to pójdę i co ukradnę!

--- Maciek! Bój się Boga! --- Siostra załamała rękę.

--- Z głodu zdychać nie chcę! Wolę kraść!

--- A jak cię złapią? Jak cię wsadzą do więzienia?!

--- To będę miał co jeść. Tam ludzi nie głodzą, jak... u nas!

--- Stul pysk! --- ryknął Bartłomiej, uważając te słowa za osobistą zniewagę. --- To tak?! Złodziejam se wychowałem?! Ja ci dam, bolszewiku!

Bolszewikiem przezwwał Maćka wuj Urban z żartów, ale ten przydomek przylgnął już do chłopca, który zresztą był z niego dumny.

Bartłomiej dawniej nie bił dzieci nigdy, lecz od śmierci żony... Przy tym siedemdziesiąt pięć procent

wszelkiego lania zbierał czternastoletni "bolszewik".

W ciemnej, ponurej izbie nastąpiła wielka cisza przerywana tylko sapaniem starego. Jędrak po jednym pasku zapomniał o głodzie i od razu przestał pochlipywać. Zosi, gdy go chciała zasłonić, oberwało się także. Obecnie zaś fasował swoją lwią część Maciek. Wił się na barłogu, sykał z bólu, lecz ani nie pisnął; taką już miał zawziętą naturę. A Bartłomiej również nie robił wrzawy. Walił na zimno, spokojnie, w równych odstępach, z tą samą akuracnością, jaka go cechowała przy robocie. To znaczy, gdy miał robotę... Aż nagle chwycił się za piersi, zakaszłał, zablokowało mu w płucach i odpluł krwią.

--- Ej, ojciec, ojciec! Znowu dostaniecie krwotoku. Zostawcie go...

Usłuchał córki. Usiadł na ławie. Z sercem bijącym na trwogę nadśluchiwał czujnie, czy ten przeklęty chrobot w płucach znowu się nie powtórzy. Panicznie lękał się krwotoków. Ilekroć go chwyciło, myślał, że zaraz umrze. Tak sobie tłumaczył sens powiedzenia *nagła krew go zalała*.

Upłynęła minuta, i nic. A potem znowu chrop-chrop-bul-bul-bul. Starał się nie kaszleć, powstrzymał oddech, ale wyszedł na tym jeszcze gorzej. Zakrztusił się, krwi wyszło z ust dwa razy więcej.

--- O Jezu!... Zośka ratuj!

Maciek odemknął okno, zgarnął moc śniegu z futryny, przyniósł ojcu. Tymczasem Zosia wsypała swój szczupły zapas soli do kubka i mieszała zawzięcie. Bartłomiej wypił chciwie cały kubek, potem łyknął trochę śniegu, a resztę przytulił do obnażonych piersi. Inną grudę śniegu Maciek przykładał mu do karku, i znowu pognął do okna.

--- Lepiej wam?

Chciał coś odrzec, i ponownie zakaszłał "na mokro".

--- Ja... już... chyba... umieram --- wyszeptał.

--- Nie mówcie tak, ojciec!

--- Umieram --- powtórzył, przeczuwając nowy chrobot złowrogi. --- Co z wami będzie, co? --- Drżącymi dłońmi gładził jasne główki klęczących przed nim dzieci. --- Maciuś? Opuuszczasz ojcu to bicie? I wszystkie?

Maciek zaszlochał. On, co przy największym laniu pary z ust nie puścił! Zosia cicho łkała do wtóru, a beksa Jędrak tylko czekał na taką familijną sposobność. Beznadziejny smutek osiadł w izbie, na dobitkę wiatr wył ponuro w piecu, w którym się nie paliło od tygodnia.

--- Gdyby tu był gaz... --- Bartek coraz częściej powracał do myśli o wspólnym samobójstwie, choć równocześnie dygotał ze strachu przed krwotokiem. Gdy go nareszcie uderzyła ta niekonsekwencja, powiedział sobie w duchu: --- Razem umierać, to coś innego; i raźniej, i sieroty nie zostałyby na poniewierkę... I od gazu, nie poczujesz. Byle tyko usnąć...

Wiatr gwizdnął mocniej. Prawie w tej samej chwili coś mocno zastukało w szybę. --- Śmierć!!! --- Nikt tego nie powiedział, ale wszyscy czworo jednocześnie pomyśleli to samo. Jędrak przeraźliwie krzyknął...

--- Idzie! Kostucha!! Po mnie!!! --- wymamrotał Bartek Ropa, poruszył dziwnie sznurkami wąsów i wzrok oszalały z trwogi wlepił w okno.

Uderzająco był w tym podobny do królika, który w tej samej chwili stanowił przedmiot doświadczeń Mikołaja Gaharina, tuż obok, w sąsiednim domu. Nieszczęsny gryzoń również poruszał wąsami i z podobnym wyrazem przedśmiertnego lęku spoglądał na swych dręczycieli. Było ich trzech, prócz Gaharina.

--- Objawy są na ogół takie jak przy parach [luizytowych](#) --- zauważył pierwszy z nich. Miał rację. Królik

leżał nieruchomo, oddychał z trudem, a podczas częstych napadów kaszlu wydzielał mu się z pyszczka pienisty śluz.

--- Takiego stężenia nie można długo utrzymać w warunkach polowych, to pewne --- krytykował drugi, a trzeci fachowiec od razu sięgnął po kapelusz.

--- Zawiódł nas pan --- oświadczył chłodno --- to, co tu widziałem, mogło mi być zaimponować parę lat temu, ale nie dzisiaj. Dziś, panie Gaharin, posiadamy gazy bojowe, które przy stężeniu znacznie słabszym od pańskiego dają piękne wyniki... Przepiękne! Absolutną śmiertelność!! W ciągu minuty!!! Podczas gdy tutaj --- spojrzął na zegarek --- trwa to już całe sześć minut...

Wyszli. Gaharin pozostał sam, zgnębiony, zdruzgotany. Gdy w pół godziny później żona weszła do jego skromnego laboratorium, łkał jak dziecko. Zaczęła go pocieszać po swojemu. Że nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Że teraz nareszcie porzuci te swoje straszne gazy, trucizny i wróci do dawnej pracy...

--- Wyjdźmy stąd, kochanie --- prosiła, odwracając twarz od szklanej trumny doświadczalnych królików --- nie mogę patrzeć na ich cierpienia. --- Objęła męża w pól i wyszli razem. W przedpokoju ujrzeli list. Leżał na podłodze tuż obok drzwi do klatki schodowej. Gaharin otwierał go niechętnie; był przekonany, że to nowe upomnienie od kogoś z wierzyieli. Lecz nie odgadł. Zgoła inna była treść tajemniczego listu, pisanego na maszynie:

W Paryżu Pan nic nie wskóra. Radzę Panu jechać natychmiast do Frankfurtu nad Menem i zgłosić się do inżyniera Koppa. któremu już pisałem o Panu. Tylko on potrafi ocenić Pańskie zdolności i odpowiednio je wynagrodzić.

Ktoś Panu szczerze życzliwy

--- Zdrajca! Jeden z tych trzech, którzy tu byli, jest zdrajcą!

--- A cóż mnie to obchodzi, moja droga?! Zresztą, skąd wiesz, że to od kogoś z tej trójcy [kobotynów](#)? Może ktoś inny... Zaczekaj no, Kopp... Kopp, jeśli się nie mylę, jest dyrektorem jednej z fabryk Rogera Eldena... Żyjemy, maleńka moja! --- krzyknął, zacierając ręce. --- Jutro wyjeżdżam do Frankfurtu!... A panowie Francuzi jeszcze kiedyś pożałują swojej głupoty!

ROZDZIAŁ II

Wylajawszy po raz chyba dziesiąty cały personel z orkiestrą włącznie, Gaspard Duvet wpadł do swojego gabineciku. Na biurku leżał egzemplarz brukowego dziennika, który w popołudniowym wydaniu donosił bardzo obszernie o dzisiejszym przyjeździe mr. Samuela Forbana z New Yorku.

Mr. Samuel, trzeci z dynastii Forbanów, wnuk mr. Johna, zwanego Królem Doków, jest obok Rockefellera najbogatszym człowiekiem Ameryki. Jego obecny majątek w Stanach oceniają na 2,700 milionów dolarów, przy czym nie wzięto w rachubę jego europejskich przedsiębiorstw, ani też...

Mr. Forban, który od dwóch tygodni przebywał na Florydzie, przybył wczoraj do Bordeaux własnym jachtem. Jacht "POWER" (2.100 ton) przewyższa wszystkie jachty świata nie tylko rozmiarami, ale i wyszukaniem zbytkiem swojego urzędnika. Jego marmurowy basen czy słynny srebrny hall, czy wreszcie jego oranżeria hodująca ponad 5.000 najpiękniejszych odmian storczyków, uchodzą słusznie za...

Mr. Forban, odbywający tę podróż w towarzystwie swojej jedynej córki, miss Violet, zajeżdżał w Paryżu do Ritzu i zajął najpiękniejszy apartament składający się z siedmiu pokojów i dwóch łazienek. Prywatny sekretarz amerykańskiego milionera zamieszkał w...

Gaspard Duvet umiał już to wszystko na pamięć, ale z prawdziwą rozkoszą skakał wzrokiem z jednego ustępu owej *notatki kroniki towarzyskiej* na drugi. Wreszcie, ukończywszy podniecającą lekturę, zjechał spojrzeniem na nagłówek gazety, na adres redakcji i numery telefonów. Wybrał któryś z nich i zaczął nakręcać bębenek automatycznego aparatu...

--- Czy panowie interesują się nadal osobą mr. Forbana? --- zapytał, starając się opanować lekkie drżenie głosu.

--- Oczywiście --- odpowiedziano z zapalem --- a kto mówi?

--- Tu Gaspard Duvet. Pan Samuel Forban będzie dziś moim gościem! Około północy ma przybyć do nas wraz ze swoją córką... Sądzę, że panowie o tym napiszą w swoim poczytnym piśmie?...

--- Rozumie się... Więc, pan Gaspard Duval?

--- Duvet! Proszę zapisać: Duvet, dancing *Ma-la Al-ham-bra!!!*

--- Jak? *Mała Alhambra*? Gdzież to jest, u licha?

Grymas cierpienia przemknął po nalanej twarzy Gasparda Duveta. Ów redaktorek, sądząc po wymowie,

był rodowitym Paryżaninem. I nie wiedział lub nie pamiętał, gdzie się znajduje *Mała Alhambra*! Do tego już doszło... Straszne!

--- Pan redaktor jest widocznie zaprzysiężonym domatorem.

--- Och, wprost przeciwnie!

--- Tym bardziej się dziwię. Każdy taksjarsz pana tu przywiezie, skoro pan wymieni nazwę mojego lokalu.

Nie trzeba dodawać: *Bulwar Clichy*.

--- Ach, więc Montmartre. Już zanotowałem. Dziękuję panu.

--- I zamieszczą panowie małą wzmiankę, że sławny Forban...

--- Wzmiankę?! Tasiemca z tego ulepię! Przyślę panu dziś fotografa i zdolnego reportera, który spróbuje zrobić wywiadzik z tym krezusem amerykańskim. O, mam już doskonały tytuł: *Krezus o kryzysie!*... Tylko, tylko, panie Duval...

--- Du-vet!

--- Tylko, panie Duvet, czy to... pewne? Nie ujmuję nic pańskiej *Alhambry*, ale trochę mi się wydaje wątpliwe, by taki Forban... w dodatku z młodą córeczką... hm... Od kogo pan ma tę wiadomość?

--- Od... od przyjaciółki panny Violet Forban --- zełgał i odłożył słuchawkę. --- No, Susanne --- mruknął z humorem --- ani nie przypuszczasz, jaki cię tu zaszczyt spotkał. Przyjaciółka miss Forban! Mogłabyś w zamian zrezygnować ze swojej prowizji.

Gaspard Duvet posiadał ongiś moc takich naganiaczy jak Susanne od Ritza. W każdym lepszym hotelu miał swoich ludzi i solidnie płacił im pogłównie od przysyłanych turystów. Tak, ale to było dawno, dawno temu, w dobie największej (po wojnie światowej) świetności Montmartre'u. Później przyszła moda na Montparnasse, a dawna dzielnica rozrywek umierała na uwiad starczy. Jej słynne *Boîtes de Nuit* bankrutowały jedna po drugiej lub wegetowały nędznie, i do tej grupy należała także *Mała Alhambra*...

Przedsiębiorczy Gaspard Duvet nie poprzestał na uwiadomieniu redakcji pisma, które się tak dzisiaj rozpisalo o przyjeździe Samuela Forbana. Z kolei zatelefonował do paryskiego oddziału wielkiej amerykańskiej wytwórni filmowej w Joinville.

--- Hallo-hallo. Mam coś dla waszego *tygodnika aktualności*. Tytuł można by dać: *Jak się bawią w Paryżu amerykańscy milionerzy*...

--- Fi!

--- Żadne *fi*, mój panie! Im większa bieda, tym bardziej ludziska interesują się życiem szczęśliwej garstki wybrańców losu! Wybacz pan, ale psychologia mas to moja specjalność! W okresie kryzysu publiczność kinową stokroć bardziej obchodzi to, jak spędził pierwszy swój wieczór w Paryżu mr. Forban, niż...

--- Kto? Mr. Samuel Forban?!

--- Tak, panie. Mr. Samuel Forban z córką!

--- Hm, powtórzę dyrektorowi... A kto mówi, proszę?

--- Duvet, właściciel *Małej Alhambry*, ulubionego lokalu plutokracji!

--- Zapisalem: *Mała Alhambra*... To pewnie w Lasku Bulońskim?

--- Pan widocznie w Paryżu od wczoraj! --- huknął oburzony Duvet. --- W książce telefonicznej znajdzie pan adres mojego dancingu!

Trzasnąwszy słuchawką, Gaspard Duvet wypadł znowu na salę i od razu dostrzegł milion usterek: płatniczy miał grubą żalobę za paznokciami, *piccolo* także się nie umył, *fordanserki* raziły jaskrawością

swoich toalet, zupełnie niewłaściwych w *ulubionym lokalu plutokracji*, *gigolo* numer 2 jeszcze nie zmienił kołnierzyka, itp., itp.... a na stoliku przeznaczonym dla dostojnych gości, leżała *karta win* z bieżącego roku!

--- Cennik przedkryzysowy na ten stół, powiedziałem! Do stu tysięcy komorników!... Panie zechcą się przebrać, ale to duchem! Precz mi z tą pstrokacizną! Suknie białe lub czarne, rozumiano?... Ten kołnierzyk... skandal!

--- Nie zmieniłem go --- tłumaczył się odnośny *gigolo* --- bo myślałem, że pan każe mi się przebrać po hiszpańsku i...

--- Nie! Panowie i fordanserki będziecie dzisiaj robić publiczność! Tylko nie hołotę, moi państwo! Dystygowaną publiczność! W hiszpańskich strojach wystąpi tylko orkiestra... Dlaczego jej nie widzę dotychczas?

--- Bo spodnie nam nie obeschły --- odparł dyrygent, wysuwając na salę tylko górną część korpusu, już hiszpańską --- i za godzinę także jeszcze nie będą suche --- dodał ponuro.

--- Więc będą trochę mokre, ale nareszcie czyste! --- odparł Duvet i, rzuciwszy tysiąc nowych rozkazów, popędził do szatni.

Tutaj oprócz garderobianego, Hieronima Kallinosa, zastał dwóch obcych mężczyzn, uderzająco chudych i posępnych. --- Jakiś fakir i jego pomocnik --- osądził w myśli --- tak, ale to już dawno przestało być atrakcją. Dziś każdy urzędnik czy robotnik mógłby sam grać głodomora. --- Kiedy indziej byłby tych dwóch od razu wyrzucił za drzwi, lecz dzisiaj był w wyjątkowo dobrym humorze i dlatego spytał z grzeczności, jaki mają rekord w głodówce...

--- Zaszło małe nieporozumienie --- wyjaśnił Kallinos i wskazał starszego. --- To jest mój protegowany, panie Duvet. Mówiłem panu już o nim... Że niby do mycia talerzy...

--- Aha, na miejsce Collina.

--- Tak jest, panie Duvet. Na miejsce nieboszczyka Collina. Mówiliśmy...

--- Wiem, przypominam sobie teraz. To pański szwagier, tak?

--- Szwagier mojego brata, Urbana... Polak. Bardzo porządny człowiek. We Francji mieszka od lat.

--- Mieszka, ale nic nie robi.

--- Bo nie może znaleźć pracy, panie Duvet. Dawniej robił na kopalni w Lens. Przy trzeciej redukcji górników zwolnili i jego. Przyjechał do Paryża, tu jakiś czas miał zajęcie, lecz od miesiąca znowu jest bezrobotny. Cierpi głód, panie Duvet... z trojgiem dzieci...

--- Troje dzieci! Ja sobie mogłem załedwie na jedno pozwolić, a taki nędzarz... Bajecznie lekkomyślni są ci Polacy. Troje dzieci!...

Troje dzieci Bartłomieja Ropy ukończyło już wspaniałą ucztę z zapasów przyniesionych przez kuzyna. Jędrak usnął nareszcie, Maciek, nakrywszy się kocem aż po oczy, ssał powolnie ostatni cukierek, by mieć przyjemność jak najdłuższą, tylko Zosia nie położyła się jeszcze. Wyprowadzała właśnie ciotecznego brata, który zasiedział się u nich, jak zwykle.

--- Kiedy zapukałeś w szybę --- mówiła, trzymając go za rękę --- pomyślałam: *śmierć idzie!*

--- A tu przyszedł Pierre Kallinos --- zachichotał.

--- A to przyszedł nasz anioł! --- W nagłym porywie serdecznej wdzięczności pochyliła się nad chłopcem i pocałowała go w usta.

--- O, Zosiu!!! --- zachłystnął się ze szczęścia. Kiedy wyszli na ulicę, zaczął gorączkowo szukać po

kieszeniach, wreszcie znalazł monetę dwufrankową i przemocą wcisnął ją w garść dziewczynie. --- Obrażę się śmiertelnie, jeżeli nie przyjmiesz, --- twierdził. --- Nie myśl, że buchnąłem ojcu z kasy, o, nie! To z mojej skarbonki. Dla ciebie. Tylko dla ciebie!

--- Ależ ja nie mogę przyjąć...

--- Więc pożyczam ci dwa franki, i sprawa skończona. Oddasz mi, jak znajdziesz sobie jakie zajęcie i będziesz sporo zarabiała.

--- Pierre, jakiś ty niewypowiedzianie dobry! --- westchnęła.

W świetle ulicznej latarni łyzy Zosi zabłyśły jak brylanty...

W świetle tysiąca lamp brylanty miss Violet błyszczały jak łyzy...

--- Jakaś ty niewypowiedzianie głupiutka! --- westchnął Armand Lazare, podając pannie Forban jej sobolowe futro. --- Doskonale pani dobrała suknię do swojej pięknej biżuterii --- mówił równocześnie.

--- Na odwrót. Zawsze dobieram biżuterię do sukien. I to wszystko są prawdziwe kamienie!... Inaczej nie można, jeśli się już należy do towarzystwa *Diamentowej Podkowy*. W *Metropolitan Opera House* mamy łożę oczywiście w stałym abonamencie. Tę samą --- dodała z dumą --- w której zasiadał już mój dziadek!

--- Jest to więc łoża --- rzekł Armand z uśmiechem. --- poniekąd dziedziczna. Miejmy nadzieję, że pozostanie nią na zawsze w rodzie Forbanów.

--- Który prawdopodobnie skończy się na mnie.

--- O! Czyżby pani zamierzała zostać starą panną?

--- Brrr! --- otrząsnęła się żartobliwie. Wyszli z łoży na korytarz, a dyskretny papa Forban wdał się w krótką rozmówkę z bileterem, aby młodzi mogli swobodnie ukończyć tak poważną i ewentualnie brzemienną w skutkach dyskusję... --- To *brrr!* było głupie. Po jego zapytaniu powinna była raczej odpowiedzieć tak: *Ha, może mnie nikt nie zechce? Może nie jestem dosyć ponętna?*... i zrobić zalotną minkę. I główkę na bok przechylić... Ja bym to potrafił --- myślał mr. Samuel Forban, wypytując biletera o repertuar na cały tydzień, choć ledwie strawił dwa akty *Fausta* i miał znów oper dość na cały rok...

--- Czy może --- ciągnął dalej Armand --- pani się lęka macierzyństwa?

--- Och, panie baronie! --- zgorszyła się. --- Proszę przy mnie nie wymawiać tak nieprzyzwoitych wyrazów... Nie rozumiem ich nawet. Ja mam dopiero siedemnaście lat. --- Tylko rok sobie ujęła, więcej nie było z czego.

--- Przepraszam panią. --- W duchu dodał: --- A to ciele! --- niemniej chwycił go za serce ten protest obrażonej niewinności i rumieniec dziewczęcego zawstydzienia, i czyste spojrzenie podłużnych, niebieskich oczu, oczu dziecka. --- Zmienimy temat... Czy po obiedzie chcieliby państwo jeszcze pójść dokądś?

--- O, tak --- ożywiła się od razu. --- Pojedziemy do pewnego lokalu, którego adres udało mi się zdobyć... Nie ma pan pojęcia, jak się na to cieszę...

Gaspard Duvet, właściciel *Małej Alhambry*, cieszył się znacznie bardziej. Hieronim Kallinos miał słuszość twierdząc, że *stary* jest dzisiaj w wyjątkowo dobrym humorze. Toteż kuł żelazo, póki gorące, aż wreszcie Duvet oświadczył, że *ten Polak Ropa* może przyjść jutro do zgody.

--- Tak, jutro po południu. Dzisiaj mam zbyt wiele spraw na głowie. Mógłbym przez roztargnienie ofiarować wam posadę dyrygenta orkiestry, zamiast pomywacza --- raczył zażartować. --- Już lepiej załatwmy to jutro...

--- A dla mnie, panie Duvet, nie znalazłoby się u pana jakie zajęcie? Nie boję się żadnej pracy. Będę

harował po szesnaście godzin na dobę w zamian za jedzenie tylko. Z wynagrodzenia pieniężnego mogę zrezygnować na miesiąc... dwa! --- Z tymi słowy wysunął się z kąta drugi głodomór, smagły brunet o niesamowicie lśniących oczach. --- Nazywam się Leonardo Manetti, oto są moje papiery... Tu obecny Bartłomiej Ropa zna mnie dobrze, bośmy pracowali razem, póki nas nie zredukowano obydwóch... A teraz zdycham z głodu... Może pan ma jakieś takie zajęcie, którego się żaden człowiek nie podejmie. Och, panie Duvet, ja będę robił wszystko za trochę żarcia!

--- Obydwóch ich bieda strasznie przycisnęła --- wtrącił znów poczciwy Kallinos --- a w dodatku grozi im wydalenie z granic Francji, jeżeli się wnet nie wykażą dowodem, że znaleźli stałe zajęcie. Temu nieborakowi --- tu wskazał Manettiego --- termin upływa już za trzy dni. Odeślą go ciupasem do Italii, a tam, wiadomo, jeszcze gorszy kryzys niż u nas...

Gaspard Duvet milczał przez cały czas, spoglądał tępo na pierwszy z brzegu wieszak, ale myślał przy tym. Nawet bardzo intensywnie.

--- Z wami też załatwię jutro --- zdecydował wreszcie --- bo skoro tylko za jedzenie, hm... Lecz na razie zrobię wam inną propozycję. Chcecie zarobić po cztery franki za dzisiejszą noc?

--- Och, panie Duvet! --- zawołał Wioch z zapalem, ale bezgranicznie wdzięczne spojrzenie smutnych oczu Bartka było wymowniejsze od słów.

--- A więc, Kallinos, nasza *Mała Alhambra* wystąpi dziś w pełnej gali, jak za dawnych dobrych czasów. Wyszukacie liberie szwajcarów i dopilnujecie osobiście, żeby mi ci dwaj wyglądali reprezentacyjnie!... Za pół godziny wpadnę tu znowu i zobaczę...

Gdy Gaspard Duvet wybiegł do sali, Hieronim Kallinos złożył gratulacje swojemu protegowanemu i jego przyjacielowi.

--- To wam się upiekło! Wy, Ropa, macie u nas posadę pomywacza murowaną! --- twierdził. --- A dla was, Manetti, on także coś wymyśli. Wzięliście go tym, że chcecie pracować tylko za żer... W najgorszym razie wyleje kogoś na pysk, a was przyjmie.

--- Nie chciałbym za taką cenę --- zaprotestował Włoch --- w dzisiejszych czasach pozbawiać kogoś chleba to zbrodnia!

--- Tere-fere. To się tak mówi, bratku, ale bliższa koszula ciału... No, teraz chodźmy. Muszę was wystroić, jak się patrzy.

Nie było to rzeczą łatwą. Obszerne płaszczyska po przedkryzysowych, dawno zredukowanych szwajcarach wisały pociesznie na wychudzonych biedakach i Kallinos musiał ich wypchać brudnymi obrusami, które sumiennie przyszpilił im do ubrań, aby, broń Boże, nie zjechały na dół. Wreszcie dzieło było gotowe. Z prawie ciemnej komórki dwaj przyjaciele wyszli do szatni, stanęli przed ogromnym zwierciadłem i ryknęli ogłuszającą salwą śmiechu. Nie mogli się poznać w tych dziwacznych czakach i ozdobionych błyszczącymi guzikami błękitnych płaszczach, które im sięgały do kostek.

--- Och --- jęknął Manetti, trzymając się za brzuch --- odwykłem już od śmiechu... Hej, Bartek, czy pamiętasz kiedyśmy się tak samo uśmiali?

--- Pamiętam. Po przedostatniej wypłacie u Dardenne'a. Tarzaliśmy się ze śmiechu chyba przez godzinę.

--- Cóż was tak wtedy ubawiło? --- spytał Hieronim Kallinos.

Manetti uprzedził towarzysza w odpowiedzi.

--- Dostałem przez pomyłkę o franka więcej, niż mi się należało. Ale, panie Kallinos, trzeba znać tego

kutwę Dardenne'a tak, jak my go znamy, żeby tę naszą wariacką wesołość zrozumieć... Zaraz dam przykład. Otóż raz rzuciłem małym kawałkiem węgla w kota, który schwycił wróbla. Dardenne wymawiał mi tę swoją stratę przez cały tydzień, aż przy najbliższej wypłacie stracił mi dziesięć centymów.

--- Za wróbla, czy za kota?

--- Za ten kawałek węgla!... Taki on jest, panie Kallinos. Dziesięć centymów mi stracił, a potem los go pokarał i przez pomyłkę dostałem o całego franka więcej!

--- Nas gorzej ukarało za tego franka --- westchnął Ropa --- bo w tydzień później ociepliło się nagle, handel węglem prawie zamarł w składzie i Dardenne zwolnił nas obydwóch... Od tego czasu nie śmiałem się ani razu.

--- Ani ja. Od czterech tygodni! Aż dopiero dzisiaj.

--- Aż dopiero dzisiaj...

...aż dopiero dzisiaj przyszło mi na myśl, że sekta "WROGÓW MASZYNY" może przecież rozszerzyć swoją działalność także i na Europę... Sądzę, Dawidzie, że mnie rozumiesz!

Przed trzema godzinami poznałem F. i stwierdziłem z radością, że on również, podobnie jak E., pali się do tego, by jak najrychlej rozpocząć wielką grę w Europie. Żałuję obecnie, że zażądałem tylko dwóch milionów; pocieszam się jednak, iż drugie tyle odkroją z funduszu dyspozycyjnego, jaki od nich otrzymam.

Gdyby nie przekłete niezdecydowanie starego L. mógłbym interes ubić w tym tygodniu. I właśnie dlatego, Drogi Dawidzie, musisz natychmiast rozpocząć akcję, o której się tak rozpisałem na pierwszych stronicach niniejszego listu.

Tak brzmiał urywek sążnistego listu, jaki tegoż dnia i o tej samej godzinie pisał w hotelu *Chatham* jegomość o zabawnie odstających uszach.

ROZDZIAŁ III

Gaspard Duvet wpadł jak wicher, a za nim smuga zapachu fiołków.

--- Gotowe? Baczość! Głowa do góry. Wstecz zwrot!... Dobrze. Ale gdzie berła? Kallinos, dawać berła...

Włoch wygląda okazalej, więc stanie sobie na ulicy, przed bramą... A ty, polski przyjacielu, tu będziesz sterczał.

Bartek Ropa otrzymał posterunek przy drzwiach wiodących z przedsionka (którego lewą część zajmowała szatnia) do głównej sali. Szyby w tych drzwiach były matowe, ale tylko w środku; wzdłuż ram ciągnął się dokoła półcalowy pasek zwyczajnego szkła i tędy nowy szwajcar mógł zaglądać do wnętrza. Skorzystał z tego skwapliwie, gdyż nigdy jeszcze nie widział podobnych cudów. Chyba w kinie, w Lens, gdzie niegdyś, przed kryzysem, zarabiał na tyle, że raz w tygodniu mógł żonie i sobie zafundować jakąś rozrywkę. Lecz to było dawno temu, a zresztą film to zawsze jakieś cygaństwo, gdy tutaj Ropa patrzył własnymi oczami na żywych ludzi.

--- To są żony dyrektorów banków albo nawet hrabiny! --- sądził, patrząc z zachwytem na fordanserki, które Gaspard Duvet umiejętnie rozmieszczał przy stolikach, aby *robiły publiczność*. Chcąc jakoś zaludnić salę, Duvet wypożyczył sobie na dzisiejszą noc trzech bezrobotnych fordanserów z ich partnerkami i obecnie wraz ze swoim "żywym inwentarzem" miał dziewiętnaście osób. To nieliczne towarzystwo rozparcelował tak zręcznie, że cały środek dość rozległej sali był wypełniony.

--- Zaczynamy! Muzyka!... Wszyscy tańczą!

Któraś z nowych zaprotestowała. Tańczyć już teraz? Po co? Przecież na sali nie ma ani jednego prawdziwego gościa! Skoro ktoś przyjdzie, wtedy...

--- Wtedy będziecie sztywne, jak kłody drzewa --- wtrącił --- ja wiem, co mówię. Nastroju nie można zrobić w ciągu minuty.

--- Nastroju nigdy nie będzie, gdy w kieliszkach mamy herbatę.

--- Potem każę podać na każdy stolik butelkę wina.

--- *Vin ordinaire*, oczywiście.

--- A pan byś chciał Cordon Rouge, prawda? Do tego trzeba się urodzić z inną twarzą, panie gigolo... No, dość tych żartów! Tańczyć, mówię! Muzyka!

--- Przecież gramy.

--- Ale jak! Na pogrzebach grają weselej. Z ogniem! Z ogniem!

--- Z ogniem? W mokrych spodniach?!

--- Więc grajcie na stojąco. --- Gaspard Duvet znał się na wszystkim! Muzykantom, których andaluzyjskie pantalone wyprano po alarmującym telefonie od Ritza, grało się znacznie przyjemniej i... cieplej w stojącej pozycji; tylko pianista był skazany na ciągły kontakt z wilgocią, lecz na to nawet genialny Duvet nie umiał znaleźć żadnego lekarstwa. Zresztą niezmordowany Duvet był już czymś innym zajęty.

--- Łoże! Prawda, łoże! Nikt o tym nie pomyśli, wszystko zawsze na mojej głowie --- biadał, mknąc ku podkowie łóż. W co drugiej zapalił lampkę i zaciągnął firanki, zasłaniające wnętrze tych *quasi*-separarek przed wzrokiem osób, które zasiądą w pośrodku sali.

Po godzinie jedenastej zaczęli się schodzić prawdziwi goście, stali bywalcy i mniej zamożni turyści, i czule parki, w sumie przeszło dwadzieścia osób. Dzięki temu Gaspard Duvet mógł odkomenderować dwie

najgorzej ubrane fordanserki do zasłoniętych firankami łóż, aby tam robiły "wrzawę miłosną". Polegała ta "miłosna wrzawa" na tym, że wyznaczona niewiasta musiała się głośno trącać kieliszkiem z pustą butelką, wybuchać drażniącym śmiechem, piszczeć wstydliwie, gasić lampkę, znów ją zapalać, uderzać dłonią w firankę, by lekko falowała, a równocześnie i odpowiednio do tej ilustracji "muzycznej" wydawać okolicznościowe okrzyki w rodzaju: *Och! Au, boli! Nie szczypać! Fe! Nie można! Dość pan już całował! Weź pan tę rękę! Jeszcze! Jeszcze mnie pieść!* itp., itp. Gaspard Duvet twierdził, że tego rodzaju odgłosy ogromnie podniecają salę i zwiększają konsumpcję alkoholu...

Tak więc przedstawiał się w rzeczywistości nastrój w *Małej Alhambrze*, lecz to samo widziane oczyma naiwnego nędzarza wyglądało na legendarne [Eldorado](#). Patrzył tedy Bartłomiej Ropa przez szybę, pał oczy widokiem strojnych "hrabin" i trochę, troszeczkę zazdrościł. Nie chodziło mu o siebie. Tyle się już w życiu namęczył, napocił, że różne ambicje młodzieńcze wyparowały z niego dawno... Ale córka! Zośka była taka ładna, taka pojętna w szkole, tak po inteligencku umiała mówić.

--- O Boże, Boże! Żeby to moja dziewczucha mogła kiedy zaznać takiego życia i być taką damą! Modlił się żarliwie. I lekkomyślnie! Lecz nie znał przecież drugiej strony medalu. Widział tylko złote, srebrne, czerwone pantofelki, jedwabne pończochy, cudacznie wycięte, ale piękne suknie bez rękawów, barwne wachlarze, kwiaty i moc świecidełek. A gdy która z "hrabin" zapędziła się w tańcu w sąsiedztwo jego drzwi, widział jej ręce niezniszczone pracą fizyczną i szkarłatne paznokcie, i ponętne rumieńce na gładkich policzkach, i wszelkie inne cuda makijażu, o której to instytucji jako żywo nie słyszał. --- To wszystko z pańskiego życia --- sądził w prostocie ducha --- nie narobi się taka, nie zmarznie, zje, ile chce, i miałyby nie być śliczna? Dajcie mojej Zośce tak zjeść, a zobaczycie, jakich dostanie rumieńców...

Teorie, że wyłącznie dobrobyt decyduje o pomyślnym rozwoju i pięknym wyglądzie każdego *boskiego stworzenia*, wyhodował sobie Bartek jeszcze w Polsce, zanim wyemigrował. Był wówczas fornałem we dworze, bo własnego gruntu nie posiadał ani skrawka. Za to jego stryjeczny brat miał aż sześć hektarów ornego, które głębokim klinem wżynało się w pańskie. Więc tu i tam była ta sama ziemia i tego samego dnia zasiano raz to samo żyto, a mimo to na chłopskiej enklawie wypadł zbiór o pięć centnarów mniejszy z morgi niż na pańskim.

--- Bo dziedzic sobie ziemię posolił jakimś sztucznym nawozem, a Kuba nie --- mruknął Bartek, rozpamiętując te zdarzenia. To samo było z końmi po ogierze z państwowej stadniny; jego potomstwo we wsi wyrastało na nędzne, karłowate szkapy, a we dworze... --- smoki to były, nie konie. Smoki! Bo miały co żreć od maleńkości, bośmy je pucowali co dnia i do trzeciego roku życia hycle próżnowały... I tak by było z moją Zośką... I tak będzie!

Rozmarzyło Bartka. Trochę pod wpływem muzyki i z patrzenia na wystrojone fordanserki. I trochę z tego, że stał wygalowany na szwajcara, że miał za dzisiejszą noc otrzymać cztery franki, że od jutra dostanie znów stałą pracę. Posadę!... Ale najwięcej działał alkohol. Przebierając się u szwagrostwa i goląc brzytwą Urbana swój dwutygodniowy zarost, Bartek skorzystał chętnie z zaproszenia i wychylił kilka kieliszków *na pomyślność*. A że nic nie jadł od rana, więc tym łatwiej go zamroczyło... Dlatego wszystko wydawało mu się tak niezmiernie łatwe i proste. --- Zośka będzie damą. Musi być! --- Skąd wziąć pieniądze na kosztowne suknie? Pantofelki? Świecidełka?... Drobiazg! Przecież od jutra zacznie znów zarabiać. Będzie oszczędzał. Przestanie palić. Do [bistra](#) nie wstąpi nigdy... --- Ale Zośka musi być taką damą! --- powtarzał z uporem. --- I ja, ja jej dam na wszelkie wydatki, na te, jak mówi szwagier Urban, inwestycje...

O inwestycjach myślał również Duvet i notował na bibułkowej serwetce:

<i>Susanne, prowizja</i>	<i>fr. 50</i>
<i>3 pożyczone fordanserki po 10 fr. na twarz</i>	<i>30</i>
<i>3 pożyczone gigola po 15 fr.</i>	<i>45</i>
<i>2 szwajcarów po 4 fr.</i>	<i>8</i>
<i>7 flaszek najtańszego wina stołowego</i>	<i>ca 10</i>
<i>pudełko pasty do podłogi</i>	<i>7</i>
<i>pranie spodni orkiestry</i>	<i>5</i>

Ta ostatnia inwestycja zamortyzuje się wprawdzie w ciągu dłuższego okresu czasu, ale na razie oczekiwana wizyta Amerykanów pochłonęła już 155 franków! A aktywa? Butelka szampana kosztuje firmę dwadzieścia pięć franków, sprzedaje się ją w lokalu za sto, zaś cena przedkryzysowa była o osiemdziesiąt franków wyższa. Ponieważ przezorny Duvet polecił na "amerykańskim" stoliku położyć cennik przedkryzysowy, zanosilo się na to, że jedna butelka szampana zwróci wszystkie inwestycje. A gdzie zarobek?

--- Wypiją tylko jedną butelkę, niestety. Jakże! Dwie osoby, i żeby to jeszcze parka. Nie. Ojciec z córką. Tak. Wobec tego trzeba zastosować cennik z roku 1924. Taki Amerykanin nabierze większego szacunku dla lokalu, jeżeli zapłaci za butelkę czterysta franków...

Potem Gaspard Duvet spróbował ogarnąć myślą nieuchwytnie na razie, ale niewątpliwie olbrzymie korzyści, jakie wynikną z fachowego zareklamowania wizyty Forbana w *Małej Alhambrze*. Ach, żeby tylko filmowcy nie zawiedli!

Sporo czasu upłynęło, nim rozmarzony businessman ocknął się z zadumy. Spojrzał na zegarek i struchlał. Północ minęła.

--- A ich jeszcze nie ma? Może... może... nie! Za Susanne ręczę!

Dopiero o godzinie 0:21 z tego strumienia aut, który płynął w kierunku Place Pigalle wyprysnęła duża, czarna limuzyna i, ku zazdrości sąsiednich barów, zatrzymała się przed *Małą Alhambrą*. Leonardo Manetti odemknął drzwiczki i sprezentował broń, tj. półtorametrowe berło. Hieronim Kallinos podbiegł z olbrzymim parasolem, choć śnieg już nie prószył. Z auta wysiadło dwóch gentlemanów i szczupła dama w sobolowym

futrze. W przedśionku Gaspard Duvet złożył gościom ukłon należny tylko księżetom krwi. Z licznych reprodukcji zawsze tej samej fotografii poznał od razu mr. Samuela Forbana, lecz twarz drugiego pana także nie była mu obca.

--- Kto to jest? Kto to może być?

Zagadkę rozwiązało niebawem głośnie odezwanie się miss Violet:

--- I pan, rodowity Paryżanin... pan nie był w tej speluncie nigdy, monsieur Lazare?

Właściciel *Małej Alhambry* aż się zatoczył. Nie dość Forban, jeszcze i młody Lazare na przyczynek!

Bagatela! Armand Lazare, przyszedł spadkobierca największej fortuny w Europie!

Hieronim ujął z czcią jedwabiem podbite płaszcze, potem jeszcze większą świętość, dwa lśniące cylindry, które miały zaszczyt obcować z takimi głowami... i dostojne towarzystwo raczyło opuścić szatnię.

--- Drzwi! --- syknął Duvet. Dobrze, że syknął, gdyż inaczej Bartek nie byłby wykonał swej prostej misji. Nie żeby nie chciał, ale po prostu zapomniał. Zapomniał o bożym świecie i patrzył jak w obraz cudami słynący. Miss Forban jeszcze raz spojrzała w lustro, potem zaczęła iść w stronę oszklonych drzwi, w stronę Bartka, który miał poważne wątpliwości co do tego, czy to uroczyste zjawisko naprawdę idzie, czy raczej płynie przez powietrze tuż nad posadzką. --- Tak musi wyglądać anioł --- pomyślał, lecz natychmiast odrzucił tę hipotezę; była stanowczo zbyt pochlebna dla pyzatyńskich aniołków z jego książeczki do nabożeństwa. Chyba tylko z najładniejszymi gwiazdami filmowymi, których fotosy widywał przed kinem, mógł porównać tę smukłą damę. --- Taką to moja Zośka nigdy nie będzie, żeby ją nie wiem jak wystroić --- przemknęło mu przez myśl --- na to, żeby takie cudo wyrosło, musiała już jej prababka dostawać najprzedniejszy obrok, i cała familija...

Pełen uwielbienia, ale mimo woli natrętny wzrok Bartka Ropy nie uszedł uwagi miss Violet.

--- Zabawny kontrast tworzy [ascetyczna](#) twarz tego portiera z jego błazeńskim strojem, --- zauważyła głośnie.

Bartek Ropa zadrżał. Cudne szafirowe oczęta patrzyły wprost na niego i o nim mówiły szkarłatne usta wymalowane w kształt serduszka. Potem spojrzenia dwóch gentlemanów musnęły go tak, jak gdyby był przydrożnym kamieniem nazbyt wysuniętym na jezdnię i zagrażającym kołom ich samochodu. Oparł się z całej mocy plecami o ścianę, żałując, że nie może się w nią wcisnąć, omdlewającą ręką silniej odepchnął skrzydło oszklonych drzwi, zamykających się automatycznie, i goście wkroczyli na salę.

A tam już Gaspard Duvet czynił swoją powinność. Dyskretne, prawie nieuchwytnie gesty jego rąk puszczały w ruch kolejno różne kółka, kółeczka i tryby skomplikowanej maszyny... W pustych, ale zasłoniętych łóżkach zaczęły strzelać korki szampana: (piccolo robił to świetnie językiem). W innych dwóch łóżkach zaperlił się nerwowo, drażniący śmiech kobiet, a firanki trzepotały wymownie. Przy najbardziej rzucającym się w oczy stoliku namiętny południowiec (gigolo nr 2) i skromna blondyneczka (fordanserka nr 8) doskonale markowali ukradkowe pocałunki. Barczysty drągał w cudnie skrojonym fraku (gigolo nr 4) nieomal wgniótł w siebie maleńką partnerkę (nr 6) i, pożerając ją wzrokiem na raty, wyczyniał misterne figury taneczne. Dyrygent szalał, jakby spodnie miał całkiem suche. Kelnerzy, niczym auta na Placu Zgody, pędzili po sali, roznosząc butelki (puste). W łożu dwunastej zabrzmiał okrzyk przerażonej kobiety (nr 9): --- Puść pan! Mąż wraca! Przerwałeś mi naramiączko, niedobry! Weź rękę!...

Miss Violet Forban rozglądała się z ciekawością.

--- Nastrój tutaj jest, mam wrażenie --- stwierdziła.

--- Och, mylady, u nas tak zawsze! --- krzyknął z zapalem Gaspard Duvet, prowadząc znakomitych gości do najlepszego stolika.

--- Tak, nastrój jest, ale nie widzę ani jednego... apasza w szaliku.

--- W sza... apasza?! --- Duvet palnął się w czoło, aż echo poniosło. Jakże mógł zapomnieć o najważniejszym! Przecież Susanne mówiła wyraźnie: *Postaraj się pan o apaszów w szalikach...* --- Ależ tak, mylady, tak, owszem, naturalnie! Całe gromady ich tu przychodzą... Tylko później, prawie nad ranem. To ich ulubiona pora...

Duvet miał ochotę krzyczeć z radości. Wybrnął! I to jak! Gdyby apasze już byli, Amerykanka obejrzałaby ich sobie i po godzinie by wyszła; a tak musi czekać! Trzy flaszeczki pękają jak nic!... Trzeba się będzie jeszcze zastanowić, ilu fordanserów przebrać. A może tych szwajcarów także?

--- Apasze, mylady --- tłumaczył równocześnie --- zjawiają się u nas zwykle o czwartej nad ranem, a niekiedy trochę później. Wówczas przychodzą tu odetchnąć po całonocnej... ech, wolę nie mówić!... Lecz państwu z ich strony nic nie grozi! Pod gwarancją! Oni mnie znają! Tu oni są jak te baranki potulne, tańczą z damami z najlepszego towarzystwa i... i... tego... tak... naturalnie...

Zimne, ironiczne spojrzenie Armanda Lazare zamroziło strumień słów pomysłowego przedsiębiorcy. Skłonił się i popędził dalej. W stronę muzyki.

--- Grać! Grać bez przerwy, panowie.

--- Ale jeśli ja --- odezwał się pianista-męczennik --- złapię zapalenie stawów, to pan mi zapłaci lekarza, panie Duvet.

--- Tam, gdzie pan myśli, nie ma żadnych stawów, tylko mięso.

--- Patron. Patron, prosimy do nas na chwileczkę --- wołano od stolika, przy którym siedzieli także prawdziwi goście. --- Patron, powiedzcie nam, kim jest ta młoda dama w sobolach.

--- Tsss, proszę ciszej, panowie i panie!

--- Bo myśmy się założyli... Moja przyjaciółka twierdzi...

--- On twierdzi, że to jest [Lilian Harvey](#), a ja mówię, nie kwestionując uderzającego podobieństwa tych dwóch kobiet, że to może być w najlepszym razie młodsza siostra Lilianki albo raczej jej córka.

--- Bo ci zazdrość, że inna tak się dobrze konserwuje.

--- Idiota! Ta dziewczyna tutaj ma najwyżej dwadzieścia lat, a Lilian Harvey... czekajcie... zaraz obliczę... Lilian...

--- Moi państwo! --- zaczął Duvet z godnością. --- Nie wiem, kim jest owa pani Harvey, ja jej nie znam, a zatem ta osoba nie należy do sfer plutokracji... Bo w moim lokalu, poza przygodnymi gośćmi --- (lekki ukłon) --- bywają stale tylko przedstawiciele najwyższej arystokracji...

--- Bujaj pan słońia!

--- ...arystokracji pieniężnej, jak mr. Forban, Ford, Rockefeller, Elden, Rotszyld, Abel Lazare, jego syn Armand i wielu, wielu innych... Dama w sobolach to właśnie miss Violet Forban! A ci dwaj panowie...

Uwierzyli dopiero wówczas, gdy im pokazał zamieszczoną w dzienniku fotografię mr. Samuela Forbana... Ale fotografia jako taka przypomniała mu niecierpliwie oczekiwanego fotografa, reportera i operatora filmowego. Tych panów trzeba wziąć mocno w karby, inaczej gotowi swoją zawodową bezczelnością wypłoszyć stąd przedwcześnie sobolowe futro. Przed przyjściem "apaszów"!... Prawda! Kallinos nie otrzymał żadnych instrukcji, gotów tych poszukiwaczy sensacji wpuścić od razu na salę...

--- Wszystko na mojej głowie --- jęknął Gaspard Duvet i wyruszył w stronę szatni, ale okrężną drogą, obok baru i okna kuchni. Tu natknął się na Susanne od Ritza; przyszła po uczciwie zarobioną prowizję.

--- Setkę? Susanne! Zawsze brałaś pięćdziesiąt franków. A dziś, gdy kryzys...

--- Czy ja panu przysłałam kryzysowych gości? No, więc! Przy jednej butelce odbije pan sobie moją setkę z nadwyżką. Czy to nie byłam pańską kelnerką?... Dziś potrzebuję sto, i jeśli pan chce ze mną zgody, to...

Gaspard Duvet chciał zgody z Susanne. Od Ritza! Ale płacąc, westchnął.

--- Dziękuję --- uśmiechnęła się wdzięcznie i dorzuciła bezpłatnie komplement: --- Doskonale pan dziś wygląda, patronie... W interesie ruchu, widzę... Tylko szwajcarów mógł pan sobie wyszukać z lepszą prezentacją...

Szwajcarzy z kiepską "prezentacją" gawędzili z pocziwym Grekiem. Hieronim Kallinos, który przed chwilą rozmawiał z Susanne, mógł im nareszcie wyjaśnić powód dzisiejszego świetnego humoru Gasparda Duveta.

--- Czyli --- wnioskował Bartek Ropa --- to wszystko zawdzięczamy wyłącznie tej młodej Amerykance. --
- Odszedł od nich, powrócił do swoich drzwi, by przez ich szyby posłać najwdzięczniejsze spojrzenie miss Violet Forban. --- Bóg ci błogosław, cudna pani... za to, że dałaś mi pracę, że dzieci mi z głodu nie pomrą --- szeptał wzruszony, nie przeczuwając, iż będzie tę kobietę przeklinał do śmierci...

ROZDZIAŁ IV

Gaspard Duvet dostrzegł nagle, że barman przyzywa go rozpaczliwą gestykulacją. Obok stał kelner nr 2 obsługujący stolik milionerów i także miał niewyraźną minę.

--- Wybacz, Susanne... Te osły już się czymś peszą... Wszystko na mojej głowie, ach, Susanne!... Pełnym gazem pognął do baru. --- Co zamówili? --- wołał już z daleka: --- Mumm, Pommery? Czy...

--- Aha, właśnie! --- odburknął kelner. --- Stary kazał sobie dać whisky and soda, młody vermouth, a ona jakisik Waikikipikling!

--- Cooo?

--- Mówię przecież, Waikikipikling.

--- Pewnie jakiś cocktail?

--- Ale w karcie takiego nie ma.

--- I ja o takim nigdy nie słyszałem --- dorzucił zafrasowany barman.

Gaspard Duvet o takim również nie słyszał, lecz tym się nie przejął.

--- [Waikiki](#) to pewnie nazwa jakiejś dzielnicy New Yorku, jak Manhattan. Wobec tego daj jej pan nasz *Manhattan* z kroplą *Marasquin* albo z czym pan chce, żeby była jakaś różnica w smaku...

Cocktail spreparowany według tej recepty powrócił do baru.

--- Ani go nie skosztowała, panie Duvet --- żalił się kelner --- spojrzała tylko i powiedziała, że *Waikiki* musi być ciemniejszy.

--- No, to fraszka! --- sądził Gaspard. --- Dodaj pan koloru, a ja każę grać tango i zgasić główne światła. Jestem gips, jeśli ona coś pozna... O czym rozmawiają przy stole?

--- O apaszach.

--- To świetnie! Zaraz im "takowych" dostarczę.

--- Ba, panie Duvet... Ten młody tłumaczy pani, że apaszów w ogóle już nie ma w Paryżu, nawet na [Bals Musettes](#)...

--- Świnia! --- Gaspard był szczerze oburzony. --- Żeby Francuz Francuzowi tak psuł interes? Świnia!

Armand Lazare istotnie psuł mu interes.

--- Kto pani polecił ten brzydki lokal? --- pytał właśnie.

Miss Forban odparła z zażenowaniem, że już nie pamięta. Prawdopodobnie ktoś z jej znajomych w New Yorku.

--- Na pewno twoja Maud! --- zachichotał mr. Samuel Forban.

--- Papa zawsze coś do niej czuje... Właśnie, że nie Maud. tylko Marion Wood, aha --- zrewanżowała się i stwierdziła z przyjemnością, że papa lekko się zaczerwienił. --- Marion, trzeba przyznać, jest bardzo wartościową kobietą. To ona właśnie wynalazła cocktail *Waikiki-chickling*...

Ledwie wymówiła tę nazwę, zjawił się przed nią preparat pomysłu Gasparda Duveta, ale już przyciemniony. Skosztowała, skrzywiła się okropnie.

--- Co to jest? Jeśli się nic myślę, to kiepsko zrobiony *Manhattan*!

--- Nie, proszę pani. To jest *Waikiki-kipling*... tego... *pikling*.

--- Pan mnie źle zrozumiał. Nie żaden *pikling*, tylko *chickling*. Cała nazwa pisze się tak: doblju-ej-aj-kej-aj-kej-aj... si-ejcz-aj-si-kej-el-aj-en-dzi!... Zrozumiał pan teraz?

Było wręcz przeciwnie. Kelnerowi mózg zmienił się w cocktail z nosowych sylab, oszałamiająco szybki *spelling* Amerykanki ogłupił go do reszty.

Armand Lazare spróbował interweniować.

--- Proszę to oddać barmanowi --- rzekł, pisząc na kartce nazwę nieszczęsnego cocktailu. --- *Waikiki-chickling*, słyszy pan?

--- Chickling --- tłumaczyła Violet --- znaczy tyle, co piskłę, kurczątko... Może teraz pan łatwiej spamięta?

--- Ach, tak trzeba mówić! Pani zamawia kurczę! W potrawce, czy...

Salwa śmiechu mr. Samuela zagłuszyła dalsze słowa. Armand zagryzł wargi, lecz na widok miny kelnera także nie wytrzymał. Przy sąsiednich stolikach umilkły rozmowy, wszyscy patrzyli tutaj. A Violet była bliska płaczu. Od niepamiętnych lat nie spotkało jej równie wielkie nieszczęście. Nie dość, że nie podano jej ulubionego *Waikiki*, jeszcze ten głupi kelner ją ośmieszał. I to w obecności barona Lazare'a. Barona! Straszne! Rozpacz!!

Na pomoc zbaraniałemu kelnerowi przybiegł sam Gaspard Duvet. Wyznał ze skruchą, że wprawdzie sława cocktailu *Waikiki* już dotarła przez ocean do Francji, lecz recepty tego nektaru nie można ani rusz zdobyć. On sam, Gaspard Duvet chciał płacić tysiące, ale cóż... na próżno. Gdyby mylady zechciała... gdyby raczyła zechcieć podyktować...

--- On ma rację. Podyktuj im --- wtrącił mr. Samuel, bawiąc się pysznie zakłopotaniem córki.

Violet zaczęła dyktować. Była to czysta improwizacja, gdyż Violet co prawda piła znakomity *Waikiki-chickling* gdzieś kiedyś, lecz nie spamiętała ani dziesiątej części niezbędnych składników boskiego eliksiru. W rezultacie przyniesiono jej kielich płynu, który różne ciecze przypominał wyglądem, tylko nie cocktail. A co do smaku...

--- Chodźmy stąd! --- rzekła Violet, powróciwszy z toalety. Była bardzo blada. Najniepotrzebniej w świecie brawurowała przedtem i wypła do dna parodię *Waikiki-chickling*. Ale uważała, że musi, boć sama dyktowała receptę i ojciec patrzył na nią z tym swoim kpiącym uśmiechem. --- Chodźmy stąd! --- powtórzyła błagalnie.

Temperament orkiestry osiągnął zenit. Niefalszowany żar Andaluzji buchał z jej kostiumów, w dolnej części jeszcze wilgotnych. Piccolo, choć język mu spuchł, wciąż czynił swoją hałaśliwą powinność: już chyba dwieście butelek szampana zamarkował. Z zasłoniętych łóż dobiegały odgłosy orgii trzeciego stopnia. W szatni kwitła fabrykacja apaszów; wieść o ich rychłej wizycie wtargnęła na salę itd., itp.

Lecz wszystko na próżno. Dla Violet *Mała Alhambra* straciła sześćdziesiąt procent uroku już wówczas, gdy Armand Lazare oświadczył, że najazd apaszów, to nędzny humbug. A po cocktailowej ekspertyzie lokal stracił pozostałe czterdzieści procent siły atrakcyjnej, stał się ohydną, działającą na nerwy spelunką.

--- Jeśli papa nie wstanie natychmiast, wyjdę sama.

--- Płacić!

Kelner przepadł. Ale z Forbanami siedział Francuz, a Francuzi najchętniej sami obliczają należność lokalu, by nie narażać płatniczych na pokusę dodawania daty urodzin do rachunku... Więc Armand Lazare spojrzął, stwierdził, że ma przed sobą tylko *kartę win*, przechylił się i z sąsiedniego stolika zabrał cennik cocktaili. Cennik kryzysowy! Przeznaczony dla zwyczajnych gości, nie dla milionerów!... Wynikało z tego cennika niezbitcie, że *consommation* w tym lokalu kosztuje piętnaście franków.

--- Razy trzy, daje czterdzieści pięć, plus dziesięć procent napiwek, razem pięćdziesiąt --- liczył gładko

syn Abła Lazare'a, zwanego *Shylockiem* Europy. Wyjął portfel.

--- O, przepraszam --- zaprotestował Forban.

--- O, daruje pan, mr. Forban. Pan płacił w *Ambassadeurs*, teraz na mnie kolej --- odparł z czarującym uśmiechem praktyczny Francuz. I zrewanżował się, kładąc na stoliku banknot pięćdziesięciofrankowy. (Mr. Forban za obiad w *Ambassadeurs* zapłacił dokładnie o jedno zero więcej).

--- Well --- szczechnął Amerykanin. --- A teraz, baronie, niech pan będzie naszym przewodnikiem, dobrze? Chcielibyśmy zobaczyć *Paris by night*, oczywiście to, co można obejrzeć w towarzystwie osiemnastoletniej...

--- Siedemnastoletniej, papo!

--- ...dziewczyny...

W przedśionku czekał Gaspard Duvet. *Niobe*! Lecz Niobe miłosierny Zeus zamienił w skałę i przeszła do mitologii, a Gaspard Duvet na to liczyć nie mógł. Duvet musiał żyć dalej i szamotać się w kolczastych zasięgniach cyfr: preliminowane inwestycje 155 fr., plus nadzwyczajny dodatek dla Susanne 50 fr. razem 205 fr. A dostojni goście zostawili 45 fr. (napiwek bierze kelner, niestety), bo nikomu nie przyszło na myśl, by przygotować odpowiedni cennik cocktailing. "Netto" 160 fr. straty... Wszystko to jednak było drobiazgiem wobec ciosów moralnych. Ani operator filmowy nie przybył, ani reporter, ani...

--- Hallo, panowie! Czy to do tej spelunki miał przyjechać mr. Samuel Forban? --- zabrzmiał czyjś głos.

Duvet odwrócił się na pięcie. W drzwiach z ulicy stało dwóch młodych mężczyzn: jeden z nich trzymał w garści duże pudło. Aparat fotograficzny! A może filmowy?!

Od tego momentu wypadki potoczyły się z wariacką szybkością dziewięćdziesięciu sześciu klatek filmowych na sekundę... Armand podał ramię Violet. Violet ruszyła ku drzwiom. Drzwi pchnął Manetti, a jego Hieronim z parasolem. -- Moje uszanowanie państwu... Polecamy się. --- Młodzieniec z aparatem syknął na Hieronima. --- Czy jest tu mr. Forban? --- Mr. Forban zmierzył go dumnym wzrokiem. Hieronim wskazał na plecy wychodzącego mr. Forbana. --- To właśnie on! --- Manetti odemknął drzwi limuzyny. Violet wsiadła. --- Proszę, baronie. --- Armand nie ustąpił. --- W Paryżu pan jest gościem, sir. --- Forban wsiadł, Armand też, Manetti pchnął drzwiczki, klakson beknął, motor warknął, limuzyna ruszyła. --- Za tamtym samochodem! --- Reporter z fotografem już wskakiwał do najbliższej taksówki. Klakson beknął, motor itd. Wszystko trwało najwyżej pięć sekund, a potem los-kinooperator już puszczał swój film z normalną szybkością dwudziestu czterech klatek na sekundę, w 2,19 sekundy równy metr taśmy...

Gaspard Duvet ryknął jak tygrys, któremu słoń nastąpił na ogon w kamienistym terenie. Wskoczył na ulicę. Spojrzał. Taksówka reportera zasłoniła widok, lecz na zakręcie zalotnie mignął po raz ostatni tył dużej czarnej limuzyny. Która uwiozła wszystkie nadzieje właściciela *Małej Alhambry*...

--- I po kiego licha prało się spodnie? --- powtarzali muzykanci; z urazą spoglądali na andaluzyjskie pantalone, obecnie białe jak śnieg.

A śnieg znowu prószył. Wielkimi płatkami spadał na różową łysinę Gasparda Duveta, który wciąż jeszcze stał przed drzwiami swojego lokalu i spoglądał w dal. Śnieg sypał coraz mocniej, pragnąc snadź ochłodzić rozpaloną głowę. W głowie wirowały cyfry utraconych zysków, buczały myśli ponure, aż z dzikiego chaosu wyłoniło się dręczące pytanie: --- Kto zawinił?!

--- Panie Duvet...

Nie było odpowiedzi... Gaspard Duvet szukał winowajcy. Bo wszystko, co on zorganizował było zawsze

doskonale. Jeżeli się pomimo to nie udawało, to oczywiście z czyjejś winy... Z czyjej? Z czyjej tym razem?

--- Panie Duvet...

Nie było odpowiedzi... Susanne? Nie, ona zrobiła swoje jak należy. Zapytana o adres trochę zakazanego lokalu, wymieniła *Małą Alhambrę*. Nic więcej do niej nie należało. Susanne była w porządku. Już raczej kelner nr 2...

--- Panie Duvet...

Nie było odpowiedzi... Barman zawinił! Nie umiał przyrządzić cocktailu *Waikiki-chickling*. Barman powinien był wiedzieć, jak się robi to nowe amerykańskie świństwo albo powinien mieć potrzebną w swoim fachu intuicję. I natchnienie! --- Zwymyślam łotra od ostatnich! Z błotem go zmieszam! Wyrzucę na pysk! --- Gaspard już miał wyruszyć na karną ekspedycję, gdy nagle przypomniał sobie: --- A, do licha! Nie wypłaciłem mu dotychczas pensji za grudzień! Gotów zażądać od razu całej sumy. I za styczeń! Inaczej zaskarży... Nonsens, barman nic nie zawinił...

--- Panie Duvet! Z gołą głową i bez płaszcza może się pan zaziębić!

Gaspard Duvet odwrócił się tak gwałtownie, że wpadł na mówiącego i niechcący stracił mu z głowy wspaniałe czako. Ten drobny wypadek wywołał głośną wesołość u portierów z sąsiednich barów, ale równocześnie otworzył oczy Gaspardowi Duvetowi.

--- Ha, łotrze! Tak się obchodzisz z kosztowną liberią?! Nowiusieńkie czako do błota?!...

Dalszy ciąg i epilog nastąpił w przedśionku.

--- Kallinos! Odebrać od nich liberie, przeliczyć dokładnie, czy czego nie skradli!

--- Nie jestem złodziejem --- odburknął Manetti.

--- Milczeć! Wiem, co mówię! --- Rozumie się, że wiedział, skoro nareszcie znalazł winowajcę. Ba, dwóch! Dwa idealne kozły ofiarne, pokorne, głodne, bezbronne. Nareszcie mógł wziąć piękny odwet za dzisiejsze rozczarowania, za sto sześćdziesiąt franków efektywnych strat, o moralnych nie mówiąc, i za najzłośliwszą psotę losu, który zrządził, że on, Gaspard Duvet zamówił reportera, fotografa, filmowców dla obcego lokalu. Najcudowniejszą, a przy tym bezpłatną reklamę zrobił jakiemuś konkurentowi! I kto? On sam, Gaspard Duvet, arcyspryciarz, którego nawet kryzys nie zdołał wykończyć!... Oszaleć by można z rozpacz i bezsilnej wściekłości, gdyby nie to, że znalazły się kozły ofiarne...

Ściągali w milczeniu błękitne płaszczyśka szwajcarów. Pocziwy Kallinos ostrzegł ich szeptem, polecił zacisnąć zęby. W najlepszej intencji dał im radę najgorszą, bo ich cicha pokora tylko ośmielała Gasparda. Zaczawszy skromnie od *brudnych cudzoziemców*, *meteków*, *polskich bandytów*, rychło porzucił ten zwyczajny repertuar wyzwisk, przeznaczonych dla obcokrajowców i w ognistym *crescendo* podążał ku najsoczystszym obelgom, inwektywom. Nie przeoczył też tego, że zaraz na wstępie awantury zareagowali na zarzut nieuczciwości. To ich boli! Dobrze wiedzieć...

--- Kallinos! Odebrałeś liberie? Nic nie brakuje?

--- Nie, panie Duvet.

--- Bo nie zdążyli ukraść! W samą porę przeszkodziłem drabom...

--- Przysięgam, panie Duvet! --- Bartek Ropa nie wytrzymał. --- Przysięgam, że ani nam przez myśl...

--- Milczeć! Wiem, co mówię! --- Znowu wiedział. Od dawna! Już wtedy, gdy oświadczyli, że chcą pracować bez wynagrodzenia pieniężnego, a tylko za jedzenie. Wtedy powziął podejrzenia. Nawet zwierzył się z tym Kallinosowi. Nieee? No, więc nie Kallinosowi, ale komuś innemu na pewno! To się rzucało w

oczy! Chcieli, by się złakomił na taniego robotnika, by ich przyjął. Chcieli się tu rozejrzeć w terenie, by tym łatwiej popełnić zamierzoną kradzież. Włamanie! Mord rabunkowy!! Masowy!!!

--- Czy on zwariował? --- wyrwało się Manettiemu.

--- Precz stąd! I żebym was tu więcej nie spotkał!

--- A nasza zapłata? Nasze osiem franków?

--- Za co, łobuzy?! Za to, że wam pozwoliłem się ogrzać?! Czy za to, że wam się nie udało mnie okraść?!

Ograbić?! Zamordować?!!!

--- Panie Duvet... Na głowy moich dzieci...

--- Precz, mówię! Kallinos!

--- Panie Duvet?

--- Dzwon do komisariatu!

--- Panie Duvet --- Hieronim Kallinos złożył dłonie błagalnie.

--- Ja tym bezczelnym bandytom pokażę! --- ryknął Gaspard Duvet i sam wpadł do budki telefonicznej...

ROZDZIAŁ V

Zwolnili kroku dopiero przed gmachem *Gaumont-Palace*, największego kina Europy.

--- Po coś ty mi kazał uciekać? --- zachnął się Bartek Ropa. --- Czym to co ukradł?! Mógł sobie wariat wołać policjantów i kogo chciał...

--- A tyś we Francji dopiero od dzisiaj?! --- odparł Leonardo Manetti, trochę zirytowany naiwnością towarzysza niedoli. Zaraz też jął mu dowodzić, że nie było jeszcze wypadku, by w jakimkolwiek konflikcie pomiędzy tubylcem a obcokrajowcem przyznano słuszość temu drugiemu. Nigdy! Nigdy się to nie zdarzyło w tym kraju, odkąd on, Manetti tu przebywa. Nawet bogaty turysta ma z góry przegraną sprawę w każdym zatargu z Francuzem, a co dopiero tacy nędzarze jak oni. Dziś by ich wydalono z Francji. Dzisiaj. Nie ma dwóch zdań co do tego i przeto świetnie zrobili, że uciekli, zanim pomyłony Duvet zdążył zaalarmować komisariat... Tak twierdził Manetti.

--- Te, Leon! My chyba źle idziemy.

Bartek miał słuszość, ale połapał się trochę późno, bo w tym miejscu, gdzie bulwar Batignolles przechodzi w Bd. de Courcelles.

--- W tej stronie miasta nigdy nie byłem.

--- Ani ja. Ale widzi mi się, że do rzeki tędy nie dojdziemy.

Obydwaj znali tylko lewy brzeg, a właściwie jedynie XIII dzielnicę i z pół XIV. Na Montmartre przyjechali dziś kolejką podziemną, ale obecnie metro było już nieczynne, zresztą Urban Kallinos zafundował im bilety tylko w jedną stronę.

Zaczepili jakiegoś przechodnia. Poradził im skręcić w lewo, w rue de Miromesnil, a potem znów kogoś zapytać o dalszą drogę. Dokąd dążą? Aż do Place d'Italie?! Bagatela! Dobry piechur musiałby zużyć godzinę. Dobry piechur! No i taki, co zna drogę...

--- Ano to my zajdziemy za dwie godziny... Dziękuję panu --- odparł Leonardo Manetti i ruszyli w dalszą drogę.

Rue de Miromesnil zaprowadziła ich wprost do Pałacu Elizejskiego. Wąską rue du Faubourg-St. Honoré, tak ożywioną za dnia, pędziło w krótkich odstępach zaledwie dziesięć samochodów, niemniej trzeba było odczekać, aż przejadą; najłatwiej wpaść pod koła wówczas, gdy nie ma dużego ruchu... Więc przystanęli u wylotu Miromesnil. Leonardo przyłgnał wzrokiem do granatowego policjanta, Bartek zagapił się na pałac prezydenta Republiki i... i nagle krzyknął!

--- Nie wiem, co mi się stało --- zwierzał się w chwilę później przyjacielowi, kiedy już przeszli na drugą stronę i przez Avenue de Marigny maszerowali ku Polom Elizejskim. --- Strachliwy nie jest, a tu, powiadam ci, Leon, aż mną zatrzęsło!... O rrrrany! Znowu!!!

Chwycił pod rękę Leonarda, przytulił się do jego ramienia.

--- Czy tam jest cmentarz? --- zabelkotał, odsuwając się z zabobonną trwogą od muru okalającego cichy ogród Pałacu Elizejskiego.

--- Cmentarz by był w środku miasta? W takiej eleganckiej dzielnicy?!... Co ci jest, Bartek?

--- Nie wiem, nie wiem --- powtarzał, drżąc na całym ciele. Mówił szczerą prawdę. Nic nie wiedział. Nie miał pojęcia, co go tak przerażyło. Może i ujrzał coś strasznego, ale ta ponura wizja trwała tak krótko, że zatarała mu się w pamięci, jak nieprzypomniane sny. Kiedy doszli do teatrzyku *Marigny*, uczucie lęku

zniknęło bez śladu. Gdyby nie przygnębienie wywołane awanturą z Gaspardem Duvetem, byłby się teraz głośno śmiał z niedawnego przestachu. I nawet pomimo całego przygnębienia parsknąłby niepowstrzymanym śmiechem, gdyby mu zastąpił drogę jakiś jasnowidz i powiedział, że przed chwilą losy Bartłomieja Ropy i Leonarda Manettiego zahaczyły się najfatalniej o Pałac Elizejski... A jednak...

Na Polach Elizejskich także ruch zamierał, dzięki czemu nieliczne auta pędziły jak szalone. Gdy Bartek i Leonardo dotarli do trzeciej wysepki na szerokiej jezdni, śmignęła im przed nosem duża czarna limuzyna. W jej wnętrzu jasno oświetlonym zamajaczyła Bartkowi piękna młoda dama w sobolowym futrze i dwóch sztywnych panów.

--- Ona!

--- Bartek! --- krzyknął Manetti równocześnie. --- To ci sami, co byli dzisiaj w naszej *Alhambrze*!

Nie mylili się. Dostojne towarzystwo już wracało z Lasku Bulońskiego i z kolei spieszyło na Montparnasse, aby tam również zaszczyścić jakiś lokal swą obecnością...

--- W naszej *Alhambrze* --- powtórzył Bartek z goryczą. --- W "naszej"! Ale ci długo trwała moja posada! I twoja...

Sposępniali od razu, zwłaszcza Bartek. Myślał... Wczoraj także był bezrobotnym, jak zresztą od miesiąca, ale wczoraj, i onegdaj, i tydzień temu żył nadzieją, że kiedyś nareszcie brat Urbana wyrobi mu obiecaną posadę u Duveta. Obecnie i na to nie mógł liczyć, a zawód był tym boleśniejszy, że to upragnione zajęcie już właściwie miał! Toć Duvet wyraźnie powiedział na wstępie ich rozmowy: --- Przyjdźcie jutro do zgody! --- Żartował nawet: --- Dziś mógłbym wam przez roztargnienie ofiarować posadę dyrygenta orkiestry... Już lepiej załatwmy to jutro. --- Potem Hieronim Kallinos im gratulował: --- To wam się upiekło! Wy, Ropa, macie u nas posadę pomywacza murowaną! --- Tak powiedział i Bartek Ropa był przekonany, że sprawa jego posady jest już załatwiona pomyślnie...

--- Ścierwa!

Bartek ocknął się ze smutnej zadumy. Podniósł głowę. Przystanął zdumiony. I olśniony pomimo swoich zgryzot. Po obydwóch stronach szerokiej jezdni chodniki przechodziły w schody pnące się ku kolumnom i portalom olbrzymich gmachów-pałaców. Po prawej ręce miał Grand-Palais, a Petit-Palais po lewej. W śnieżnej szacie, którą słońce jutrzejsze miało zedrzeć, i w seledynowym świetle księżyca wyglądały piękniej niż za dnia. Wyglądały bajkowo, gdyż w tym momencie nie było żywego ducha na Avenue Alexandre III.

--- Ścierwa! --- powtórzył Manetti. --- Miliony ludzi są bez dachu nad głową, a taki pałac, mogący setki rodzin pomieścić, zamieszkuje sobie jakiś burżuj. Jeden człowiek! I służba jaśnie pana!

--- Eee, to nie wygląda na dom prywatny --- bąknął Bartek --- to będą raczej muzea.

--- Tym gorzej! --- oburzył się Manetti. --- Więc na to są pieniądze, by dla posągów i obrazów stawiać pałace! Tylko dla ludzi nie ma na baraki! Zmarznij na śmierć, dziadu jeden z drugim, albo duś się w piętnaście osób w smrodliwej izdebce albo ze świniami w chlewie idź nocować, za to każdy kawałek płótna pochlapany farbą przez sławnego maliorza musi mieć dla siebie specjalną salę. I pewnie jeszcze opalaną!... O, ścierwa, ścierwa!

Most Aleksandra III przebyli szybko, bo nad Sekwaną hulał zimny wiatr. Na lewym brzegu wzburzył Manettiego widok gmachu Inwalidów, który w całości wziął za jakiś kościół. Napadł tedy na kler, aż kiedy bliżej podeszli, rozpoznał kontury starych armat zdobycznych szpecących (lub, jeśli ktoś woli, zdobiących) front budynku. Krótko mówiąc, *Batterie Triomphale*.

--- Tym gorzej! --- zaczął znowu. --- Wylęgarnia dostawców ludzkiego nawozu! W szpitalach ścisk, po trzech chorych pakują na jedno łóżko, wyrzucają ich w parę dni po operacji, by zrobić miejsce innym, a tu, gdzie by można ustawić z pięćdziesiąt tysięcy łóżek... tu są koszary! --- sądził. Że zaś wojska nie cierpiały jeszcze bardziej niż kleru, zaniósł się od razu na długą [filipikę](#) przeciwko militaryzmowi...

Bartek nie słuchał. Od czasu do czasu docierały do jego świadomości oderwane wyrazy lub całe zdania, przyznawał rację Manettiemu, prawie zawsze podzielał jego poglądy, lecz obecnie własne troski obchodziły go stokroć bardziej niż najcięższe krzywdy ich klasy społecznej. --- Co ja powiem Zośce? I szwagrom? Co dam dzieciom jutro na śniadanie? Na obiad? Co będzie, jeśli pojutrze nie zapłacę komornego? Tylko wyrzucą na bruk, czy jeszcze każą aresztować? I co potem?!

Dotarli już do bulwaru Montparnasse, a Bartek nie znalazł odpowiedzi na żadne z tych pytań. I czuł, że w ogóle nie znajdzie...

--- Gdyby tam był gaz... --- wybąkał machinalnie.

Nad uchem brzęczały mu urywki tyrady Leonarda:

--- Karabin maszynowy kosztuje dwadzieścia pięć tysięcy franków, haubica dziewięćdziesiąt tysięcy, samolot bombardujący cztery miliony, sterowiec czterdzieści, krążownik czterysta milionów... Na to dranie mają pieniądze!... Na fortyfikacje jednej tylko granicy osiem miliardów franków!... Na to mieli! Ale gdy mnie drugi raz zredukowali, gdym się starał o zasilek, powiedzieli: *gmina nie ma pieniędzy!* A co mnie gmina? Mam ją... Niech rząd płaci jak w innych państwach... Powiedzieli: *Źle ci? Wracaj do swojej Italii.* Teraz wracaj, ale przedtem, jak potrzebowali sił roboczych, bo Francuz nie lubi fizycznie pracować, bo woli mieć sklepik... wtedy nas pięknie prosili, Włochów, Polaków... Obiecywali złote góry! Nie tak było?

Bartek Ropa machnął ręką wymownie.

--- Nie pora myśleć o tym, co było --- odrzekł --- trapię się tylko, co będzie! Co z nami będzie?

--- Będziemy kraść!

--- Leon!

--- Wiem, że mi Leon... Będziemy kraść, mówię, i mamy do tego święte prawo!

--- Jakież to prawo, hę?

--- Prawo życia!... A co: mam popełnić samobójstwo dlatego, że mi na chleb zabrakło? Kto mnie do tego zmusi?!

--- Nikt... Lecz kraść nie wolno!

--- Nie wolno, słusznie... jeżeli można sobie zdobyć żer w sposób uczciwy, pracą. I klnę się na życie mojej matki, że nigdy cudzego nie tknąłem, jak długo miałem robotę... Czasami, gdym patrzył na różne drogie przysmaki w wystawowych oknach, ogarniała mnie zazdrość, przyznaję. A czasem złość, gdym widział zgarbione plecy matki, zawsze schylonej nad balią, jej pokurczone dłonie i zżarte paznokcie, i gdy potem przysłała po swoją bieliznę siaka taka lafirynda z wymanikirowanymi palcami, co się nigdy roboty nie tknęły... Ale matka tłumaczyła mi zawsze: *Na świecie w niczym nie może być równości, taki już jest porządek boski; toć i w ulu jest pszczoła-królowa i leniwe trutnie, i pszczoły-robotnice...* Takich przykładów matka ma zawsze na funty... Buntowałem się początkowo w duchu, aż kopalnia mnie wyleczyła. Ty wiesz, Bartku, jak tam umięją brać za mordę. Zrozumiałem, że zawsze będę pszczołą-robotnicą, że do śmierci będę ciężko harował i życie narażał, zaś baron Abel Lazare, właściciel kopalni zawsze pozostanie królem-trutniem. Pogodziłem się z tym wreszcie...

--- Ja chyba wcześniej od ciebie --- dorzucił Bartek.

--- Tak, Bartku... Pogodziłem się z losem, powiedziałem sobie: *trudno, tak widać musi być...* aż nagle przyszła redukcja. Straciłem pracę, i nie z mojej winy! Obszedłem wszystkie kopalnie. Na nic. Tyle, że zdarłem nowe buty doszczętnie. Z początku dawali zasiłek. Brałem, ale gdy brałem te pieniądze paliła mnie ręka. Brałem je tylko dla matki, która wtedy zaczęła chorować i tyle już prac nie mogła. Ale szukałem pracy i wreszcie ją znalazłem, na swoje nieszczęście. Bo straciłem prawo do zasiłku, a drań kupiec, przyjmując mnie na robotnika, nic nie powiedział, że będę mu potrzebny tylko przez kilka miesięcy... Potem już szło coraz gorzej. Tu i tam złapałem dorywczą robotę, ale coraz cięższą, coraz gorzej płatną. Gdy stanąłem przed dworcem, by coś zarobić odnośzeniem pakunków, zawodowi tragarze sprali mnie do krwi. Wtedy poznałem piekło szpitala... Kiedy stamtąd wyszedłem, nadarzyła się robota u Dardenne'a...

--- I tam żeśmy się poznali.

--- Tak, Bartku, więc na tym kończę. Resztę znasz... A teraz, gadaj: Czy postępowałem uczciwie? Czy byłem łazikiem, specjalistą od brania zasiłków, jak tyłu zawodowych-bezrobotnych? Czy chciałem się wymigać od pracy? Czy wyglądam na takiego?

--- Eee, przecież cię znam nie od dzisiaj!

--- Czy dzisiaj w *Małej Alhambrze* nie błagałem o najcięższą robotę w zamian za żarcie tylko?! Bez pieniężnego wynagrodzenia?!... I co, dostałem robotę?!

Bartek westchnął żałośnie.

--- Nie wzdychaj, a myśl... poradź, co mam robić teraz: Żebrać? Dla matki zniósłbym i to, ale żebrać nam nie wolno... Wydała! Więc mam powoli zdychać z głodu i patrzeć na głodową śmierć mojej matki? No, gadaj!

--- Nie wiem --- brzmiała cicha odpowiedź. --- Nic nie wiem, jestem w takim samym położeniu, może w gorszym... Trza chyba wybrać śmierć... Masz ty w mieszkaniu gaz?

--- Ach, tak! Myślisz, że ja bym był zdolny otworzyć kurek, zamordować starą matkę, a potem siebie?! Nie, bracie! To mnie nie znasz, widać. Ani myślę umierać! Ja chcę żyć! Jestem młody, mam prawo do życia. Mam prawo!

--- Tsss! Nie krzycz, Leon. Masz prawo, tylko nie wrzeszcz, bo ludzie się na nas gapią...

Dotarli już do wylotu rue Vavin, do najruchliwszej części bulwaru Montparnasse, gdzie życie zawsze pulsuje aż do rana. Mimo późnej pory i zimna co najmniej czwarta część stolików na werandach przed kawiarniami była zajęta. Grube maty rozesłane na bardzo szerokich chodnikach chroniły nogi siedzących przed chłodem betonu, szklane ścianki-parawany osłaniały gości przed wiatrem, charakterystyczne piecyki uliczne rozsiewały ciepło dokoła. A powyżej, nad daszkami werand wisiały olbrzymie bilety wizytowe lokali, wabiąc oko swoją barwnością i drażniąc je ostrym światłem neonowym.

--- Ty! Przecież to ten sam szofer!

Bartek spojrział w bok. On poznał samochód po numerze, który zauważył na Polach Elizejskich i zapamiętał sobie. Duża, czarna limuzyna Armanda Lazare'a stała przed *La Coupole*, lecz sobolowego futra Bartek nie dostrzegł na werandzie kawiarni. Nic dziwnego zresztą, gdyż Lazare i Forbanowie przebywali obecnie w podziemiach *Kupoli*, na dancingu. Siedzieli przy narożnym stoliku, mr. Samuel solidnie śpiący, mr. Armand uczciwie znudzony, miss Violet nigdy niesyta wrażeń.

--- A wie pan, baronie, mnie się tutaj najbardziej podoba!

--- Bardzo się cieszę... Czy chce pani zatańczyć?

Zawahała się. Szczerze mówiąc, byłaby wolała pozostać na wygodnej kanapce, ciągnąć przez słomkę cocktail (co prawda nie *Waikiki-chickling!*) i obserwować ciekawe typy na sali. A jednak wstała. Armandowi ani przez myśl nie przeszło, że ma spełnić funkcję narzędzia tortur dla kogoś trzeciego...

--- Z przyjemnością, baronie. Z panem tańczy mi się tak, jak gdybyśmy od lat razem tańczyli --- odparła z czarującym uśmiechem.

Odwzajemnił się podobnym komplementem i zaczęli tańczyć. Lecz jakoś inaczej niż dotychczas. Dotychczas Violet była dla Armanda tylko muzykalną i rutynowaną tancerką, a rekompensatę za typowo dziewczęcą sztywność stanowiła jej bajeczna technika tańca. Aż teraz nagle sztywność zniknęła. Kręgosłup stał się giętki, ręce miękkie, przytulne jak w godzinie pieszczot, kolana zapomniały o dawnej nieśmiałości, główka chyliła się sama ku jego głowie, a piersi, tak przedtem stroniące od męskiego torsu, teraz przywarły doń mocno. Violet zaczęła tańczyć obecnie tak, jak *kobieta, która grzechu pragnie* i słodki grzech miłości zna. Czyli dobrze.

--- Cocktaile! --- sądził Armand. --- Dziewczątka się ululało, aż miło!

--- Baronie?

--- Pani?

--- Czy będę pierwsza, która zrobi wielkie odkrycie? Czy setna?

--- To zależy, jakie odkrycie...

--- Że pan jest bardzo przystojnym mężczyzną. Bardzo!

--- Eee, to już nie jest ululanie! Ona się urznęła! --- pomyślał, co w szatę słów obleczone wypadło: --- Pani jest pierwsza, na to daję słowo honoru... Za to ja będę na pewno tysięcznym z rzędu mężczyzną, który powtórzy, że pani jest najpiękniejszą kobietą na obydwóch półkulach... --- Przyszło mu na myśl od razu, że komplement brzmi bardzo dwuznacznie ze względu na te półkule. --- Na szczęście ona jest pijaniusia, --- pocieszył się.

--- Bardzo pan uprzejmy, baronie... Czy nie uważa pan, że tango tańczy się najwygodniej *cheek to cheek*?

--- Żeby go o tym przekonać, przytuliła bezzwłocznie swój lewy policzek do jego prawego.

Przede wszystkim łypnął okiem w stronę starego Forbana i stwierdził, że mr. Samuel śpi z głową wspartą na dłoni.

--- Oczywiście --- odparł wobec tego, musnął ustami przyjemnie natrętny loczek i przyznał zgodliwie, że tango tańczy się najwygodniej policzek przy policzku.

--- Baronie? Czy mi się zdawało, że pan mnie pocałował?

--- O pani, gentleman na podobne zapytania odpowiada zawsze dyskretnym milczeniem.

--- Bo mnie jeszcze nigdy nikt w życiu nie całował... Ale pan może nie wierzy...

--- Wierzę! Przysięgam! --- Nie mógł się uderzyć w piersi, jakby wypadało przy tak uroczystym zapewnieniu. Obydwie ręce miał zajęte.

--- I dlatego... dlatego chciałabym, baronie...

--- Przysięgam, że pani nie pocałowałem! Daję słowo honoru!

--- Ależ pan mi nie pozwala skończyć... Chciałabym, mówię właśnie, chciałabym, żeby tym pierwszym był tylko ktoś taki jak... pan!

--- Pani, życzenie pięknej kobiety jest dla prawdziwego gentlemana zawsze rozkazem!... w takich

wypadkach.

Okoliczności były nader sprzyjające. Osób siedzących przy stolikach niewiele, światła jeszcze mniej, tylko odległość od mr. Forbana zbyt krępująca. Armand dawno już chciał odpłynąć w przeciwny kąt sali, lecz Violet, jak gdyby się uwzięła, grawitowała stale w tę stronę. Wreszcie odjechali trochę w bok. Mr. Samuel Forban, jeśli nawet nie spał, nie mógł obecnie nic widzieć. Od sali zasłaniała kolumna. Warunki wymarzone. Ach, tylko tutaj jakiś jegomość samotny. Malarz. Zasłonił się blokiem aż po linię oczu, ale patrzył. Patrzył uporczywie! Idiota! Karzeł!

--- Słyszałam --- zaszemrał rozkoszny szept miss Violet --- że w Paryżu ludzie całują się swobodnie w metrze, na ulicach, w dancingu, wszędzie... Tymczasem nie dostrzegam tego nigdzie!

Po tak energicznym upomnieniu, Armand przestał się wahać. Przystanął, silniej zacisnął obręcz prawego ramienia i przechylił głowę, zamierzając złożyć gorący pocałunek na "najbliższym" policzku miss Violet. Aliści w ostatnim momencie dziewczyna, jakby spłoszona tymi przygotowaniami, odwróciła twarz w stronę dansera i usta spadły na usta.

--- Mój dziewiczy pocałunek! --- wyszeptała z czarującym zawstydzeniem i bisowała natychmiast. Drugi pocałunek, już nie dziewiczy, trwał sporą część wieczności. Przerwał go właściwie Armand przestraszony jakimś łoskotem za swoimi plecami. Chciał się odwrócić, lecz Violet nie dopuściła do tego. Paplała coś z oszalamiającą szybkością i omdlewająco spoglądała mu w oczy. Aż nagle wybuchnęła głośnym śmiechem. Był to śmiech szczery, dźwięczny, srebrzysty, ale wibrowała w nim nutka okrucieństwa. Zaspokojonego!

Nareszcie pozwoliła Armandowi odwrócić głowę, z czego skorzystał skwapliwie. Niskiego malarza nie było już przy stoliku. Jego krzesło leżało na podłodze. Zezowaty kelner podnosił je właśnie i z miną zgorzsną patrzył w stronę oszklonych drzwi wiodących na schody.

--- Co mu się dzisiaj stało? --- rzekł prawie głośno.

Argentyńczycy, prawdopodobnie tak samo autentyczni jak Hiszpanie w *Małej Alhambrze* jeszcze grali tango.

--- Tańczmy! --- Armand po miłych faktach dokonanych nabrał zapału do tańca i w ogóle.

--- Ale tylko do naszego stolika... Jestem bardzo zmęczona.

--- Szkoda --- westchnął - musimy jednak objechać salę, trzeba iść z prądem --- targował się.

Zaczęli tańczyć, lecz Armand Lazare rozczarował się szybko. Miss Violet Forban była znów dziewiczo sztywna. Gorzej! Sztywna jak córka pastora z sekty [nonkonformistów](#). Słowem, deska! Poza tym stała się nagle bardzo nierozmowna, chociaż w dziesięć minut później, gdy wracała z toalety, wdała się w ożywioną pogawędkę z inną osobą. Z zezowatym kelnerem! I coś zapisywała w notesiku...

ROZDZIAŁ VI

Bartek Ropa załamał ręce.

--- Bójże się Boga, Leon! A jak cię nakryją? I zamkną na parę lat?

--- To nareszcie będę miał dach nad głową i żer, i jakąś robotę, żeby mi się nie cniło... W więzieniu ludzi nie głodzą.

Bartek aż usta otworzył ze zdumienia.

--- Kubek w kubek to samo gadał mój "bolszewik" --- mruknął. Nie wiedział, co odrzec; zanim doszli do XIII dzielnicy, wyładował doszczętnie arsenał swoich argumentów, lecz żaden z nich nie trafił do przekonania Manettiemu ani w najmniejszej mierze. Młody Włoch nie uznawał kompromisów, nie pozwalał nawet na bardzo delikatny retusz swojej teorii *prawa do życia*. Według niego popełnienie kradzieży w ich warunkach nie było zbrodnią, ale legalnym aktem koniecznej samoobrony wobec społeczeństwa, które z zimnym okrucieństwem skazało ich na głodową śmierć. Jeśli tedy społeczeństwu wolno bezkarnie dybać na życie niewinnych ludzi, to tym bardziej wolno im, wyklętym pariasom, urządzać małe zamachy na cudze prawo własności. Zwłaszcza że nie kieruje nimi chciwość, chęć przywłaszczenia sobie czyichś bogactw, a tylko instynkt samozachowawczy, konieczność zaspokojenia głodu i utrzymania przy życiu staruszki matki, trojga nieletnich dzieci i siebie.

--- Ty niby masz rację --- przyznał Bartek, wysłuchawszy z uwagą długiej **tyrady** wypowiedzianej naiwnymi słowami, za to z najzarliwszą wiarą w słuszność tak pojętej teorii prawa do życia. --- Ty niby masz rację, ale tu coś... nie klapuje!

--- Wszystko jest w porządku, tylko ty nie możesz się jeszcze otrząsnąć ze starych przesądów. Przesądów, które burżuje dla zabezpieczenia swoich bogactw wynaleźli i obwarowali ustawami...

Gdy przechodzili koło szpitala wojskowego *du Val-de-Grace*, Bartek Ropa dla obrony "burżuazyjnych przesądów" musiał dać ognia już z ostatniej swojej baterii:

--- Kradzież to przecież grzech!

Leonardo Manetti parsknął śmiechem. Nie był to jednak szyderczy śmiech, lecz wesoły chichot urwisa.

--- Gdybym ja niejakiemu Bartkowi Ropie świsnął bochenek chleba albo jedyną parę butów, to taka kradzież byłaby grzechem. Nawet ciężkim! Ale jeśli w taki sam sposób urządzę tutejszego kupca, który ma na pewno sto tysięcy w akcjach, a drugie tyle gotówką w banku... to Pan Bóg, myślę sobie... przymruży oko.

--- Nigdy!

--- Może się nawet rozśmieje...

--- Nic bluźnij, heretyku!

--- Nie bluźnię nigdy! Jestem praktykującym katolikiem jako i ty. I mówię jeszcze raz: ON się tylko uśmiechnie... *Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niżli bogaczowi wejść do Królestwa Niebieskiego...* Znasz to? No więc!... Pan Bóg, drogi Bartku, nie lubi bogaczy, czyli, jak się to mówi dzisiaj, burżui, kapitalistów...

--- Ani złodziei! Tym bardziej!

--- A jeśli ktoś kogoś nie lubi --- ciągnął dalej Manetti --- to mimowolnie musi się uśmieć, widząc, jak tamtemu splatano dobrego figla... Dlatego mówię, Pan Bóg się...

--- To niemożliwe! --- jęknął Bartek z rozpaczą. Rozpaczwał, że nie posiada pod ręką jakiegoś miażdżącego argumentu dla wykazania, iż twierdzenie Manettiego jest bluźnierstwem.

--- Dlaczego niemożliwe?

--- Nie wiem. Ale czuję, że niemożliwe. Cóż, ja jestem prostak, lecz spróbuj ty tak z moją Zośką! Już tam ona większym heretykom dała rady... --- Niestety Zosi tutaj nie było, dzięki czemu "heretyk" tryumfował. Gdy się dowlekli do Place d'Italie, Bartek Ropa umilkł, nieprzekonany, ale pobity na głowę.

--- Moglibyśmy coś zgrandzić już dzisiaj!

Bartek drgnął na te słowa. Dziwny ciężar upadł mu na serce. Szybkim spojrzeniem omiótł obydwie strony ulicy i... odetchnął. Wszystkie bramy i sklepy były pozamykane na głucho.

--- Ano, spróbuj --- odparł z satysfakcją --- ciekawym tylko, co narobi większego hałasu: odrywanie żaluzji... zębami, czy tłuczenie wystawowych szyb...

--- Ja nie chcę być włamywaczem! --- zastrzegł się Leonardo Manetti głosem bardzo stanowczym. Po dłuższym milczeniu odezwał się znowu: --- Nie mamy w tym najmniejszej wprawy, więc na pierwszy raz trzeba sobie wybrać coś bardzo łatwego... Trzeba nawalić coś takiemu burżujowi, którego dom i zwyczaje dobrze znamy...

--- Nie znam nikogo takiego --- ucieszył się Bartek.

--- A monsieur Dardenne?

--- Dardenne?!... Przecież on ma tylko węgiel!

--- Znam kramarza, który chętnie wymieni gorsze wiktuały za węgiel, to pierwsze... Po drugie zaś, nam samym przyda się trochę węgla. W mojej norze nie paliło się od czterech dni!

--- U mnie od tygodnia --- westchnął Bartek.

--- Matka chora...

--- Mój Jędrek też mi wciąż słabuje...

--- Herbatę muszę gotować u znajomych rodaków w barakach: nim ją doniosę do naszej ciupy, zimna...

Przydałoby się trochę węgla, co?

--- A-ha, a-ha. --- Bartek potakiwał machinalnie i już stale, chociaż dalszych słów nie słyszał. Pochłonęła go doszczętnie nowa myśl: czad węglowy zabija zupełnie tak samo jak świetlny gaz!!!... Że mu to wcześniej nie przyszło do głowy! Takie proste wyjście z sytuacji. Proste i jedyne!... Wróci do domu objuczony węglem, wślizgnie się do izby cichuteńko, bez wszelkiego hałasu napali w piecu tak, jak się tam chyba nigdy nie paliło, potem, we właściwym momencie, zamknie drzwiczki od pieca, położy się obok Zośki i zaśnie. Na wieki! Wraz z dziećmi, które obudzą się już w niebie, w objęciach matki. I wszyscy czworo: nieboszczka Agnieszka, Zośka, Maciek i Jędrek wymodlą mi przebaczenie tej zbrodni. Pan Bóg Miłosierny najlepiej chyba wie, że on nie miał innego wyjścia, że musiał tak zrobić...

--- No, jesteśmy!

Nie tyle słowa Manettiego, co jego mocne szarpnięcie za łokieć, wyrwało Bartka z zadumy. Podniósł głowę. Oslupiał. Więc jednak zdecydował się na kradzież?! I pozwolił się przyprowadzić tutaj?! Nie, to nieprawda! Nie wiedział, że idą pod *Skład środków opałowych* Pawła Dardenne'a. Szedł w zamyśleniu obok Leonarda i zaszedł tutaj bezwiednie. Tak, bezwiednie.

--- Podsadzę cię, a ty mi później z góry podasz rękę. --- Manetti teraz mówił szeptem, oczy mu błyszczały silniej niż zwykle. --- Żeby tylko cholera księżyc nie wylazł zza chmury... No, jazda!

--- Leon!

--- Tchórzysz?!

--- Nnnie... Tylko... tylko nie wiem, jak i co, ani...

--- Rób to, co ja.

--- Dobrze --- wykrztusił, jakby zahipnotyzowany przenikliwym wzrokiem przyjaciela. Także już szeptem odpowiadał, przygarbił się, łypał oczyma na prawo i lewo, snadź konspiracyjna atmosfera udzielała mu się szybko... --- Powiedz mi tylko, gdzie ty chcesz węgiel zwać, tu, na ulicę?

--- Nie. Na tamtą stronę... Zresztą zobaczysz. Wszystko obmyśliłem...

--- Leon?... Dardenne ma psa!

--- Wiem... Ale Bibi jest moim przyjacielem. Nie zrobi nam krzywdy, bądź pewny... No, Bartek, hop na parkan!

--- Boże bądź litościw grzesznej duszy mojej --- westchnął w duchu, przeżegnał się ukradkowo, by Włoch nie dostrzegł, mocniej zacisnął pasek, splunął w dłonie i z pomocą towarzysza wygramolił się dość żwawo na szczyt przeszło dwumetrowego ogrodzenia, które od strony wewnętrznej stanowiło oparcie dla ogromnych zapasów nieporąbanego drewna na opał. Ale zaledwie się wczołgał na wierzchnią warstwę owych okrąglaków, obleciał go strach. I wcale nie zwyczajny strach, lecz taki niesamowity lęk, jaki mieszka zawsze na cmentarzach, w kostnicach, w [prosektoriach](#). Z ciemnego dziedzińca *Składu środków opałowych* wionęła Bartkowi w twarz niewypowiedziana groza przeczuć. Zupełnie jak wówczas, gdy przechodzili obok Pałacu Elizejskiego... W pewnej chwili wydało mu się, że nie wytrzyma dłużej i wrzaśnie na całe gardło albo spadnie na łeb z tych wyżyn. W samą porę Manetti zjawił się przy jego boku i wpół go objął.

--- Zwęszyłeś coś? --- spytał tak cichuteńko, że Bartek raczej się domyślił treści pytania, niżli je dosłyszał.

--- Nnnie... Tylko, Leon... tylko, czy Dardenne śpi, myślisz?

Manetti spojrział w stronę domu mieszkalnego. W żadnym oknie nie było widać światła.

--- Śpi na pewno --- odparł z głębokim przekonaniem. O tej godzinie ludzie mają sen najtwardszy!... Cóżby zresztą robił tak późno? --- dodawał odwagi Bartkowi, ale i sobie także. --- Toć już jest chyba po trzeciej... Ręczę, że śpi...

A jednak Paul Dardenne jeszcze nie spał.

Paul Dardenne przebywał w tej chwili na głębokości ośmiu metrów pod ziemią, w swoim schronie przeciwgazowym!!! Schron ten odegrał później tak wybitną rolę w historii Paryża, albo jego XIII dzielnicy, że należy mu kilka słów poświęcić. I jego twórcy.

Paul Dardenne był klasycznym typem francuskiego ciułacza z gatunku *Auvergnat*. Francuzi sami nie cierpią *Owerniaków*, utożsamiają ich z pojęciem chamstwa i sknerstwa, nietrudno więc wyobrazić sobie, jakim chlebobdawcą był ten arcykutwa dla swoich robotników, przeważnie obcokrajowców, i jakim skąpcem dla swojej żony. Biedna madame Dardenne w pierwszych dziesięciu latach pożycia małżeńskiego starała się, jak mogła, by najszerzej rozgałęzić rogi przyprowadzone mężowi: była to jej jedyna rozrywka, gdyż nawet na bilet do kina nie mogła kilku franków wyżebrać. Lecz później, gdy młodość minęła, Hortensja Dardenne musiała sobie i tej przyjemności odmówić. Pogodziła się ze smętnym losem żony-posługaczki. Przestała się domagać, by mąż przyjął służącą, o co dawniej wojny toczyli. Pozwoliła sobie wyperswadować to również, że wizyty *femme de menage*, która bierze za godzinę cztery franki, a szorowanie podłóg perfidnie przeciąga do trzech godzin... ich rujnują.

--- Nie stać mnie na taki zbytek, --- powtarzał Paul Dardenne, którego majątek już wtedy przedstawiał wartość pięciu milionów franków.

Wszystko było zbytkiem, teatr, kino, nawet wycieczka do Wersalu tramwajem... A rozrywki? Owszem. Muzea. Byle w niedzielę, bo wtedy wstęp bezpłatny.

Jasne jest, że typ taki, jak Paul Dardenne, nie uznawał również książek i odnosił się do nich z pogardą charakteryzującą wszystkich Owerniaków świata. W metrze na widok [midinetek](#), z wypiekami na twarzy czytających jakieś powieści, wybuchał szyderyczym śmiechem. Gdy na zebraniu przedwyborczym jakiś kandydat na deputowanego omawiał reformę podatkową, Paul Dardenne ryknął na całe gardło:

--- Kiedy nareszcie opodatkujecie, jak należy, tych, którzy żerują na ludzkiej głupocie?! Księgarzy?! Wydawców?! Literatów?! [Nieśmiertelnych](#)?! Kiedy nareszcie spalicie te szpargały z Bibliotheque Nationale i piękny gmach przy rue Richelieu zamienicie na jakieś przedsiębiorstwo dochodowe?!

Nie znalazłszy należytego oddźwięku i poklasku u słuchaczy, opuścił salę demonstracyjnie i wraz z żoną zbojkotował wybory... Nie przeczuwał nieborak, że los srodze się zemści i uczyni go niebawem nienasyconym konsumentem książek. Pewnych książek.

Dardenne mieszkał w dzielnicy robotniczej, lecz parcele budowlane skupował najchętniej na drugim końcu miasta, w wytwornej dzielnicy XVII. W związku z tym jeździł tam dość często i pewnego razu zapłacił podatek od nieruchomości. Oczywiście *zdarli go bezwstydnie*, więc zapewne dlatego, zaledwie wsiadł do metra przy placu Pereire, poczuł znajome sobie zaburzenia żołądkowe. Wybuchnęły jednak z tak żywiołową siłą, że omal nie wyskoczył z kolejki już na przystanku Wagram. W ostatniej chwili uświadomił sobie, że za wszystko trzeba płacić. Nawet za to! Tylko w domu można gratis...

--- Muszę wytrzymać! --- powiedział sobie. Był przekonany, że mu się to uda; nie takie trudności przewycięzał w życiu swoją żelazną wolą.

Aliści na przystanku Opéra skapitulował. --- [C'est plus fort, que moi!](#) --- stwierdził ze zgrozą i wyskoczył na peron podziemnego dworca. Znalazł, czego pożył. Nawet w trzech "egzemplarzach", ale wszystkie były zajęte. Może dlatego, że pod Operą krzyżują się właśnie trzy linie metra? --- Zlituj się pan, ja muszę! Wyjdźże! --- W odpowiedzi gniewny pomruk: --- [Ah, non, mon vieux!](#) --- Rokowania ze szczęśliwym okupantem nr 3 także zostały zerwane...

Paul Dardenne opuścił podziemia, przez co bilet stracił ważność, czyli siedemdziesiąt centymów diabli wzięli. Plus koszt pacyfikacji zbuntowanego organizmu.

--- Jestem zrujnowany! --- jęknął spocony businessman i wpadł do najbliższej bramy. --- Grand Hotel! -- - przeczytał z przerażeniem. Byłby się cofnął na pewno, gdyby nie haniebna nielojalność żołądka. --- Franka ze mnie zedra, szkoda się ludzić... Ale ja to odsiedzę!

Lecz nie dlatego zabrał się do czytania. Te ubikacje już mają to do siebie, że czyta się w nich wszystko, nawet ogłoszenia z najstarszych gazet i odpowiedzi redakcji na kretyńskie *listy czytelników*. Jest to swego rodzaju nowoczesne prawo natury, któremu Paul Dardenne uległ tym chętniej, że zamierzał uczciwie odsiedzieć franka i siedemdziesiąt centymów. Słowem, zaczął czytać, a zrzędzeniem losu wpadła mu w ręce nie stara gazeta, ale kilka arkuszy broszuowanego egzemplarza książki.

W godzinę później zapukano do drzwi. Nic. Cisza.

--- A mówiłem panu, powiesił się tam. Zaraz mi podpadło, bo wleciał do westybulu jak bomba... Nnno, ładny kram będzie! Ładna reklama dla naszego hotelu...

--- Zamiast krakać, wywał drzwi co prędzej.

--- To trza zrobić w asyście policji.

Portier zaklął jędrnie i z furią huknął pięścią w drzwi.

--- Co tam za hałasy?! --- oburzył się Paul Dardenne, wyrwany tak brutalnie ze świata okropności, w który go przeniosła lektura owej książki.

--- Pan żyje?!

Wzdrygnął się. To głupie pytanie było dziwnie aktualne w tej chwili, dzięki temu, że Paul wczuł się głęboko w treść swej niesamowitej lektury.

--- Proszę mi nie przeszkadzać! Jeszcze nie skończyłem... Zresztą... czytam.

Czytał w tej niezwykłej czytelni, dopóki nie skończył. Potem wsunął do kieszeni owe kartki i pobiegł do najbliższej księgarni! Tak! Paul Dardenne wszedł do księgarni! Przedłożył swoje kartki i zażądał odnośnej książki!! A zapłacił za nią dwadzieścia pięć franków!!!

Tegoż dnia wieczorem Hortensja Dardenne była niezwykle czuła dla męża. Zmierzyła mu puls i spytała, czy może mu wsunąć pod pachę termometr. To, że Paul czytał książkę, uważała za objaw bardzo poważnej choroby. A choroba czyniła postępy. Zastraszające! Paul czytał bez przerwy w ciągu trzech tygodni, naznosił do domu z górą pięćdziesiąt książek, broszur, tablic, wykresów, aż pewnego dnia oświadczył żonie, że z kolei ona musi to wszystko przestudiować.

--- Wszystko! Daję ci miesiąc czasu... Tylko nie myśl, że mnie potrafisz oszukać!

Hortensja właśnie sądziła, że potrafi. Tyle razy jej się udawało dawniej, gdy była młoda i ponętna. Ale z ciekawości zaczęła przeglądać małą biblioteczkę. Tytuły dzieł brzmiały sensacyjnie i... odstraszały, jak na przykład: *WOJNA CHEMICZNA, OBRONA MIAST, BOMBARDOWANIA PARYŻA W LATACH 1914-1918, GAZY BOJOWE, ROZWÓJ LOTNICTWA W NIEMCZECH I WŁOSZECH, ZAGADKA RENU* i znów *WOJNA CHEMICZNA W PRZYSZŁOŚCI*, itd., itp.

--- Paul chyba dostał bzika --- orzekła zacna pani Hortensja, stwierdziwszy pod światło, że (wytarta gumą) cena jednego z tych dzieł wynosi sześćdziesiąt franków.

W tym samym czasie Paul Dardenne krążył po rozległym dziedzińcu swojego przedsiębiorstwa wzburzony do ostatnich granic. Pienił się i wściekał, że nie przewidział tej fatalnej ewentualności... Żył bardzo higienicznie, nigdy nie chorował, w rodzie Dardenne'ów nikt jeszcze nie umarł przed siedemdziesiątką, on zaś, Paul miał lat czterdzieści dopiero. Nawet wojny się nie obawiał, twierdząc, że potrafi się wykręcić od służby na froncie. Krótko mówiąc, uważał, iż dalsze trzydzieści lat życia ma zagwarantowane równie pewnie jak trwałość swojego majątku ulokowanego przezornie: 1) w przedsiębiorstwie, 2) w nieruchomościach, 3) w akcjach, 4) w gotówce, 5) w biżuterii i złocie..

Aż okazało się teraz, że cała ta chytra kalkulacja jest do niczego, bo w przyszłej wojnie ludność cywilna będzie w równej mierze narażona na najpotworniejsze niebezpieczeństwa, jak wojsko w okopach na froncie.

--- Bujda! --- pomyślał sobie w pierwszej chwili, czyli wówczas, gdy odsiadywał 1,70 fr. w Grand Hotelu. Lecz obecnie, po przestudiowaniu tylu fachowych książek zmienił zdanie. Autorami owych dzieł byli generałowie Niessel, Ashmore, Pagezy, pułkownicy Allehaut, Rornani, Calloti, Vauthier, Popescu, Bloch, Laviano, doktorzy Krohne, Hanslian itd., itd. Czy ludzie tak poważni mogliby kłamać? Czy zechcieliby się narażać na ten zarzut? Czy instytucje państwowe finansowałyby wydawanie książek

zawierających wymysły i fantazje maniaków?

--- Nie! --- odpowiedział sobie sam i... trwożnie zerknął na niebo.

Na szczęście nie było tam złowrogich kiszek [zeppelina](#) ani gigantycznych, dwunastosilnikowych samolotów DOX. Nie było ich dzisiaj i jutro może jeszcze nie będzie, lecz pojutrze?... Wszyscy bez wyjątku fachowcy zgodni są w tym, że wojna przyszłości wybuchnie zupełnie niespodziewanie. Jak grom z jasnego nieba. Ultimatum, zerwanie stosunków dyplomatycznych, odwoływanie ambasadorów i tym podobne formalności są już przeżytkiem! Pewnej nocy paręset samolotów poszybuje w stronę stolicy sąsiedniego państwa i w ciągu dwóch godzin wytruje całą ludność kilkumilionowej metropolii, co nieprzyjacieli, o ile chce, może uważać za wypowiedzenie wojny, na wskroś nowoczesne.

--- Wytruje, jeżeli ludność nie będzie przygotowana do obrony! --- monologował Paul Dardenne, spacerując po swoim dziedzińcu. --- Jeśli jednak wszyscy zaopatrzą się w maski... --- Urwał w pół zdania. Przypomniawszy sobie, że w pobliżu miejsca wybuchu pocisku z fosgenem ani maski nic nie pomogą, bo kondensacja gazu jest zbyt silna... A inne gazy? Zwłaszcza parzące i żrące? A bomby kruszące? Takie, co to żelazobetonowy pancierz grubości trzech metrów przebija "śpiewająco"? Albo "rozkoszne" bombki *Elektron*, które zapalają się przy temperaturze trzech tysięcy stopni i każdy metal stopią jak masło? I których jeden większy samolot może zabrać w podróż ponad dwa tysiące sztuk, czyli teoretycznie może wznieść dwa tysiące pożarów!

--- Do chrzantu z maską! --- krzyknął Paul. --- Tylko żelbetonowe schrony mogą nas zabezpieczyć przed tym potopem barbarzyństwa!

Nazajutrz pomaszzerował do prefektury policji i poprosił o adresy wszystkich paryskich schronów (nie można wiedzieć, w której części miasta to człeka zaskoczy!)... Omal go nie przymknęli z miejsca. Szpieg!... Nie, to raczej wariat. Nieszkodliwy. Po prostu gazomaniak!

Paul zapalał gniewem. Ach, tak?! Dopiero gdy wojna wybuchnie, poda się ludności adresy schronów? A gdzież gwarancja, że schrony w ogóle są?! Bo jemu mocno się zdaje, że władze pomyślą o budowaniu schronów dopiero wówczas, gdy nadgraniczne posterunki podsłuchowe doniosą o zbliżaniu się potężnej floty napowietrznej. Czyli "troszkę" za późno!

--- Gwiżdżę na was! Zdychajcie sobie masowo, ale ja ginąć nie myślę! Będę miał własny schron. Do wyłącznego użytku! Stać mnie na to!

Tegoż dnia Paul Dardenne złożył wizytę architektowi Rivierowi.

--- Chciałbym sobie zbudować kamienicę dwunastopiętrową --- rzekł.

--- Świetna myśl! --- pochwalił go budowniczy. --- Czynszówki obecnie...

--- Tu wcale nie chodzi o dom czynszowy... I na razie zbudowałby mi pan tylko jedno piętro, a pozostałe jedenaście... kiedyś później... Oto pobieżny szkic owej budowli...

Równie dziwaczny domu Rivier dotychczas nie budował jak te parterowe "koszary" Dardenne'a o wymiarach sześćdziesiąt metrów na dwadzieścia. Ale wszystko, fundamenty, mury, ściany, filary tak potężne, by utrzymały ciężar dwunastu pięter, jakie dobuduje się *kiedyś później*. Lecz najbardziej dziwaczne piwnice, w dwóch kondygnacjach, górne wysokości czterech metrów, dolne trzech. A na deser żelazny komin długi na czterdzieści metrów i pomalowany koniecznie na zielono! I dach tego "pałacu" zupełnie płaski, stropy z żelazobetonu półmetrowej grubości, piwnice górnej kondygnacji całkowicie poniżej poziomu ziemi i bez jednego okna!

--- Wariat najwyższej klasy! --- powtarzał Rivier, ilekroć przybył obejrzyć robotę. --- Ale, niech mu będzie, byle płacił... odpowiednio.

A Paul Dardenne płacił bez szemrania, choć architekt doił go bezlitośnie jak... jak architekt. Niemal codziennie wystawiał czek na kilka tysięcy franków, on, który ze skąpstwa opalał w zimie tylko jeden pokój, chociaż posiadał na składzie stale kilkaset ton węgla i piramidy drewna. Pozostał sknerą, jakim był zawsze, lecz na budowę swoich "koszar" nie żałował grosza. Całkowitą rekompensatą za tę przykrość była dzika *idée fixe*, że chociażby wróg wytruł gazami całą ludność Paryża, to jednak jemu nie zrobi żadnej krzywdy. Nie zdoła zrobić! Pięć milionów tu zginie, tylko on, Paul Dardenne, wyjdzie żywy! Jak Noe.

--- Jak drugi Noc wyjdę cało z tego potopu! --- powtarzał z przyjemnością, aż pewnego razu nazwał swój schron *Arką nr 2*.

Lecz *Arka nr 2* jeszcze nie była gotowa, jakkolwiek architekt swoją robotę ukończył. Pozostało płaski dach pokryć darnią (dla zamaskowania "arki"), zaopatrzyć cudaczny komin w filtry i ssący wentylator (dla doprowadzenia do schronu czystego powietrza z wyższych rejonów, słabiej zatrutych cięższymi od powietrza gazami bojowymi), a przede wszystkim uzbroić "arkę" w żelazobetonowy pancierz czterometrowej grubości, by nawet najcięższe bomby kruszące nie zdołały złożyć wizyty Noemu nr 2. Czterometrowej grubości! Właśnie dlatego Dardenne polecił architektowi, by piwnice górnej kondygnacji były wysokie na cztery metry! Teraz należało tylko owe górne piwnice szczelnie wypełnić żelbetonem i pancierz gotowy...

Wszystkie te prace postanowił Paul Dardenne wykonać własnoręcznie, aby się, broń Boże, nikt nie dowiedział, że on buduje schron. Za ledwie ludzie architekta wynieśli się ze swoimi narzędziami, wjechały na dziedziniec ciężarowe samochody z potrzebnym materiałem. Żelazne sztaby legły pod murem "koszar", obok wyrósł wysoki kopiec piasku, tylko worki z cementem Paul kazał znieść od razu do górnych piwnic, by sobie ułatwić robotę. --- By cement od deszczu nie skamieniał w workach --- nazywało się to oficjalnie. Nigdy nie można być dość ostrożnym!

Tegoż dnia Paul rozpoczął pracę, zbudował pierwszą płytę o powierzchni czterech metrów kwadratowych a grubości dziesięciu centymetrów, zużywszy na to osiem godzin. Położył się spać o czwartej nad ranem, spał do południa, po czym zluzował w kantorze żonę, by mogła ugotować obiad, a o ósmej wieczorem już znowu fabrykował cudowną miksturę z cementu, piasku i wody, już znowu sypał ją pomiędzy żelazne pręty i druty, i ubijał. Szybko nabierał wprawy w tej robocie, świeża warstwa narastała na onegdajszy pancierz, aż w końcu dojechał pod sam strop, po czym zaczynała się *da capo* fabrykacja najniższej warstwy, drugiej, dziesiątej itd., pas za pasem, piwnica za piwnicą...

W osiem lat później schron był naprawdę skończony. Osiem lat!!! Trochę długo, zapewne, lecz przecież Noe nr 1, czyli biblijny, budował swoją drewnianą arkę pełne sto lat! Schron był nie tylko należycie zabezpieczony przed bombami najcięższego kalibru, ale i wyekwipowany w filtry, wentylatory, maski gazowe, zbiorniki zgęszczonego tlenu, w kilka kompletów wykrywaczy służących do rozpoznawania gazu użytego przez napastników, w małą aptekę i w olbrzymią spiżarnię. A poza tym w meble. Nie można przecież tygodniami siedzieć w piwnicach pozbawionych tapczanów, krzeseł, foteli i podobnych gratów.

Jeżeli owa "gazomania" wstrząsnęła tak silnie psychiką tego arcykutwy, że z radosnym zapalem inwestował setki tysięcy franków w swoją "arkę", to ostateczne wykończenie schronu i związana z tym świadomość absolutnego bezpieczeństwa na wypadek wojny chemicznej musiały wywołać dalsze skutki tego obłądu. Paul Dardenne nagle zapragnął wojny! On, który dawniej, a także podczas budowy schronu,

był z tchórzostwa pacyfistą, obecnie przeklinał pamięć [Brianda](#), publicznie nazywał go zdrajcą i idiotą, który pozwalał się rekordowo nabijać w butelkę Stresemannowi. Każda wojownicza mowa Mussoliniego, każdy sukces Hitlera, każdy zatarg polsko-niemiecki wprawiał Dardenne'a w szampański humor.

--- Hortense, lada dzień przeprowadzimy się do naszej fortecy, --- mawiał do żony i zabierał ją do bistra na [aperitif](#). Nie protestowała oczywiście, lecz rozrzutność męża wprawiała ją w osłupienie. O, jakże mało go znała! Jeżeli Paul zdecydował się wydać w bistrze sześć franków plus dziesięć procent za obsługę, to musiał mieć w tym jakiś ukryty cel. I miał, i osiągał go zawsze! Zawsze kogoś zdołał przekonać, że sojusz włosko-niemiecki coraz poważniej zagraża ojczyźnie, a im wcześniej wojna wybuchnie, tym lepiej dla Francji. --- Niemcy wydają na zbrojenia rocznie 2.858 milionów marek, my tylko 2.689. A gdzie Włochy?! Każdy rok, miesiąc, ba, dzień każdy zwiększa tę różnicę na naszą niekorzyść! --- perorował, wtrącając często sugestywne dane statystyczne, a do liczb miał pamięć kolosalną.

Niebawem został uznany za największy na całą dzielnicę autorytet w tych sprawach. Bywalczy okolicznych bistr zapytywali go niekiedy, czy Francja jest należycie przygotowana do odparcia ataku wrogich samolotów, czy są w Paryżu te... jakże się to nazywają... aha, schrony!

--- Naturalnie! --- odpowiadał Paul i porozumiewawczo szczypał żonę, która wielokrotnie musiała mu przysiąc na swoje zdrowie, że nigdy przed nikim słowa nie piśnie o "Arce nr 2". --- Naturalnie, że są! Ja sam zwiedzałem jeden z pięćdziesięciu siedmiu schronów naszej dzielnicy. Coś wspaniałego!

--- Co pan mówi! Pięćdziesiąt siedem schronów w naszej dzielnicy?! A gdzie?

Tu Paul Dardenne robił minę tak tajemniczą, że niejeden młody dyplomata pękłby z zazdrości na ćwierci.

--- Nie mogę powiedzieć, jestem związany przysięgą... Dowiedcie się wszystkiego we właściwym czasie. --

- Potem straszyl: --- Inna rzecz, że nic nas nie ocali, jeśli nasi przekłeci [defetyści](#) będą wciąż odwlekali wybuch wojny. Z tej prostej racji, iż szpiedzy zdążą wykryć nasze zakonspirowane schrony i wszystkie wysadzą w powietrze! W chwili pierwszego najazdu wrogich samolotów!

*

Tej samej nocy, której mr. Samuel Forban polecił zwolnić dalszych trzydzieści tysięcy robotników i której Bartek Ropa wraz z Leonardem Manettim zdecydowali się po raz pierwszy w życiu popełnić kradzież... Paul Dardenne, jak zwykle, przebywał w swoim schronie. Od prawie ośmiu lat udawał się na spoczynek o czwartej nad ranem i tak się do tego przyzwyczaił, że ani rusz nie mógł zasnąć wcześniej. Przesiadywał więc w "arce" i czytał. Powieści! Do tego już doszedł! Ale uznawał tylko powieści wojenne, zwłaszcza te, w których autor malował grozę przyszłej wojny. Wojny lotniczej, chemicznej, bakteriologicznej!

Paul niekiedy przerywał lekturę. I marzył. Rozumie się, o napadzie lotniczym na Paryż. Oczyma swojej chorej duszy widywał sceny, o jakich się [Dantemu](#) nie śniło. Hen, w przestworzach walczące eskadry, zeppelinów obskoczonych przez zwinne samoloty myśliwskie, ciężkie Siemensy, Junkersy, Rohrbachy uzbrojone w działa, sieć balonów zaporowych itp., itd... Poniżej łuna płonącego miasta liczącego dziewięćdziesiąt sześć tysięcy budynków. (Ileż domów mógł mieć stary Rzym, którego pożarem tak się

zachwycił Nero?! Partacz!...) Jeszcze niżej morze ognia i dymu. Piramidy gruzu. Tam, gdzie była opera, bezdenny lej. Tam, gdzie stała wieża Eiffla, chaos pogiętych sztab żelaza, a z reszty futurystyczny most na Sekwanie, tuż obok Pont d'Iéna... Poza tym wszędzie bezlik trupów. Całe sterty! Poprzez nie muszą się przedzierać ci, którzy się jeszcze nie usmażyli w ogniu i których nie zżarł, nie zatrzał, nie zadusił... fosgenik, iperycyk, luizycyk i pozostałe trzysta innych, równie pięknych gazików. Niektórzy z tych szczęściarzy uciekli do piwnic, uszczelniają okna, barykadują drzwi... Tacyście mądrzy? Zaraz, zaraz! Jeszcze przyjdą bombeczki podmuchowe, bomby kruszące. Dwa tysiące kilogramów! Najcięższa waga na ringu... Trrrach! I już nie ma w Paryżu ani jednej szyby, ani drzwi, ani słabszych ścian. Gazy mogą się wdrzeć wszędzie!

--- Tylko nie tu! Tu nigdy nie wtargną, nigdy!!! --- Paul Dardenne tarzał się ze śmiechu. To już nie była *gazomania*, ale, jak mawiał architekt Rivier, obłęd najwyższej klasy!... Wyciągnął ramiona, by ogarnąć i przytulić tę podniecającą wizję i... uderzył dłonią w głośnik radia. Radio zainstalował sobie również w swoim podziemnym pałacu. Nie detektor, Boże ucho, bo podczas ataku na miasto stacja nadawcza paryska będzie na pewno milczała. A właśnie wtedy on będzie najbardziej spragniony muzyki. Zatem potężne radio ośmiolampowe... Złapie sobie Madryt lub Budapeszt, zapali cygaro i będzie się czuł świetnie wówczas, gdy pięć milionów Paryżan będzie przeklinało swój dzień urodzenia. Albowiem on był najmądrzejszy, najprzezorniejszy, najbardziej przewidujący! I dlatego on tylko jeden ocaleje!

A Hortense?... --- Zobaczą --- odburknął niechętnie. Niezbyt mu się uśmiechała perspektywa dzielenia z kimś drugim tego potrójnego pierwszeństwa. Zapewne dlatego przypomniał sobie od razu, że Hortensja jest właściwie głupia jak but, nigdy go nie potrafiła należycie cenić, poza tym jest już w łóżku do niczego, roztyła się, rozleniwiła, zestarzała. --- Zresztą w jej rodzinie wszyscy umierają przed pięćdziesiątką. I tak by nie żyła dłużej jak dwanaście lat, a ja mam przed sobą trzydzieści dwa lata życia. Co najmniej!...

Gasząc światło w "arce", Paul Dardenne zastanawiał się... ot, tak dla zabicia czasu... czy, żeniąc się ponownie, wybrałby blondynkę, czy rudą; brunetki w grę już nie wchodziły. Znowu czarną, jak Hortensja? Brrrr. Tylko coś w jaśniejszym deseni... Ach, znaleźć sobie taką tuż przed napadem lotniczym i tutaj ją wprowadzić. Jakżeby była wdzięczna za ocalenie życia! Ręce by mu całowała, te pracowite ręce, które zbudowały nad jej główką pancierz żelbetonowy czterometrowej grubości! A on?...

Paul Dardenne tak się niechętnie podniecił tą myślą, że powróciwszy do mieszkania, obudził żonę... Oczywiście znowu nie obsłużyła go jak należy.

--- Teraz podpisałaś na siebie wyrok śmierci --- mruzczał, wędrując po ciemku do swojej sypialni. --- Teraz! Przedtem chciałem cię ocalić, daję słowo, ale teraz już przepadło! Samaś sobie winna, ty baryło tłuszczu...

Stanął jak wryty.

--- Słyszałaś? --- zapytał syczącym szeptem. --- Znowu!

--- Ach, to?... Bibi często szczeka.

--- Nigdy bez przyczyny! --- Nagle nowa obłąkańcza myśl załopotowała mu w mózgu: --- Szpieg! Szpieg się zakrada! Wyśledził mój schron i zamierza go zniszczyć! --- Szybko ubrał się w płaszcz, do kieszeni wsunął rewolwer i, nakazawszy żonie milczenie, wypadł z domu tylnym wejściem.

W dwie minuty później madame Hortense Dardenne posłyszała na dziedzińcu okrzyk przestachu i jęki, i wściekłe ujadanie psa, aż wszystko zagłuszył ryk wściekłości Pawła Dardenne'a. Wołał ją po imieniu. Wyskoczyła z łóżka, narzuciła coś na siebie i przyskoczyła do drzwi. W tym momencie padł strzał, po nim

drugi, trzeci, czwarty... może i piąty? Detonacje następowały tak szybko jedna po drugiej, że właściwie zwały się w jeden przeciągły huk...

A potem nastąpiła cisza śmierci.

ROZDZIAŁ VII

--- Numer siedemnasty gotów, sir. --- Sekretarz oddał kartkę z bloczka.

--- Pisz pan... Wiadomość o pańskiej chorobie szczerze mnie zmartwiła. Życzę rychłego polepszenia i oczekuję pana w Paryżu niebawem, Forban.

--- Już, sir... Do kogo?

--- Baron Abel Lazare, Juan-les Pins... Gotów? Następna depesza...

Bloczek stracił dalszą kartkę, po czym mr. Samuel zaczął dyktować koncept dziewiętnastego telegramu (listów w ogóle nie uznawał).

--- Mój drogi! Jak radziłeś, depeszowałem do niego, że czekam w Paryżu. Nie powinien więc zmykać dalej na południe. Wyjeżdżam dzisiaj, lecz nic nie wskóram bez ciebie. Przyjedź najpóźniej pojutrze. Zajadę do Provençal, Twój Sam... Już!

--- Adresat?

--- Roger von Elden, Frankfurt nad Menem. Jeszcze jedna depesza.

--- Słucham, sir.

--- Natychmiast wyjść w morze, pełną parą płynąć do Nicei. Przyjazd awizować dzień naprzód, hotel Provençal, Juan-les-Pins... Nabrof.

Tym razem sekretarz już nie pytał o adresata. Depesze z podpisem *Nabrof* (odwrócone *Forban*) wysyłało się do Allana Bugsa, kapitana jachtu *POWER*.

Podyktowawszy najpilniejsze telegramy, mr. Samuel zabrał się do telefonów. Pierwszym poczęstował córkę, która jeszcze spała w tej chwili.

--- Bardzo cię przepraszam --- usprawiedliwiał się --- lecz wyjeżdżam dziś stąd na tydzień lub dłużej... Co ty zamierzasz z sobą zrobić?

--- Zostać w Paaaa-ryżu --- ziewnęła rozkosznie miss Violet i uśmiechnęła się do jakiejś szelmowskiej myśli.

--- Doskonale, lecz w takim razie musisz się postarać o przyzwoitkę.

--- Betty nie wystarczy?

--- Pokojówka?! Nonsens. Dziewczyna z twojej sfery musi się liczyć z opinią publiczną... Zwłaszcza tu, gdzie mieszka twój przyszły, spodziewam się, narzeczony, i cała jego rodzina...

Stanęło na tym, że Violet dowie się w ambasadzie lub od kogoś z kolonii amerykańskiej, czy ciotka Dorota jeszcze mieszka w Paryżu, a jeśli tak, to zaprosi się do niej. Miss Dorothy Corgrave była rodzoną siostrą jej matki zmarłej rok temu. Mr. Samuel nie utrzymywał nigdy stosunków z rodziną żony, nie wiedział więc na pewno, czy szwagierka przebywa dotychczas w swoim ukochanym Paryżu. Natomiast wiedział z całą pewnością, że nie znalazłby bardziej czcigodnego cerbera niż miss Dorothy Corgrave.

--- Violet jeszcze nie zna tej baby... Już tam ona potrafi mojej małej uprzykrzyć pobyt nad Sekwaną! --- myślał z satysfakcją.

Ze szczerą satysfakcją! Bowiem głównym rysem charakteru mr. Samuela było okrucieństwo. Żaden z jego urzędników czy ze służących nie otrzymał nigdy nadzwyczajnego urlopu, choćby jednodniowego, jeżeli swoją prośbę motywował tym, że chce odwiedzić umierającą matkę albo być obecnym na ślubie brata, siostry, itp. W podobnych sytuacjach należało mr. Samuela poczęstować zupełnie błahym pretekstem; to

znacznie prędzej do celu prowadziło.

Oczywiście stosunek do jedynej córki musiał być inny niż do ludzi obcych, zwłaszcza do zależnych i pokornych. Wówczas wrodzone okrucieństwo topniało w płomieniach rodzicielskiej miłości albo miało topnieć; tego on sam pragnął. A jednak małe szpileczki złościwości przenikały przez owe płomienie i kłuły Violet przy każdej nadarzonej sposobności. Dlaczego? Zapewne dlatego, że mr. Samuel w ogóle nie potrafił się zdobyć na gorętsze uczucia. Tego zdania była przynajmniej jego przyjaciółka, Marion Wood, wynalazczyni cocktailu *Waikiki-chickling*. --- Twoje pożądanie i twoje ekstazy mają temperaturę zaledwie letniej wody --- oświadczyła mu cierpko w przeddzień jego odjazdu do Europy...

--- Dorothy to potrafi --- cieszył się mr. Samuel --- a mojej Violet parę tygodni w kagańcu dobrze zrobi...
Co tam nowego?

W drzwiach stał sekretarz z plikiem gazet w rękach.

--- Prasa, sir.

--- Depesze pan wysłał?

--- Nnnnie, sir --- jęknął zapracowany człowieczek --- zacząłem je przepisywać na maszynie, ale przypomniałem sobie zaraz, że nie robiliśmy jeszcze przeglądu prasy.

--- Sam go zrobię, a pan wróci natychmiast do telegramów...

Mr. Forban zważył w dłoniach przyniesione czasopisma. Z porannych dzienników paryskich były tu wszystkie od *L'Action Française* do komunistycznej *L'Humanite* włącznie. Naliczył ich czternaście. Zadumał się.

--- Roger ma słuszość --- mruknął po chwili. --- Tylko połowę prasy musimy wziąć na swój żołądek. Najwyżej połowę!... Reszta gratis na nasz młyn wodę obraca. Zawsze!

Uśmiechnął się błogo. Na bloczku napisał ołówkiem: *Z66, pilne!* Potem przeniósł stertę gazet z kolan na biurko, odsunął na bok *L'Oeuvre*, *Le Populaire* i kilka innych, których polityczne oblicze znał dobrze. Bardziej go interesował w tej chwili *L'Ami du Peuple* zmieniający tak łatwo chorągiewkę. *L'Ami* odziedziczył tę cechę niewątpliwie po swoim założycielu; senator Coty, kiedy jeszcze "robił" w perfumach, także zmieniał często "swój" najmodniejszy zapach.

Nie zdziwił się więc mr. Samuel Forban, gdy na honorowym miejscu ujrzał taki nagłówek, wydrukowany ogromnymi czcionkami:

KIEDYŻ NARESZCIE UWOLNI SIĘ FRANCJĘ OD PLAGI CUDZOZIEMSKICH ROBOTNIKÓW?!

Zaraz poniżej widniał harmonizujący z nagłówkiem podtytuł:

BESTIALSKA ZBRODNIA BANDYTÓW POLSKICH

Potem tekst:

Dzisiaj około godziny 3-ej nad ranem wtargnęło do "Składu środków opałowych" Pawła Dardenne'a przy ulicy...

Mr. Samuel Forban odwrócił stronicę; kronika kryminalna w Europie nie interesowała go wcale.

Za to z ogromnym zainteresowaniem czytał tę samą notatkę chemik Mikołaj Gaharin. Żona, odprowadzająca go na dworzec, zrobiła mu nawet wymówkę.

--- Czy w pociągu nie będziesz miał dość czasu na gazety? Ostatnie minuty mógłbyś mnie poświęcić.

--- Masz rację, kochanie; masz rację --- przyznał, położył sobie gazetę na kolanach i... czytał dalej, ale bardzo dyskretnie. --- Słucham cię, Jadziu.

--- Chciałam... chciałam się najpierw zapytać, czy będziesz w Berlinie.

--- W Berlinie? Chyba nie. A dlaczego?

--- Bo skoro już jedziesz do Frankfurtu... to myślałam, iż...

--- Do Frankfurtu nad Menem! Nie nad Odrą! Gdzie tam jeszcze Berlin.

--- Zatem nie będziesz w Berlinie.

Zastanowiło go to badanie.

--- O co ci właściwie chodzi, Jadziuniu?

--- O to --- westchnęła --- że w Berlinie mieszka obecnie... Wanda.

--- Taaak? --- zdziwił się, lecz natychmiast zmarszczył brwi. --- Po co mi to mówisz. Mnie ona już nic a nic nie obchodzi! --- rzekł szorstko.

--- Nie wierzę... Ty ją przecież kochałeś bardziej niż...

--- Lecz po tym co zaszło --- wtrącił gwałtownie --- straciłem dla niej serce. Nie chcę jej znać!

--- Nie wierzę, Nika... Spójrz mi prosto w oczy.

Spojrzał i spuścił wzrok. Potem głowę zwiesił nisko, dzięki czemu mógł znów wygodniej czytać gazetę leżącą na kolanach.

--- Zdumiewające podobieństwo! --- krzyknął. --- Ależ to on!

--- Jaki *on*?

--- O, proszę! Mieszkał przy naszej ulicy pod dwudziestym siódmym... On!

--- Pod dwudziestym siódmym, to obok nas... W tych chlewach dla ludzi... Ale o kim mówisz? --- spytała niechętnie, gdyż pragnęła skierować rozmowę na Wandę.

--- O robotniku, co tam mieszkał z trojgiem dzieci. Spotykaliśmy go często przed domem... Wiesz, ten z taką uduchowioną twarzą.

--- Ach ten. Nazwałam go raz, pamiętam, apostołem... Lecz mamy ważniejsze sprawy...

--- Ładny apostoł! --- wtrącił Gaharin żywo; koniecznie chciał uniknąć dalszej rozmowy o Wandzie. --- Zamordował człowieka!

--- On?! Niemożliwe! Kogo?

--- Jakiegoś Pawła Dardenne'a, właściciela składu węgla.

--- Dardenne?! Co ty mówisz! Znałam go! Kupowałam u niego węgiel... I ten robotnik miał go zabić! Nie do wiary! Pozwól...

Gaharin chętnie oddał gazetę żonie, był zadowolony, że zdołał odwrócić jej uwagę od niepożądanego

tematu rozmowy. Spojrzał w okno. Na ścianie podziemnego dworca powtarzała się jego nazwa: *Etienne Marcel*, więc jeszcze cztery przystanki dzieliły ich od Gare de l'Est, skąd miał odjechać. Cztery przystanki, czyli prawie sześć minut.

--- Przeczytaj sobie od początku --- rzekł wobec tego.

Lecz Jadwiga przede wszystkim zaczęła oglądać reprodukcje fotografii obydwóch morderców.

--- Tak. To jest ten robotnik --- stwierdziła bez wahania --- ten mój *apostoł*... I kto by pomyślał!

Wyglądał mi zawsze na takiego, co to ani muchy nie skrzywdzi... A tymczasem...

Więcej było takich, co Bartka Ropę poznali już z fotografii; w ich liczbie znalazł się też właściciel *Małej Alhambry*. Gaspard Duvet tryumfował!

--- A co, nie mówiłem?! Ładnych pracowników chciał mi pan wkręcić, panie Kallinos. Bandytów!

--- Panie Duvet, przysięgam... ani mi przez myśl... sądziłem, że to...

--- Ani słowa! Wiem, co mówię! Notorycznych bandytów! Byliby zamordowali mnie, całą moją rodzinę, cały personel, wszystkich!

--- Żony tego Dardenne'a jakoś nie zamordowali --- odburknął Hieronim Kallinos, zirytowany ciągłym dogadywaniem Duveta i jego manią prześladowczą.

--- Bo nie zdążyli! Ale chcieli! Chcieli ją zgwałcić i powiesić, ukamienować, zarębać! Tylko chytry wybieg ocalił tę dzielną kobietę...

--- O tym jeszcze nie słyszałem --- wybąkał Hieronim, wstrząśnięty do głębi tymi nowinami. --- Czy w wieczornych pismach są bliższe szczegóły?

--- A są, są! --- Gaspard Duvet wyjął z jednej kieszeni płaszcz *Paris Soir*, z drugiej wytrząsnął *L'Intransigeant*. --- Czytaj pan. Dowie się pan pięknych rzeczy o swoim szwagierku, którego mi pan tu chciał narzucić!

--- Ropa nie jest moim szwagrem, tylko mego brata; mówiłem już panu.

--- Wszystko jedno. Tak czy owak, najbliższa rodzina. Miła rodzinka! Nnno, ale Gaspard Duvet nie był głupi i nie dał się wciągnąć w zasadzkę!

Hieronim wzniosł oczy ku pajęczynom sufitu na znak, że cierpi niewinnie. Stamtąd spadł wzrokiem gdzieś w środek reporterskiego tasiemca i od tego miejsca jął czytać *wstrząsającą opowieść nieutulonej w żalu wdowy*:

...lecz w tej chwili księżyc przedarł chmurę i w jego świetle poznałam obydwóch zbrodniarzy. Poznałam ich, bo do niedawna byli naszymi robotnikami. I tak się odwdzięczyli mojemu nieodżałowanemu małżonkowi za to, że ich przygarnął w jesieni, że im dawał pracę i dobry zarobek przez kilka miesięcy...

Stwierdziwszy, że mąż już nie żyje, powstałam z klęczek i zauważyłam nagle, iż mordercy porozumiewają się wzrokiem nad moją głową. Strach przygwoździł mnie do miejsca. Dopiero gdy ów Polak rzucił się na mnie, odzyskałam przytomność umysłu. Odepchnąwszy zwyrodnialca, pobiegłam do domu, zatrzasnęłam drzwi, po czym zaczęłam je podpierać meblami, jakie mi się nawinęły pod rękę...

Nagle... pukanie! Potem drugie, silniejsze. Dobijali się. Chcieli mnie zgładzić, wszak byłam

jedynym świadkiem ich zbrodni... Drzwi zadygotały. Moje położenie było wręcz straszne; sama w domu, na takim odludziu, żadnej broni pod ręką; słowem sytuacja bez wyjścia. Gdyby choć telefon! Ale telefonu mąż nigdy nie chciał założyć, bo to duży wydatek podobno...

Zaledwie pomyślałam o tym, że telefon mógłby mnie być ocalić, gdy przyszedł mi do głowy chytry plan. Zaczęłam symulować rozmowę telefoniczną z komisariatem policji. Krzyczałam na całe gardło: --- Hallo! Morderstwo, panie komisarzu! Zastrzelono mojego męża! Bandyci wylamują drzwi od mej sypialni. Chcą mnie zabić, bo ich poznałam. To nasi dawni robotnicy. Prędko na pomoc! Co? Za minutę tu będziecie?

Urwałam. Posłyszałam tętent szybkich kroków. Odetchnęłam z ogromną ulgą. Uciekali! Uwierzyli, że ja telefonuję z komisarzem policji; nie wiedzieli przecież o tym, że u nas w domu nie ma telefonu... Nadśluchiwali snadź pod drzwiami, przerazili się i uciekli. Podstęp się udał... Byłam ocalona...

--- Skończył pan?

--- Prawie tak, panie Duvet.

--- Ale pan nie czytał od początku!

--- Tamto już znam z pism porannych i z *Paris Midi*.

--- Po południu zaszło coś nowego!

--- O, Boże! Cóż się znowu stało?

--- Aresztowano syna Ropy, który, jak się okazuje, jest takim samym bandytą jak jego papa. Napadł na policjanta, słyszy pan?! Policjanta! Pan nie wiedział? To dziwne. Bo aresztowano tego draba w mieszkaniu pańskiego braciszka! Tylko patrzeć, a pan Hieronim Kallinos także się znajdzie w kronice kryminalnej!

Pogiębiwszy Hieronima, Gaspard Duvet wpadł na salę rozpromieniony, uśmiechnięty, zwycięski. Tryumfował na całej linii. --- Ja jeden poznałem się na nich! Tylko mnie nie wprowadziła w błąd ich pokora, ich wygląd budzący litość... u głupców w rodzaju mego Kallinosa... Ja mam wspaniały instynkt!

Wspaniały instynkt nie uchronił go jednak przed niepotrzebnymi inwestycjami, jakie wczoraj uczynił. To wspomnienie zatruło humor Gaspardowi. Pełen wyrzutu wzrok skierował na *stolik miliarderów*. Jakże błogie nadzieje promieniowały z niego osiemnaście godzin temu! Wówczas gdy siedzieli tam baron Lazare junior i mr. Samuel Forban z córką. Z tą nieznośną kapryśnicą! --- *Waikiki-chickling!* --- Gaspard zgrzytnął zębami. --- Teraz go pije u któregoś z moich konkurentów!

Mylił się. Miss Violet Forban piła w tej chwili tylko *Vichy*, gdyż miss Dorothy Corgrave w inspektach swoich cnót hodowała najtroskliwiej kaktusy *eleuterii*. Violet wynudziła się setnie już podczas tego pierwszego obiadu u ciotki, toteż wróciła co prędzej do swojego pokoju, wymawiając się bólem głowy. Po chwili weszła tam Betty, która jeszcze nie ukończyła rozpakowywania kufrów przywiezionych od Ritza. Betty miała minę gorzko kwaśną.

--- Ani mi stołowego wina nie dali do obiadu --- uzaliła się.

--- Mnie również, Betty.

--- Kucharka twierdzi, że w całym domu nie ma kropli alkoholu! Ani papierosa! Nawet szofer musiał zrezygnować z palenia, bo miss Corgrave zagroziła mu wydaleniem, jeżeli nie zarzuci *obmierzłego nałogu*...

To klasztor, panienko; klasztor! Okropnieśmy wsiąkły, panienko --- westchnęła.

Violet poklepała ją po karku niemal tak czule jak swojego wierzchowca, który musiał pozostać po tamtej stronie Atlantyku, bo papa Forban nie chciał go zabrać na jacht.

--- Nic się nie trap, Betty --- odparła z uśmiechem --- to właśnie może mieć największy urok.

--- To, że panienka dostała się do takiego klasztoru?!

--- To, że mieszkając pod tak bogobojnym dachem... --- obejrzała się w stronę drzwi i, na wszelki wypadek, resztę powiedziała tamtej na ucho.

--- Tak, jak w Miami! --- Betty rozpromieniła się momentalnie.

--- Tak, tak, głuptasku... A teraz usiądź pod lampą i czytaj mi.

--- Książkę?

--- Najpierw gazetę.

Miss Corgrave nie trzymała dzienników francuskich, tylko paryskie wydanie *N. Y. Timesa*; dzięki temu Betty mogła i w Paryżu sprostać nadprogramowym obowiązkom lektorki. Procedura w tym względzie była ustalona od dawna: Betty przebiegała wzrokiem nagłówki artykułów, wybierała wiadomości najbardziej sensacyjne, czytała je po cichu, referowała treściwie, po czym miss Violet orzekała: --- Nudne. To mnie nie bawi. --- albo: --- O, widzisz! To mi przeczytaj! --- Wybitny przy tym wpływ na wybór lektury miała opinia Betty, która jakimś pogardliwym komentarzem mogła z miejsca daną notatkę utracić lub, przeciwnie, zrobić ją największym przebojem, wydawszy kilka elektryzujących okrzyków... Tak było i tym razem.

--- Ech, znowu morderstwo... Jakiś Polak zastrzelił bogatego węglarza, a potem chciał jego żonę...

--- O! --- wtrąciła Violet z ożywieniem. --- Dramat miłosny!

--- Żeby to, panienko. Gdzie tam. Ordynarny napad rabunkowy.

--- Okropne! --- Miss Forban się wzdrygnęła. --- Rabunek! Rozumiem i usprawiedliwiam morderstwo z chęci odwetu za wielką krzywdę czy z zazdrości, w ogóle z każdego powodu, prócz tego jednego... Żeby człowiek zabijał człowieka dla przywłaszczenia sobie pieniędzy, które może w sposób uczciwy zarobić tak łatwo?! Ohyda!

--- Łatwo jak łatwo, panienko.

--- Bardzo łatwo! Papa stale powtarza, że pieniądze leżą wszędzie na ziemi i wystarczy się po nie schylić... No, a mój ojciec chyba się na tym zna najlepiej, skoro sam podniósł z ziemi z górą sześćset milionów dolarów!

--- Ale przedtem odziedziczył po swoim ojcu cztery razy tyle.

--- Cóż to ma do rzeczy?

--- Ma, panienko, ma bardzo wiele! Bo na to, żeby dojrzeć te, jak panienka mówi, pieniądze leżące na ziemi, trzeba już być milionerem. Biedak ich nie dostrzeże, to wiem po swojej rodzinie.

--- Ja znów wiem coś innego po swojej. Mój pradziadek posiadał całego majątku sto dolarów, gdy z Austrii przybył do New Yorku. A kiedy w dwadzieścia sześć lat później umierał, pozostawił mojemu dziadkowi prawie dwa miliony. I cóż ty na to, głuptasku?

Betty rozłożyła ręce bezradnie; wiedząc z góry, że każda polemika musi się skończyć zwycięstwem panienki, pochyliła się znowu nad gazetą.

--- Odpowiedz, Betty, nie czytaj teraz.

--- Nie czytam, panienko. Patrzę tylko na fotografię morderców.

--- Wyobrażam sobie ich bestialskie gęby... Niskie czoła, szerokie i płaskie nosy, wystające kości policzkowe, potężne szczęki, wylupiające oczy i...

--- Nic podobnego! Jeden z nich, nazwiskiem Leonardo Manetti, jest nawet bardzo przystojny!

--- Pozornie, pozornie. Wpatrz się dokładniej, a na pewno zauważysz coś odrażającego. Każdy **lombrozowski typ** posiada takie piętno...

--- Jaki typ? Lombr... co to jest, panienko?

Miss Violet Forban także nie bardzo wiedziała, co to jest.

--- I tak byś nie zrozumiała --- odparła. --- A drugi?

--- Drugi morderca, Polak, wygląda... bo ja wiem, jak jakiś święty na obrazku. --- Betty podeszła z gazetą do Violet. --- Proszę tylko spojrzeć.

Miss Forban aż usiadła na tapczanie ze zdziwienia:

--- Ależ ten człowiek jest łudząco podobny do szwajcara z *Małej Alhambry!*... --- zawołała. --- Proszę wejść --- rzuciła w stronę drzwi, posłyszawszy delikatne pukanie. Porozumiewawczo trąciła Betty w łokieć, bowiem na progu stanęła miss Dorothy Corgrave w swoim buduarowym rynsztunku: (papiloty, filcowe pantofle, szlafrok do kostek). --- O! Cioteczka już idzie spać?

--- Naturalnie! Przecież jest dziesiąta! --- zaskrzeczała bogobojna dama. --- Zawsze chodzimy spać o tej porze....

--- Dobrze wiedzieć --- mruknęła Betty pod nosem. Łypnęła okiem na panienkę, lecz miss Forban już studiowała **bedeker**.

--- Zastanawiamy się, cioteczko, od czego rozpocząć zwiedzanie Paryża.

--- Po pierwsze, kościoły, droga Violet... Po drugie, muzea i wystawy.

--- Otóż właśnie... Paryż posiada, słyszałam, rzeczy, jakich nigdzie spotkać nie można.

--- O, tak --- ziewnęła miss Corgrave.

--- Na przykład sławne na cały świat... pasy cnoty...

--- Jakie pasy? Pierwsze słyszę...

--- Niemożliwe! Mieszkając tyle lat w Paryżu, ciocia nie...

--- Violet! --- przerwała miss Corgrave z godnością. --- Nigdy jeszcze moich ust nie skalało kłamstwo!

Jeśli więc powiedziałam *pierwsze słyszę*, to...

--- Wierzę, ciociu i przepraszam za mój okrzyk zdziwienia.

--- I cóż to są za pasy? Jakiś nowy wynalazek?

--- Niezupełnie nowy... Już w średniowieczu rycerze udający się na wyprawy krzyżowe...

--- O, to bardzo interesujące! Owe pasy były, domyślam się, honorową odznaką tych bohaterów, czy tak?

--- Niezupełnie, ciociu... Otóż owi rycerze, powróciwszy do swoich zamków po długich latach nieobecności stwierdzali niezmiernie często, że ich... ich małżonki nie dochowywały im wierności.

--- Och! --- Miss Corgrave pisnęła cieniuteńko i dłońmi zakryła sobie twarz. --- Betty, proszę wyjść z pokoju...

--- Wobec tego --- ciągnęła dalej Violet, żegnając wychodzącą Betty urwisowskim spojrzeniem --- pragnąc się na przyszłość zabezpieczyć przed podobnymi niespodziankami, siaki taki mąż sprawiał swojej żonie coś w rodzaju króciuteńkich majteczek.

--- Och!... Nie używaj, błagam cię, tak nieprzyzwoitych wyrazów!

--- Ale te majtecz... o, przepraszam... były zrobione ze skóry i z żelaznej obręczy zamykanej na klucz... To są właśnie owe pasy cnoty, ciociu.

Dużo minut upłynęło, zanim miss Corgrave oderwała dłonie od pałającej twarzy i przytuliła je do biustu rozfalowanego jak Kanał La Manche zimą.

--- Skąd ty to wiesz, dziewczyno?!

--- Ze szkoły --- zełgała Violet gładko i z wdziękiem.

--- Straszne! Tego dziś uczą! Niewinnym dziewczątkom mimowolnie każą się zastanawiać nad tym, co było, jeżeli nieuczciwy ślusarz dorobił kilka kluczyków do zameczku! Albo co było, jeżeli rycerz poległ w Ziemi Świętej. Potworne! --- Miss Corgrave właśnie zastanawiała się nad tym problemem. --- Albo jeżeli kluczyk zgubił na polu bitwy. Wstrętne!

--- Ale to naprawdę zabawne, że cioteczka, mieszkając dwanaście lat w Paryżu, nigdy nie poszła do muzeum *Cluny*, by obejrzyć pasy cnoty.

--- Cluny --- powtórzyła miss Corgrave, żeby nie zapomnieć. --- Wybierałam się tam od dawna, lecz obecnie moja noga nie przestąpi progu tego domu rozpusty! Pasy cnoty! Ta plugawa nazwa niech będzie wyklęta w moim domu!

Przez dłuższy czas pastwiła się w ten sposób nad *plugawą nazwą*, aż nagle usiadła na tapczanie i przyciągnęła siostrzenicę ku sobie. --- Spójrz mi prosto w oczy, Violet! Chcę się przekonać, czy demoralizujące wykłady w owej niecnej szkole skalają twoją duszyczkę... Nie! --- stwierdziła z radością. --- Na szczęście, nie! Twoje spojrzenie jest wciąż czyste jak u dziecka... Anielska niewinność wyziera z twoich oczu, niebieskich jak... jak... jak niezapominajki!

Porównanie niezbyt się udało podstarzałej dziewicy. Oczy miss Violet posiadały ciemniejszy odcień, prawie szafirowy. Nieomal taki sam kolor ma snobistyczny *Train-bleu*, który o godzinie dziewiętnastej czterdzieści opuszcza Gare de Lyon i nazajutrz rano pozwala swoim szczęśliwym pasażerom oglądać Lazurowe Wybrzeże.

Tym pociągami wyjechał dzisiaj mr. Samuel Forban, a obecnie tarzał się na dolnym łóżku swojego przedziału sleepingowego, nie mogąc zasnąć. Ani rusz. Było to co najmniej dziwne. Na przestrzeni Paryż--Lyon, czyli w ciągu równych siedmiu godzin jazdy, *Train-bleu* zatrzymuje się tylko raz, w Dijon; nie ma więc, inaczej niż na innych liniach, częstych przystanków i wynikających stąd zwykłych hałasów dworcowych. *Luxe* sunie gładko; długotrwały, jednostajny stukot kół ukołysze do snu każdego... A jednak mr. Samuel nie mógł zmrużyć oka.

Zirytowany przeprowadził się na górne łóżko... Nic nie pomogło. Zapalił więc światło i sięgnął po notes. --- Musiałem widocznie o czymś zapomnieć, i to mnie podświadomie dręczy.

Nie. Nie zapomniał, wszystko załatwił, co miał do załatwienia w Paryżu; dalsze zapiski odnosiły się już do pobytu na Riwierze, a niejako na pograniczu pomiędzy jedną a drugą kolumną figurowała taka notatka:

Zet 66 daje do wyboru: Prusy Wschodnie albo Dalmacja... Moim zdaniem, obie kombinacje równocześnie! Sicher ist sicher.

Mr. Samuel Forban zgasił światło chyba po raz dziesiąty. W kilka minut później powrócił na dolne łóżko, klnąc na czym świat stoi. Zapalił papierosa. Łyknął haust koniaku. Uchylił kwaterę okna. Zamknął ją i przesunął rączkę kaloryfera na *Ciepło*. Potem odemknął wentylację. W przedziale było raz gorąco, raz chłodno, ale rezultat zawsze ten sam: bezsenność.

--- Wszystko bym już ścierpiał, gdybym tylko mógł wiedzieć, dlaczego nie potrafię zasnąć...

Zaledwie wystękał ten monolog, przyszło nań objawienie. Zrozumiał. Zadzwonił z wściekłością raz, drugi, trzeci, dziesiąty. Nie mogąc się doczekać, wypadł w piżamie na korytarz.

--- Naturalnie! --- zagrzmał. --- Teraz wszystko rozumiem.

Konduktor wagonu sypialnego już biegł ku niemu, zapinając po drodze guziki bluzy.

--- Co się stało? --- wołał z daleka zaniepokojony takim alarmem.

--- Zbrodnia! --- odparł zwięźle mr. Samuel Forban.

--- Zbrooodnia?! Gdzie, na Boga?!

--- Tutaj. A zbrodniarz został w Paryżu i nie mogę go ukarać w tej chwili... Dopiero pojutrze go zobaczę.

--- Jaki zbrodniarz? --- Konduktor zajrzał do otwartego przedziału.

--- Mój sekretarz. Ten łotr ośmielił się wziąć dla mnie pierwszy przedział, rozumie pan? Pierwszy! *Coupé* nad osią wagonu! Oka przez to nie zmrużyłem, a jesteśmy już w drodze od trzech godzin prawie. Pan musi mi dać natychmiast przedział w środku wagonu. Ile płacę?

--- Ba, kiedy wszystkie przedziały są zajęte. I wszystkie łóżka! Kto tylko ma pieniądze, jedzie na nicejski karnawał lub do Afryki... Niech pan będzie zadowolony, że pan w ogóle jakiś przedział dostał...

Mr. Forbana ogarnęła czarna rozpacz. Schwycił za ramię konduktora, który już zamierzał odmaszerować.

--- Niechże pan zrozumie --- rzekł z naciskiem, że absolutnie nie można jechać na osi!...

Owszem, można. Tuż pod stopami mr. Samuela i pod podłogą wagonu jechał ktoś na osi, a właściwie na hamulcach. Skurczony leżał w tej niewygodnej kryjówce, oswajając się z myślą, że lada chwila pęd powietrza zdmuchnie go pod koła. I coraz mniej go ta myśl przerażała.

--- Niechta się raz skończy moja poniewierka.

Był głodny, poraniony, przemarznięty do kości. Był poszukiwany przez policję, ścigany i wyklęty ze społeczeństwa; sroga kara czekała tego, który by mu udzielił schronienia. Był zmiażdżony na duchu lawiną tragicznych wydarzeń, lawiną, która przeszła po nim wczoraj i na zawsze odcięła mu drogę powrotu do swoich...

--- O, Chryste, za co ja tak cierpię?!

Maszynista zwiększył chyżość, bo wichur dął coraz mocniej i mógł spowodować kilkuminutowe spóźnienie; a *Train-bleu* według rozkładu jazdy musi stanąć w Dijon o godzinie 23:57.

Rozpędzone koła zaczęły się wzajemnie obrzucać sopłami lodu. Kilka takich pocisków trzasnęło w stalowe dno wagonu, w którym biedny mr. Samuel Forban otrzymał coupé na osi, a zimne okruchy obsypały twarz pasażera na gapę.

--- Co to?!

Przeraził się. Instynkt samozachowawczy kazał mu wczepić zgrabiałe z zimna palce w nieczułe żelaziwo.

--- Ociepliło się, dzięki Bogu --- mruknął po chwili.

Niebawem było mu nawet gorąco, choć niedawno temu szczękał zębami i chociaż zimno stawało się coraz dotkliwsze. A temperatura ciała podnosiła się szybko, aż w końcu pogrzyżyła swoją ofiarę w świat

gorączkowych przywidzeń.

Prawie czterdzieści kilometrów dzieliło *Train-bleu* od dworca w Dijon, kiedy "sąsiad" mr. Samuela Forbana zaczął majaczyć. Tuż obok siebie wyczuł obecność widma, chociaż dojrzeć go nie mógł na razie. Oznajmiło mu się zimnym tchnieniem mar i zwykłą ich mową, której od poświstów wichru nie odróżnisz...

--- Nie ujdiesz! Nie ujdiesz, morderco!

--- O, Jezu! Kto to?! Kto tu jest?!

--- Teraz nie poznajesz, morderco!

--- W imię Ojca i Syna... Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie...

--- Teraz się modlisz, a wczoraj szedłeś mordować!

--- Nie! Nie! Bóg świadkiem! Tylko kraść szliśmy. Tylko kraść!

--- Lecz mnie zabiłeś!

--- Tyś mnie chciał zabić, ty! Rewolwerem prałeś mnie po łbie. Byłbyś mnie był zatłukł na śmierć...

Potem strzelałeś do nas!

--- Strzelałem na postrach!

--- Nieprawda, nieprawda. W moim kapeluszu są dwie dziury po twoich kulach.

--- Lecz ty żyjesz, a ja zginąłem. Z twojej winy!

--- Nie z mojej, przysięgam! Chcieliśmy ci wyrwać broń... Wykręciłem ci rękę i wtedy...

- Zabiłeś!

--- Nie ja! Nie ja! Tyś sam szarpnął cynglem, ty. Myśmy twojej śmierci nie pragnęli, klnę się na zbawienie duszy!

--- Nie trza było iść kraść! Nie byłoby się to zdarzyło...

Pasażer na gapę westchnął żałośnie. Na ostatni zarzut nie miał co odrzec makabrycznemu produktowi swojej wyobraźni i dialogowany monolog urwał się na kilka minut.

Tymczasem pociąg zatoczył łuk. Wicher, dmący dotychczas z boku, uderzył z frontu, zwarł się pierś o pierś z parowozem. Zamilkły na chwilę flety telegraficznych słupów i struny drutów napięte od zimna. Nawet gwiazdy przestały mrugać w oczekiwaniu na wynik tej walki. Lecz walka trwała bardzo krótko, może ułamek sekundy. W pierwszej już rundzie i od pierwszego ciosu zwyciężył żelazny mocarz. Cisnąwszy zwinnego wroga na tor, gnał po jego sflaczałym cielsku w niepowstrzymanym pędzie do wytkniętego celu, którym było wieczne słońce Riwiery. A wicher, tratowany setką kół, wił się pod wagonami i syczał z wściekłości, i szukał słabszego zapaśnika, by na nim pomścić swoją niedawną porażkę. Szukał, aż znalazł. Znalazł wełniany szal okręcony dokoła szyi pasażera na gapę i gwizdnął przeraźliwie z radości...

--- Puść! Duszę się... ooooch!

--- Oko za oko, ząb za ząb, śmierć za śmierć. Wczoraj ty, ja dziś!

--- Tchu!... Słysz, jestem niewinny! Wiesz przecie...

--- Więc czemuś uciekł z Paryża? Czemu się kryjesz pod wagonem?

Zbieg znowu nie wiedział, co odrzec sumieniu. Istotnie, czemu uciekł? Zaraz, zaraz... Zaszło coś takiego, że musieli wybrać ucieczkę. Ale co? Nie mógł sobie przypomnieć na razie. W głowie miał przerażającą pustkę. Zresztą nawet nie próbował skupić myśli i uporządkować wspomnienia. Nierównie ważniejszą i aktualniejszą troską było dlań poskromić szal, który każdej chwili mógł wpaść w piekielny wir najbliższego koła wagonu, a wtedy...

--- Śmierć! --- wzdrygnął się raz, drugi, trzeci; przed chwilą było mu tak gorąco, teraz znowu miał dreszcze. Wydało mu się, że czuje na karku zimny oddech niesamowitego sąsiada, że jego dłonie zaciskają mu na szyi pętlicę szala. --- Poniechaj mnie --- zabelkotał --- jestem niewinny!

--- Jeśli tak, to na najbliższej stacji wyleziesz spod wagonu i oddasz się w ręce policji.

--- Neeee! Boję się!

--- Musisz!

--- Nie! Nie! Nie!

--- Neeee?! Więc...

--- Ooooooch! Tchchuuuu...

--- Więc giń! --- Wiatr pchnął szal w wir kół.

W chwilę później *Train-bleu* zajechał na stację w Dijon. Nikt tu nie wysiadł, a przybyło zaledwie trzech pasażerów. Urzędnika ruchu idącego w towarzystwie kierownika pociągu nagabywano tu i ówdzie z okien wagonów.

--- Czy zdążę do bufetu? Jak długo stoimy tutaj?

--- Siedem minut, panie kapitanie.

--- Ja wysiadam w Avignonie; o której tam będziemy?

--- Punkt szósta, madame.

--- Hellou, master! Czy nie możecie mi dać innego przedziału?

--- Dlaczego, monsieur?

--- Dlatego, że to jest przecież absurd, aby ktoś mógł zasnąć, mając coupé na osi... Mówiłem już konduktorowi, ale on twierdzi uparcie, że wszystkie przedziały zajęte. Tymczasem tu trzy osoby przybyły, widziałem!

--- Mieli zarezerwowane przedziały, monsieur. Może w Lyonie coś się opróżni. W Lyonie będziemy o godzinie drugiej czterdzieści dwie. Za trzy godzinki...

Mr. Samuel Forban z pasją zatrzaskał okno. Nie usłyszał już sykania, jakie zaczęło się rozlegać pod jego wagonem, skoro tylko urzędnicy kolejowi odeszli, ani dość śmiałego nawoływania:

--- Słyszałeś. Musimy wysiąść w Awinionie. O szóstej jeszcze będzie ciemno, później mogliby nas nakryć... Bardzo zmarzłeś?

Nie było odpowiedzi.

--- Bartek? Hej, Bartek! Odezwiży się, przyjacielu!...

Znowu nie było żadnej odpowiedzi. Drugi pasażer na gapę milczał i leżał nieruchomo w swojej kryjówce na przednich hamulcach wagonu.

Pociąg ruszył w dalszą drogę...

ROZDZIAŁ VIII

Hortensja Dardenne była niesłuchanie oszołomiona. Przez piętnaście lat tkwiła w kałuży rozpaczliwie monotonnej wegetacji, aż nagle porwał ją bystry potok wydarzeń i obecnie płynęła przez jakieś nieznane sobie okolice życia, barwne, hałaśliwe i wcale, wcale przyjemne.

Sz szczególnie przyjemne było dla niej czytanie swojego nazwiska na łamach wszystkich gazet. I swoich zeznań, mocno co prawda niezgodnych ze stanem faktycznym, ale jakże za to upiękuszonych przez mistrzów reporterskiego fachu. Po przeczytaniu wszystkich tych wstrząsających opisów zbrodni Hortensja sama w to uwierzyła, że zabójcy Pawła chcieli z kolei i ją zamordować, a ocalała się tylko dzięki swojej przytomności umysłu.

--- Zawsze byłam taka odważna --- powtarzała z głębokim przekonaniem i stopniowo "przypominała" sobie coraz to nowe szczegóły napadu.

Cały szereg dzienników uświetnił te zeznania reprodukcją jej podobizny. Podobizna była ogromnie niepodobna do oryginału, bowiem Hortensja wręczyła reporterom odbitki swojej fotografii sprzed szesnastu lat. Późniejszego zdjęcia nie posiadała, nieodżałowany Pawełek również i fotografowanie się uważał za luksus przekraczający finansowe możliwości takich jak oni biedaków.

--- To ja --- twierdziła z dumą. --- Tak wyglądałam dawniej.

Znajomi potakiwali z grzeczności, chociaż pretensje grubego babska do podobieństwa z fotografią szczupłej dziewczyny były wręcz humorystyczne.

Lecz właściciel hoteliku, w którym Hortensja zamieszkała w kilka godzin po zgonie męża, od razu skierował rozmowę na instytuty piękności.

--- Moja matka jest na pewno starsza od pani, a wygląda dzisiaj na moją młodszą siostrę --- twierdził. --- Tak, droga pani. Granica młodości kobiet przesunęła się pod pięćdziesiątkę! Oczywiście tych kobiet, którym zależy na tym i które o swój wygląd dbają...

Tegoż dnia Hortensja wstąpiła do znanego *Institut de Beaute* przy ulicy Tronchet. Tylko z ciekawości. I tylko dlatego, że wracała tamtędy od swojego adwokata, który miał kancelarię przy rue Castellane.

--- Ewentualnie chciałabym się trochę odmłodzić, czy to możliwe?

--- Oczywiście! Drobnostka i...

--- Ba, ale ja ważę osiemdziesiąt sześć kilo i mam już lat trzydzieści siedem!

Dyrektor instytutu piękności parsknął śmiechem i wskazał klientce hożego podlotka, podskakującego koło kasy sklepowej.

--- Na ile lat pani ją ceni?

--- Szesnaście najwyżej!... Dziewiętnaście --- poprawiła się, a kiedy kasjerka przyzwana przez szefa przybiegła do nich truchcikiem, Hortensja spojrzała uważniej na jej szyję i dorzuciła jeszcze sześć lat. --- Pani na pewno jest młodsza, ale pani wygląda na dwadzieścia pięć...

Okazało się, że należy tę liczbę pomnożyć przez dwa, by ustalić prawdziwy wiek [fertycznej](#) kasjerki, będącej zarazem najlepszą reklamą instytutu. Metryka "podlotka" i fotografie z poszczególnych faz kuracji odmładzającej przekonały Hortensję ostatecznie, za to przeraziły ją koszty kuracji obliczone w przybliżeniu na piętnaście tysięcy franków.

--- Ale będzie pani znowu piękna, ponętna --- zachęcał dyrektor --- oraz o trzydzieści kilo lżejsza.

Hortensja wysnuła stąd logiczny wniosek, że za ubytek każdego kilograma swojej żywej wagi musiałaby zapłacić równe pięćset franków.

--- Na to mnie nie stać --- westchnęła smętnie. Była przekonana, że cały majątek pochłonęła budowa *Arki nr 2*. --- Ten idiotyczny schron!

Tymczasem ów schron, odkryty przypadkowo przez policję, wprawiał w zachwyt fachowców. Któryś z nich wyraził się całkiem poważnie, że nawet Sztab Generalny nie posiada równie solidnego i wykwapowanego we wszystko schronu.

--- Tu się pomieści z siedemset osób!

--- Za dziewięćset ręczę!... A widzieliście obydwaj wyjścia zapasowe?

--- O wszystkim ten człowiek pomyślał!

--- Wentylacja, akumulatory, ba, spiżarnia! Nadzwyczajne!

--- Sklepienie ma wraz z górnym i dolnym stropem pięć metrów grubości. Właśnie wymierzyłem. Pięć metrów betonu!

--- I ten pancierz on własnoręcznie budował. Przez osiem lat!

--- W ciągu ośmiu lat nie spędził ani jednej nocy na rozrywkach, byle zabezpieczyć kilkuset sąsiadów przed strasliwym niebezpieczeństwem... na wypadek wojny.

--- I takiego filantropa, takiego obywatela...

--- Przez duże *O*, panowie... Takiego Obywatela...

--- Takiego patriotę... zamordowano!

Hortensja Dardenne nie wtrącała się do rozmowy. Nie miała nic przeciwko temu, że skrajnego egoistę ubierano w togę szlachetnego altruizmu, a po namyśle wzięła część zasługi na swoje barki; niechże ją znów pięknie opiszą w gazetach...

Lecz długa wizyta w schronie nasunęła jej pewne refleksje. Przez osiem lat Paweł budował swoją "arkę". Więc osiem lat żmudnej pracy włożył w to przedsięwzięcie i co najmniej czterysta tysięcy franków gotówką. Za tę olbrzymią cenę chciał sobie zabezpieczyć życie na wypadek wojny chemicznej. Jak drugi Noe zamyślał wyjść cało z nowego potopu. Całymi godzinami opowiadał jej o zagładzie Paryża i o swojej genialnej przezorności, dzięki której tylko oni oboje ocaleją... Tymczasem? Tymczasem Paweł zginął, a z jego schronu będą korzystać setki ludzi obcych, o ile w ogóle nowa wojna wybuchnie w tym stuleciu.

--- Czyli --- reasumowała Hortensja --- największa zapobiegliwość, chytrość, mądrość, którą się chwalił... nic mu nie pomogły. Nic nie może odmienić tego, co komu jest przeznaczone. Mahometanie mają słuszość.

Nowa adeptka fatalizmu poczuła nagle śmiertelną urazę do męża. Nie mogła mu darować, że tyle pieniędzy skamieniało bezproduktywnie w pancierzach głupiego schronu. Czterysta tysięcy franków! Za to mogłaby mieć dzisiaj fermę i auto. I kurację odmładzającą!

--- Łajdak! Roztrwonił wszystko, w dodatku w tak idiotyczny sposób, a mnie z pewnością pozostawił bez zaopatrzenia.

Zaniepokojona tą myślą, zaraz po pogrzebie udała się ponownie do adwokata, któremu już w dniu śmierci męża zleciła uporządkowanie swoich interesów. Spotkała ją przemiła niespodzianka. Majątek, jaki odziedziczyła, przedstawia wartość mniej więcej sześciu milionów franków.

--- Ile procent można by uzyskać bez większego ryzyka?

--- Sześć, madame.

--- Sześć procent od sześciu milionów, to daje rocznie...

--- Trzysta sześćdziesiąt tysięcy franków! --- westchnął młody adwokat.

--- Czyli trzydzieści tysięcy renty miesięcznej, czyli dziennie tysiąc franków, i to bez nadgryzienia kapitału.

--- Tak jest, madame. Bez naruszenia substancji majątku. Zatem?

--- Zatem wyszuka mi pan kupców na wszystkie obiekty. Chcę spieniężyć wszystko! Mając zapewnione trzydzieści tysięcy miesięcznie, nie myślę się użerać z lokatorami w moich domach, a tym mniej z robotnikami w składzie węgla...

Od adwokata Hortensja udała się do instytutu piękności, by zapłacić wpisowe, a potem tuż nieopodal do *Madeleine*; czuła, że winna się pomodlić za spokój duszy męża. Złorzeczyła dzisiaj jego pamięci, tymczasem on był taki zapobiegliwy, taki przedsiębiorczy, taki oszczędny! Sześć milionów franków! *Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie...* Trzydzieści tysięcy renty miesięcznej! Można żyć po królewsku, ale wpierw kuracja odtłuszczająca... *A światłość wiekuista niechaj mu świeci...* Co też może kosztować samochód?... *Na wieki wieków, amen...* Lato w Bretanii, jesień w Paryżu, zimą do Szwajcarii, ale dokąd na wiosnę?... *Wieczne odpoczywanie mojemu najlepszemu mężowi racz dać, Panie, a światłość...* Bo gdyby nie on, cóż bym dziś miała?...

Każda dewotka wie doskonale, że wśród licznych hufca sług Lucypera są fachowcy, których specjalnością jest kuszenie wiernych właśnie podczas modlitwy. Jeden z takich szatanów musiał snadź zabłąkać się w owej chwili do kościoła *Madeleine*, gdyż nagle Hortensja Dardenne skierowała się ku wyjściu. Była wzburzona. Żałowała, że tutaj w ogóle weszła. Że się modliła za Pawła tak żarliwie! Bo czyż on dla niej zbijał ten majątek? Nie! Ani nawet nie dla siebie! To był tylko jego nałóg, ohydny nałóg, który jej zatruł najpiękniejsze lata życia. Piętnaście lat! Nic by jej z tych pieniędzy nie przyszło, nawet nie wiedziałaby, iż są tak bogaci, gdyby Paweł żył! O, na pewno! Jeżeli dzisiaj może zakosztować błógiego żywota rentierki i milionerki, to jedynie dlatego, że Paweł nie żyje... że go zamordowano! Komu tedy zawdzięcza, iż nareszcie będzie bogata, czyli szczęśliwa? Komu powinna najserdeczniej dziękować? Pawła zabójcom!...

Hortensja Dardenne wzdrygnęła się. Nie przypuszczała, że spokojne, logiczne rozumowanie może doprowadzić do tak horrendalnych wniosków. Lecz Hortensja była na ogół konsekwentna w swoich poczynaniach. Dzięki temu w małym sklepiku przy *rue du Moulin des Pres* zapanowało nazajutrz wielkie zdziwienie, gdy jakiś posłaniec przyniósł paczkę zaadresowaną do *Dzieci biednego grzesznika, Jana Ropy*. W paczce znalazła Zosia sto franków, trochę bielizny i z kilogram słodczy.

--- Od kogo ta przesyłka? --- zagrzemiał Urban Kallinos. Lecz posłańca już nie było. Ulotnił się bez napiwku. To było najbardziej podejrzane ze wszystkiego. Bez napiwku! Pierre, który natychmiast wybiegł na ulicę, ujrzał tylko plecy dziwnie bezinteresownego posłańca, zmykającego żwawo na rowerze.

--- Nie ma się znów czemu tak bardzo dziwić, że wśród tylu nieprzyjaciół znalazła się jedna miłosierna dusza --- sądziła Urbanowa.

Zosia chciała przysłane sto franków oddać wujowi, lecz ofuknął ją i wetknął jej banknot z powrotem do ręki.

--- To jest dla ciebie, dziewczyno. Przyda ci się, przyda.

--- Na cóż ma mi się przydać, skoro dajecie nam wszystko. A my wam...

--- Cicho, Zośka. Nie wolno płakać!

--- ...my wam tylko wstyd przynosimy... i straty.

--- Jakie tam straty. Ubranie, w które się twój ojciec ubrał w ów nieszczęsny wieczór, już i tak było mi za ciasne.

--- Ale straty w interesie! Wczoraj dwie kobiety wykrzykiwały przed sklepem, że nie będą kupowały towaru u szwagra polskiego bandyty.

--- Gwiżdżę na te histeryczki! Mam je gdzieś!

--- A ja wiem gdzie! --- krzyknął Pierre, klaszcząc w dłonie zwycięsko. Pragnął rozśmieszyć Zosię, lecz znów mu się nie powiodło.

--- Ale *à propos polskiego bandyty* --- odezwał się zamyślony Hieronim Kallinos --- agenci stanowczo przeczą, jakoby użyli tego przezwiska.

--- Gorszych używali! --- Zosia podniosła głos. --- Potem jeden z nich szarpnął mnie za ramię, żądał, bym powiedziała, gdzie się ojciec ukrywa. Nazwał przy tym ojczulka tak, że wstydzę się powtórzyć. I wtedy Maciek dłużej nie ścierpiał tego. Trzasnął agenta w twarz z całej siły... dwa razy.

--- Dobrze zrobił --- uważał Urban. --- Chwałę mu to, że się ujął za ojcem.

--- Aha, *dobrze!* Z roczek za to posiedzi za kratkami...

--- Rok?! O, Jezu!

--- Nie, nie, Zosieńko. Stryj Hieronim zawsze tak kracze. Pójdę do pana Barbenoira, mojego dobrodzieja. Już tam on tego dokaże, że Maćka puszcza.

--- Tere-fere. Dużo sobie sąd będzie robił z oficerka.

--- Oficerka?! Pan Barbenoir jest pułkownikiem, Hieronimie!

--- Niech będzie nawet generałem. W wojsku mogą się z nim liczyć, ale w sądzie nie ma nic do gadania. Że też ty, bracie, nic się nie wyznajesz w tych sprawach... Po co ludzi dziewczynę. Maciek musi swoje odsiedzieć, a potem go odstawią *ciupasem* do Polski... Dziw, że tych dwoje jeszcze nie wydalili --- wskazał Zosię i siedzącego na kolanach ciotki Jędrka.

--- I nie wydała ich! --- krzyknął Urban. --- Nie zapominaj, że uzyskałem już obywatelstwo francuskie! Ja te sieroty potrafię obronić!

Zosia pochwyciła jego gestykującą dłoń i przywarła do niej ustami.

--- Ach, ty nieznośna! Cóż to, ja proboszczem jestem?! Ujął w swoje duże łapy twarzyczkę dziewczyny, pocałował ją w czoło i rzekł bardzo uroczyście. --- Nie mamy córki, więc ty będziesz naszą córeczką. Kocham cię, Zosiu tak, jak moje własne dziecko. Jesteś pod moją opieką i biada temu, który by ci chciał wyrządzić jaką krzywdę! --- Takie błyski strzeliły mu z oczu, że nawet rozpieszczony Pierre przestał błaznować i schował się za matkę poważnie zaniepokojony niezwykłym wyglądem ojca. --- Biada temu, przysięgam! --- Niestety, Urban później zapomniał o tej przysiędze...

--- Cicho, nie krzycz. Jędrzek zasnął. --- Urbanowa wyniosła malca do drugiej izby, po czym wróciła na palcach. --- Daj im na kino --- zaproponowała --- niech mają rozrywkę przy świętej niedzieli.

Urban wyjął pugilares, lecz Zosia zaprotestowała gorąco.

--- Mam swoje pieniądze --- potrząsnęła stufrankowym banknotem, przysłanym przez "miłosierną duszę"
--- pozwólcie, że ja raz waszemu Piotrusiowi bilet zafunduję.

--- Bierz, mówię.

--- Nie, nie. Już mi tego nie zrobicie, wuju...

Podczas tego certowania się Pierre przestudiował przedostatnią stronicę tygodnika *Pour Vous*, na której są podane repertuary dwustu paryskich kin.

--- Walimy na rue de la Gaité --- oznajmił wszem wobec --- tam dają byczy film cowboyski.

Przed kinem falował spory ogonek zwolenników filmów cowboyskich, wobec czego dziesięcioletni gentleman sam stanął w ogonku, a Zosia pozostała na chodniku przed gablotką z fotosami. Ogromnie lubiła oglądać fotosy, lecz tym razem ogarnęło ją od razu niewytłumaczone roztargnienie. Nie rozumiała, co dany fotos przedstawia, czy scenę miłosną, czy krajobraz, czy walkę bohaterskiego amanta z *czarnym charakterem*; sylwetki ludzi zlały się z tłem, a cały obrazek wirował zawrotnie i coraz gęstsza mgłą się zasnuwał. Potem ukuło ją coś w głowę. Znowu. Mocniej. Głębiej. Poprzez beret i gęstą grzywę popielatych włosów, skórę i kość potyliczną tajemnicze szpilki przenikały do mózgu. Czuli, że musi się odwrócić natychmiast. Uczyniła to więc energicznym zwrotem na pięcie, bardziej zniecierpliwiona niż zaniepokojona. Spojrzała. Przechodnie kręcili się tam i na powrót, jak to na chodniku. Tylko jeden stał dość blisko i wpatrywał się w nią natrętnie. Garbus. Z tym kalectwem kłóciła się pretensjonalna elegancja nieznanego jegomościa i jego mina świadcząca o pewności siebie graniczącej z dużą zarozumiałością.

--- Bardzo przepraszam --- podszedł bliżej, z gracją uchylił kapelusza --- że zmusiłem panią do odwrócenia głowy...

--- Pan mnie zmusił?! --- prychnęła nań, jak kotka. --- Ciekawam, jak!

--- O, tak! --- Jego czarne oczy uderzyły w nią grotem spojrzeń tak przeszywających, tak dziwnych, że znowu uczuła ów kłujący ból w głowie i jakiś nieznaną jej dotychczas bezwład całego ciała.

--- O, Boże! --- wyszeptwała. --- Niech pan tak nie patrzy.

--- Już nie patrzę. --- Patrzył dalej, lecz jego wzrok nie przerażał jej więcej, jego spojrzenia miały już miękkość aksamitu, a w oczach zgasł płomień i najprzyjaźniejszy uśmiech w nich gościł. --- Proszę mi wybaczyć tę zaczepkę. Jestem artystą, to mnie poniekąd usprawiedliwia.

--- Pan jest artystą filmowym?!

--- Tylko malarzem, ale, pochlebiam sobie, dość znanym...

Jakby na potwierdzenie tych słów z grupki osób stojących nieopodal zaczęły dobiegać coraz głośniejsze strzępy rozmowy:

--- Lolez! Na pewno Lolez!

--- Ten sławny Ruiz Lolez?!

--- Ten, ten. Przecież jest garbaty, nie widzi to pan?

Malarz zgrzytnął zębami, posłyszawszy wzmiankę o swym kalectwie.

--- Wyjaśnię pani w kilkunastu słowach, o co mi chodzi --- rzekł, odwracając się tyłem do obserwujących go ludzi. --- Od kilku tygodni szukam modelu...

--- Czego pan szuka?

--- Cudownie! O takiej marzyłem!... Otóż, miła panienko, szukam twarzy, w której szczerzy smutek łączyłby się z niewinnością dziecka. O smutek nigdy nietrudno, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, lecz owej drugiej cechy upragnionego przeze mnie modelu... na lekarstwo! Pani pierwsza! Daję słowo. Pierwsza! Ja dobrze zapłacę, bardzo dobrze! Proszę się niczego nie lękać, proszę przyjść z matką... Oto mój adres.

Wręczył osłupiałej dziewczynie bilet wizytowy, ukłonił się grzecznie, skinął na taksówkę jadącą w stronę bulwaru Edgar-Quinet i wskoczył do niej w momencie, gdy silnie zaniepokojony Pierre wyrwał się wreszcie z ogonka.

--- Czego chciał od ciebie ten garbus? Nie mogłem wcześniej przybiec ci na pomoc, bo kasjerka już trzymała w garści twoją stufrankówkę. Co on mówił, Zosieńko?

--- Niewiele zrozumiałam. Ale dał mi bilet, może tam coś więcej napisane... *RUIZ LOLEZ, malarz. 87 Boul. Raspail* --- odczytała.

Zazdrosny Pierre skonfiskował wizytówkę bez ceremonii i dalej badał:

--- Przecież musiał ci coś powiedzieć.

--- No mówił, że takiej, jak ja właśnie szukał, że dobrze zapłaci, żebym do niego przyszła zzz...

--- A łotr! świntuch! --- zapiął wzburzony malec i z wspaniałą gestykulacją młodocianego kinomana podarł wizytówkę na ćwierci.

W tej samej chwili tę samą czynność wykonał mr. Samuel Forban o tysiąc kilometrów stąd. Mianowicie podarł na strzępy list, w którym Abel Lazare usprawiedliwiał się, że nie będzie mógł przybyć na umówioną konferencję, bowiem lekarz zabronił mu dzisiaj wychodzić z domu.

--- Czemu ty się wciąż irytujesz?! --- Roger von Elden nie mógł tego zrozumieć; jego niełatwo było wytrącić z równowagi ducha. --- Skoro góra nie chce do Mahometa, to Mahomet złoży wizytę górze, czyli jedźmy do tego Żyda.

--- I narazimy się na to, że nas nie przyjmie.

--- Więc zatelefonujemy najpierw...

W willi Lazare'a odezwała się jego sekretarka, [mademoiselle](#) Fifi Chibois.

--- Z wielkim smutkiem i niepokojem dowiedzieliśmy się przed chwilą o nowej niedyspozycji pana barona. --- Głos Rogera ociekał potokami współczucia. --- W myśl chrześcijańskiej maksymy *chorego nawiedzić*, pragnęlibyśmy przybyć do łóża kochanego naszego przyjac...

--- Niemożliwe! Dzisiaj niemożliwe, panie von Elden. Lekarz zalecił panu baronowi absolutny spokój.

--- Ha, cóż począć. Z rozpaczyny będziemy musieli doskoczyć autem do Monte Carlo... Czy nie zechciałaby nas pani zaszczyścić swoim towarzystwem?

--- Niestety, niemożliwe.

--- Wiedziałem. Chciałem się nawet z panią założyć o dziesięć tysięcy franków, że pani nie pojedzie... Czy chce się pani założyć?

--- Ach tak, łapówka! Pan mnie obraża, panie von Elden...

Samuel Forban pękał ze śmiechu, lecz Roger nie przejął się zbytnio porażką, i bezzwłocznie wezwał "swojego" Japończyka.

--- Dowie się pan natychmiast, kto leczy barona Lazare'a. Tego eskulapa dostarczy mi pan jak najprędzej. Możliwie dzisiaj!... Po drugie, uda się pan do jakiegoś biura prywatnych detektywów. Muszą mi zdobyć dowody, że mademoiselle Fifi Chibois zdradza swojego... szefa. A jeśli go na razie nie zdradza, to przyspieszyć ten proces. Proszę nie zapominać, że ta dziewczyna ma najwyżej osiemnaście lat, a baron minął sześćdziesiątkę. Skończyłem.

Skośnooki sekretarz Rogera von Eldena nie okazał najłżejszego zdziwienia; polecenie w sprawie mademoiselle Chibois było jeszcze bardzo niewinne w porównaniu z innymi *misjami*, niekiedy i z

kodeksem karnym kolidującymi poważnie.

--- Podziwiam, Rogerze twoją niespożytą energię. --- Forban mówił to szczerze. --- Ja już dzisiaj nie mam cierpliwości do takich małych gier, choć zawsze doceniam ich znaczenie.

--- Ja ich również nie lubię, ale cóż robić; gra warta świeczki. Skoro nareszcie przełamiemy opór tego kunktatora

--- Ale czy przełamiemy w tym tygodniu? --- Forban westchnął.

--- Liczę na jego lekarza. Już ja go nastawię jak trzeba!

Roger dokazał tej sztuki. Gdy nazajutrz po południu siedzieli przy łożu "ciężko chorego" barona, lokaj zameldował wizytę lekarza.

--- Niech zaczeka --- polecił Abel Lazare. Ba, ale lekarz nie mógł czekać ani pięciu minut, spieszył się ogromnie do innego pacjenta.

--- Więc niech przyjdzie wieczorem.

To było również niemożliwe. Wieczorem miał jakieś arcyważne posiedzenie ...logów; lokaj nie spamiętał całej nazwy naukowego [ansamblu](#).

--- Ha, wobec tego, moi drodzy, musicie na chwileczkę przejść do drugiego pokoju; moja sekretarka dotrzyma wam towarzystwa, jeśli chcecie.

--- Hola, baronie! Kobieta pan jest, czy jak?! Wstydzisz się pan w naszej obecności?! Che, che, che. --- Roger von Elden zarechotał rubasznym śmiechem, potem klapnął się dłonią w otwarte usta. --- Tsss! Forban zasnął, widzi pan? I miałby pan sumienie przerywać mu tak piękną drzemkę popołudniową? --- Forban rozpostarty w fotelu istotnie "spał"; najlepszy aktor nie miałby tu nic do zarzucenia, tak świetnie zagrał drzemkę...

Lokaj wprowadził lekarza, który już z progu zauważył znaczną poprawę wyglądu dostojnego pacjenta.

Lazare co prędzej zrobił zbolalą minę.

--- Doktorze, czy panu obecność moich przyjaciół nie będzie przeszkadzała w konsultacji? --- spytał, mrugając porozumiewawczo. Ku jego niezadowoleniu lekarzowi niczyja obecność dzisiaj nie przeszkadzała.

--- A, skoro tak... --- zadzwonił na sekretarkę; widok uroczej i sprytnej sojuszniczki dodał mu otuchy. Mademoiselle Fifi Chibois od razu ruszyła w bój:

--- Doktorze, muszę się poskarżyć na tych panów; wciąż kierują rozmowę na tematy tak ciężkostrawne, jak kryzys, bezrobocie, zbrojenia, rewizje traktatów itp. To przecież panu baronowi szkodzi!

--- Szkodzi? Przeciwnie! Rozmowa towarzyska jest tutaj bardzo pożądana! Stanowi zdrową rozrywkę i...

--- Jak to?! Wczoraj pan doktor twierdził, że...

--- Wczoraj stan nerwów pana barona był... lub raczej, wydawał mi się trochę niepokojący. Dlatego wczoraj zalecałem ciszę, wypoczynek... Lecz dzisiaj stwierdzam ze szczerą radością...

--- Jakże się cieszę! Forban, słyszał pan? Ach, on śpi...

Forban zbudził się przezornie, zanim ciężka dłoń olbrzymiego Eldena zdążyła go palnąć w kolano. Na wyścigi zaczęli składać gratulacje rekonwalescentowi, który wzrokiem dokonywał mściwej wiwisekcji na lekarzu. A ów zdrajca głądził tymczasem:

--- I gdyby nawet znowu nastąpiło pogorszenie, to samotność i wypoczynek w tym wypadku tylko mogą zaszkodzić. Ludzi pokroju pana barona, czyli tytanów pracy, zabija najprędzej bakcyl beczynności! Interesy, konferencje, spekulacje giełdowe, olbrzymie transakcje, praca od świtu do późnej nocy... oto

najwłaściwsza kuracja dla pana barona...

--- A, co, baronie?! Nie mówiłem?! - Elden rżał z radości i klepał się po udach. - Brawo, doktorze! Już my wykurujemy naszego kochanego przyjaciela. Już my mu stworzymy pole do działania, pole godne takiego jak on mocarza, tytana, geniusza!

"Geniusz" leżał zgnębiony "niedomyślnością" lekarza; nie zabierał głosu, wiedział, że nieoceniona Fifi doskonale go w tym wyręczy.

--- Dobrze, dobrze, doktorze --- mówiła właśnie --- lecz pan musi przyznać, że nagły skok z dotychczasowej beczynności w wir intensywnej pracy mógłby zaszkodzić każdemu... Moim zdaniem, powinno być jakieś bardzo łagodne przejście i...

--- Ma pani słuszość. --- Lekarz skinął głową poważnie. --- Zanim pan baron powróci do swoich zajęć, powinien spędzić tydzień...

--- Samotnie!

--- Broń Boże! Tylko w towarzystwie!... Powinien przebywać jak najwięcej na świeżym powietrzu, najlepiej na morzu...

--- Świetnie się składa! --- Po lekarzu i Eldenie przyszła kolej na trzeciego spiskowca, mr. Samuela Forbana. --- Mój jacht już przyplłynął z Bordeaux. Wczoraj wieczorem wszedł do portu w Nicei. Dam zaraz kapitanowi polecenie, by się przygotował i jutro możemy wyjść w morze.

--- Jutro! --- Mademoiselle Fifi załamała rączki. --- Baron jest taki słaby...

--- Nic tak nie wzmacnia, jak ozon; prawda, doktorze?

--- Och, doktorze, doktorze. Czy ja naprawdę mogę już jutro?

--- Im wcześniej, tym lepiej dla pana, baronie...

Elden w myśli przyznał pojętnemu eskulapowi pięćset franków dodatkowej gratyfikacji, a Forban wyszedł do sąsiedniego pokoju, by przez telefon nadać depezę do kapitana Allana Bugsa...

Komendant jachtu *POWER* przeczytał ten telegram dopiero o północy:

*Jutro rano chcę wyjść w morze z moimi gośćmi. Żeby wszystko było gotowe. **Bunker** na tydzień.*

Nabrof

Allan Bugs zaczął kłać, wyć, wymyślać. Kiedy przyszła ta przekłeta depeza? Cooo? O szóstej po południu?! On spał? No spał po ciężkiej pracy. Ostatecznie, studium porównawcze nad różnymi markami szampana jest ciężką pracą dla żołądka wyposzczonego w kraju prohibicji. Ale to nikogo nie obchodzi, wara! Bunker powinien być załadowany, słodka woda napompowana do tanków, spiżarnia uzupełniona, podobnie lodownia itd., itd., a każdy członek załogi winien tkwić na swoim posterunku...

Że co? Trzeba dwóch nowych palaczy?! Po kiego diabła! Ano tak, jeden drab zwiął w Bordeaux, prawda; chciał się widać szelma tylko przeprawić do Europy, więc zwiął. Lecz drugi? Co z drugim? Odwieziono go dzisiaj do szpitala? I on, kapitan nic o tym nie wie?! Skandal! Każdy się tu rządzi jak szara gęś! Jeśli jakiś drab zachorował, to pierwszy oficer powinien natychmiast wyszukać zastępcę. Niech teraz szuka, marsz! W nocy nie można znaleźć? Łgarstwo! Nie chce się panom oficerom. Lecz on im pokaże! On udowodni, że dzielny kapitan potrafi sobie uzupełnić załogę o każdej porze.

Zachrypnięty od ryku Allan Bugs pozegłował chwiejnym krokiem w stronę burty jachtu, doznał lekkiej awarii, wyrznąwszy łbem w nawiewnik, zaklął, zakręcił o dwa **rumby**, obwieścił głośno, że bierze kurs na **NWW**, zaczepił nogą o jakąś linę i runął jak długi.

--- Panie kapitanie, może by jutro poszukać. Pan taki... zmęczony.

--- Milcz, durniu, smarkaczu... Sam!... Precz.... Sam pójdę...

--- Panie bosmanie, on jeszcze gdzie zleci na pysk.

--- Nie bój się, Jim. Pijanemu nic się nigdy nie stanie...

Może to i prawda, bo, wbrew obawom **boya** Jima, pan kapitan szczęśliwie zszedł po trapie, okrążył bez żadnej nowej "awarii" prostokątny basen wewnętrznego portu, minął budynek urzędu celnego i, pośpiewując sobie, maszerował żwawo w stronę Quai de Rauba Capeu.

--- Zwariował! Do miasta idzie szukać nowych palaczy!

--- Ano, może kogo znajdzie na Promenade des Anglais --- parsknął bosman.

Tymczasem Allan Bugs dotarł do **Monument aux Morts** i bez namysłu padł na kolana. Ten olbrzymi pomnik, przylepiony do pionowego zbocza góry, istotnie przypomina duży ołtarz, zwłaszcza nocną porą; cóż się tedy dziwić poczciwemu marynarzowi, którego francuskie wina tak rozmarzyły...

Lecz zaledwie się przeżegnał, skoczył na równe nogi.

--- Cud! --- Przecierając sobie oczy pięściami, spoglądał z bezgranicznym zdumieniem na dwie ciemne figury, które nagle ożyły i zdradzały widoczną chęć do ucieczki. Odważnie zastąpił im drogę. --- Pozostańcie tutaj, duszyczki, eppp... przepraszam, trochę dziś piłem... zostańcie, a ja odejdę...

Okazało się, że "duszyczki" wolą mówić po francusku i duszami zmarłych jeszcze nie są, tylko żywymi włóczęgami. Młodszy **lazzarone** był wcale czupurny.

--- Jakim prawem pan nas egzaminuje?! Szpiclem pan jest?!

--- Tfu! Nie obrażaj mnie, duchu nieduchu. Jestem komendantem tego tam pięknego jachtu i szukam dwóch ludzi do kotłowni, bo jutro odjazd z Nicei...

--- Dokąd?

--- Diabli wiedzą i mój chlebodawca. Może do Włoch... Chociaż, nie. Kazał wziąć bunkier na tydzień. Prędzej Grecja, Egipt, coś w tym guście...

--- A może by pan nas przyjął, he?...

W dziesięć minut później wachtowy zaalarmował bosmana. Kapitan wraca.

--- Jestem już z powrotem! --- Allan Bugs tryumfował. --- I prowadzę dwóch rutynowanych palaczy!

Prawdę mówiąc, to oni jego prowadzili, bo nogi plątały mu się przedziwnie. Bosman na widok dwóch oberwańców, zarośniętych, umorusanych, podrapanych i niezbyt przyjemnie pachnących aż splunął.

--- Takich kanalarzy pan kapitan bierze na nasz jacht?!

--- Milcz! Z ołtarza ich prowadzę. Z ołtarza! Milcz, powiadam. Weź ich do łazienki, daj im nasze eppp... kombinezony... i podziwiał swojego kapi... eppp... tana, który nawet po północy umie załogę skompleeeeeepppp, oooch!...

W łazience bosman dojrzał na szyi starszego włóczęgi krwawą pręgę.

--- A to co? Z szubienicyś się urwał?... Jak się nazywasz?

--- Boucher, panie bosmanie. On także. Jesteśmy przyrodnimi braćmi...

Bracia Boucher dostali najgorszą kabinę w **kubryku**, lecz dla nich ta ciasna nora była wspaniałym

apartamentem. Młodszy cieszył się jak dziecko.

--- Dla każdego osobny hamak, poduszka i dwa koce! I elektryczne światło! I spluwaczki! Widziałeś ty kiedy taki luksus?! --- Objął w pól apatycznego towarzysza, pocałował go w policzek. --- Rozchmurz się, stary. Bóg czuwa nad nami, dlatego nam się udało tak klawo. No! Głowa do góry, Bartku...

ROZDZIAŁ IX

--- Owszem, wiem, baronie. Około pięć miliardów dolarów rocznie.

--- Myślałem, że więcej. Zatem pięć miliardów wydaje świat na zbrojenia, czyli zaledwie czwarta część tych pięknych dostaw idzie przez nasze ręce...

--- Do czego pan zmierza?

--- **Trust!**

Myśleliśmy już o tym, baronie, myśleliśmy. Ale sęk w tym, że o prawdziwym kartelu w naszej branży nie można marzyć.

--- Przesąd.

--- Powiedzmy. Lecz co przez to zyskamy? Rynek zbytu nie zwiększy się przy obecnym stanie rzeczy. Wciąż te pięć miliardów.

--- Ale te pięć miliardów może prawie w całości płynąć przez nasze ręce! Oto korzyść z kartelu!... Gdybyśmy doszli do porozumienia na tej płaszczyźnie, podejmuję się zdusić wszystkich konkurentów w ciągu dwóch lat! Choćby mi przyszło przez ten czas sprzedawać nasze fabrykaty grubo poniżej kosztów własnych. My to przetrzymamy, za to potem, chi, chi, chi... --- Abel Lazare uśmiechnął się filuternie do owej przyszłości.

--- Pan zapomina, baronie o tym, że broń, amunicja i w ogóle wszelki sprzęt wojenny to nie zapalki!

--- Produkcja państwoooo-wa --- ziewnął Forban znudzony długą utarczką słowną z upartym Lazare'em.

--- Tej konkurencji pan nie złamie.

--- W kilku mocarstwach, zgoda, lecz poza tym? Presją w dziedzinie kredytów można zdziałać cuda.

--- Można było! Dziś nie. Kryzys nauczył samowystarczalności najgorszych dziadów. Nawet operetkowe państewka sukcesyjne, których żywot mylnie obliczaliśmy ongiś na pięć, sześć lat.

--- Roger znowu ma rację. --- Forban westchnął i posmutniał. --- Kryzys zdziałał stokroć więcej niż wszelkie konferencje rozbrojeniowe.

--- Jeszcze parę lat temu wydatki na zbrojenia były **tabu!** W każdym budżecie państwowym. W każdym! Na wszystkim oszczędzano, byle nie tknąć tej świętości... A dzisiaj... dziś i to już redukują...

--- Z roku na rok jest z tym gorzej...

--- Aż skończy się taką katastrofą --- von Elden podniósł głos, --- że państwa w ogóle przestaną się zbroić!

--- Tfu, na psa urok! --- Lazare był zabobonny. --- Przesadza pan.

--- Bynajmniej niestety. Tylko rozumiuję logicznie... I powtarzam, przestaną się zbroić! Uznają to za zbyt cenny wydatek, skoro pokój trwa tak długo. Stabilizacja pokoju zawsze prowadzi do **kwietyzmu** i zniewieściałości... A choćby później nastąpiła dawna ogólna **prosperity**, dla nas koniunktura już nie powróci, bo zniewieściałe narody będą lokować pieniądze raczej we wszystkim niż w naszych fabrykacjach. Wojna stanie się dla nich anachronizmem i niedorzecznością, jaką dziś byłyby dla nas wyprawy krzyżowe.

--- Przesada, przesada. Tak źle nie będzie.

--- Niech pan nie zapomina, baronie, że pokój nie powinien przeżyć jednego pokolenia! To byłoby nieobliczalną w skutkach anomalią w dziejach ludzkości!

--- Z tym się zgadzam. Ale...

--- Nareszcie! Nareszcie w czymś pan się zgadza z nami! Bo dotychczas wysiłał się pan wprost na...

--- Spójrzcie no tam. --- Von Elden dostrzegł niepokojącą zmarszczkę na czole Lazare'a, urażonego wybuchem Forbana, i wołał w porę skierować uwagę ich obydwóch na coś innego. --- Jakże malowniczo wyglądają te cztery purpurowe wysepki, prawda? Jak żołnierze stoją w szeregu, w równych odstępach.

--- Les Illes Sanguinaires... Poza nimi leży Ajaccio.

--- Ajaccio! Miasto rodzinne *boga wojny*! Geniusza, który w ciągu dwudziestu lat prawie nie wkładał wojującego miecza do pochwy... Czyżby dlatego te wysepki miały tak krwawy wygląd i nazwę?

--- Dwadzieścia lat wojen! Gdzież te czasy, gdzie?!

--- Żeśmy się wtedy nie urodzili, co?!

--- Pan żałuje, baronie? Pan byłby się wahał bez końca tak samo jak dzisiaj. Na pewno!

--- Napoleon. --- Von Elden mrugnął energicznie na Forbana, by nareszcie pozostawił Lazare'a w spokoju. --- Napoleon I był moim ukochanym bohaterem od najwcześniejszego dzieciństwa.

--- Moim również!

--- To dziwne. --- Lazare chwiał głową ze zdumienia. --- Bo i moją ulubioną lekturą były i są wojny napoleońskie. Bardzo dziwne!

--- Bynajmniej, drogi baronie. Każdy [selfmademan](#), który z niczego doszedł do milionów, musi być przede wszystkim genialnym strategikiem. Tylko że naszymi polami bitew są najczęściej giełdy. Innych różnic nie widzę. Mamy i robimy wszystko to samo, poczynając od wywiadu, a kończąc na koalicjach.

--- Koalicja --- Abel Lazare oblizwał sobie grube wargi --- pamięta pan nasz sojusz w czasie gry na zniżkę franka?... Albo funta, panie Forban, bo wtedy z panem szedłem ręka w rękę. To były czasy, ech!

--- A teraz pan nie chce przymierza.

--- Jakże! Przecież proponuję wam kartel!

--- Ech, tam z kartelem! My panu proponujemy business najwyższej klasy! I największą grę w dziejach świata! A pan... pan gra na zwłokę. --- Rozżalony Forban wyszedł z oranżerii jachtu i wyruszył na poszukiwanie kozła ofiarnego; należało przecież złość wylać na kogoś...

Na pokładzie spacerowym spotkał Allana Bugsa. Komendant jachtu *POWER* szedł właśnie zameldować chlebodawcy, że zbliżają się do Ajaccio, lecz zanim zdążył otworzyć usta...

--- Co to znaczy?! Kto panu kazał dążyć do lądu?!

--- Lądu? Nie, sir. To jest wyspa. Korsyka.

--- Wiem, mr. Bugs. I pytam, po jakiego diabła pan... kto kazał?!

--- Myślałem, że panowie... *Ile de Beauté* warto zwiedzić i...

--- Gwizdzę na pańską *wyspę piękności*, rozumie pan?!

--- Rozumiem, sir. Zatem... jaki mam wziąć kurs?

--- Jaki pan chce, byłem nie ujrzał ziemi. Ani skrawka! Na Morzu Śródziemnym ma pan chyba dość miejsca do żeglugi z dala od brzegów.

--- Tak, sir. Rozkaz natychmiast wykonam... Ale... jak długo mamy krążyć w ten sposób?

--- Chociażby do Sądu Ostatecznego, jeżeli przedtem nie wydam panu innego polecenia.

Kapitan Bugs odmaszerował na mostek komendanta, a mr. Samuel Forban udał się do kabiny radiotelegrafii swojego jachtu. Tutaj na skrawku papieru skreślił tekst bardzo pilnej depechy:

Lucien Lest, Hôtel Chatham

rue Daunou, Paris 2-e

Za wszelką cenę przyspieszyć wiadomą sprawę. Od tego zależy, czy będzie mi pan w ogóle potrzebny.

Sam

Buczenie przetwornicy radiostacji bardzo słabo dobiegało do oranżerii, lecz przezorny von Elden natychmiast puścił w ruch patefon.

--- Mogłeś mnie uprzedzić, że będziesz depeszował --- zrobił później wymówkę Forbanowi --- wiesz chyba, jaki Lazare jest podejrzliwy. Tym razem się nie połapał, patefon zagłuszył... Ale ledwie zdążyłem.

--- Skąd ty w ogóle wiesz, że telegrafowałem?

--- Transformator mi powiedział. Dudnił jak diabli... Do kogo depeszowałeś?... Czy przypadkowo nie do *Zet 66*? --- uśmiechnął się.

--- A, do licha! Niebezpieczna intuicja! --- Forban spojrział z podziwem na przyjaciela. --- Ale, skoroś taki domyślny, to powiedz mi, kiedy on może otrzymać mój telegram.

--- Koło ósmej, przypuszczam --- odparł von Elden po krótkim namyśle.

I znowu zgadł. Właśnie była ósma, gdy właściciel imponująco odstających uszu odebrał depeszę wysłaną po południu z jachtu *POWER*. Szybko przebiegł wzrokiem jej treść, zaklął, podbiegł do walizki i zaczął w niej szukać rozkładu jazdy. Uznał, że bombardowanie brata listami czy telegramami niewiele pomoże i zdecydował się bez wahania wyjechać natychmiast, o ile...

--- O ile jeszcze złapię dziś jaki pociąg... Gdzież jest ta stronica, u pioruna! Aha. *Londres - Paris Nord*. Masz tobie! Dwudziesta minut dziesięć, czyli właśnie odszedł... A może z *Saint Lazare* jaki odchodzi? Jest! Żyjemy! Dwudziesta pięćdziesiąt...

Wysypał na podłogę całą zawartość walizy i wybiegł z nią do sąsiedniego pokoju.

--- Panie van Kampen --- rzekł do czekającego tu mężczyzny --- najmocniej pana przepraszam, ale za chwilę wyjeżdżam do Anglii. Musimy znowu odroczyć naszą konferencję.

--- A właśnie. Znowu! To już wygląda trochę podejrzanie, sam pan musi przyznać.

--- Przyznaję, że tak się panu może wydawać... Ale, widzi pan to?

--- Widzę. Jakiś telegram.

--- Czy pan sądzi, że sam go nadałem do siebie, żeby nam przerwał konferencję? I tak wspaniale wycelowałem... obliczyłem porę doręczenia depeszy? --- Mówiąc to, równocześnie wyjmował z szafy bieliznę i układał ją w walizie. --- Niechże pan nie będzie dziecinny, panie van Kampen. Wrócę do Paryża za kilka dni i wtedy ubijemy interes.

--- Nie wiadomo, panie Lest... Może przez ten czas zdążę ulokować ten kapitał w...

--- I palnie pan skończone głupstwo! --- przerwał mu szybko. --- W cokolwiek pan wsadzi te pieniądze... murowana plajta! Kryzys, panie van Kampen. Kryzysik!... Smoking trzeba także zapakować, bez tego w Anglii ani rusz... Tak, panie van Kampen. Dziś żaden artykuł nie może liczyć na popyt.

--- Jakże to pogodzić z pańskimi propozycjami? Z masową fabrykacją jakiegoś tajemniczego artykułu, który ma nam rzekomo przynieść olbrzymie zyski? Fantastyczne zyski, jak pan twierdził?

--- Twierdziłem i twierdzą nadal. Fantastyczne zyski! Cena rynkowa tego artykułu wynosi obecnie około

pięćdziesiąt franków za sztukę.

--- Aha. Więc tu nie chodzi o jakiś nowy wynalazek czy zabawkę.

--- Nie, panie van Kampen... A, do licha. Byłbym wziął białą muszkę, zamiast czarnej. Do smoka!... I to nie jest zabawka...

--- Po co ta wzdargliwa mina. Na jo-jo zrobili ludzie miliony!

--- Na moim artykule musimy zrobić miliardy!

--- W ciągu ilu dziesiątków lat?

--- W ciągu kilku miesięcy!

Van Kampenowi zrobiło się magle gorąco. Bardzo! Ufff. Miliardy w ciągu kilku miesięcy!!!

--- Gdyby nie to, że pana znam od tak dawna...

--- Tuby pan parsknął śmiechem wielkim i wyszedł. Tymczasem wyjdziemy razem, bo nie wątpię, że mnie pan odprowadzi na dworzec Saint Lazare.

--- Owszem... Ale, ale, panie Lest. Mam wrażenie, że zaraz obalę pańską fantastyczną kalkulację... Ów tajemniczy artykuł kosztuje obecnie około pięćdziesięciu franków, tak pan powiedział. Przyjmując nawet nieprawdopodobne dwadzieścia procent zysku, miałyby się na sztuce dziesięć franków. Czyli, by zarobić choćby jeden miliard, trzeba by sprzedać sto milionów sztuk tego artykułu. Zupełny humbug!

--- Bynajmniej. Za sto milionów sztuk ręczę, lecz nie kwapiłbym się do tego interesu ani trochę, gdybym miał liczyć na marny zysk dziesięciu franków od sztuki. Nonsens! Cena tego artykułu będzie skakała w górę o sto procent co tydzień! W detalicznej sprzedaży będą zachodziły wypadki, że ten i ów reflektant zaofiaruje wszystkie swoje kosztowności lub nawet cały majątek... za jeden egzemplarz naszego artykułu! Słyszysz pan?

--- Słyszę i zaczynam się obawiać o stan pańskiego umysłu! Cały majątek za jakiś tam produkt masowej fabrykacji?! Klasyczny idiotyzm.

--- Tak pan sądzi. A czy pan nie wyrzekłby się całego majątku, gdyby tylko za tę cenę można było ocalić życie panu i jego rodzinie?!

--- A-ha, a-ha, jesteśmy na tropie! Tym artykułem jest jakieś cudowne lekarstwo, tak?

--- Coś w tym guście --- odparł gospodarz, zamykając walizę.

--- Doskonale --- kpił van Kampen --- teraz chciałbym się czegoś dowiedzieć o chorobie, która nagle przycisnęła sto milionów ludzi...

--- Więcej! Niemal całą Europę, a potem, jeśli losy łaskawe pozwolą, epidemia przerzuci się na inne części globu... No, idziemy na dworzec.

--- Krokiem się nie ruszę! Wpierw muszę wiedzieć, co...

--- Dowie się pan, gdy wrócę, gdy podpiszemy kontrakt!

--- Ooo, co to, to nie! Kota w worku kupować nie myślę! I oświadczam panu, panie Lest, że jeżeli dzisiaj nie dowiem się co to za nowy artykuł...

--- Artykuł nienowoty, lecz chwilowo niemodny... Chodźmy, bo się spóźnię przez pana. --- Ujął opierającego się van Kampena pod ramię i pociągnął go ku drzwiom.

--- Powie mi pan, czy nie?!

--- Tsss! Milcz pan, z łaski swojej... tutaj!

--- Ale w taksówce się dowiem!

W taksówce Lucien Lest właściwie nie dopuścił towarzysza do głosu.

--- Pańscy synowie objęliby kierownictwo dwóch naszych fabryk, pan trzeciej, mój brat czwartej, ja piątej. Ale sęk w tym, że fabryk musimy uruchomić więcej, choćby po jednej w każdym większym państwie Europy. Na razie mówię tylko o Europie... Tak, w każdym większym państwie.

--- Cło?

--- Tak, ze względu na cło, a przede wszystkim z innego powodu, będącego w ścisłym związku z ową "epidemią". Więc liczymy: Francja, Anglia, Włochy, Niemcy, Polska, Czechosłowacja, Szwajcaria...

--- Osobną fabrykę dla małej Szwajcarii?

--- Koniecznie... Belgia, Rumunia, Jugosławia... Tam byłoby najpilniejsze, ewentualnie Anglię można by zaliczyć do drugiej grupy państw, to jest do Holandii, Danii, Szwecji, Hiszpanii itd. Za to do pierwszej grupy muszę jeszcze przenieść Austrię...

Van Kampen słuchał cierpliwie, sądząc, że te szczegóły pomogą mu rozwiązać zagadkę. Ale z rue Daunou do dworca St. Lazare jest żabi skok. Za chwilę Lest stał w ogonku przed kasą biletową, a van Kampen opukiwał pięścią chytry automat, który monetę chętnie przyjął, lecz peronówki wyrzucić nie chciał.

--- Za pięć minut mój pociąg odchodzi. Do widzenia panu...

Van Kampen kopnął automat, co od razu pomogło; z otworu do rynienki wyleciał wrzucony pieniądz. Po peronówkę trzeba było doskoczyć do innego automatu, stojącego opodal.

Lucien Lest wsiadał właśnie do wagonu, gdy zadyszany towarzysz go dopędził. Konduktorzy wołali już *à voiture!*

--- Lest! Mów pan, na Boga!

--- Skoro wrócę!

--- Nie! Dziś muszę wiedzieć! Albo nie chcę pana znać więcej! Czy pan się lęka mojej niedyskrecji?

--- Może i to...

--- W takim razie --- van Kampen zrobił obrażoną minę --- o spółce nie może być mowy. Bez wzajemnego zaufania wspólników trudno w ogóle o...

--- *À voiture!*

--- Po raz ostatni! Co to za artykuł?

--- Więc dobrze, powiem. --- Lest nachylił się do zaczerwienionego z ciekawości ucha van Kampena i rzekł z naciskiem: --- Maska gazowa!

--- Co?!

--- Maska gazowa!!!

Pociąg już dawno zniknął, a William van Kampen stał wciąż jeszcze w tym samym miejscu. Z bezgranicznego zdumienia otrząsnął się przed chwilą, obecnie przeżuwał gniew.

--- Wariata ze mnie robić?!

Propozycji Lesta nie mógł uważać za głupi żart; każdy szczegół ich dzisiejszej i onegdajszej rozmowy świadczył, że *ten wariat* miał rzeczywiście na myśli maskę gazową.

--- Zatem on stawia na rychłą wojnę. Idiota! Na to, żeby prowadzić wojnę trzeba, jak mówił Bonaparte, pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Któż je ma dzisiaj, któreż państwo? Parę lat temu można było o to posądzać Francję i Stany Zjednoczone, lecz obecnie... Wariat! Ludzie na chleb nie mają, a co dopiero...

Chleb! Van Kampen strzelił palcami. Chleb, nabiał, mięso! Oto jest artykuł, na którego zbyt można liczyć zawsze, boć kto chce żyć, ten musi jeść, od tej przywary nawet kryzys ludzi jeszcze nie odzwyczaił. Handel

artykułami spożywczymi, w to można śmiało inwestować pracowicie uciulane oszczędności, ten skromny milionik guldenów holenderskich, który pomyłony Lucien Lest chciał przyciągnąć do swoich gazowych masek.

--- On ma rozmiękczenie mózgu, to nie ulega wątpliwości! --- Van Kampen spostrzegł dopiero teraz, że peron zupełnie się opróżnił. Ruszył więc w stronę hali dworcowej, monologując po drodze półgłosem. --- Żal mi biedaka. Tak się dobrze zapowiadał, i tak marnie kończy. Maski gazowe. Koń by się uśmieł. Nawet dorożkarski! I na tym bezużytecznym gracie on chciałby zarobić miliardy! Trzymajcie mnie, bo pęknię!... Maski gazowe! Cha, cha, cha. Maski! Prędzej mnie mogą namówić, bym swój milion włożył w fabrykację grających nocników! Cha, cha, cha... Albo grobowców z centralnym ogrzewaniem! Cha, cha, cha... Albo pasów cnoty!

Słynne pasy cnoty miss Violet Forban wybrała się obejrzyć nazajutrz. Wcześniej nie mogła, gdyż kilka dni przeleżała w łóżku. Małe przeziębienie było właściwie niską ceną za śmiały przeskok ze słonecznej Florydy w zimową szarugę Paryża, lecz Violet była niepokieszona. Tyle dni stracić na głupie leżenie w łóżku?! Miss Dorothy Corgrave, dowiedziawszy się o zamiarze dancingowej kuracji i tym podobnych odruchach rozpaczy, czuwała przy siostrzenicy dniem i nocą, zaniedbując swoją filantropię. Za to po wyzdrowieniu Violet wyprosiła sobie grzecznie, lecz stanowczo, ciotczyną kuratelę i solo wyrwała się na miasto.

--- Worth --- rzekła zwięźle do szofera, otulającego pledem jej nogi.

Limuzyna ciotki była bajecznie wygodna, leżało się w niej jak na tapczanie wśród poduszek. Lecz gdy przybyli na rue de la Paix, gdy Violet wysiadła i z chodnika wejrzała na olbrzymi samochód, który ją tutaj przywiózł, zarumieniła się ze wstydu aż po skronie.

--- Ohydna, przedpotopowa landara!

--- Święte słowa! --- zawtórował szofer z zapalem. --- Sto razy prosiłem miss Corgrave, by wreszcie kupiła inny wóz, a ona: *Wolę mego starego royce'a niż najnowszy typ renaulta...*

--- No, ale ja nie myślę się kompromitować!

--- Kompromitować! Święte słowa!... Czy długo będę tutaj czekał?

--- Sama nie wiem. Raczej pięć godzin niż pięć minut, sądzę.

--- Hm... Miss Corgrave poleciła mi, bym panią odwiózł i wracał zaraz, bo ma o dwunastej jakieś ważne posiedzenie.

--- Zgadza się. --- Violet przypomniała sobie, że ciotka ma dzisiaj walne zebranie towarzystwa opieki nad upadłymi kobietami. --- Zatem jazda do domu i nie troszczcie się o mnie.

--- Na Boga! Czyżby pani zamierzała wrócić taksówką?!

--- To mi się w życiu jeszcze nie przytrafiło!... Wrócę własnym autem.

Powziąwszy takie postanowienie, Violet musiała rozszerzyć program zakupów u Wortha; zamierzała pierwotnie nabyć tylko dwie wieczorowe toalety, teraz wypadło "dokooptować" co najmniej jedną suknię sportową i kostium.

Było to zresztą bardzo przyjemne zajęcie. Dyrektor, wyglądający jak członek izby parów, i markizowata directrice wprowadzili Violet do pięknego salonu, podsunęli jej fotel oraz poduszeczkę pod stopy i wręczyli jej luksusowo wydany katalog, w którym każda suknia była oznaczona numerem i piękną nazwą, po czym rozpoczęła się parada manekinów. Niebrzydkie a zbudowane idealnie dziewczyny schodziły parami po

marmurowych schodach, defilowały przed fotelem dostojnej klientki i na powrót wstępowały po schodach, by zaprezentować z kolei tył sukien. Z czterystu w ten sposób przedstawionych toalet, Violet zaznaczyła sobie w katalogu tylko dwadzieścia sześć. Directrice zniknęła za kulisami firmy i niebawem weszło do salonu dwadzieścia sześć manekinów w toaletach łaskawie wyróżnionych przez klientkę. Nastąpił wybór ściślejszy.

--- Wezmę *Pianę Morską*.

--- Podziwiam pani wytworny smak. *Infantka* Beatrycze, nasza stała klientka, oświadczyła tu onegdaj, że z wiosennych modeli *Piana Morska* najlepiej się nam udała.

Aha! Violet ostygła. --- *Infantka* wybrała ten sam model, a to jest duplikat!

--- Wiem, że pani żartuje. Bo nikt przecież nie ośmieliłby się zarzucić naszej firmie, że jakkolwiek swój model wykonała w dwóch egzemplarzach... To jest w ogóle nie do pomyślenia!... Zresztą *infantka* Beatrycze nie mogłaby wybrać *Piany Morskiej*; pomimo blond włosów ona jest nazbyt południowym typem.

--- *Piana Morska*?!

--- *Infantka* Beatrycze... A na pani szczęście, *infantka* Krystyna jeszcze nie oglądała naszych modeli wiosennych...

Oprócz *Piany Morskiej* Violet wybrała także dwie wieczorowe toalety, mianowicie *Złotą Orchideę* i *Krzyk o północy*, dalej popołudniową suknię *Lilie pachną biało* i szafirowej barwy sportowy kostium *Lazurowa grotka*.

--- Może przejdziemy do działu perfum --- zaproponował dyrektor. --- Jak pani zapewne wiadomo, nasza firma wyrabia również i...

--- Wiem, wiem... Otrzymałam raz kasetę z flakonami waszych *Sans adieu*, *Vers le jour* i *Dans la nuit*.

--- Och, to dawne czasy! Obecnie...

--- Byłam wtedy małą dziewczynką.

--- Rozumie się... Obecnie mamy dwa nowe przeboje sezonu: *Uwielbiam woń twego ciała*, zapach odurzający, zmysłowy, i delikatny, subtelny: *Pieszczoty o świcie*. Do pani typu oczywiście to drugie.

--- O, przepraszam! --- Dystygowana *directrice* zaprotestowała i wdała się w tak ożywiony spór z dyrektorem, że Violet, by pogodzić zwaśnionych, wzięła po flakonie jednego i drugiego przeboju sezonu.

--- Poproszę o rachunek i próbkę materiału mego kostiumu, abym sobie mogła dobrać do niego kolor auta, jakie zamierzam dziś kupić.

Rachunek opiewał na kwotę 185.000 franków.

--- Ile to byłoby w dolarach? --- spytała z ciekawości, zabierając się do wypełnienia czeku. Kiedy jej przeliczono franki na dolary, oświadczyła, że w przyszłości będzie się zaopatrywała w toalety tylko w Paryżu; w New Yorku musiałyby zapłacić co najmniej dwa razy więcej. --- Bajecznie tanio u was!

Dyrektor rzucił okiem na czek i nagle złamał się wpół.

--- Miss Forban! Jaki zaszczyt dla nas!

Kubek w kubek tak samo wykrzykiwał kierownik fabrycznego sklepu Hispano-Suizy przy Avenue des Champs-Élysées, gdzie Violet nabyła sześćdziesięcikonny "wózczyk"; musiała go nabyć, chociaż posiadała, jak przystało na córkę mr. Samuela Forbana, siedem najrozmaitszych samochodów, bowiem cały ten park automobilowy pozostał w garażu zamku Forbanów na Long Island.

Załatwiwszy najpilniejsze sprawunki, Violet zajrzała do notesiku i stwierdziła, że program dzisiejszego

dnia obejmuje zwiedzenie muzeum Cluny. Nie musiała tam jechać taksówką, broń Boże! Na czas dopóki wybrany wóz nie zostanie przelakierowany na szafirowo, kierownik sklepu zakładów fabrycznych Hispano-Suizy oddał znakomitej klientce do dyspozycji wspaniałą limuzynę i szofera, który się wabił Remi.

Na nużąco długim bulwarze St. Germain mignął jej zielony rolls miss Corgrave, pędzący po wariacku w stronę Pałacu Burbońskiego. Auto było puste.

--- Czyżby ciotka przysłuchiwała się obradom Izby Deputowanych?

Spojrząwszy na zegarek, odrzuciła to przypuszczenie; dochodziła dwunasta, o tej porze miss Dorothy Corgrave miała posiedzenie towarzystwa opieki nad upadłymi kobietami.

Limuzyna skręciła w bulwar Michel i od razu w lewo, w rue du Sommerard.

--- Jesteśmy na miejscu, mademoiselle... To jest właśnie sławne muzeum Cluny, w którym zobaczy pani słynne pasy cnoty.

Wesoła poufalość szofera nie zdziwiła Violet, za to wprowadziła ją w zdumienie jego domyślność.

Minęła dwa gotyckie portale, mały dziedziniec dawnego opactwa, weszła do przedsionka, kupiła bilet i w tej samej chwili zaszemrał jej koło uszu francusko-angielski duet przewodników:

--- Pani zapewne chce obejrzyć słynne pasy cnoty...

--- Bynajmniej --- odparła wyniośle, najpierw w lewo, gdyż do lewego ucha złożył jej ofertę [guide](#) angielski --- to mnie zupełnie nie interesuje. --- Potem zlikwidowała w ten sam sposób przewodnika francuskiego.

Skręciła w prawo, do maleńkiej salki, gdzie mieści się część zbiorów średniowiecznego obuwia. Po minucie miała go dosyć. Aby się dostać do sal właściwego muzeum, musiała znów przejść przez przedsionek. --- Masz tobie! Znowu przewodnik! --- Zatrzymała się przy stoisku z widokówkami i zaczęła je oglądać z zainteresowaniem, które powinno było odstraszyć każdego natręta. Odstraszyło przewodnika, ale właścicielka stoiska musiała dbać o swoje interesy.

--- Miss? Mademoiselle? Señorita? Fraulein?

--- Mademoiselle --- wybrała Violet, sądząc, że tak będzie najlepiej. A było właśnie najgorzej, bo w ojczystym języku tamta mogła się przynajmniej wygadać. Violet ani się spostrzegła, gdy nabyła kilka albumów i planik muzeum...

--- A tutaj mam coś dla pani! --- Miało to być powiedziane jakoby szeptem. --- Fotografie słynnych pasów cnoty!

Violet wyszła co prędzej do sali na lewo.

--- Czy ja mam na czole napisane, po co tu przyszłam? --- zirytowała się, gdy pierwszy spotkany dozorca znowu ją tym samym poczęstował. --- Oto plan muzeum; proszę mi naznaczyć krzyżykiem, gdzie są te wasze osławione pasy cnoty, abym tam przypadkowo nie zaszła!

Dozorca zrobił krzyżyk, po czym Violet, chytrze kołując, wyruszyła do celu swojej dzisiejszej wycieczki.

Na pozór pusto było w rozległej sali, tylko w jej bliższym wejścia lewym rogu tłoczyło się kilkanaście osób. Same kobiety! Violet stwierdziła na swoim planiku, że właśnie tam znajduje się ów atrakcyjny eksponat muzeum Cluny, i postanowiła poczekać, aż tamte niewiasty zaspokoją ciekawość.

--- Pasy cnoty, tego pani zapewne szuka! --- Inny dozorca, przyjemnie uśmiechnięty staruszek wskazał zamyślanej Violet lewy róg sali.

Chciała go zwymyślać, lecz rozbroił ją jego dobrotliwy uśmiech. Machnęła ręką na znak, że ustępuje

wobec siły wyższej, podeszła do szepczących kobiet i zaczęła się przeciskać przez ich poczwórny pierścień z energią godną jedynaczki króla stali, doków, kauczuku i czegoś tam jeszcze.

Nagle... stanęła jak wryta. Omal nie krzyknęła na całe gardło.

--- Przywidzenie? Łudzące podobieństwo?

Nie wierząc oczom, patrzyła uporczywie na starszą damę, która tkwiła nieruchomo przed gablotką i pożerała wzrokiem *największy skarb* muzeum Cluny, słynne pasy cnoty!

--- Ona ma gorączkę!

Violet zachichotała wewnątrz. Z satysfakcją urwisa, któremu się udał psi figiel, obserwowała leciwą damę; ceglaste rumieńce barwiły jej policzki, w oczach płonął ogień niezdrowego podniecenia, a dłoń trzymająca [szylkretowe lorgnon](#) drżała febrycznie.

--- Czyżby ona zamierzała takie pasy zaaplikować swoim upadłym kobietom? --- pomyślała Violet z humorem. --- No i przyłapałam mojego cerbera na gorącym uczynku! --- cieszyła się.

Cieszyła się szczerze. Bowiem ową damą była jej bogobojna ciotka, miss Dorothy Corgrave.

ROZDZIAŁ X

--- No, chyba że wiem! --- Młody górnik Tom Carter czuł się dotknięty naiwnym zapytaniem mówcy. ---

Każde dziecko wie, że największym wrogiem klasy pracującej jest kapitał.

--- Cha, cha, cha, cha...

--- Nonsens!

--- Idiota!

--- Bzdury! Oklepane frazesy!

--- Powtarza, co wyczytał w starym kalendarzu, che, che, che...

--- Kapitał, drogi Tommy, jest równie potrzebny jak nasza praca.

Starsi wzruszali ramionami, młodszy głośno szydzili z Cartera, który stał wśród grupy nowicjuszków ogłupiałych i zdumionych niegorzej od niego tak zgodnym potępieniem ich dogmatu.

--- Nie kapitał?

--- A nie, Tommy, nie!

--- Tylko co?

--- Tsss, zostaw. Towarzysz Dawid najlepiej to wytłumaczy szczeniakom.

--- Dawid! Dawid niech gada.

Przewodniczący podziękował za zaufanie ukłonem, zadzwonił, uciszył salę, odchrząknął, lecz w tej chwili podniósł się obok niego niski jegomość z kapitalnie odstającymi uszami.

--- Towarzyszu Dawidzie! --- rzekł głośno. --- Nie wątpię ani trochę, że wy posiadacie najwyższe uświadomienie. Radbym natomiast poznać stopień wiedzy innych kochanych towarzyszy. Niechaj któryś z nich oświeci najmłodszych braci.

Przewodniczący skinął głową na znak zgody.

--- Słyszeliście, co powiedział brat Lucien z parafii paryskiej?

--- Tak, tak, słyszeliśmy --- potakiwali chóralnie.

--- Więc który z was, bracia, podejm...

--- Ja!

--- Ja im powiem!

--- Jajaja tto pooowiem...

--- Idźże, jakało. Długo byśmy czekali, nim się wygadasz... Ja powiem.

--- Ho, ho --- kpił Tom Carter --- tylu ich wie, tylko my jeszcze nie wiemy, że naszym wrogiem, wyzyskiwaczem, pijawką, nie jest kapitał, ale?...

--- Maszyna! --- krzyknął ktoś bardziej krewki.

--- Hę? Co takiego?!

--- Maszyna, mówię!

--- Maszyna!... Maszyna!!... Maszyna!!! --- Szybkie **crescendo** okrzyków wywołało dużą wrzawę, ale dzwonek przewodniczącego uciszył ją łatwo.

Tom Carter, bezrobotny górnik, był nieodrodnym synem Albionu; jedną nogą tkwił w komunizmie, drugiej z konserwatyzmu nie mógł jeszcze wyciągnąć.

--- A to mi nowość. Czyli **humbug**! Od kiedyż to maszyna stała się...

--- Od dnia --- wtrącił ktoś --- w którym największy zbrodniarz świata zbudował jakąś pierwszą, najprymitywniejszą maszynę!

--- Może mi to towarzysz objaśni, jeśli łaska.

--- Słusznie. --- Lucien Lest, zwany tu *bratem z parafii paryskiej* lub krócej *klapouchem*, potakiwał żywo. --- Unikajmy ogólników, abstrakcji. Niech towarzysze wykażą na przykładach straszliwe skutki zastosowania maszyn w przemyśle w handlu, w rolnictwie, w...

--- Ho, ho, nawet w rolnictwie?!

--- Tak, Tommy Carter. W rolnictwie! Mało to robotników rolnych pozbawiły chleba siewniki, kosiarki, żniwiarki, kopaczki do ziemniaków, młocarnie...

--- Centryfugi! --- pisnęła jedna z trzech kobiet obecnych na tym mityngu.

--- Ech to wszystko nic. Ale w przemyśle!

Lunęła ulewa przekleństw pod adresem wynalazców takich, jak Hargreaves, Arkwright, Cartwright, Cocker, Higgins, Roberts, Heilmann itp.

--- Arkwright! --- Barczysty młokos powtórzył to nazwisko kilka razy, by je sobie wbić w pamięć. Zacisnął pięść. --- Gdzie mieszka ten arcydrań?

--- W ziemi. Umarł w roku 1792, jeśli się nie mylę.

Sala ryknęła śmiechem. Lucien Lest był w rozpaczy, ale brat jego czuwał. Zganił wesołość, niewłaściwą w obecnej chwili, wyliczył szkody, jakie maszyna wyrządziła robotnikom w kilku innych gałęziach przemysłu, napomknął też o filmie dźwiękowym, który tylu kinowych grajków pozbawił chleba, i oddał głos jakiemuś zecerowi. Nowy mówca ograniczył się do wydania jednego okrzyku:

--- Żeby ten ścierwo Mergenthaler z piekła nie wylazł za swój cholerny linotyp!

--- A w portach? U nas, w Liverpoolu jeden parszywy żuraw hydrauliczny ładuje na statek trzysta pięćdziesiąt ton węgla w godzinie!

--- Po czterysta wałą sakramenckie leje Lewis-Huntera u nas, w Cardiff!

--- I konkuruj tu z takim smokiem, biedny tragarzu...

--- Albo Hull; wszyscy byli zadowoleni z ręcznej robocizny, w doku Króla Jerzego elewatory wiadrowe stały bezczynnie, aż...

--- Eee, pół biedy z wiadrowymi; przy nich zawsze człek miał jakieś zajęcie, bo szufłować zboże i nakładać je do wiader można tylko ręcznie. Ale pneumatyczny elewator! Pneumatyczny! Przy tym draniu robotnicy portowi nie mają nic do roboty...

--- U nas na kopalni...

--- Tere-fere. Gdzie jak gdzie, ale w górnictwie najmniej może maszyna wyręczać człowieka... Za to nas, rękodzielników... wykończyła zupełnie!

Przewodniczący pozwolił się wygadać wszystkim, chociaż *klapoucha* rychło zniecierpliwiała długa litania skarg i żalonych westchnień. Lucien Lest, czyli *klapouch*, wściekał się na siebie i na brata, że rozpoczęli akcję na tak niewdzięcznym terenie.

--- Diabli niech wezmą angielską flegmę i tych bezdusznych manekinów! --- mamrotał, bębniąc palcami po stole. --- Trzeba było zacząć w Belgii, we Francji, Włoszech czy gdziekolwiek, byle nie tutaj. Dawid zgłupiał z kretelem, że mi zaproponował Anglię...

Tymczasem zabrał głos Tom Carter. Uparty górnik powrócił do swojego *ceterum censeo*, ale w formie

bardziej drastycznej:

--- Jesteście stadem osłów! Cóż to maszyna? Czy istota myśląca? Nie, bałwany! To jest rzecz. To bezduszny potwór niezdolny do najmniejszego ruchu samodzielnego. Tak, idioci. Więc nie ona nas chleba pozbawia, lecz ci, którzy ją budują, nabywają i zaprzęgają do pracy. Kapitaści!

--- Pleciesz, żółtodziobie. Kapitaściście wolno wybrać tańszą siłę roboczą, to jego święte prawo. Tańszą i sprawniejszą. Więc wybiera maszynę...

--- Czyli, że naszym konkurentem jest maszyna!

--- Usnę! Usnę --- jęczał Lucien Lest. --- I to ma być wiec *uświadomionych spiskowców*?! To są przyszli sabotażyści?!

--- Miej cierpliwość, braciszku. Nie znasz Anglików...

--- Niech i tak będzie --- przystał Tom Carter --- ale skoro maszynę uznajecie za naszego konkurenta i wroga, to nasza sytuacja jest tym samym beznadziejna. Bo wszyscy zgadzamy się z tym, że ten rywal jest lepszym robotnikiem niż my, tańszym, szybszym i tak dalej. Słowem, nie posiadamy żadnych szans w walce z takim przeciwnikiem.

--- Zależy, w jakiej walce! --- wtrącił jednooki.

--- Co macie na myśli?

--- Ano, choćby sabotaż!

--- Nareszcie coś! --- westchnął Lucien Lest. --- Proszę o głos!

--- Udzielam głosu naszemu bratu z parafii paryskiej.

--- Towarzysze! Przysłuchiwałem się z ogromnym zainteresowaniem waszej rzeczowej dyskusji będącej odzwierciedleniem waszego procesu myślenia. Cześć wam, towarzysze! Cześć wam za to, że sami, bez czyjejkolwiek sugestii, wykryliście waszego największego wroga zakonspirowanego tak mistrzowsko! Boć tylko w drodze samodzielnego rozumowania doszliście do trafnej konkluzji, że...

--- Towarzysz Dawid nam to mówił... --- bąknął jakiś skromny towarzysz, ale Lucien Lest oczywiście "nie dosłyszał" tego odezwania się.

--- ...że tym wrogiem klasy robotniczej jest maszyna! Że z nią musimy walczyć do ostatniego tchu!

--- Ale jak?

--- Brawo, towarzyszu! Oto słuszne pytanie. *Jak?* Przed chwilą padło tutaj słowo mocne, słowo najbardziej znienawidzone przez kapitalistów: *sabotaż*.

--- Jestem przeciwnikiem wszelkich gwałtów!

--- I ja! --- zawtórował Tom Carter.

--- I my!

--- Brawo towarzysze! Ja również! --- wołał z emfazą *brat z parafii paryskiej*, śląc swojemu rodzonemu bratu spojrzenie pełne wyrzutu. --- Jestem w zasadzie przeciwnikiem gwałtów lub byłem mim, mówiąc ściśle. Byłem nim; z powątpiewaniem, jeśli nie z odrazą, śledziłem poczynania pittsburskiej sekty, która...

--- *Wrogowie Maszyny*... Znamy to... Czytaliśmy... I coż z nimi?... Jakoś szybko ucichli --- gadali jedni przez drugich.

--- Nie oni ucichli, a prasa kapitalistyczna! Przeglądając prasę amerykańską z ostatnich trzech miesięcy, należałoby wnosić, że sekta pittsburskich sabotażystów już nie istnieje... Tymczasem... --- Lucien Lest wyjął z kieszeni plik papierów --- tymczasem rzeczywistość przedstawia się "cokolwiek" inaczej. Nie mówiąc już o

Pittsburghu, gdzie zdemolowano wszystkie przędzalnie bawełny, garbarnie, papiernie, odlewnie żelaza, fabryki parowozów i...

--- Głupcy! Niszczyć swoje warsztaty pracy? Bezmyślni wandal!

--- Mylicie się, towarzyszu. Oni nie demolują budynków, surowców ani narzędzi, lecz wyłącznie maszyny! I też nie wszystkie. Sekta *Wrogów Maszyny* nie jest hordą bezmyślnych wandal, ale potężną organizacją, której celem jest usunąć bezrobocie, wywołać najwyższy popyt na robotników i tym samym przywrócić klasie pracującej należne jej dochody... Przejrzyjcie sobie, towarzysze, egzemplarze tej niecenzurowanej gazety, będącej organem filadelfijskiej parafii *Wrogów Maszyny*...

--- Ho, ho! W Filadelfii także już urzędują?

--- W całych Stanach, towarzyszu! Trudno ustalić liczbę członków tej potężnej sekty, ale oblicza się ją na dwa miliony!

--- Parafia?

--- Nie zapominajcie, że to sekta, dlatego używają takich określeń.

--- To dziwne... Bo towarzysz Dawid nas również dzieli na jakieś parafie.

--- A i wy, towarzyszu, zwiecie się *bratem z parafii paryskiej*.

--- Gdyż za wzorem tamtych francuscy *Wrogowie Maszyny* nazwali...

--- Francuscy?! Oni są już i we Francji?!

--- I w Niemczech! We Włoszech! W Hiszpanii! W całej Europie, prócz... Wielkiej Brytanii.

--- I nic o tym nie piszą w gazetach?

--- Towarzyszu, nie bądźcie dzieckiem. Czy sądzicie, że leży w interesie kapitału, by wieści o szerzeniu się *epidemii sabotaży*...

--- Tak, tak, rozumiem. Zatkali gębę prasie. Oni to potrafią!

--- I nie dziwcie się. Toć w samych Stanach sekta *Wrogów Maszyny* wyrządziła im strat na trzy miliardy dolarów!

--- Trzy miliardy! Niech to diabli!

--- A jaki skutek?

--- Taki, że kilkunastu bardziej postępowych kapitalistów wyrzuciło do szop swoje maszyny i rozpoczęło fabrykację sposobami praktykowanymi pięćdziesiąt lat temu i dawniej.

--- Tak, to rzeczywiście postępowi fabrykanci --- zachichotał ktoś z młodszych.

Tymczasem wśród zebranych krążyły z ręki do ręki egzemplarze *niecenzurowanej gazetki amerykańskiej* wydrukowane w Paryżu przez pomyslowego *klapoucha*. Bardziej sensacyjne ustępy odczytywano głośno, aż w pewnej chwili trzech robotników powstało i bez jednego słowa ruszyło ku drzwiom.

--- Co się stało? --- Lucien Lest zaniepokoił się mocno. --- Towarzysze! Dokąd?

--- Do roboty --- odparł spokojnie Tom Carter, bowiem on znajdował się w tej trójce. Wyjął z kieszeni sześć ruloników obwiązanych grubym, czarnym sznurem. --- Na próbę wysadzimy w powietrze tej nocy ze dwa żurawie w dokach.

--- Oto masz moich Anglików! --- rzekł z dumą Dawid do brata.

Carter podrzucił na dłoni swój pakunek.

--- Sześć cygar, hm, powinno wystarczyć --- przypuszczał.

--- Na dwa dźwigi to dużo za mało --- ozwał się inny górnik i wyjął z kieszeni podobną paczkę, pożyczę

wam mojego dynamitu.

--- Dziękuję, towarzyszu.

Tak jakby chodziło o pożyczanie gazety... Ktoś zaproponował na *próbny robotę* kilka innych obiektów w porcie londyńskim, co wywołało nową dyskusję. Nikt przy tym nie zniżał głosu, nie zerkał podejrzliwie ku drzwiom, ani nie przybierał konspiratorskich min. Nikogo nie krępowała obecność prawie stu osób na sali i dość prawdopodobne przypuszczenie, że w takim licznym gronie może się znaleźć zdrajca. Gdyby nie piętno nędzy wyryte na twarzach olbrzymiej większości zebranych, Lucien Lest powziąłby był niejaki wątpliwości co do tego, czy ma przed sobą bezrobotnych górników, portowych tragarzy itp. Zachowywali się tak, że wyglądali raczej na gentlemanów omawiających w swoim wytwornym klubie szanse różnych trzylatków na torze w Epson, w biegu o tradycyjną nagrodę hrabiego Derby. Zamiar zdemolowania urządzeń któregoś doku uważali za emocjonujący wyczyn sportowy i czynili zakłady, oczywiście o kilka pensów, czy Tom Carter dokona dzieła, czy nie.

--- Trzymam pół szylinga przeciw trzem pensom, że rozwalę dwa żurawie i powrócę tu do was przed świtem! --- zawołał bohater wieczoru.

--- A ja przeciw pańskim sześciu pensom trzymam dwa funty, że pan ich nie rozwali, towarzyszu! --- krzyknął Lucien Lest, pragnąc zdopingować młodego górника. Lecz przewodniczący zaprotestował stanowczo:

--- Stójcie! Tak nie można. Wysadzicie jakiś bezwartościowy gruchot, i jaki stąd pożytek? Żaden! Przeciwnie, tylko szkoda! Rozstawią strażę, warty, i uniemożliwią nam porządną robotę... Towarzyszu Carter, proszę na miejsce. Siadajcie towarzysze... Dwa żurawie? Nonsens! Musimy rozpocząć akcję od co najmniej dwudziestu zamachów. Równoczesnych! I w różnych stronach Anglii...

W trzy dni później nastąpiły powszechnie znane wypadki w siedemnastu miastach Wielkiej Brytanii. Depesze z wieściami o *NOCY SABOTAŻÓW* przyjęła radiostacja jachtu *POWER* już o godzinie jedenastej rano. Dzień był niezwykle upalny jak na luty. **Fahrenheit wskazywał siedemdziesiąt siedem stopni**. W najgłębszym cieniu! Na dnie statku, w kotłowni, śmierdziało dymem i potem; trzech czarni od węgla palacze karmili ogień, grymasny, gdy nie ma przeciagu. Na górze, w oranżerii pachniały storczyki i bzy; trzech gentlemani biali od siwych głów do tenisowych pantofli karmili łakociami znudzoną Putzi. Lecz Putzi grymasiła. Nie odzyskała jeszcze apetytu ani humoru po nocnej chwiejbie statku, po przykrej morskiej chorobie.

--- Musimy koniecznie przybić gdzieś do brzegu... Spójrz na to biedactwo. --- Roger von Elden miał łzy w oczach.

--- Poleciałem Bugsowi, by gnał całą parą do Neapolu.

--- Dziękuję ci, przyjacielu.

Trzeci nabab, baron Abel Lazare, wyraził swoje zdziwienie z powodu opieszałości profesora Katza, który jeszcze nie odpowiedział na depeszę wysłaną z jachtu do Wiednia trzy godziny temu... Znakomity specjalista odezwał się wreszcie, a jego telegram, złożony z dwustu czterdziestu siedmiu słów, przywrócił apetyt pupilce von Eldena. Lecz radiostacja jachtu prócz odpowiedzi prof. Katza odebrała także inne depesze. Bardzo alarmującej treści.

--- *Banda terrorystów amerykańskich, zwanych w Stanach sektą WROGÓW MASZYNY, rozpoczęła dzisiejszej nocy swą zbrodniczą działalność na terenie Wielkiej Brytanii* --- odczytał Forban, mrugnawszy

dyskretnie na von Eldena.

--- Przepraszam --- syknął Lazare pochłonięty lekturą swojego telegramu, znacznie dłuższego niż lakoniczna depesza, jaką otrzymał Forban. Przeczytał, zbladł, zacisnął pięści i zaczął się nerwowo przechadzać po oranżerii. Za jego plecami dwaj przyjaciele porozumieli się wzrokiem. Uznali zgodnie, że nadszedł odpowiedni moment do rozpoczęcia generalnego ataku i że speakerem będzie von Elden; niecierpliwy Forban mógłby wszystko popsuć.

Von Elden zaczął atak huraganowym ogniem cyfr. Przez dobre dwadzieścia minut z istic niemiecką systematycznością wymieniał sumy dotychczasowych strat każdego koncernu, w którym przeczuwał udział kapitałów Lazare'a. Potem sumy niewątpliwych zysków w razie, gdyby on, Abel Lazare, przyjął ich koncepcję. A wreszcie rozliczne *korzyści moralne*: Bezrobotni znikną! I przekłety kryzys! Powróci okres złotej koniunktury gospodarczej. Brylantowej! Dalej: pogromy; pan baron, jako Żyd, powinien ze szczególną uwagą śledzić niebywały rozwój antysemityzmu w Niemczech, nie mówiąc już o wschodniej Europie; powinien zrozumieć, że pogromy stały się dzisiaj klapą bezpieczeństwa dla wielu rządów!... To niebezpieczeństwo zagrażające życiu i mieniu jego współwyznawców przeminie bez śladu, jeżeli furię milionowych rzesz gnębionych kryzysem pchnie się umiejętnie w inne koryta. W koryta narodowych antagonizmów i zatargów sąsiedzkich!

--- Interes, jaki panu proponujemy, baronie --- ciągnął dalej --- nie kryje w sobie najmniejszego ryzyka... dla nas! Natomiast coraz większe ryzyko przedstawia utrzymywanie **status quo**! Zwłaszcza dla pana! Zbrodnicza akcja *Wrogów Maszyny* może w bardzo krótkim czasie doprowadzić do zupełnej ruiny następujące przedsiębiorstwa...

--- Panie von Elden --- przerwał mu cierpko Lazare --- ja dobrze wiem, że pan lepiej wie, co ja gdzie posiadam, niż ja to sam wiem. Pan jest w ogóle świetnie poinformowany o wszystkim, ale, nawiasem mówiąc, pańskie menu statystyczne miałem przyjemność spożyć już z dziesięć razy tutaj...

--- Co jednak nic nie pomogło. --- Von Elden westchnął.

--- Bo mnie dusicie, przynaglacie, a moja francuska organizacja psychiczna nie znosi nacisku!... Pozwólcie mi się zastanowić... namyślić...

--- Jeszcze mało pan miał czasu do namysłu?! --- wybuchnął Samuel Forban. --- Już w Miami napomknąłem o tym w rozmowie. Dwa lata temu!... Później w Sankt Moritz, w Biarritz, w Heluanie... A w listopadzie, gdy pan bawił na Maderze, Elden przyjechał do pana specjalnie w tej sprawie! I wtedy wytargował od pana uroczyste przyrzeczenie, że najpóźniej w ciągu trzech miesięcy udzieli nam pan kategorycznej odpowiedzi: *tak* lub *nie*... Przybyłem do Paryża po tę odpowiedź, ale tegoż dnia pan wyjechał... przepraszam... pan przebywał w Juan les Pins. Pojechaliśmy za panem. Konferowaliśmy przez tyle dni, i znowu nic. Dzięki pańskiej sekretarce, jeżeli mam być szczery!... A teraz od tygodnia wałesamy się po morzu, z dnia na dzień pan obiecuje, że...

--- Po co pan powtarza rzeczy dobrze nam znane.

--- Po to --- wrzasnął zirytowany Amerykanin --- żeby pan wiedział, iż pańskiej gry na zwłokę mam dosyć! I mam zaszczyt oświadczyć panu, baronie, że jeżeli pan nie przyjmie naszej uczciwej i lojalnej propozycji, to...

--- To?... --- Abel Lazare przymrużył oczy złośliwie.

--- To rozpoczniemy wielką grę sami!

--- Eh bien!

--- A-ha! Pan sądzi, że pozwolimy mu wyciągać kasztany z ognia, który rozniecimy bez jego pomocy?!

--- Sądzę, mister Forban, że bez mojej pomocy w ogóle nie zdołacie wzniecić ognia...

--- W Europie --- wtrącił von Elden, wachlując znudzoną Putzi --- tak, w Europie... sami... bez pana...

hm, dosyć trudno... Lecz gdzie indziej?

--- Więc tak mi mówcie! Na *gdzie indziej* piszę się najchętniej!

--- Co słyszę?! --- Forban podniósł głos. --- Nie dawniej jak wczoraj opowiadał nam pan tyle o swoich humanitarnych skrupułach i o swoim kulcie dla wszelkich zabytków sztuki, które *miecz wojny niszczy bezlitośnie*, jak się pan raczył wyrazić... Wczoraj! A dziś *piszę się najchętniej!* Oczywiście pod warunkiem, że to się nie stanie w Europie ani w Maroku, ani w Indochinach. Byle nie na własnym podwórku... Taaak, to się nazywa mieć zasady!

--- Zasady ludzi wielkich muszą być jak stal! Czyli giętkie i elastyczne. --- Elden, zauważywszy błysk wściekłości w oczach Lazare'a, zaczął żartować. --- Nasz zapalczywy jankes, wbrew swym zjadliwym intencjom, powiedział panu piękny komplement, baronie... Ale, à propos elastyczności, czy pan zna tę pikantną anegdotkę?... --- Za jednym zamachem opowiedział ich tuzin i galicki nerw humoru nie mógł pozostać nieczuły na taką dawkę. Galicki! Abel Lazare uważał się za rodowitego Francuza. Dlatego też musiał się udobruchać po skonsumowaniu tylu pieprzonych dowcipów...

Forban podszedł do najbliższego iluminatora, by z nudów wyjrzeć na morze.

--- Widać ład --- obwieścił towarzyszom. Hen, daleko za dziobem jachtu wyrastała z wody szara grudka ziemi. Kapitan Bugs zainterpelowany telefonicznie przez chlebobawcę wyjaśnił, że to Capri. --- Capri! --- Von Elden od razu zaczął wzdychać. --- Więc za kilka godzin staniemy w Neapolu, a kochany baron jeszcze nie powziął decyzji; ale przyrzekł nam pan uroczyście, że zanim wylądujemy...

--- Tak, tak, tak. Proszę tylko o jeszcze dwie godziny czasu do namysłu. Już ostatnie! --- I kochany baron drapnął co prędzej z oranżerii; irytujące wybuchy Forbana były dlań fraszką wobec straszliwej "piły" von Eldena.

Ledwie wyszedł, Forban wezwał stewarda. Konferował z nim przez cztery minuty.

--- Był? --- spytał domyślny von Elden, gdy steward odszedł.

--- Niestety. --- Forban zwiesił głowę. --- Lazare w ogóle dziś nie był w ubikacji, *ergo* znów nie poweźmie żadnej decyzji...

Decyzję w wiadomej sprawie Abel Lazare powziął już dawno, mianowicie taką: trzymać tamtych dwóch w niepewności, nie zrażać ich, łudzić nadzieją rychłego zawarcia *triumwiratu* i dalej... grać na zwłokę.

Abel Lazare wiedział, że kiedyś, może już w tym roku, będzie musiał przyjąć propozycję Forbana i Eldena, ale wiedział zarazem, że czas pracuje dla niego; tamci dwaj nie są tak zahartowani na "kryzysowe przymrozki" jak on, to jasne. Dlatego im pilno. Dlatego gotowi są inwestować kilkadziesiąt milionów w interes, który i tak kiedyś musi dojść do skutku bez najmniejszych inwestycji, bo Europa jest niewygasłym wulkanem... Niech inwestują sami; skoro nie mogą przetrzymać jeszcze kilku lat, niechaj rozpoczną, kiedy chcą, swoją "wielką grę". Owszem. On im nawet użyczy swego poparcia. Moralnego! I w ogóle nie ma o czym myśleć. A pogrożka Forbana, że oni nie pozwolą mu *wyciągać kasztanów* z ognia, który rozniecą bez jego pomocy, jest śmieszna; pięćdziesiąt procent owych kasztanów musi przypaść najpotężniejszemu z nich, baronowi Lazare'owi. Forban doskonale zdaje sobie sprawę z tego i stąd jego bezsilna wściekłość...

Abel Lazare nie myślał więc już o propozycjach tamtych dwóch ani o kryzysie. Za to o pogromach, o niedoli współwyznawców. Poświęcił im aż sześć minut i sekund piętnaście oraz dwa westchnienia. Potem jego rąca myśl poszybowała do Juan-les-Pins, gdzie pozostała mademoiselle Fifi Chibois, najzdolniejsza sekretarka i najlepsza przyjaciółeczka w jednej małej osobie. Jedyna kobieta, która nigdy nie przyprawiła mu rogów. Która go kochała naprawdę i była doń przywiązana jak pies. Toć Roger von Elden ofiarował jej dziesięć tysięcy franków za dotrzymanie mu towarzystwa przy obiedzie, i odrzuciła jego propozycję ze wzgardą. A przecież mogła ją przyjąć. On, Lazare, nigdy by się o tych konszachtach nie dowiedział. Lecz nie. Nie skorzystała, sama opowiedziała swojemu "staruszkowi" o telefonicznej rozmowie z zarozumiałym **junkrem**, któremu tak doskonale zmyła głowę. Dzielną Fifi!

--- Czemuż jej nie wziąłem na tę wycieczkę --- żałował obecnie. Prawda, ona nie chciała. Mówiła, że na okręcie zawsze choruje, a morska choroba jest ogromnie przykra, męcząca i nieestetyczna. Biedna Putzi, ulubienica Eldena, doświadczyła tego na własnej skórze, dobrze więc, że Fifi podobny los nie spotkał. --- Maleństwo moje. --- Zakochany staruszek wyjął z kieszeni niecenzuralną fotografię swej siedemnastoletniej przyjaciółki i rozpoczęła się długa kontemplacja...

Jacht *Power* mknął jak strzała, mierząc dziobem w Neapol odległy jeszcze o czterdzieści jeden mil morskich. Grudka ziemi na horyzoncie rozrastała się w wyspę. Wezuwiusz ziewał szeroką paszczą krateru. Ziemia spocona po ostatnim szkwale dyszała ciężko. W srebrnym gaju oliwnym zziajany wiatr odsypiał nocną swawolę. Złota kula słońca toczyła się ospale po błękitnej misie swej rulety. Morze drzemało w szafirowym szlafroku. Morze Tyrreńskie przywdziewa go zawsze na taką pogodę. Fale chrapały w skąpym cieniu skał, ryby snuły się sennie pośród raf podwodnych. Upał rozleniwił wszystkich, nawet własnego brata, i zaspany ogień tarzał się po szkarłatnej pościeli palenisk, umykając z sykiem przed czarnym gradem węgla.

--- Ścierwo! --- ryknął młodszy Boucher. --- Bunker mu nie smakuje dzisiaj. Benzynę by wolał, albo proch!

--- Banda! Próżniaki przeklęte! --- wył drugi mechanik. --- Ciśnienie mi spada. Obijacie się tutaj, łotry.

--- Gramy w karty, nie widzi to pan inżynier?! --- Boucher-junior był zdecydowany kopnąć pana inżyniera w brzusek, jeżeli dostanie od niego w papę, na co się z dawna zanosilo. --- Nie wolno się nam zabawić? --- prowokował znieawidzonego zwierzchnika, choć Boucher-senior mitygował go wzrokiem i błagał, by nie wszczynać awantur. Upał był tu winien.

Mechanik splunął w garść, ruszył z wojowniczą miną w stronę zuchwalca, lecz nagle ktoś osunął mu się do stóp... bezwładnie. Trzeci palacz zemdlął. --- Udaje! --- Żeby sprawdzić, mechanik kopnął zemdlonego w bardzo wrażliwe miejsce. Nic nie pomogło. Nie udawał widać. Praktykant, który go miał zastąpić, póki bosman z kubryku nie przyprowadzi innego palacza, sparzył się w rękę do kości i z bólu wył potępieńczo. Mechanik ryczał, Boucher-junior kłął. Boucher-senior pluł krwią raz po raz. Kotłownia zamieniła się w piekło, bo przeciąg zupełnie zamarł.

--- Nie mamy tu nic cugu, panie inżynierze. Ani trochę, sam pan widzi. Wszyscy kolejno już kręcili nawiewnikiem i nikt wiatru nie złapał. Ani nawet bosman! --- Należało się powołać na jakiś autorytet. --- Ani pan bosman!

--- Także osioł. W ogóle banda idiotów, leniów, komunistów! --- Tu srogi wzrok mechanika musnął pod włos młodszego Bouchera. --- Ja wam pokażę, jak się łapie wiatr! --- Wybiegł na pokład. Chwytał za rączki

nawiewnika z taką furją, jak gdyby zamierzał go wyrwać "z korzeniami". Odwrócił rurę o kąt czterdziestu pięciu stopni. --- Hej tam, brudasy! Lepiej teraz?

--- Jeszcze gorzej! --- odparła z satysfakcją kotłownia.

Mechanik zaklął, ale łapał wiatr dalej. Klął przy tym tak, jak tylko marynarz potrafi, gdy musi walczyć z bezmyślną złośliwością żywiołów. Zoczywszy jednego ze sterników, przywołał go do pomocy. Na to tylko czekał pierwszy oficer, który z **boatsdecku** obserwował daremne wysiłki mechanika i bawił się doskonale tym widokiem.

--- Co to znaczy?! Pan nie ma swoich ludzi?

--- Moi ciężko pracują. Wszyscy! A ten wałkoń obija się jak każdy łazik pokładowy.

--- Wypraszam sobie! I wara panu do moich ludzi!

--- Co tam za wrzaski?! --- zagrzmiał mostek. --- Gardłem mi wychodzą te codzienne kłótnie maszyn z pokładem. O co poszło?

Wysłuchał obydwóch. Rację miał tym razem pokład. Tak, ale przed chwilą do kabiny nawigacyjnej telefonował mr. Forban. Chlebowdawca! Spytał zjadliwie, czy kapitan widział kiedy ślimaka w ciąży. Allan Bugs zgodnie z prawdą wyznał, że nigdy. Na to szef: --- Szkoda. Bo tak właśnie wlecze się mój jacht pod pańską komendą. Będę musiał, widzę, zmienić całą załogę. --- A teraz szelma mechanik oświadczył, że musi dostać kogoś z pokładowych do nastawiania nawiewnika, inaczej on nie odpowiada za nic; bardzo możliwe, że szybkość zmaleje do piętnastu węzłów albo i bardziej. Piece nie ciągną, ciśnienie spada na łeb...

W tych warunkach kapitan musiał przyznać słuszność maszynom, ale dla symetrii sklął obydwóch oficerów. Z kolei oni pobiegli zatruwać życie swoim podwładnym. Pierwszy nawinał się bosman. Dostało mu się za wszystko, nawet za alkohol, który ktoś wychłął z kompasu przed... rokiem. --- Ciekawym bardzo --- brzmiało jedno z retorycznych pytań tej reprimendy --- czy bosman prócz zapijania się, jeszcze coś więcej robi na statku... Na rufie bosmanowi wszedł pod rękę chłopiec okrętowy, Jim. Z miejsca wziął w pysk tak, że zleciał ze schodni i głową otworzył drzwi od mesy palaczy. A drzwi wyrznęły w kuchcika, który wylał gorącą zupę na plecy smarownikowi. Wyniknęły z tego liczne twarzobicia.

--- Przecież coś robię na statku --- mruknął bosman i zszedł na dół, by wziąć udział w boksowaniu Jima i kuchcika, dwóch popychadeł załogi.

Upał pastwił się nad światem, a ludzie nad ludźmi, jak zawsze....

--- Znowu! Czego oni chcą ode mnie. --- Abel Lazare, posłyszawszy pukanie, ukrył szybko fotografię swej przyjaciółki. Potem: --- Proszę wejść.

Wszedł steward.

--- Sir, depesza dla pana.

Abel Lazare skrzywił się, wietrzył nowe żalosne wieści z Anglii... A może znakomita policja angielska już ma pod kluczem *Wrogów Maszyny*?... Ożywił się, ale zaraz zgasł; steward miał minę wyraźnie współczującą. Bydle! Znał już treść telegramu. Trzeba powiedzieć Forbanowi, że jego telegrafista ma zbyt długi język... Gdy zmasakrowany karcącym spojrzeniem steward wyszedł z gabinetu, baron wyjął depeszę z koperty i spłynął spojrzeniem ma podpis.

--- Renard? Ki diabeł. Renard? Zaraz, zaraz... Aha, to ten szpicel...

Stary krezus już sobie przypomniął. Renard był prywatnym detektywem, miał własne biuro w Nicei i urzędował głównie na Riwierze. Jego specjalnością były sprawy bardzo delikatne. Na przykład dwa lata

temu na życzenie Lazare'a inwigilował jego dawniejszą przyjaciółkę, poprzedniczkę Fifi Chibois. Zdemaskował tę obłudną niewdzięcznicę, sfotografował ją *in flagranti* ze słynnym biegaczem, w ogóle spisał się nadzwyczajnie i otrzymał odpowiednie do zasług honorarium.

--- No tak, lecz teraz żadnego polecenia mu nie dawałem. Bo i kogo miałby śledzić? Fifi?! --- Abel Lazare parsknął śmiechem. Także pomysł. Kapitalnie zabawny! A właściwie idiotyczny i obrażający tę kochaną, zasnę i wierną dziewczynę. Krzywdzący ją! --- O, nie, stary durniu! Jeśliś wpadł na łotrowski koncept, by z własnej pilności śledzić moją ślicznotkę, toś chybił szpetnie! Za to ręczę!... I tym razem pięciu tysięcy nie zarobisz. Ani za stracony czas ci nie zwrócę, niefortunny szpiclu. Aleś wpadł, chi, chi, chi...

Ubawiwszy się kosztem pana Renarda, baron Abel Lazare ot tak z ciekawości tylko rzucił okiem na depeszę. Oto jej dosłowny tekst:

*pan baron abel lazare stop jacht power stop w godzinę po pańskim odjeździe mlle fifi chibois udała się do kasyna w cannes stop tu w hallu czekał na nią pan romeo barierra mistrz w oszczepie z którym poznała się już dawniej na plaży stop po czterech schadzkach przygotowawczych stop dokładny inwentarz pocałunków i wstępnych pieszczot posiadam stop nastąpiły tej nocy fakty konkretne w pańskiej willi w juan stop sfotografowałem in flagranti stop *corpus delicti* z narażeniem życia zdobyłem stop czy to przysłać i dokąd stop czekam na dokładne instrukcje stop do dalszych usług zawsze gotowy i oddany*

renard

Baron Lazare gwałtownym ruchem zerwał sobie kołnierzyk z szyi. Miał wrażenie, że udusi się z gorąca. A przecież gabinet gospodarza był bardzo przestronny, wszystkie iluminatory otwarte i olbrzymi wentylator malajski warczał bez przerwy u sufitu. W porównaniu z kotłownią...

W kotłowni rzekomi bracia Boucherowie znowu pozostali sami. Młody praktykant także zemdłał. Asystent z węglarzem wywlekli go stąd, lecz trzeciego palacza nie przysłano dotychczas.

--- Znowu we dwójkę, znowu przy węglu.

Starszy zadrżał. Z zabobonnym lękiem spojrzął w ciemną czeluść luku, z którego węglarz, w tej chwili tu nieobecny, wygarnął już prawie cały zapas bunkru. --- Tak, tak; we dwójkę i przy węglu --- powtórzył głucho --- brakuje do kompletu tylko... Pawła Dardenne'a...

--- Bartek! Nie wywołuj ty go --- jęknął młodszy. --- Znów mi się przyśni!

--- Przyśnił ci się. tylko? A ja z nim gadam na jawie, kiedy chcę.

--- Zwariuję przy tobie, zwariuję! Czemu ty siebie dręczysz?! I mnie także?! Przecież nie szliśmy tam, żeby zabijać, ino skraść trochę węgla. A to straszne nieszczęście wydarzyło się całkiem niechcący! Na moją matkę!

--- Chcący, czy niechcący, ale człowiek zginął. Przez nas!

--- Milcz! --- syknął młodszy, widząc, że żelazne drzwiczki wiodące z kotłowni do oddziału maszynowego odmykają się powolutku. Starszy tego nie mógł dostrzec, był tyłem zwrócony do tych drzwiczek. Krzyczał coraz głośniejsze:

--- Przez nas! Myśmy go zabili! My! Jego krew na nnn... --- urwał i runął na kupę węgla. Młodszy musiał

go ogłuszyć lekkim ciosem pięści w głowę, gdyż do kotłowni wkraczał właśnie drugi mechanik. Ich obecny tyran!

Wszedł. Spojrzał tylko na manometry, uśmiechnął się dziwnie i wyszedł. Nie rzekł ani słowa! On, co tak lubił wymyślać, lżyć, kłąć... Leżącego palacza nawet nie raczył zauważyć...

--- Czy słyszał?! --- Młodszy walił się pięściami po głowie. --- Na rany Chrystusa! Czy on coś słyszał?!...

--- Czyś słyszał, gamoni, co mówię?! Bardziej w lewo --- warczał na pokładzie bosman; a ruchem rąk, przez omyłkę, wskazywał w prawo. I bądź tu mądry!

Spocony majtek szamotał się z nawiewnikiem, w różne strony wykręcał jego żyrafią szyję. Na próżno! Nie złapał wiatru ani krzty. Więc spojrzął z urazą na bosmana...

Spocony gentleman szamotał się z butelką, w różne strony wykręcał jej śliską szyjkę. Na próżno! Nie wypchnął korkowego grzybka ani krzty. Więc spojrzął z urazą na wytrzymałego von Eldena, który na czworakach łąził dokoła swej pupilki spoczywającej na stercie jedwabnych poduszek. Biedny mr. Forban ledwie dyszał, a olbrzymi, ciężki Niemiec dokazywał jak dzieciak; skakał, tarzał się po dywanach, ba, szczekał! Byle jakoś rozerwać osowiałą Putzi...

--- Sześćdziesiąt pięć minut --- westchnął gospodarz --- i nic. On nie poweźmie dziś żadnej decyzji nawet mimo tych sabotażów. Mówiłem przecież... Należało mu z rana dać na przeczyszcz... --- urwał wpół słowa. Lustrzane drzwi od srebrnego hallu otwarły się na oścież i stanął w nich baron Abel Lazare; czerwony był jak zakochany w słońcu pomidor.

--- Róbcie, co chcecie --- wycharczał. --- Zgadzam się na wszystko!!!

ROZDZIAŁ XI

Roger von Elden przyjął na swoje barki trud protokolanta.

--- Działo się na pokładzie jachtu *Power* --- dyktował sobie sam głosem silnie drżącym ze wzruszenia --- dnia 12 lutego roku...

--- Przepraszam. Zanotuj pan gdzieś obok, żebym nie zapomniał. A to jeden z najważniejszych punktów! Mianowicie: *Każdy z kontrahentów uroczyście przyrzeka oszczędzać przedsiębiorstwa pozostałych dwóch kontrahentów i dokładać wszelkich starań, by nigdy nie weszły w strefę napadu lotniczego.*

--- *Przyrzeka uroczyście* to za mało. --- Forban był szczerzy. --- Proponuję by każdy z nas deklarował po pięćdziesiąt milionów. Kapitał ten będzie służył na odbudowę tych naszych obiektów, których nie da się ustrzec przed zniszczeniem, a pozostałą sumę rozdzieli się później pomiędzy nas. W równych częściach! To będzie najlepsza gwarancja naszej wzajemnej lojalności, sądzę.

--- Dobrze, dobrze, tylko w którym banku chciałby pan zdeponować te nasze kaucje? --- Lazare łypnął podejrzliwym okiem na Forbana. Von Elden także.

--- W żadnym! Powołamy do życia nowe towarzystwo asekuracyjne, którego specjalnością będą ubezpieczenia na wypadek wojny. Rozumiecie mnie?

Pojęli w lot i pogratulowali mu szczerze. Lazare wprowadził poprawkę; że nie ma sensu pakować w tę instytucję aż sto pięćdziesiąt milionów, skoro ich zniszczone obiekty odbuduje się za pieniądze innych ubezpieczonych. Dość będzie trzy miliony.

--- Racja. Punkt drugi: *Wojna nie może trwać znów tak krótko, jak...*

--- W kwestii formalnej... Proponuję, by wyraz *wojna* zastąpić w naszym protokole innym określeniem. Na przykład: *koniunktura*.

--- Nie mam nic przeciwko temu.

--- Ani ja. Grunt, żeby ta koniunktura trwała możliwie najdłużej. I to mi musicie przyrzec!

--- Jak najchętniej... Lecz przewiduję pewne trudności...

--- Ja nie widzę żadnych. Wystarczy dopilnować, by nic nie zachwiało równowagi pomiędzy walczącymi. By nie doszło nigdzie do miażdżącej klęski.

--- Tak, ale w praktyce...

--- Nie ma żadnych *ale*. Jeśli która strona będzie zwyciężała, wstrzyma się jej dowóz naszych fabrykatów aż do chwili, gdy szanse znowu się wyrównają. Zresztą mamy przeróżne środki po temu, by przyjść z pomocą słabszym...

--- Wychodzę przy tym z założenia, iż z żadną narodowością, z żadnym państwem nie będzie się sympatyzowało!

--- Może pan być zupełnie spokojny, baronie. Nie lubię tylko Sowietów, gdyż nic nie kupują ode mnie... Wszystkie inne państwa są, choć w różnym stopniu, moimi klientami... jak również waszymi.

--- Pan baron przypił raczej do mnie.

--- Chi, chi, chi, panie von Elden. *Uderz w stół, a nożyce...*

--- Pan mnie uważa za Niemca.

--- No, z pochodzenia...

--- Pochodzenie, religia, nazwisko, to kwestia przypadku, jak płęć... Kiedyś, w młodości, byłem

rzeczywiście Niemcem. Lecz obecnie jestem przede wszystkim kupcem. A ojczyzną kupca jest cały świat!

--- Brawo, Rogerze!

--- Mogę was zapewnić, moi drodzy, że z jednakową przyjemnością będę dostarczał gazów i samolotów swoim Niemcom jak i Polsce. Że równie chętnie będę przyjmował nasze marki, jak złote, franki, liry czy...

--- Oho, franki! Byle nie za dużo, bo to moje podwórko! --- Baron Abel Lazare raczył żartować i przez dłuższą chwilę przekomarzał się wesoło z von Eldenem. Wszyscy trzej byli w świetnych humorach. Forban nie wahał się oświadczyć, że uważa dzisiejszy dzień za najszcześniejszy w swoim życiu.

--- Czuję się obecnie jak ten tam --- wskazał ścianę naprzeciw; jego rozległy gabinet pracy na jachcie *Power* był właściwie galerią obrazów. I jakich! --- Nie znajdziecie u mnie płótna, za które bym zapłacił poniżej dziesięciu tysięcy dolarów --- mawiał z dumą. Ale wśród mnóstwa grubo przepłaconych kiczów znalazło się przypadkiem kilka wcale dobrych płócien. Do nich należało to, które mr. Forban wskazał właśnie swoim gościom. Obraz przedstawiał finisz jakiegoś biegu: Półkole olbrzymich trybun pokrytych mrowiem widzów, jako tło. Bliżej, w świetnej perspektywie, sylwetki zawodników walczących o drugie miejsce. A hen przed nimi i na pierwszym planie zwycięzca w momencie przerwania taśmy. Wspaniałe dryblas *en face*, żyły nabrzmiałe z wysiłku, oczy trochę wpadnięte, ale twarz roześmiana, promieniejąca szczęściem.

--- Ma się wrażenie, że on wyskakuje z obrazu na salę i pędzi, pędzi...

--- Tak, tak, Rogerze... A pan baron nawet nie spojrzał.

--- Owszem, mr. Forban.

--- I podoba się panu? On mnie kosztował...

--- Wykonanie niezłe, lecz temat... brrr, ohydny! W ogóle nienawidzę sportowców, rekordzistów, mistrzów i jak tam jeszcze zwiecie tych przeklętych darmożjadów! --- wybuchnął. Nic dziwnego. Dwa lata temu słynny szybkobiegacz przyprawił mu nowe rogi. A dzisiejszej nocy rekordzista w oszczepie zabrał mu Fifi. Jemu! Mistrzowi świata w robieniu milionów! --- Hołota!

--- Samuelu, czyje to płótno?

--- No, moje! Kosztowało...

--- Małe nieporozumienie. Pytam o malarza.

--- Jak to, nie poznałeś?! Trzysta pięćdziesiąt tysięcy franków dałem! Oryginalny, pod gwarancją autentyczny Lolez!

--- Ruiz Lolez?! Ooo! --- Nawet Abel Lazare zainteresował się teraz, choć nadal nie cierpiał tematów sportowych. Przez dłuższą chwilę odmieniali we wszystkich przypadkach nazwisko Ruiz Lolez...

Ruiz Lolez wstał tego dnia wcześniej. Wypędziła go z łóżka wrzawa dobiegająca z dołu. Czyżby ze studia. Zmarszczył brwi, zadzwonił energicznie.

--- Dlaczego wpuściłeś je do studia?!

--- A co miałem robić? Już przed godziną w poczekalni zrobił się taki ścisk jak w pudełku sardynek. Gorzej! Jak w metrze o siódmej wieczór! Ich tam czeka chyba ze sto i wciąż jeszcze nowe przychodzą.

--- Sto powiadasz, Gervais? Po jednym maleńkim ogłoszeniu! --- Oczekiwał komplementu. --- Jest się popularnym troszeczkę, co?

--- Zasluga kryzysu, nic więcej. Do każdego polecą tłumnie. --- Gervais za wiele wiedział i proporcjonalnie do tego sobie pozwalał.

Jednak Gervais tym razem miał słuszość. Kryzys to sprawił. Gdy Ruiz wyelegantowany, jak zawsze, wyszedł z sypialni i pojawił się na galeryjce obiegającej wysokie studio dokoła, gwar ucichł, jakby nożem uciął, i osiemdziesiąt par oczu skierowało na niego błagalne spojrzenia. Gdy powolutenku schodził na dół, powstały wszystkie. Gdy zatrzymał się dłużej już przy trzeciej z brzegu dziewczynie, poblady, zacisnęły usta i grymas nienawiści oszpecił na chwilę ich silnie uszmkowane twarze. Odetchnęły, kiedy ruszył dalej, skomlały wzrokiem, uśmiechały się obiecująco, przyrzekały oczyma wszystko, choć kalectwo malarza budziło w nich jednakowy wstręt. Cóż, kryzys! Dlatego oprócz znajomych sobie modelek Ruiz zauważył kilkanaście dziewcząt, które na pewno po raz pierwszy w życiu przestąpiły próg malarskiej pracowni.

--- Jest w czym wybierać, Gervais, co?

--- Ja tam już dla pana wybrałem coś specjalnego. Jest w jadalni.

--- Wybrałeś, powiadasz. Czyli dała dobry napiwek.

--- Ech, nadzwyczajności tam znów nie dała, ale zbudowana jest klasa!

--- Oglądałeś?

--- Ja poznam nawet przez futro.

Gawędząc tak poufale, dotarli do małych drzwiczek, które wiodły do jadalni. Ruiz Lolez wszedł z rozpędem i nagle stanął jak wryty.

--- Ppani? --- więcej nie zdołał wykrztusić.

Dziewczynę zdawało się dziwić jego zachowanie. Pytający wzrok przeniosła z garbatego malarza na jego lokaja, lecz Gervais był równie zdumiony.

Wreszcie Ruiz ochłonął, starał się ochłonać.

--- Gervais, zamknij drzwi... ale z tamtej strony --- głos mu drżał jeszcze, zwykła pewność siebie nie chciała powrócić. --- Mam wrażenie, że widzimy się nie po raz pierwszy.

--- Możliwe, proszę pana. Mieszkamy w Paryżu już od roku...

--- Hm, tak... Niech pani spocznie, proszę... Pani przychodzi w sprawie?...

--- Na skutek pańskiego ogłoszenia. I wolę od razu powiedzieć całą prawdę: Nie jestem zawodową modelką; w ogóle nigdy bym się na coś podobnego nie zdecydowała, gdyby nie... nędza.

Ruiz Lolez już ją zlustrował wzrokiem od stóp do głów; ubrana była bardzo skromnie, ale wygląd jej starannie pielęgnowanych rąk świadczył...

--- Nie pracowałam dotychczas nigdy --- uzupełniła jego myśl --- dość spojrzeć na moje dłonie, prawda? I nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będę zmuszona pracować. Jeszcze tydzień temu byłam narzeczoną dość zamożnego człowieka... łajdaka! Kłamcy, który... ale to nie należy do rzeczy... Panie Lolez, mam rodzeństwo i chorą matkę. Jesteśmy w strasznej sytuacji... Czy ja bym nie mogła sobie uczciwie zarobić trochę grosza jako modelka?

Nie odpowiedział nic. Był... wstrząśnięty! Kiedy po raz pierwszy ujrzał tę cudną dziewczynę, marzył o podobnej sytuacji, jaka się teraz wytworzyła. I oto jego marzenia urzeczywistniły się tak prędko! --- Sen? --- Nie wierzył jeszcze swojemu szczęściu...

--- A może... może ja się do tego nie nadaję? Może jestem za chuda?

--- Nnnie wiem. Trzeba by sprawdzić. --- Był pewien, że źle czyni, że ją spłoszy, ale ponad wszystko silniejsza była chęć ujżenia tego modelu bez balastu odzieży- --- Nnniech się pani rozbierze, to powiem.

Zaczerwieniła się aż po skronie. W jej dziecinnych oczętach odmalowało się bezgraniczne przerażenie.

Złożyła dłonie jak do modlitwy.

--- Panie Lolez, czy to naprawdę... konieczne? Ja... nigdy...

--- Rozumie się, że konieczne! --- Starał się mówić rubasznie, opryskliwie. --- Co pani sobie myśli, że modelki pozują w **dżemprach** i spódnicach?

--- Proszę się nie gniewać na mnie... Panie Lolez, mnie tak ogromnie zależy na każdej posadzie... Skoro pan każe, to ja... tylko proszę teraz na chwileczkę wyjść, dobrze? Za pięć minut będę gotowa.

--- Dobrze. --- Skierował się ku drzwiom, przystanął. --- A jak brzmi pani nazwisko?

--- Czy panu nie wystarczy samo imię? Z pewnych względów wołałabym...

--- Żadna praca nie hańbi, ale niech będzie tak, jak pani chce. Więc?

--- Na imię mi Lili...

W studiu zawrzało. Doświadczone modelki zważszy, że malarz znalazł już, czego potrzebował. Z różnych stron miasta tu przybiegły, tyle godzin kazano im czekać, a teraz mogą sobie iść do wszystkich diabłów. Chociaż żadnej nie kazano się rozebrać, żadnej nie obejrzano, nie spytano, u jakich mistrzów już pracowała. To jest, prawdę powiedziawszy, świństwo. Nieduże, ale zawsze...

--- Wyrzucić te pyskate dziewczki na zbitą twarz?

--- Dziewki! Widzicie go! Bezczelny sługus...

--- Gervais, proszę mi nikogo nie obrażać pod moim dachem... Teraz zwracam się do was, moje panie. Nic wam się nie należy, ani sou! Ale że spotkała mnie wielka, przeogromna radość, daję wam mały napiwek... Cicho, bez wiwatów... A podzielcie się sprawiedliwie! --- Wyjął portfel i najbliższej stojącej modelce wręczył ponętny banknot.

--- Tysiąc franków?! Niech żyje Ruiz Lolez! Niech żyjeee!!!

--- Ile dał? --- pytały dalej stojące. --- Tysiąc franków! Tysiąc!

--- Wychodźcież już, panienki...

--- I ty wyjdź, Gervais. Nie będziesz mi tu potrzebny.

--- Rrrrozumiem.

--- Tysiąc franków dał. Ile nas jest? Ile to wypadnie na każdą?

--- Wyjął portfel i lekką ręką dał tysiąc! To mi pan; Tysiąc!!!

Wszystko jest względne, zwłaszcza wartość tej samej kwoty dla różnych osób.

Tysiąc franków dał Ruiz Lolez modelkom. Na każdą wypadło po dwanaście i pół franka zaledwie, ale były to same nędzarki. Gest słynnego malarza uszczęśliwił je na cały dzisiejszy dzień. Do późnego wieczora osiemdziesiąt dziewcząt chichotało z radości. Za tysiąc franków!

Tysiąc franków dziennie miał odrzucać kapitał uzyskany ze sprzedaży masy spadkowej po śp. Pawle Dardenie. Niepocieszona wdowa od tygodnia przeprowadzała kurację odtłuszczającą. Straciła już trzy kilo! W dzielnicy trzynastej wszyscy jej szczerze współczuli. --- Ta biedna Hortensja musiała ogromnie kochać nieboszczyka. W oczach chudnie! --- O wizytach w *Institut de Beauté* nikt nie wiedział. Za to *Instytut* już wiedział, ile odziedziczyła madame Dardenne, i zdrożał. W ciągu tygodnia zdążył od niej wydoić trzy tysiące. Za ubytek trzech kilo wagi. Stąd iloraz: kilogram mięsa pani Hortensji Dardenne kosztował tysiąc franków!

Tysiąc franków kaucji należało złożyć, żeby czupurny Maciek Ropa mógł odpowiadać z wolnej stopy. Niestety, Urban Kallinos nie posiadał tyle wolnej gotówki... Zosia nie chciała być ciężarem zacnemu wujowi. Od rana do nocy pracowała w jego sklepiku i namawiała klientelę do jak największych zakupów. --

- Może się zbierze na kaucję dla Maćka? --- Rychło zrozumiała, że się ludzi; za dzisiejszy utarg kupowało się jutro w Halach nowe prowianty i tak w kółko. Przemyśliwała więc całymi godzinami, skąd by tu wytrzasnąć taką sumę. Aż w końcu przypomniała sobie spotkanie z malarzem. --- Jakże on się nazywał ten garbus? Mieszkał przy bulwarze Raspail, to na pewno, lecz nazwisko? --- Miała żal do małego kuzynka, że podarł wizytówkę malarza. Nieznośny Pierre! Przez niego ona nie może złożyć kaucji za uwięzionego brata, nie może zarobić upragnionego tysiąca franków...

Tysiąc franków skusił Remigiusza. Rémi Ollivier był szoferem u dyrektora paryskiego oddziału Hispano-Suizy. I wraz z dyrektorską limuzyną został wypożyczony znakomitej klientce, miss Violet Forban, na czas, aż obeschnie szafirowy lakier na kupionym przez nią wozie. Miss Violet ofiarowała Remigiuszowi tysiąc franków tygodniowo. --- Wiem, że przepłacam, ale tak się już przyzwyczaiłam do tego wesołego chłopaka... --- Oczywiście Rémi Ollivier równie łatwo przyzwyczaił się do kaprysów swej nowej chlebobawczyni. Jeżeli się ma tygodniowo tysiąc franków...

Tysiąc franków wlepił urząd podatkowy Gaspardowi Duvetowi... dodatkowo. Właściciel *Malej Alhambry* szalał z wściekłości. --- Podatki i podatki! Naturalnie, na zbrojenia! Dlatego, że Polsce zachciewa się wojenki ze spokojnymi Niemcami! Dlatego Francja musi stać z bronią u nogi i rujnować swoich obywateli! Tysiąc franków! Skąd ja to wezmę? Jestem zrujnowany, zniszczony. Jestem bankrutem! --- Aby się uratować przed bankructwem, wyrzucił starego kucharza; jego dwaj pomocnicy wystarczą. Poza tym całemu personelowi obniżył pensje o dalsze piętnaście procent. --- Podziękujcie za to naszym militarystom i naszym drogim pupilkom znad Wisły! --- Lecz na razie należało zapłacić podatek. Gaspard Duvet zajrzał do swej sekretnej buchalterii. Saldo jego konta w *Crédit Lyonnais* wynosiło równe dwieście pięćdziesiąt tysięcy franków, tego nie należało tykać. Żelazna rezerwa. Świętość! Do wypłat bieżących służył rachunek czekowy w *Société Generale*. Saldo per pierwszy luty... rozpacz!... zaledwie sto dwanaście tysięcy siedemset pięćdziesiąt pięć franków. A niegdyś było tam trzy razy więcej. Kryzys! Ciężko wzdychając, Gaspard Duvet zaczął wypełniać czek na tysiąc franków...

Tysiąc franków, czyli około sto siedemdziesiąt marek, rozchodzi się w Niemczech diabelnie szybko, jeżeli się jest w podróży. A chemik Mikołaj Gaharin nie zastał Koppa we Frankfurcie nad Menem. Inżynier Kopp wyjechał do Düsseldorfu. Więc jazda za nim. I znowu zawód. Pan Kopp wyjechał wczoraj do Berlina, gdzie ma pozostać, dopóki pan Roger von Elden nie wróci z zagranicy. **Nolens volens** wyruszył Gaharin do Berlina, dojechał i ugrzązł w łożku. Grypa. Jak pech to pech. Po tygodniu zaczęło ubywać gorączki. Pieniądzy również: pensjonat, lekarz, aptekarz. Gaharin jeszcze nie widział się z Koppem, jeszcze nie wiedział, czy tu dostanie posadę, a już zmieniał na marki drugie tysiąc franków...

Tysiąc franków jako banknot to spory kawał cieniutkiego papieru, potłuszczonego przez handlarki z *Halles Centrales* i podziurawionego jak sitko szpilkami kasjerów w bankach. Gentlemani do gry takich wstrętnych płacht nie używają. Od tego są śliczne kościane sztony. Żółte to setka. Zielone pięć stówek. A tysiączki są szkarłatne jak krew...

Ale à propos krwi. W Lens, w tej samej kopalni, w której ongiś pracował Bartek Ropa, zdarzył się przykry wypadek. Na skutek telegraficznego polecenia właściciela, barona Abła Lazare'a, dyrekcja zarządziła nową obniżkę płac. Naturalnie huczek, wiecowanie, wybór delegacji i tym podobne zwykłe ceregiele. Dyrektor oczywiście przyjął delegację, trzeba im się pozwolić wygadać. Potem rzeczowa argumentacja, cyfry, cyfry, cyfry. Kopalnia pracuje z deficytem, dlatego dyrekcja musi obniżyć płace. Deficyt wynosi

dziennie tysiąc franków...

--- Łgarstwo! --- Krewki delegat wsunął dłoń do kieszeni, ale dyrektor nie pozwolił się uprzedzić. Wypalił, trafił, zabił. Okazało się potem, że delegat nie miał żadnej broni przy sobie i chciał tylko wyciągnąć z kieszeni swoje notatki. No, ale skąd dyrektor mógł o tym wiedzieć? Działał we własnej obronie... Wzburzony tłum zaczął oblegać gmach dyrekcji. Lecz w ciągu godziny przybył z Lille na samochodach większy oddział żandarmów. Demonstranci uspokoili się od razu. Zwłaszcza ci trzej, których odwieziono do kostnicy. Sytuację opanowano. Gdyby nie powybijane szyby, nikt by się nie domyślił, że w Lens było jakieś starcie. No i gdyby nie szkarłatne ślady krwi...

Ale wróćmy do gry gentlemanów. Młody baron Armand Lazare używał wyłącznie szkarłatnych sztonów. Trudno, *noblesse oblige*. Trzej przyjaciele ogrywali go *viribus unitis*, systematycznie, lecz z umiarem. Najwyżej po sto sztoników na seans, żeby chłopca nie zniechęcać.

Tego dnia, kiedy Ruiz Lolez dał modelkom tysiąc franków napiwku, a w Lens były małe rozruchy, gentlemanom gra się zupełnie nie kleiła. Karty szły podle: para, dwie pary, co najwyżej strit. I bluff nie wychodził jak należy. Po dwóch godzinach solidnej pracy trzej przyjaciele zarobili zaledwie szesnaście sztonów. Nuda pełzała po zielonym stoliku. Armand Lazare ziewnął, spojrzął na zegarek. Gospodarz struchlał. Potrzebował nieuchronnie pięćdziesięciu tysięcy, a tamten już zaczął spoglądać na zegarek. Gospodarz zagwizdał kilka taktów z *Traviaty*. Znaczyło to mniej więcej: *Uwaga, chłopcy: jedziemy na całego. Trzeba coś zarobić.*

--- Otwieram... hm, powiedzmy... pięć sztoników.

--- Te pięć i dziesięć.

--- I moje piętnaście.

--- Te piętnaście i trzydzieści --- ziewnął Armand.

Żle! Armand musiał dostać z ręki mocną kartę. Armand nie umiał blefować i, na szczęście, grał jak ostatni patalach. Gospodarz zagwizdał dla odmiany początek oklepanej arii z *Pajaców*. Był to sygnał, że jeden ze współników ma spasować, zabawić się w kibica i "zatelegrafować", jaką kartę ma *nasz kochany Armand...*

Armand dostał z ręki trzy dziesiątki, a dokupił parę waletów. Lecz nie od razu pokazał swoją kartę ciekawemu kibicowi. --- Jestem trochę zabobonny, wiesz przecież. Ile razy pokażę komuś kartę, leżę jak długi. --- O, święta naiwności!

Gdy kibic wreszcie zaspokoił swą ciekawość, w puli leżało już przeszło trzysta tysięcy. Melodia z *Toski* ostrzegała przyjaciół przed niebezpieczeństwem. Gospodarz odpowiedział arią torera z *Carmen*. Oznajmiał, że jest gotów na wszystko i będzie ratował sytuację "bluffem gentlemeńskim. Bo ma tylko dwie pary.

--- Zamykam.

--- Chwał się.

Armand Lazare pokazał z dumą swojego fula.

--- Przegrałem. Mam tylko trójkę. --- Sąsiad z lewej strony miał *de facto* słabiutką parę, lecz gentlemanowi można wierzyć na słowo. Nie tylko można, ale trzeba! Inaczej sprawa honorowa! Toteż gospodarz poszedł w ślady współnika. Najpierw położył swoje karty na talii, potem przyciągnął ku sobie pulę, a wreszcie oznajmił z czarującym uśmiechem, że miał czwórkę. Na tym właśnie polegał *bluff gentlemański*.

--- Czwórkę? Niemożliwe! --- Nietaktowne odezwanie się Armanda puścili mimo uszu. Wiedzieli, że jemu nie chodzi o pieniądze, lecz o satysfakcję. Od niepamiętnych czasów nie miał tak mocnej karty.

--- Miałeś pecha. Z fulem nabić się na czwórkę, tak, to pech.

Zawiedziony Armand spojrział w stronę talii. Swędziła go ręka, by zająrzeć i sprawdzić, ale przyjaciele czuwali. Ustrzegli go przed popełnieniem takiego *faux pas*. Sąsiad z lewej zaczął szybko tasować karty.

--- *Parbleu!*... Hm, hm, a jaką czwórkę miałeś?

Ufff! Bardzo nie mile pytanie przy *bluffie gentelmańskim*. Gospodarz już zdążył zapomnieć, jakiego fular miał kochany Armand. Lecz kibic pamiętał.

--- Założę się, drogi Armandzie, że miał cztery dziewczki.

--- Istotnie, tak było. Miałem harem. Niewiasty ciągną do mnie...

--- W kartach! W życiu tylko Armand ma do kobiet szczęście. Prawda?

--- Hm.

--- O, my wiemy, co takie *hm* oznacza! Zresztą, kto nie ma szczęścia w kartach, ten ma w miłości, che, he, he...

Armand Lazare przymrużył oczy. Myślał. Szukał we wspomnieniach choćby jednej pieszczoty, za którą by słono nie zapłacił. Chociażby pocałunku!... Nie. Wszystko było zapłacone solidnie... Stop! A Violet Forban? A jej dziewiczy pocałunek na dancingu? Bezinteresowny! Armand Lazare uśmiechnął się błogo. Postanowił odwiedzić *tę małą* jeszcze dzisiaj. Powinien to był uczynić już dawno, ale... ale... o, jest!... miał grypę. Doskonała wymówka.

--- Ile w sumie przegrałem? Bądźcie łaskawi zliczyć...

Byli tak łaskawi, i leciuteńko zaokrąglili swoją wygraną, po czym młody baron wystawił czek na dwieście czterdzieści pięć tysięcy franków. I przez roztargnienie tam, gdzie sumę należało wypisać słowami, nagryzmolił: *mała Violet*... Śmiechom i żartom nie było końca. Armand jest zakochany! Nawet na czekach wypisuje imię swej bogdanki. A któż to jest ta mała Violet? Mężatka? Rozwódka? Artystka? Słowem, puszczalska? Nie, nie, Armand nie lubi dyletantek, To jest na pewno jakaś profesjonalistka, co?

--- Nie, moi drodzy. To jest dziewczica, którą ja pierwszy...

--- On pierwszy! Współczuję. Wątpliwa przyjemność, raczej praca...

--- Ależ pozwól... Jeszcze nie dokończyłem...

--- Nie dokończył! Świetne! On woli na raty, cha, cha, cha, cha...

--- My chętnie dokończymy za ciebie.

--- Jeżeli obiekt jest ładny... Armand, jak się wabi ta mała?

--- Może ją znam... z łóżka? Jak się nazywa?

--- Darujcie, moi drodzy, ale gentleman, gdy chodzi o kobietę, milczy!

I milczał jak grób. Dopiero w kwaciarni dowiedzieli się, że chodzi o miss Violet Forban. Armand, zapewne przez roztargnienie, wymienił głośno jej nazwisko i adres, wręczając kwaciarce swój bilet. A przyjaciół musiał tutaj przyprowadzić, żeby mu pomogli wybrać odpowiednie kwiaty. Wybrany kosz storczyków kosztował równe pięć tysięcy. Posłaniec rozdziawił gębę, osłupiał, potem przycisnął dłoń do zapadniętej piersi, by uciszyć oszalały rytm serca. Jakiż napiwek da ten bogaty królewicz, który z czarującym uśmiechem płaci pięć tysięcy za kwiaty dla swojej bogdanki? Och, na pewno pięćdziesiąt franków! Albo więcej! On przecież nie rozróżnia banknotów. Da setkę, ani mrugnie. Ale niechby dał

pięćdziesiąt. Niechby dwadzieścia. Dziesięć. Za dziesięć franków można żyć dwa dni. Nawet trzy, jeżeli się nie jest wymagającym...

--- Armand, spójrz no na tego głodomora. Pożera cię wzrokiem.

--- Ludożerca, chi, chi, chi.

--- Dajcie pokój biedakowi. On także chce żyć. --- Armand Lazare był zawsze bardzo wrażliwy na nędzę, setki kwest odbyły się pod jego łaskawym protektoratem. Więc i tym razem jego czułe serce wzruszyły wymowne spojrzenia głodomora. Wciągnął rękawiczkę, przyjaźnie poklepał posłańca po ramieniu, powiedział z ujmującym uśmiechem: --- To dla was, mój stary --- i dał mu pół franka.

ROZDZIAŁ XII

inżynier gottfried kopp

eden hotel berlin

czekam pana nieodwołalnie jutro w rzymie stop lecieć w dwa samoloty stop z willi proszę wziąć serdaczek mojej putzi i przywieźć go z sobą stop gdzie zamieszkam w rzymie jeszcze nie wiem stop powiedzą panu w naszej ambasadzie stop więc do jutra

roger von elden

*

Wielmożny Panie!

Nie piszę do szwagra, bo się boję, że policja mogłaby list przejąć. Więc piszę do Pana. I błagam, niech Pan zaraz po przeczytaniu ten list spali. My i tak tylko dziś stoimy w tym Neapolu i zaraz stąd uciekamy dalej, ale zawsze policja miałaby ślad, a tak to ona nie wie nic.

Nic nie wie policja, Panie Kallinos. Nic! W Awinionie czytaliśmy gazetę. To wszystko kłamstwo! A najgorzej kłamie pani Hortensja Dardenne. Myśmy nie są winni śmierci jej męża, to Panu przysięgam na swoją duszę i na życie moich ukochanych dzieci.

Co robią te moje biedactwa? Och, Zaczny Panie Hieronimie! Tylko jeden Bóg to wie, jak mi strasznie ciężko na duszy, że moje dzieciątka pozostały tam bez nijakiego zaopatrzenia i w ostatniej nędzy. Wierzę, że Pański Szlachetny Brat, a mój Najukochańszy Szwagier, nie pozwoli im zmarnieć, że głodu u niego nie zazną, ale skąd on przychodzi do tego, by troje siostrzeńców utrzymywał? Więc postanowiłem pracować jak koń i każdy zarobiony grosz jemu posyłać, aby choć w części mu oddać te wyłożone pieniądze. Więc już przy tym liście posyłam mój pierwszy zarobek, pięć amerykańskich dolarów. Dla Urbana.

Panie Hieronimie, niech Pan pozdrowi Urbana i moją Siostrę, i niech Pan ucałuje ode mnie gorąco moje niebożęta, Zośkę, Jędrusia i Maćka. A Panu nisko się kłaniam i dziękuję za dobre chęci, że mi Pan chciał wyrobić posadę w "Małej Alhambrze". Niechaj Bóg wynagrodzi Panu. I jeszcze raz... na Boga, który wszystko widzi... klnę się, Panie Kallinos, że ani ja, ani Manetti nie jesteśmy winni śmierci Pawła Dardenne'a.

Pięknie Pana i Wszystkich pozdrawiam,

Bartłomiej Ropa

*

lucien lest hotel chatham

rue daunou paris 2 e s

porozumienie nareszcie osiągnięte stop jedziemy jutro do rzymu stop pański natychmiastowy przyjazd niezbędny stop by nie tracić czasu proszę kosztorys przygotować w czasie podróży stop oczekuję pana najpóźniej piętnastego stop

*

Kochany Braciszku!

Nareszcie! Nareszcie doczekaliśmy się tej radosnej chwili. Piszę do Ciebie z lotniska w Le Bourget. Lecę do Rzymu na spotkanie z triumwiratem, wezwany depeszą Forbana. Spakuj manatki i przenieś się natychmiast do Paryża, żebym Cię miał bliżej pod ręką. Zamieszkas u mnie, w "Chatham", portierowi już mówiłem. W czasie mej nieobecności skomunikuj się z naszymi ludźmi, by czasu cennego nie tracić.

Ściskam Cię, Drogi Dawidzie serdecznie

Twój Lucjan

*

agencja wolffa berlin

jacht power przyplłynął z neapolu do ostii dziś 14-go o 7-ej rano stop

trzej multimilionerzy udali się do rzymu samochodem stop po złożeniu oficjalnych wizyt byli na śniadaniu w ambasadzie niemieckiej po czym około godziny 18-tej powrócili do ostii gdzie oczekiwał ich liczny zastęp dziennikarzy włoskich i korespondentów zagranicznych pism stop niestety nikomu nie udzielono wywiadu stop tylko wasz korespondent był w tym szczęśliwym położeniu że mógł zamienić kilkadziesiąt słów z baronem lazare'em stop

w trakcie tej rozmowy baron lazare dał wyraźnie do zrozumienia że za największy kataklizm XX-go stulecia uważa pokój wersalski i że bez rewizji traktatów nie może być mowy o utrzymaniu pokoju w europie nawet na najbliższą metę stop bliższe szczegóły jutro stop nie lada sensację wywołał fakt iż dyktator wloch przebywający jak wiadomo w genui od trzech dni powrócił dziś po południu samolotem do rzymu i jutro ma przyjąć trzech krezusów na specjalnej audiencji stop

dr mockerle

*

Violet, Kochanie Ty Moje!

Nareszcie list od Ciebie. Szalona radość! Z uciechy piję duszkiem Twój ulubiony "Waikiki-chickling".

Potem otwieram list, prawie mdleję. Byłaś chora, Ptaszyno Słodka. I mnie nie było przy Tobie! Och! Z rozpaczny żłopię ordynarny gin. Czy oni robią gin naprawdę ze zboża? A tak mi się brzydko odbija, brrr...

Wiem, że jesteś spragniona nowin, że chciałabyś sobie ze mną pogawędzić miło, kulturalnie, jak zawsze. A zatem:

Mabel znów się rozwiodła, chce chyba dociągnąć do małego szlema. Z 6-tym mężem poszło jej

nadzwyczajnie. Wytargowała 2 miliony, bo wiedziała o jakichś tam podatkowych aferach mężusia. Sprytna kobietka.

Biedna Eve chciała pójść w jej ślady i wsiąkła. To ciele nie ma pojęcia o szantażowaniu mężczyzn.

*Molly ma nowego ami. Naturalnie dostał od razu **synekurę** u jej męża. Jest kasjerem, bo wszystkie wyższe stanowiska zajęte przez jego poprzedników. U nas, w towarzystwie, krąży teraz wesola ploteczka, że późniejsi przyjaciele Molly będą się musieli zadowolić posadą woźnego w banku jej małżonka...*

Zmartwisz się, Kochanie. Joan udowodniła rachunkami, że wydaje na toalety miesięcznie 115.000 dolarów. Zrób jej kawał i pobij ten rekord. Ona pęknie ze złości, a Ciebie jedną stać na taki budżet. Zrób to dla naszego kółka, prosimy Cię serdecznie...

Ach, Boże, gdzie moja głowa! Twój list leży nieprzeczytany, a ja już odpisuję. Zaraz to uczynię. Na razie całuję Twoje cudne oczy i ręce, i usta, i wszystko,

Twoja do śmierci Maud

New York, nie wiem którego lutego, godzina, och, znowu stanął.

PS. Byłabym zapomniała o najważniejszym. Czy Twój ojciec zerwał naprawdę z Marion Wood? Bo mój szwagier wziąłby ją chętnie "na stajnię", ale nie chciałby się narażać takiemu potentatowi jak Twój ojciec. Więc zapytuje przeze mnie, jak sprawy stoją.

*PS. Jeszcze jedno. Czy nie wiesz przypadkiem, co to jest "**perwersja**"? Nie mam leksykonu pod ręką... Gadało się wczoraj o wyborze nowej Miss New Yorku. Naturalnie wysunęłam Twoją kandydaturę, a na to jeden bubek, który się do mnie trochę przystawiał: Nasza Violet piastuje już godność Miss Perwersji. To jej wystarczy.*

PS. Tylko nie myśl, Kochanie, że ja się z tym bubkiem zadaję. Z nikim! Tylko do Ciebie należałam i pozostanę Ci wierna aż do śmierci. A Ty???

*

polska agencja telegraficzna

królewska 5 warszawa

niebýwała kompromitacja korespondenta rzymskiego agencji wolffa stop

baron abel lazare kategorycznie zaprzecza jakoby w ogóle rozmawiał z jakimkolwiek dziennikarzem w rzymie stop wyjaśniło się że dr mockerle rozmawiał z von eldenem i omyłkowo wziął go za lazare'a stop

trzej najbogatsi ludzie świata są w tej chwili na audiencji u szefa włoskiego rządu stop dalsze szczegóły w nocy stop

*

Rzym 15, 2

Droga Córeczko!

Nienawidzę listów, niestety tego, co Ci chcę powiedzieć, nie można podawać w depeszy, która przez tyle rąk przechodzi.

Do Paryża nie wrócę... na razie. Popłynę stąd jachtem prosto do New Yorku, gdzie będę intensywnie pracował przez kilka miesięcy.

Musisz więc przez ten czas sama o Sobie myśleć. Zostań w Paryżu lub wracaj do Stanów czy jedź do Egiptu; rób, jak Ci dogadza. W każdym jednak razie utrzymuj kontakt z p. Armandem L. Bardzo by mi było na rękę, gdybyś już w tym. roku mogła zostać baronową L. I wierzę, że moja dzielna Violet tego dopnie.

Równocześnie daję zlecenie, by na Twoje konto czekowe w "Rotschild Freres" przelano dalsze 2 miliony. A skoro to przetrwonisz, Moja Kochana Utracjuszko, kropnij depeszę do

ojca.

*

dawid lest hotel chatham

paris 2-e

załatwiłem pomyślnie stop zaliczkę dostałem stop robotę mamy rozpocząć natychmiast stop wracam paryż 19-go stop czekaj mnie na lotnisku lucien

*

Berlin dnia 18 lutego

Kochana Żono!

Dziękuję Ci za poczciwą troskliwość, ale ja naprawdę jestem już zupełnie zdrowy. Nudzę się tylko, czekając na powrót inżyniera Koppa. Sprawa była właściwie załatwiona i w najbardziej nieodpowiednim momencie diabli nadali jakąś depeszę, po której Kopp musiał natychmiast wyjechać. Dzisiaj powiedziano mi w biurze, że Kopp wróci pojutrze.

Czynisz mi wyrzuty, że przez 4 dni nie napisałem ani kartki do Ciebie. To prawda, Jadziuniu. Ale czy wiesz, czemu milczałem? O, na pewno! Ty zawsze przeczujesz, odgadniesz. A więc tak. Spotkałem Wandę! Lecz pozwól, że Ci opowiem to zajście od początku. Muszę. Nie chcę, by znowu cała wina spadła na mnie....

Jak już napomknąłem w poprzednim liście, spotkałem po wyzdrowieniu kilkunastu naszych berlińskich znajomych. Czy pamiętasz małego Selda? Gdy uciekliśmy z Rosji do Berlina, zamieszkaliśmy najpierw w Neuköln przy... jeśli pomnę... Saalestrasse. Nasz pierwszy gospodarz nazywał się Seld. Jego syn Franz

bawił się z naszymi dziećmi, brał je "na barana" i uczył piosenek niemieckich. Kochany, mały Franz... A dzisiaj "mały" Franz jest wspaniałym mężczyzną i grubszą rybą wśród brunatnych koszul. Zmienił się nie do poznania...

Otóż w towarzystwie Franza Selda i kilku podwładnych mu hitlerowców znalazłem się 13-go bm. w "Romanisches Cafe", gdzie ongiś chodziłem z Tobą, by przyjrzeć się z bliska sławnym artystom. Pamiętasz, Jadziu?

Rozmawialiśmy o mojej nowej posiadzie, o naszym powrocie do Niemiec. Okazało się, że Franz zna bardzo dobrze inżyniera Koppa. Powiedział: --- Wyświadczyłem mu dużą przysługę w zeszłym roku i on się ze mną liczy. Skorzystam z tego, by panu dopomóc, kochany panie Gaharin. --- Notuję ten szczegół, byś mogła lepiej zrozumieć moją sytuację w danej chwili... Podziękowałem mu, rozmowa zeszła na polityczne tory, nagle jeden z "brunatnych" zacisnął pięść, palnął nią w stół. --- Znowu spotykam tę dziwkę! --- rzekł prawie głośno.

Nie wiedziałem, o kim mówi. Siedziałem do drzwi tyłem zwrócony, nie chciało mi się odwracać głowy. Bo i dla kogo? Dla jakiejś, jak ten powiedział, dziwki?

Moi towarzysze uśmiechnęli się wzgardliwie, tylko ten wojowniczy hitlerowiec nie mógł się uspokoić. --- Warto by jej dać małą nauczkę! To przecież skandal, żeby w biały dzień kolportowano w lokalach publicznych bibułę pacyfistyczną! --- Pacyfistyczną! Ty wiesz, Jadziu, dlaczego mnie to zelektryzowało.

Spytałem z głupia frant, czy ruch pacyfistyczny rozwija się w Niemczech. Zaprzeczyli żywo. --- Na szczęście, nie! I gdyby nie ten przekłety maniak Elden... --- Tu przerwałem Franzowi. --- Roger von Elden jest pacyfistą?! --- Wyprowadzili mnie z błędu. Roger v. E. ma jedyne syna i właśnie ten jest obecnie głównym krzewicielem pacyfistycznych mrzonek w Niemczech.

Czupurny hitlerowiec wskazał kogoś ręką. Rzekł głośno: --- A to jest kochanka Jana Eldena i kolporterka jego głupich wypocin dziennikarskich...

Obejrzałem się z ciekawości, osłupiałem. To była Wanda! --- Swoją drogą, niebrzydka dziewczyna; prawda, panie Gaharin? --- Skierowałem przerażony wzrok na Franza, byłem pewny, że spotkam jego szydercze spojrzenie. Ale nie. Nie poznał jej, na moje szczęście. Na nasze szczęście, Jadziuniu. Ty na pewno nie zdajesz Sobie sprawy z tego, jakie dziś są w Niemczech stosunki...

Wanda zbliżała się powoli do naszego stolika, rozdając jakieś ulotki. Wyrwałem co prędzej gazetę z kieszeni, rozpostarłem ją jak najszerzej i zasłoniłem się przed jej wzrokiem tym murem z papieru.

Lecz zerkąłem nieustannie. Cieszyłem się, że tak wyrosła, tak wypiękniała, a radość zatruwało mi tylko jedno: "Kochanka Jana Eldena". Ty ją na pewno usprawiedliwisz. Byłaś zawsze bardziej "postępowa" ode mnie... Ja nie mogę. Wanda czyjąś kochanką! Och!

Już tylko jeden rząd stolików nas dzielił. --- Czy mogę ją kopnąć? --- Na szczęście Franz skarcił tego awanturnika i kazał mu zachować się przyzwoicie. Lecz tamten i tak nie wytrzymał. Gdy ulotka spłynęła na nasz stolik, porwał ją, zmiął na małą twardą kulkę i cisnął ją Wandzie w twarz...

Trafił ją w oko. Gazeta wypadła mi z rąk. Jacyś Anglicy siedzący przy sąsiednim stoliku zerwali się na nogi. Lecz Wanda powstrzymała ich rycerską interwencję ruchem dłoni. Potem z tym swoim cudnym uśmiechem zwróciła się do przeciwnika: --- Jeśli, co nie daj Boże, wojna wybuchnie... pan na pewno straci oko. Wspomni pan moje słowa! --- Na pół drwiącym, na pół smutnym spojrzeniem musnęła nas wszystkich i drgnęła. Poznała mnie. Ale rozumiała mój błagalny wzrok i odeszła szybko... Takie było moje z Wandą

spotkanie....

Zachowałem się jak tchórz, prawda? Bądź szczerą, Jadziu... Powinienem był spoliczkować tego draba, a ja siedziałem nadal w jego towarzystwie i mówiłem komplementy Franzowi Seldowi, który ani słowem nie zganił brutalnej napaści na kobietę. I drżałem ze strachu, by Seld nie przypomniał sobie Wandy. I drżałem, żeby ona nie rzuciła mi się na szyję...

Jestem tchórzem. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę i pogardzam sobą. Chwilami staram się zepchnąć winę na moje przejścia w czasie rewolucji, na te przeżycia straszne, które tylu dzielniejszych ode mnie spodliły. Chwilami szukam "okoliczności łagodzących": Seld ma wpływ na Koppa, od Koppa zależy cała nasza przyszłość; jestem obcokrajowcem, chcę znaleźć chleb w Niemczech, Niemcami trzęsą dziś brunatne koszule, pacyfizm jest dla nich tym, czym płachta szkarłatna dla byka; i gdyby się dowiedzieli, że Wanda jest...

Nie, nie, nie. Nic mnie nie usprawiedliwia. Jestem tchórzem! Należało plunąć na posadę u Koppa a stanąć w obronie Wandy. Masz prawo mną pogardzać, Jadziuniu. Ona tym bardziej!

Kończę. Nie mogę dalej pisać, jestem zbyt rozstrojony, rozbity... zdeptany.

Pozdrawia Cię, Dobra, Zaczna Żono

*Twój nieszczęśliwy
Mikołaj*

*

maud blaydes new york

288 park avenue

dzięki za miły liścik stop papa wraca do stanów stop niech twój szwagierek sam go zapyta o marion stop co na to twoja siostra stop wczoraj rozwalila swój wóz na drzewie ale za parę dni będę miała nowy taki sam stop chcieli mnie reporterzy fotografować po tym wypadku nie pozwoliłam bo to by mi popsulo pyszną grę stop perwersja znaczy przewrotność więc nic takiego stop mam zabawnego wielbiciela ale jestem ci wierna dotychczas stop przebakują tu o możliwości wybuchu wojny stop zupełny idiotyzm przecież papa musiałby coś o tym wiedzieć stop paryż cudowny lecz w operze żaden upiór nie straszy tylko okropni soliści stop całuję cię

violet

*

Dnia 28, 2

Wielce Szanowny Panie!

Od tygodnia siedzę w Berlinie. Przeglądając dzienniki, zauważył WSzPan niewątpliwie postępy mojej pracy. Byłbym też jak najlepszej myśli, gdyby nie jedno "ale". Nazywa się ono "PAX"! W walce z tym tygodniczkim krępuje mnie to, że jego nacz. redaktorem i wydawcą jest Pański syn.

Cel uświęca środki. Gdyby mój przeciwnik nie nazywał się Jan von Elden, załatwiłbym się z nim szybko i dyskretnie. Ale to jest przecież Pański jedyny syn!

Prosiłbym więc bardzo o jak najdokładniejsze instrukcje, co mi wolno, a czego nie wolno przedsięwziąć w walce z Pańskim synem.

Z najgłębszym poważaniem

Z 66

ROZDZIAŁ XIII

Wytworny tygodnik angielski. Papier kredowy. [Rotograwiura](#). Ilustracje wykonane artystycznie. Ilość ogłoszeń ograniczona; tylko sześć stron przed tekstem, za tekstem drugie sześć, to wszystko. Na stronie siódmej, tytułowej, Księżę Walii przyjemnie uśmiechnięty. Objasnienie:

JEGO KRÓLEWSKA WYSOKOŚĆ POWRÓCIŁ DO ZDROWIA

Nie chorował bynajmniej, tylko spadł z konia i trochę się potłukł. Każdorazowy Księżę Walii spada z konia przynajmniej raz do roku. Należy to poniekąd do jego obowiązków reprezentacyjnych i zwiększa jego popularność. Zwłaszcza, jeżeli go sfotografują z ręką na temblaku. I zawsze z ręką! Konserwatyzm. Można by przecież dla urozmaicenia coś innego na temblaku zawiesić...

Na stronie ósmej ósemka z Oxford i ósemka z Cambridge rozpoczęły wiosenny trening. Na stronie dziewiętej dziewięty baronet of etc., etc. sir Jeoffrey Godhelp poślubia lady Rosamond Forgetmenot, córkę lorda itd., itd., słowem, najważniejszy wypadek kroniki towarzyskiej. Na dalszych stronicach [potpourri](#): ulubieniec dzieci londyńskich słoń *Burry* i arcybiskup z Canterbury, nowi członkowie izby parów i wystawa rasowych kotów, góry lodowe i cztery młodzietki arystokratki ostatnio przedstawione na dworze, znowu porcja sportu, dalej internat w Eton, chłopyszki w cylindrach i hodowla zarodowych ogierów. Wreszcie środek numeru, stronica dwudziesta i dwudziesta pierwsza. Miejsce honorowe. Tu najczęściej zjawia się Nelson (bez [lady Hamilton](#)) albo Waterloo (bez [Blüchera](#)).

Tym razem jednak stronica dwudziesta wyglądała zupełnie inaczej. Mianowicie:

JOHANN GUTENBERG

(1397--1468)

LUDWIG BEETHOVEN

(1770--1827)

ROBERT KOCH

(1843--1910)

JOHANN W. GOETHE

(1749--1832)

RICHARD WAGNER

(1813--1883)

FRIEDRICH NIETZSCHE

(1844--1900)

Ponad każdym napisem podobizna odnośnego męża. U dołu strony dopisek. Mały, ale bardzo duże czcionki:

TAKICH LUDZI DAJĄ ŚWIATU NIEMCY!

Sąsiednią stronicę poświęcono Polsce. Krzyż marginesów podzielił stronicę na cztery części, na cztery obrazki z następującymi objaśnieniami:

1) SZLACHCIC

(Pomni, że *pańskie oko konia tuczy*, arystokraci polscy osobiście pilnują swoich robotników)

2) KUPIEC

(Siwa broda i dostoyny wygląd polskiego kupca budzą zaufanie u klienteli)

3) WIEŚNIAK

(Piękne, malownicze i egzotyczne są stroje polskich wieśniaków i wieśniaczek)

4) ŻOŁNIERZ

(Nie darmo chlubi się Polska, że ma po Francji najsilniejszą armię w Europie)

Podobnie, jak na stronicy poprzedniej, nad każdym napisem "odpowiedni" obrazek. Więc:

Ad 1) Autentyczny kozak z nahajem, w chwili, gdy się zamierza na kogoś.

Ad 2) Brudny, pejsaty żyd w postrzępionym chałacie.

Ad 3) Matolek z wolem, nogi pałakowate, uśmiech idioty, strój górala. Jego partnerka podobnie, ale w znacznie gorszym wydaniu.

Ad 4) Ułan. Gęba prostaka, rękami rozrywa kielbasę, z kieszeni wystercza butelka.

Poniżej, przez całą szerokość stronicy dopisek. Znowu niewielki, ale bardzo wielkimi czcionkami:

PÓŁTORA MILIONA NIEMCÓW DAROWAŁ POLSCE TRAKTAT WERSALSKI!!!

--- Półtora miliona?!

--- Trochę zaokrągliłem. Jest ich tam milion sto tysięcy. Według statystyki niemieckiej!

--- Więc mogłeś zaokrąglić do dwóch milionów.

--- Zrobi się innym razem... Ale sam pomysł tego zestawienia, byczy, co?

--- Hm.

--- Widzę, Lucjanie, że nie jesteś zachwycony. *Za miękko*, to chcesz powiedzieć. Nie zapominaj jednak, że w tygodniku tego pokroju propaganda rewizjonistyczna musi być subtelna, wytworna jak ladies, które to czytają i...

--- Powiedzmy, Dawidzie. Powiedzmy... Ale po co daty!

--- Nie rozumiem...

--- No daty urodzin i śmierci wszystkich tych geniuszów. Po co?! Gdyby nie ta twoja skrupulatność, siaki taki czytelnik rozpaczałby, że Goethe, Wagner czy Beethoven jęczą pod jarzmem polskim. Że znaleźli się właśnie wśród tego półtora miliona. Że niewidoczna na obrazku ofiara polskiego szlachcica to może Koch, dobroczyńca ludzkości... A teraz już wiedzą, że Koch, Goethe czy inny Gutenberg nie żyją od dawna... Wszystko zepsułeś... mimo woli.

--- No, daruj, Lucjanie, lecz takimi ignorantami chyba oni...

--- Nie mówię o elicie umysłowej. Ale przeciętny Anglosas...

--- Skoro tak sądzisz, to wolno mi cię pocieszyć, iż może większość jołopskich czytelników nie domyśli się, co oznaczają liczby w nawiasach. Będą przypuszczali, że to numery telefonów, cha, cha, cha. *Pani chce mówić z mistrzem Beethovenem? Proszę bardzo. Numer 1770 lub 1827, cha, cha, cha. I Goethe z telefonem!...*

*

--- ...z tym telefonem, u diabła?! Hallo! Hallo! Nnno, nareszcie! Czy to *Germania*?

--- Tak, tu redakcja *Germanii*. Kto mówi?

--- Müller. Dzień dobry panu redaktorowi.

--- Szszanowanie, panie Müller... Pan mi nie weźmie za złe, że napomknę mimochodem, iż Müllerów jest u nas, w Berlinie, z górą dwadzieścia tysięcy egzemplarzy, nieprawda?

Lecz Wilhelm Müller, sklep kolonialny przy Lange Strasse jest tylko jeden na świecie! --- brzmiała dumna odpowiedź.

--- Doskonale. Teraz już wiem, z kim mam przyjemność... A czym mogę służyć?

--- To dłuższa sprawa, ale powiem krótko: Jestem waszym czytelnikiem od wielu lat. Abonuję *Germanię* i płacę punktualnie! Czytuję ją codziennie od deski do deski. Polecam ją wszysss...

--- Bardzo mi miło... I bardzo mi przykro, że nie mogę sobie z panem pogawędzić teraz. Niestety praca dziennikarsss...

--- Będę się streszczał, a pan musi mnie wysłuchać! Od tego zależy, czy pozostanę nadal waszym abonentem!

--- Słucham, panie Müller. --- (Cichy jęk rezygnacji).

--- Wybrałem sobie ongiś *Germanię* nie tylko dlatego, że jestem katolikiem i że należę do *Centrum*, ale przede wszystkim z tej przyczyny, że odpowiadał mojemu gustowi, mojemu, że tak powiem, temperamentowi... spokojny ton jej artykułów, chwalebny umiar w...

--- A obecnie się trochę zmieniło...

--- Trochę?! Ładne mi *trochę!* We wczorajszym numerze znajduję takie zdania: "*Wieczny pokój jest snem i nawet nie pięknym; wojna natomiast...*

--- ...*jest składnikiem boskiego porządku świata* --- dokończył szybko redaktor. --- Tak powiedział ongiś stary Moltke. Znany cytat.

--- Albo taki kwiatek. (Gazetę trzymam w rękę i czytam). *Dzisiaj, prócz Polski, cały świat już zrozumiał, że niemiecki Gdańsk i Prusy Wschodnie nie mogą dłużej pozostać wyspą. A zatem nadeszła godzina czynu! Zwlekanie jest zbrodnią! Im wcześniej wojna...*

--- Ja to sam pisałem, drogi panie Müller.

--- O! I to jest pańskie osobiste credo, czy ein Wink von oben?

--- Tak. Nakaz z góry. Zgadł pan! (Nareszcie splawię nudziarza). Istotnie otrzymaliśmy pewne instrukcje od naczelnych władz naszego stronnictwa. Podziwiam pańską przenikliwość, panie Müller i z zalem kończę tak interesującą rozmowę. Do widzenia --- trzasnął słuchawką.

Zuzanna Müller obserwowała męża z uśmiechem.

--- Czy wiesz, ile masz w kasie do tej pory? Niespełna dziesięć marek! Od godziny nie było w sklepie żywego ducha. Kryzys... I wszyscy kupcy w Niemczech pragną, by wreszcie nadszedł kres tej beznadziejnej wegetacji kryzysowej. Wszyscy niecierpliwie wyglądamy zmiany...

--- Czyli wojny! Gdybyś była w okopach, jak ja, od roku 1916 do...

--- Są tacy, co pełne cztery lata spędzili wówczas na froncie, a jednak uważają dzisiejszy stan rzeczy za stokroć większe zło. Ty, drogi Wilhelmie jesteś zabawnym wyjątkiem...

--- Jest takich więcej, na szczęście!

--- Pacyfiści, co? Dobrze, żeś mi przypomniał. Od Eldenów należy się nam prawie sześćdziesiąt marek. Doskocz do nich. I tak nie masz tu nic do roboty.

Usłuchał. Redakcja tygodnika *PAX* znajdowała się bardzo blisko stąd, bo przy Markus Strasse. Müller prawie biegł. Nie po swoje sześćdziesiąt marek, broń Boże. Nie liczył na nie dzisiaj. Za to łaknął gorąco dużego zastrzyku optymizmu!

Wpadł jak bomba i od razu stracił cały rozpęd... Był tutaj tyle razy, że cały inwentarz redakcji potrafiłby spisać z pamięci: dwa biurka, cztery stoły, jeden wieszak na kapelusze, dziewięć krzeseł, stara maszyna do pisania, pół tony książek i szpargałów, dwanaście półek, z których spływały kaskady gazet, a na ścianach aż po sufit mozaika plakatów. To wszystko. I *to* walczyło zaciekle z potężnymi koncernami prasowymi, których czasopisma kilka tygodni temu opanowała gorączka wojenna... Niezmordowana kuźnia pacyfizmu nigdy jeszcze Müllerowi nie wydała się taka biedna i słabiotka jak dzisiaj.

--- Dzień dobry. Czy zastałem pana Jana Eldena?

--- O, pan Müller. Jak to dobrze, że pan przyszedł! --- Wanda Gaharin podeszła doń i uścisnęła mu rękę serdecznie. --- Czy może nam pan pożyczyć półtorej marki? Zabrakło nam na szklarza. Wieczór panu odeślę. Znowu nam szyby powybijali. Panią Eldenową szkło skaleczyło i redaktor Littke pojechał z nią do kliniki... Dwie marki? Kiedy ja nie mam wydać. Aha, majster ma. Doskonale. Do widzenia majstrowi. Pan pytał o szefa? Pan Elden jest u adwokata w sprawie konfiskaty naszego ostatniego numeru. Oto pięćdziesiąt fenigów. Jeszcze raz panu dziękuję za grzeczność. Proszę, niech pan spocznie...

Usiadł. Wanda Gaharin, ruchliwa jak żywe srebro, wołała krążyć po zaśmieconej papierami izbie mieszczącej w sobie cały lokal redakcyjny, biuro administracji tygodnika i w ogóle wszystko prócz drukarni.

--- Czemu pan tak posmutniał, panie Müller?

--- Mam być wesół? Czy pani nie czyta gazet?

--- Muszę je czytać, niestety... Więc pan ma na myśli nowy paroksyzm propagandy rewizjonistycznej, nieprawdaż?

--- Propagandy wojny! Bo to jest coś więcej niż dawna *Polackenpsychose* i oklepana piosenka o konieczności korekty naszych wschodnich granic w drodze ugodowej, bez uciekania się do gwałtów. Znacznie więcej! Dziś pisze się wyraźnie: chcemy wojny! Z każdym, któremu Wersal przyznał choćby skrawek naszej ziemi. Czyli, z każdym sąsiadem!

--- To mnie nie dziwi. *Furor teutonicus* poznali już Rzymianie i wojowniczość pozostała do dzisiaj najwybitniejszą cechą natury niemieckiej. *Ewangelię narodu niemieckiego stanowią: wojna, wrogość, brutalność, nienawiść, zbrojenia, zdobycze*. Tak napisał Karl Mertens, rodowity Niemiec!... Mnie, panie Müller coś innego dziwi i niepokoi. Mianowicie, że ta straszliwa epidemia zaczyna się szerzyć gwałtownie w różnych punktach Europy. W wielu! Równocześnie! W Rumunii, w Polsce, w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Jugosławii, we Włoszech, w Belgii, ba, we Francji! W odpowiedzi na jakieś nowe zlekceważenie postanowień Traktatu Wersalskiego prawicowa prasa francuska domaga się natychmiastowego wymarszu korpusu okupacyjnego na linię Renu aż po Düsseldorf! Jako gwarancji!... Pan rozumie po francusku, panie Müller?

--- Owszem. Coś się tam jeszcze pamięta.

Zgarnęła ze stołu plik czasopism zagranicznych i podeszła do Mullera.

--- Potem pokażę panu coś gorszego. Zaczniemy skromniej. Oto *Figaro*...

*

--- *Figaro*, monsieur? *Journal*? *Matin*? *L'Ami*? *L'Action*?

Sprzedawczyni gazet była zdeorientowana. Rémi Ollivier wysiadł ze wspaniałego auta, był wyelegantowany jak manekin z witryny *Galleries Lafayette* albo nawet z *Samaritaine, succursale de luxe*, niemniej wyglądał na zawodowego szofera. I co tu takiemu zaofiarować, skoro wciąż nosem kręci, a sam nie wymienia swojej ulubionej gazety? Może nie rozumie po francusku? Tak, tak, to etranżer...

--- Dziennik? Brrr. Polityki nienawidzę! Niech mi pani da coś lekkostrawnego. --- Wziął *Lu*, *Vu*, *La Vie Parisienne*, *Pour Vous* i *Detective*, wskoczył do auta i popędził na swoje miejsce "postoj". Niemal codziennie o dziesiątej rano odwoził swoją młodą chlebodawczynię do kawiarni *du Dôme* i czekał na nią plus minus dwie godziny. Zorientował się też rychło, że miss Forban wchodzi do *du Dôme* od ulicy Delambre (i tam kazała mu czekać), wychodzi od razu na bulwar Montparnasse, a później tą samą drogą przez *du Dôme* wraca do samochodu. Kawiarnia służyła tylko za pretekst... Rémi, nie znający jeszcze pruderii Amerykanek, nie mógł pojąć, czemu miss Forban krępuje się nim, swoim szoferem. Może się lęka, by jej nie wsypał przed ciotką?

--- Nie bój się, misseczko. Ja tam zawsze trzymam sztamę z tymi, co się kochają, nie ze starymi dewotkami. Słówkiem nie pisnę, choćby mnie krajali. Możesz spokojnie chodzić na randki... Ale że też nigdy nie zabierasz na przejażdżkę swojego fatyganta! --- To jedno dziwiło wyrozumiałego szofera. Często zastanawiał się nad tym, kto może być *galopantem* tak młodej, bogatej i zjawiskowo pięknej panny jak miss Violet Forban. --- Chyba tylko markiz albo sławny aktor filmowy. --- To były, jego zdaniem, superlatywy

ideału niewieściego...

--- A lotnik w rodzaju Lindbergha?! --- Remigiusza tak zelektryzowało odkrycie trzeciego superlatywu, że odruchowo i całkiem podświadomie nacisnął pedał. Samochód szarpnął, dał szczupaka. W tej samej chwili pomiędzy taksówek stojących w środku jezdni ktoś się wysunął. Krzyk! Czyjeś ręce wystrzeliły spod błotnika. --- Boże! Przejechałem człowieka!

Szafirowe auto stanęło jak wryte. Rémi, trupio blady, wyskoczył, nie otwierając drzwiczek. Ukląkł, schylił się i... nie ujrzał pod wozem nikogo. Nikt tam nie leżał w *kałuży krwi*, za to po drugiej stronie samochodu stała para ślicznych nóżek dziewczęcych. Rémi co prędzej obiegł auto dokoła. Ujrzał szczupłą, ubogo ubraną dziewczynkę. Otrzępywała się z kurzu, była bardzo blada, przestraszona, ale nadrabiała miną. Nawet spróbowała się uśmiechnąć. Potem spojrzała błagalnie:

--- Bardzo, bardzo pana przepraszam. Zamyśliłam się i przez to wpadłam...

Remi zaczął mrugać. Sen? Spojrzał na grono gapiów zacieśniających pierścien wokół szafirowego auta. Oni byli równie zdumieni. Ktoś zauważył głośno, że jest to pierwszy wypadek w dziejach świata, iż przejechany przepasza automobilistę za to, że go przejechał. Powiedzonko "chwyciło", Paryż to lubi. Gapie parsknęli śmiechem i zaczęli wesoło pokpiwać z ogłupiałej miny szofera...

--- Ależ ja wcale nie jestem przejechana! Słowo honoru daję!

Salwa śmiechu. Dziewczynka zaczerwieniła się po uszy. Ktoś z lekka pchnął Remigiusza ku niej. --- Podziękujże, niedźwiedziu! --- Inny już podpowiadał:

--- Bardzo, bardzo pani dziękuję, że mi się pani tak zgrabnie ułożyła. Tak przejeżdżać, to prawdziwa przyjemność. Niestety przechodnie najczęściej łamią sobie nogi, a ty biedny szoferze potem cierp... No mów pan, ty mroku!

Wesoły *cercle* przerwała granatowa pelerynka. Na widok policjanta dziewczynka znów pobladła. Instynktownie oparła się o Remigiusza, co wywołało nową wesołość. Policjant także sobie przygryzł wargę... Tylko Rémi jeszcze ani sylaby nie wypowiedział od chwili, gdy wysiadł z auta. W milczeniu podał policjantowi swoje prawo jazdy, w milczeniu przysłuchiwał się zeznaniom swojej "ofiary". --- Ujrzałam nadjeżdżający samochód. Zamiast stanąć, zaczekać, spróbowałam przebiec na drugą stronę. Nie udało się. Błotnik mnie potracił, upadłam, ale nic mi się nie stało. Słowo daję! Więc proszę żeby tego pana nie karać.

--- Nic panią nie boli? Nie rości pani sobie pretensji do jakiegoś odszkodowania? Może pani chce być zbadana przez lekarza?

Na każde pytanie: *nie*. No, wobec tego... --- Proszę się rozejść!

--- Czy mógłbym panią odwieźć do domu? --- Rémi nareszcie odzyskał głos.

--- Och, proszę pana. Ja mieszkam bardzo daleko stąd! Aż przy rue du Moulin des Pres.

--- Jaka szkoda, że nie dalej! Mam prawie dwie godziny czasu... Może... może byśmy wyskoczyli trochę za miasto. Pokażę pani, jak ten wózek ciągnie!

Nie mogła się oprzeć pokusie, nigdy jeszcze w życiu nie jechała autem, bo autobus to się przecież nie liczy. Wśród śmiechów i oklasków wesołych gapiów paryskich wsiedli do auta i odjechali...

Wśród takich okoliczności Rémi poznał Zosię, córkę Bartłomieja Ropy. Pokochali się od pierwszego wejrzenia, choć należałoby powiedzieć ściślej: od pierwszego przejechania! Albowiem Rémi nigdy dotychczas nikogo nie najechał autem, a Zosia pierwszy raz w życiu pod autem leżała.

Zosia, chcąc zdobyć pieniądze potrzebne na kaucję dla brata, zdecydowała się pójść do garbatego

malarza. Nie zapamiętała jego nazwiska, wiedziała tylko, że mieszka przy bulwarze Raspail. Lecz Raspail jest wściekle długi. Od dwóch dni przychodziła tutaj, wstępowała do każdej bramy i pytała każdą **konsjerżkę**, czy w tym domu nie mieszka *taki pan z garbem, co maluje*. Nie mogła oczywiście całego dnia przeznaczać na poszukiwania, tylko wolne godziny. Dzisiaj dotarła do krzyżującego się z Raspaiem bulwaru Montparnasse i tutaj wpadła pod auto...

*

Auto zawiozło Bartka Ropę z dworca do więzienia. Z kratkami, ale zawsze auto! Cudowny wynalazek, tylko lichy pędzi zanadto. Rzym widziany przez kratki pędzącej karetki więziennej nie wyglądał ponętnie, zwłaszcza, że takich "turystów" nie wiozą obok olbrzymiego pomnika Wiktora Emanuela II, ani na Monte Pincio, ale przez brzydkie zaułki.

Nareszcie Bartek zaznał trochę komfortu. Miał dach nad głową, a pod głową poduszkę. Był ostrzyżony, wykąpany, najedzony. Nie musiał się lękać, że go zamkną, bo już siedział pod kluczem. I czuł się tu stokroć lepiej, niż wówczas, kiedy "cieszył się" wolnością. Nikt nim nie pomiatał, jak na jachcie, nie wyzyskiwał go, jak w Pozzuoli, gdzie wraz z Manettim czyścili doły kloaczne w zamian za "utrzymanie". Czyli za pomyje. Nikogo tu nie trzeba było błagać o łyżkę strawy. Punktualnie fasował żarcie wraz z innymi. Odpoczywał i rozmyślał:

--- Urbana cisną podatkami coraz mocniej, choć czasy coraz to gorsze; nikt się nie spyta, co będzie, gdy kupiec zbańczy... Hieronim Kallinos był urzędnikiem, zredukowali go i pies się o niego nie troszczy... Dla mnie pracy nie było nigdzie! Ani w Polsce, ani później we Francji, gdy nas w Lens zwolnili, ani tutaj. Zdychaj, robociarzu, z głodu, my ci nic nie możemy pomóc... Dopiero gdy coś przeskrobiesz, bratku, gdyś zasłużył na więzienie... dopiero wtedy państwo się troszczy o ciebie. Wtedy masz dach, żer, opierunek, przyodziewek, ba, lekarza za darmo!... Nie musisz się męczyć, trudzić, pracować!... Tak ci to mądrze kapitaliści świat urządzili, che, che, che...

Bartek dla ostrożności nie przyznał się, że mówi po francusku. Skądże by! Nigdy w życiu nie był we Francji. Po niemiecku? Owszem. Pochodzi z Pomorza, pamięta pruskie rządy, więc szwabski język zna, a jakże. Skąd się wziął tutaj? To dłuższa historia... Należał do załogi australijskiego szkunera *Titan*. (Naprawdę był taki szkuner w Neapolu, widzieli go z Manettim, jak wychodził w morze, zauważyli na rufie nazwę macierzystego portu *Melbourne* i w mig sobie wykombinowali, że w razie, gdy ich nakryją, będą się wyłgiwali w ten sposób).

--- *Titan*. Zapisalem. I cóż było z tym szkunerem?

Tłumacz powtórzył pytanie po niemiecku, Bartek rozpoczął improwizację.

Było tak. Neapol ma ładne ulice. Dziewczynki też. Szczególnie jedną tęgą brunetkę, imieniem Carmela. Z tą się do tego stopnia pokochał, że *Titan* mu uciekł. Gdy przyszedł do przystani, statku już nie było. Co miał robić? Skoczyć w morze? Nie. Więc szukał pracy. Szukał w mieście i okolicy, od Pozzuoli po Sorrento. Przymierał głodem. Wreszcie wrócił do Neapolu, zakradł się na dworzec, wlaź pod jakiś wagon no i

przyjechał tutaj, do Rzymu... Co? Kiedy wyemigrował do Australii? Ano, ze cztery lata temu... (Sądził, że to dosyć).

--- W takim razie jest pan ponad wszelką wątpliwość nadal obywatelem polskim. I odeśle się pana do Polski ciupasem.

--- Dzisiaj?! --- Aż podskoczył z radości.

--- O, nie! Najpierw pan odsiedzi tutaj za swoje sprawki!

Ze zdumieniem dowiedział się Bartek, że pogwałcił tuzin różnych ustaw. Przede wszystkim wkroczył na terytorium Królestwa Italii, nie posiadając wizy i nie zapłaciwszy za nią... Tak, tak, marynarzom to wolno, jak na całym świecie, ale nie wolno pozostawać w obcym porcie po odjeździe statku. Dalej, bezprawnie opuszczał Neapol. Dwukrotnie!

--- Więc pozostać mi w porcie nie wolno było, a wyjść także nie!

Tłumacz wzruszył ramionami i przekładał dalej litanie Bartkowych zbrodni: Bezprawnie szukał pracy, odbierał chleb robotnikom włoskim, on, cudzoziemiec... Tylko przez trzy dni miał zajęcie, a przeważnie chodził, szukał roboty? No, tak, za włóczęgostwo oberwie coś osobno. I za nienoszenie przy sobie dokumentów osobistych. To nie jest wymówka, że paszport został na statku. Nie powinien być zostać!... Dalej, przy rewizji znaleziono przy nim scyzoryk. Zakaz noszenia przy sobie noży o ostrzach dłuższych niż czterdzieści milimetrów obowiązuje we Włoszech od kilkunastu lat. Nieznajomością ustawy nie może się nikt tłumaczyć... Za scyzoryk dalsze czternaście dni aresztu... Itd., itp.

--- Wreszcie, korzystał pan z kolei żelaznej na przestrzeni Neapol--Rzym, nie wykupiwszy potrzebnego biletu drugiej klasy.

--- Trzymajcie mnie! Drugiej?! Czemu drugiej?

--- Ten pospieszny ma wyłącznie wagony pierwszej i drugiej klasy.

--- No, to już wolę się od razu przyznać, że jechałem pierwszą klasą. Na osi, ale pierwszą! Che, che, che...

Swojego nazwiska Bartek, rozumie się, nie podał, bo nuż Francuzi rozesłali listy gończe także do sąsiednich krajów?! Nie ma głupich!

--- Nazywam się Kasper Łubin. --- Było to imię i nazwisko jego starszego szwagra, który jeszcze w roku 1920 wyemigrował do Brazylii i tam już osiadł na stałe... Jeżeli Włochy zapytają Polskę, czy we wsi takiej a takiej mieszkał niejaki Kasper Łubin i potem wyemigrował, Polska odpowie: tak. Wówczas Włochy odeślą Polsce rzekomego Łubina, który w swojej wiosce już się tam jakoś wyplącze z tych cygaństw... Tak sobie Bartek chytrze ukartował.

--- Ilu was się spóźniło w Neapolu na statek, dwóch, czy trzech?

Było to zdradzieckie pytanie, lecz Bartek nie głupi! I dobry kolega. Nie wsypie Manettiego, który mu się zgubił po drodze do Rzymu... Tylko on sam się spóźnił na statek. Nikt więcej, na pewno! Toć byłby kolegę spotkał w Neapolu.

--- A jak się nazywa pańska rodzinna wieś czy miasto?

Znowu o to pytali i za każdym razem coś Bartka chwytalo pod serce i za grdykę. Wielkie rozczulenie złagodziło rysy jego wychudłej twarzy. Westchnął.

--- Moja wioska rodzinna --- zaczął cicho --- zwie się Szczęsna Łąka...

ROZDZIAŁ XIV

Szczęсна Łąka. Od niepamiętnych lat, może od wieków, była tu tylko jedna wieś. Ale przecinał ją strumyk uchodzący do Warty. Ten strumyk ogromnie przypadł do gustu wielkim politykom, którzy daleko stąd wyznaczali na mapie granice Polski i Niemiec. I pewnego dnia sąsiedzi o miedzę, przyjaciele, krewni, a w czterech wypadkach rodzeni bracia dowiedzieli się, że są obywatelami dwóch różnych republik. Że polska połówka wsi zwie się *Szczęсна Łąka*, a *Glücksau* niemiecka, co mniej więcej na jedno wychodzi w tłumaczeniu.

Ale niebawem dowiedzieli się czegoś więcej. Że są odwiecznymi, śmiertelnymi wrogami!!! Tak uczył Stotzeck, a na drugim brzegu strumienia Ropelski. Pierwszy był kierownikiem szkoły w Glücksau, drugi nauczycielem w Szczęsnej Łące. Obydwaj objęli swoje posterunki w roku 1924. Obydwaj przybyli w te strony naszpikowani hasłami skrajnego nacjonalizmu. Ropelski był na ogół skromniejszy; wystarczało mu przyłączenie do Polski Gdańska, Prus Wschodnich i całego Śląska. Stotzeck (ongis zwyczajny Stoczek), zapatrzony w mapę O. R. Tannenberga żądał dla Niemiec równej połówki Europy; Flamandowie, Holendrzy, Duńczycy, Szwajcarzy to szczepy niemieckie, poza tym patrzy się Niemcom całe terytorium błogosławionej pamięci monarchii austro-węgierskiej!

Takich dwóch fanatyków na stanowiskach nauczycieli... to musiało zrobić swoje, i pomiędzy połówkami tej samej wsi wyrastał szybko mur nienawiści. Najgoręcej bywało w lecie. Wtedy z okazji rocznicy Grunwaldu Ropelski przechodził sam siebie, a w dwa tygodnie później Stotzeck czcił Sedan jeszcze huczniej. I obydwaj tuż nad granicą!

--- ...Fest steht und treu die Wacht am Rhein!...

--- Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz ni dzieci nam germani!...

--- Nach Ostland wollen wir reiten...

--- ...roziadł się tam Prusak świnia na polskiej krainie...

--- Verfluchte Polacken!

--- Zrobimy wam drugi Grunwald!

--- Leck mich am Arsch!

--- Nawzajem! Przy mojej straż nie stoi, możesz całować, szwabie...

Prócz pieśni i wywisk krzyżowały się nad granicznym strumykiem kamienie. A dwa razy także kule rewolwerowe, od których, na szczęście, nikt nie zginął. I trwało tak przez długie cztery lata. A potem...

Sierpień roku 1928. Na pastwisku Glücksau pojawił się wściekły pies. Pogryzł jałówkę, rzucił się w pościg za pastuszkami, ale padł od kuli Polaka, leśniczego Piotra Hankego, który tu przybył odwiedzić matkę i brata.

Październik tegoż roku. Przy zwózce ziemniaków konie Wojtka Łubina nagle poniosły. Pędziły ku grobli przy młynie, a w pustym wozie siedziała Wojciechowa z dzieckiem. Ale nic się nie stało. Straszne niebezpieczeństwo zażegnało z narażeniem życia dwóch parobczaków z Glücksau.

W marcu roku 1929 załamał się lód na stawie. Jeden amator ślizgawki utonął, siedmiu innych wyciągnął z toni młynarz z Glücksau i jego robotnicy. A wszystkie te dzieci były ze Szczęsnej Łąki.

Wreszcie noc z pierwszego na drugiego sierpnia tegoż roku. Rocznicą Sedanu. Stotzeck niemal całą ludność Glücksau wyciągnął do miasteczka na festyn, a licho przyniosło burzę. Od pioruna zapaliła się

szkoła. Wyludniona wieś byłaby spłonęła doszczętnie, ale przeszkadzili temu "odwieczni wrogowie". Cała Szczęsna Łąka przybiegła ratować sąsiadów...

Dzięki tym wydarzeniom sztuczny mur nienawiści runął. Mieszkańcy obydwóch wiosek znowu gawędzili z sobą najprzyjaźniej, świadczyli sobie sąsiedzkie przysługi i bawili się wspólnie kosztem pomyślonych pedagogów. Oczywiście ani Stotzeck, ani Ropelski nie dali za wygraną. Zaczęli szykanować dzieci w szkole, chcąc w ten sposób sterroryzować rodziców. Dzieci w Glücksaue opowiadały z płaczem, że pan nauczyciel się wściekł. Identycznie to samo mówili uczniowie Ropelskiego. Ta pedagogiczna wścieklizna trwała dwa tygodnie, czyli tak długo, jak długo noce były jasne. Wreszcie księżyc wszedł w fazę nowiu. I od razu Ropelskiemu wybił ktoś kilka zębów. Tegoż dnia wieśniacy ze Szczęsnej Łąki długo coś nad strumykiem tłumaczyli sąsiadom z Glücksaue. A najbliższej nocy August Stotzeck położył się do łóżka na tydzień po "masażu twarzy", jaki mu zaaplikował przed domem *kmiotek nieznany*.

Po tych zamachach obydwaj nauczyciele uspokoili się trochę. Aż przyszły letnie wakacje roku 1930. Ropelski wyjechał do Gdyni. Stotzeck nie chciał być gorszy; cóż to, jego nie stać na wyjazd nad morze?! Pojechał do Sopotu. Jeden i drugi miał więc wokół siebie atmosferę, jakiej pożądał.

Pewnego dnia doniosły dzienniki, że do Gdańska przybędzie Jan Elden i wygłosi przemówienie na temat obecnej sytuacji politycznej w Europie. Jan Elden był uczniem twórcy i przywódcy ruchu paneuropejskiego, Ryszarda Coudenhove-Calergiego. Był założycielem pacyfistycznego tygodnika *PAX* i znanym mówcą, ale, prawdę powiedziawszy, połowę swojego rozgłosu zawdzięczał pamiętnej awanturze ze swoim ojcem, Rogerem von Eldenem, który go wówczas wydziedziczył.

Wiadomość o przyjeździe *przeklętego pacyfisty* wzburzyła Augusta Stoczka, vel Stotzecka, i wielu jemu podobnych. Wraz z gromadą niemieckich patriotów wyruszył do Gdańska, by Eldenowi urządzić solidną kocią muzykę. Ewentualnie także czynne "owacje". Dlatego, na wszelki wypadek, zabrano z sobą sękatę lagi, pałki gumowe, kastety i tym podobne artykuły pierwszej potrzeby bojówkarskiej.

W sali Domu Robotniczego było już sporo ludzi. Grupa z Sopotu wcisnęła się z biedą. Zaraz też podszedł do niej jakiś dryblas. Wyjaśnił, że ci pod ścianą to Polacy. Tłumnie przybyli z Gdyni, żeby Eldena... wygwizdać! Na sali jest komisarz policji, który zgromadzenie rozwiąże, skoro tylko zaczną się burdy. Wobec tego...

--- Rozumiem! Nie pozwolimy Eldenowi ani gęby otworzyć!

--- Głupiś pan, panie Stotzeck. Właśnie macie siedzieć cicho. Taki jest rozkaz!... Chodzi o to, rozumie pan, żeby demonstracje rozpoczęli Polacy! By zadokumentowali w ten sposób, że tylko oni są skrajnymi militarystami. Że oni rozbili pacyfistyczny wiec. Niemcy zachowywali się spokojnie, rozumiecie? Oczywiście do czasu. Bo przy opuszczaniu sali troszkę dogrzejemy...

--- Eldenowi!

--- Nie! Polaczkom! W obronie Jana Eldena!!!

August Stotzeck nieprędko rozgryzł ten orzeszek politycznej perfidii. A potem przyznał, że ten, co to wykombinował, miał głowę na karku. Dobrą głowę!

Aliści zdarzył los, że wśród Polaków znalazł się taki sam kombinator z *dobłą głową*. --- Musielibyśmy zacząć chryję, gdyby na sali byli sami zwolennicy Eldena. Ale tu, na szczęście, dostrzegam moc hitlerowców. Pozwólmy, że oni nas wyręcą. Że odpowiedzialność za demonstracje antypacyfistyczne na nich spadnie. Na szwabów! Więc siedzieć cicho, koledzy i czekać!

Dzięki tak przypadkowej zgodności taktyki jednych i drugich szowinistów wchodzącego Eldena powitało grobowe milczenie sali. Jan Elden utykał silnie, a czoło miał przewiązane białą opaską. Nie łągały więc poranne dzienniki, gdy donosiły, że Eldena w nocy pobito pod [Arturshofem](#); Gdańsk się spisał.

Jan Elden skłonił się lekko, potem z estrady objął salę jakby zdumionym spojrzeniem; oczekiwał gwizdów, wycia, obelg i gradu śmierzących jaj, tymczasem nie, idealny spokój... No, nareszcie coś!... W trzecim rzędzie krzesel powstała jakaś młoda panienka. Zamachnęła się i na białym bandażu Eldena zakwitnęła czerwona plama. Druga na gorsie koszuli. A trzeci pocisk trafił w szklankę i strącił ją na podłogę.

--- Tylko trzy? Więcej pomidorów pani nie zabrała z sobą? --- Jan Elden miał przemiły, ujmujący uśmiech. Rozbrajał nim często tych nawet, których nie zdołał oczarować brzmieniem swojego melodyjnego głosu. --- Panie komisarzu, proszę pozostawić tę panią w spokoju. Bardzo proszę...

Lecz służbista komisarz już legitymował dziewczynę.

--- Jak się nazywa? Wanda Gaharin? No, to Polka! --- August Stotzeck tłumaczył sąsiadom, że Wanda to rdzennie polskie imię. Ha, więc Polacy zaczęli!

Jan Elden zaczął przemawiać. Mówił o Wojnie Światowej. Najpierw wymienił ilość zabitych, zaginionych, rannych, oślepionych itp. w ciągu krwawych żniw z lat 1914--1918...

--- Kiedyż nareszcie zaczną te Polaczki?!

--- Czy te szwabki nie zrobią dziś awantury?!

--- I przez nich uczciwy Niemiec musi spokojnie słuchać tych bredni?!

Polacy czekali na Niemców, Niemcy spoglądali na Polaków nieomal czule, byle tamci już raz rozpoczęli awantury. A tymczasem Jan Elden mówił bez przeszkody. Mówił obecnie o gazach bojowych...

--- A o tym, co miał gadać, ani słowa! Wściec się można!

--- Cierpliwości, panie Stotzeck. To dopiero wstęp. Elden jest cwaniak i zawsze tak niewinnie rozpoczyna...

Niewinny wstęp przemówienia Jana Eldena urozmaiciły barwne tablice wniesione na podium przez kilku ludzi. Tablice przedstawiały skutki działania gazów bojowych na ludzki organizm, więc straszliwe pęcherze, owrzodzenia poiperytowe, zniekształcone twarze szerniałe oblicza zabitych, sine uduszonych, usta pokryte krwawą pianą, wybałuszone oczy i podobne okropności.

--- Bujda! Taki obrazek każdy może sobie wymalować. Pokaż nam żywych ludzi!

Jan Elden skinął głową.

--- Pragnąłem państwu zaoszczędzić tego widoku, ale skoro chcecie...

Klasnął w dłonie. Do sali weszły dwie pielęgniarki, prowadząc pod rękę żołnierza w polowym mundurze z czasów cesarstwa. Ustawiono go na estradzie, Elden podszedł do niego, objął go wpół jedną ręką, zawołał:

--- Wilhelmie Knot! Musisz dać świadectwo prawdzie! --- Łagodnym ruchem zdjął czarną zasłonę zakrywającą twarz eksz żołnierza.

--- [Oh Gott!!!](#)

Z wyżyn estrady spojrzwały w tłum ogromne, puste oczodoły. Zmasakrowana twarz, której gaz wyżarł mięso do kości, wyglądała upiornie. Kilka pozostałych zębów, obnażonych aż do szczęk, zademonstrowało potworny, makabryczny uśmiech żywego trupa. Tak, to właśnie było najbardziej niesamowite, że ten trup żył, poruszał się, chwiał zniekształconą głową na lewo i prawo w nerwowym tiku. Zwyczajny szkielet nie wywołałby ani maleńkiej cząstki tego wrażenia, co ten żywy człowiek...

Jakaś kobieta w pierwszym rzędzie krzesel zemdlała. Druga dostała spazmów.

--- Zabraniam! Wyprowadzić go! --- Komisarz podbiegł do Eldena, który tymczasem zdążył nakryć twarz Knotemu. --- Natychmiast precz z sali zzz... nim!

--- Nieceee! --- ryknął ekszołnierz głosem, który doskonale harmonizował z jego strasznym wyglądem. --- Ja tu zostanę! Ja walczyłem za ojczyznę! --- Gdy komisarz ujął go pod ramię, Knotę zaczął wyć przejmująco. --- Nie dajcie mną poniewierać! Bracia, słyszycie?! Czy nie ma tu ani jednego uczciwego Niemca?! Precz, ty łobuzie! Gdzieś siedział zadekowany, gdy mnie gaz ślepią wyżerał?! Gdzie, ty chłystku?! Niemcyyyyyy!!!

--- Zostaw go pan!... Cóż to szkodzi, że zostanie?... Tylko, na miłość boską, niech mu nie odsłaniają twarzy!

Komisarz w końcu ustąpił, ślubując sobie w duchu, że rozwiąże zebranie wcześniej, niż mu to zlecono; policyjny instynkt ostrzegł go, że Jan Elden jest wytrawnym graczem... Knotego posadzono na krzesło ustawionym u stóp katedry. Uciszyło się na sali. Tylko wzburzony ekszołnierz stukał cicho laską i powtarzał w kółko swoje: --- Chcę słyszeć mego przyjaciela Eldena. Chcę słyszeć, co powiedzą moi młodszy bracia. Młodzi Niemcy!

--- Tutaj --- Elden podniósł w górę plik papierów --- tutaj są dokumenty stwierdzające, gdzie i kiedy Wilhelm Knotę odniósł te potworne rany. Kto ciekaw lub nie wierzy, niech je przejrzy. Ja proszę o to! Proszę w imieniu tych naszych braci, którzy polegali od pocisków rosyjskich dostarczanych Rosji przez niemieckie zakłady Kruppa!!! I w imieniu tych, których wydusił gaz dostarczony Francji przez fabryki mojego ojca!!! I tych, co potonęli zatopieni przez nasze balony, sprzedane Anglikom!!!

--- Fałsz! Kłamstwo!! Fuj!!!

--- Nie sądźcie jednak, że tylko nasi fabrykanci broni byli zdrajcami. Nie! Angielscy marynarze ginęli pod Dardanelami od min i torped dostarczanych Turcji przez angielskie fabryki!!!

--- Łgarstwo! Powtarzasz pan stare brednie Liebknechta!

--- Tutaj są dowody! --- Jan Elden potrząsał tym razem jakąś buchalteryjną księgą. --- Dla dobra ludzkości pozwoliłem sobie zabrać tę księgę z domu mojego ojca! Każdy może ją obejrzeć i sprawdzić. Dowiedcie się przy tej okazji, kto wywołał i finansował powstanie Abd el Krima! I wojny domowe w Chinach!! I wojnę...

--- Łgarstwa!

--- Widziałeś tę księgę?! --- Ekszołnierz zerwał się z krzesła. Uciszyło się.

--- Łgarstwa, powiada pan? A przecież minister Chamberlain w roku 1926 przyznał w Izbie Gmin, że angielskie okręty wojenne pod Dardanelami wylatywały w powietrze wyłącznie od angielskich min dostarczanych Turcji. Czy to urzędowe potwierdzenie pana nie przekonało?

--- Do rzeczy, panie prelegent! Do rzeczy! Miał pan gadać o obecnej sytuacji politycznej, a pan tu gędzi o dawnej wojnie...

--- Dobrze, nie mówmy już o wojnie z lat 1914--1918. Wojna ta z jej dwunastoma milionami zabitych była zresztą dziecinną zabawką w porównaniu z tym, co obecnie przygotowują...

--- Polacy!

--- Niemcy!

--- Polacy i Francuzi!

--- Nie!! --- Jan Elden wyrzucił pięścią w katedrę. --- Ani Polacy, ani Niemcy, a tylko fabrykanci broni!!!

Za ich pieniądze prasa niemiecka szczuje...

--- Fuj! Hańba!

--- ...przeciwko Polsce i Francji, a prasa polska przeciwko...

--- Precz! Faj!

--- Rozwiązuję zgromadzenie! Proszę się rozejść!

Wśród wrzasków urozmaicanych twarzobiciem Polacy i Niemcy opuszczali Dom Robotniczy. Na sali pozostało około dwudziestu mężczyzn. Ci mianowicie, którzy jeszcze przed rozwiązaniem zebrania zaczęli przeglądać dokumenty, na które Elden się powoływał i chcieli zbadać ich autentyczność. Zbiegiem okoliczności znalazł się w tej grupie zarówno Stotzek jak i Ropelski. Obydwaj mieli sposobność stwierdzić, iż Jan Elden powiedział prawdę. Przedstawione przez niego dokumenty stanowiły niezbity dowód na okoliczność, że koncern Rogera von Eldena wraz z koncernem barona Abła Lazare'a wywołały powstanie Abd el Krima i rebelię Druzów w Syrii, że generałowie chińscy prowadzili wojny domowe na rachunek mr. Samuela Forbana itd., itd.

--- Czy przekonałem panów?

--- Oczywiście, że tak, lecz nie wypadało się przyznać do tego tak od razu.

--- Tak, mistrzu! Mnie pan przekonał, ale czy może nam pan wybaczyć to, co uczyniłam w moim najgłębszym zaślepieniu?

Obejrzał się Stotzek i Ropelski, i wszyscy. Przeciskając się wśród poprzewracanych krzeseł, szła ku estradzie młoda, przystojna dziewczyna. Ta sama, która wchodzącego na salę Jana Eldena obrzuciła pomidorami. Wanda Gaharin. Jej przykład przełamał wahanie się mężczyzn. Jeden po drugim wpisywali się do Ligi Antywojennej, a nazwiska dwóch nowych członków Ligi Zygmunta Ropelskiego i Augusta Stotzeka znalazły się na liście tuż obok siebie...

Mieszkańcy Glücksaue i Szczęsnej Łąki zbaranieli ze zdumienia, kiedy po wakacjach obydwaj nauczyciele przyjechali ze stacji tą samą podwoją, gawędząc z sobą przyjacielsko.

--- Spójrz, Auguście, jak oni się nam przyglądają.

--- Nie można się im dziwić. Przez tyle lat żarliśmy się z sobą jak pies z kotem, a dzisiaj... no, dzisiaj, chwała Bogu, jest wszystko w porządku.

--- Czy na pewno? Boć skoro przez tyle lat sialiśmy tutaj tylko nienawiść, to...

--- Masz słuszość, Zygmuncie. Lecz w Bogu nadzieja, że wyplenimy kłokol posiany w okresie naszej strasznej ślepoty i zasiejemy tu wszędzie ziarna prawdy, miłości i pokoju...

--- Amen.

I powróciły piękne dni dla wioski, którą kaprys polityków przeciął linią graniczną. Kościół znajdował się na polskiej stronie. Więc w każdą niedzielę mieszkańcy Glücksaue zaopatrzeni w przepustki graniczne, przybywali tłumnie do sąsiadów na nabożeństwo, a po południu Szczęsna Łąka szła z rewizytą na niemiecki brzeg. Bowiem na miejscu spalonej szkoły stanął nowy, obszerny budynek, a w nim największą izbę oddał Stotzek na czytelnię. W owej czytelnii Jan Elden, zaproszony przez obydwie wioski, wygłosił pewnego razu piękne przemówienie na temat braterstwa ludów. Że ta idea nie jest utopią, dowodziło zgodne obecnie pożycie Glücksaue i Szczęsnej Łąki. Jan Elden miał na tym wiecu wyjątkowo wdzięcznych słuchaczy. Wszystkich ich wciągnął do swojej Ligi Antywojennej i odjechał do Berlina z sercem przepelnionym radością.

Nie mniej uszczęśliwieni i dumni ze swojego dzieła byli Stotzeck z Ropelskim. Lecz radość krótki ma żywot zazwyczaj. Jan Elden bawił w tych stronach dnia dziesiątego lutego, w dwa tygodnie później propaganda rewizjonistyczna szalała już w najlepsze, a w marcu po raz pierwszy zapachniało wojną.

--- Nie martw się, zacny chłopie --- Ropelski usiłował pocieszyć i rozruszać przygnębitego Stotzecka --- zaczyna się wiosna, więc pismaków ponosi; tyle razy byliśmy świadkami orgii niemieckiej *Hetzpresse* i, dzięki Bogu, nic z tego nie wyszło. Czy pomnisz, co w zeszłym roku wypisywał *Volkischer Beobachter*?

--- Przeklęta szmata hitlerowska! --- Stotzeck aż zgrzytnął zębami. --- Ale obecnie pisze to samo organ Centrum. Ba, prasa lewicowa! I to mnie właśnie przeraża. To mi zanadto przypomina rok 1914, kiedy to socjaliści niemieccy i austriaccy żyrowali weksle *in blanco* podpalaczom pokoju Europy...

--- Nie, drogi Auguście. Dopóki pokolenie, które przeżyło wojnę światową nie wymrze doszczętnie, nowy kataklizm nie nastąpi! Absurd! Uratowany samobójca nie targnie się po raz drugi na swoje życie!

--- Ale na życie bliźniego bardzo chętnie. A z tych, którzy wyruszają do rowów strzeleckich każdy wierzy święcie, że cało powróci do domu; dzięki temu wojny są w ogóle możliwe.

--- To prawda, niestety... Za to gruntownie się mylisz, sądząc, iż ludzie znękanymi kryzysem gospodarczym pozwolą sobie narzucić jeszcze i...

--- Znękanymi są, lecz na równi rozgoryczeni, zniecierpliwieni długotrwałością tej klęski i spragnieni zmian. W tych warunkach nietrudno rozpętać burzę. Nie szukajmy przykładów daleko. Przypomnij sobie, co się działo u ciebie w Szczęsnej Łące i u mnie w Glücksaue po naszym przyjeździe tutaj...

--- W roku 1924.

--- Tak. Cała ludność obydwóch wiosek, więc z górą tysiąc sześćset dusz ziało obłądną nienawiścią, zapomniawszy nagle o węzłach krwi i starej przyjaźni sąsiedzkiej. Ten przeklęty cud sprawiło wówczas dwóch szaleńców, ty i ja. Para młodych dyletantów w agitacyjnym rzemiośle... O ileż łatwiej potrafią ten cel osiągnąć rutynowani podżegacze! Zawodowcy! O ileż łatwiej podsycać narodową nienawiść, jeżeli się ma do dyspozycji prasę! I jeżeli nie wchodzi w grę więzy pokrewieństwa, przyjaźni czy choćby zwykła znajomość!... Dlatego, drogi Zygmuncie, tak mnie niepokoi ta nagonka w prasie. To mi pachnie wojną!

Ropelski, zaprzysiężony optymista, chciał znowu replikować, lecz w tym momencie wkroczył do czytelnicy Wojciech Łubin. Naczelnik gminy Szczęsna Łąka miał bardzo strapioną minę.

--- Skaranie boskie z tą moją rodziną!

--- Wstęp dosyć zachęcający. Cóż się znów stało, panie Wojciechu?

--- Znów? A więc już raz się coś stało?

--- Tak, Auguście, ale nie u nas, na szczęście, tylko w Paryżu. Nie mówiłem ci o tern? W naszych gazetach pisano dość obszernie o tym zabójstwie. Zapewne dlatego, że jednym ze sprawców był Polak-emigrant. Mnie interesuje to o tyle, że ten człowiek pochodził ze Szczęsnej Łąki.

--- O! Nic mi o tern nie wspominałeś.

--- Zapomniałem widocznie. Mieliśmy tyle politycznych sensacji, że mogłem zapomnieć... Sprawca nazywał się Bartłomiej Ropa. To jego krewny...

--- Żaden krewniak! --- Wojciech Łubin się nasrożył. --- Szwagier mojego przyrodniego brata tylko.

--- Więc w każdym razie wasz powinowaty.

--- A niechby go pokręciło tego powinowatego, że taki wstyd rodzinie przyniósł. --- Wojciech westchnął. -

-- A teraz drugi wstyd...

--- Masz tobie! Cóż takiego?

--- Ba, żebym to wiedział, co on zbroił. Dość, że siedzi.

--- Ale kto? Kto?!

--- Ano mój brat. Przyrodni brat. Ten, co wyemigrował do Brazylii. Kasper.

--- Gdzie go przymknęli, w Rio de Janeiro?

--- W Rzymie.

Obydwaj nauczyciele parsknęli śmiechem.

--- Coś wam się pokiełbało, panie Wojciechu.

Ale Wojciech Łubin miał w kieszeni "urzędowy kawałek", stwierdzający, że Kasper Łubin nie przebywa w żadnym Rio de Janeiro, lecz w Rzymie. Że po odsiedzeniu kary ma być odstawiony do Polski ciupasem. A starostwo w Międzychodzie zapytuje urząd gminny w Szczęsnej Łące, czy rzeczywiście Kasper Łubin jest przynależny do gminy Szczęsna Łąka, itd., itd.

--- Rozumiem. Źle mu było w Brazylii, nie miał za co wracać, więc zakradł się na pierwszy lepszy okręt odpływający do Europy i przypadkowo wylądował we Włoszech, gdzie go aresztowano. Sprawa jest całkiem prosta.

--- Aha, "prosta"! Może dla pana nauczyciela. Ale jak ja wyglądam? I co sobie pan starosta międzychodzki myśli o naczelniku gminy, którego brat siedzi pod kluczem?! I to w Rzymie, pod bokiem Ojca Świętego?!

Wojciech Łubin był niepokieszony. Bartek Ropa, który się podszył pod nazwisko jego brata i odsiadywał swoje dwa miesiące w Rzymie, nie przeczuwał na pewno, że tyle kłopotów przysporzył urzędowi gminnemu w Szczęsnej Łące. Bo przewidującemu Wojciechowi nie tylko o *familijny wstyd* chodziło. Kasper Łubin przed swym wyjazdem do Brazylii spieniężył wszystko, co tu posiadał. Czyli że ciężar utrzymania go, dopóki sobie jakiej roboty nie znajdzie, spadnie na braterskie barki... A dalej sprawa Bartka Ropy. Francuzi na pewno wydała jego rodzinę i tutaj ją odeślą. Bartkowi żona podobno umarła we Francji, ale pozostało troje dzieci...

--- Duże te dzieci? Dorosłe?

--- Gdzie tam, panie nauczycielu. Pędraki! Dwoje młodszych urodziło się we Francji. Tylko najstarsze pamiętam. Zośkę. Dwa lata miała, gdy stąd wyjeżdżali. --- Umilkł, przez chwilę obliczał w myśli, i odsapnął.

--- Eee, to ona ma dzisiaj siedemnaście roków! Może już zapracować na siebie... ta Zośka...

ROZDZIAŁ XV

Zosia była tego samego zdania. Chciała pracować, a w sklepiku wujostwa niewiele miała do roboty i ruchliwy Urban Kallinos doskonale sam sobie dawał radę. Zosia pomagała więc ciotce przy kuchni, niańczyła beksę Jędrka, ale to wszystko nie wypełniało jej dnia ani nie wyczerpywało jej energii. Chciała pracować także i dlatego, by zarabiać, by uciulać dużo pieniędzy. Potrzebowała ich pilnie. Przede wszystkim na kaucję dla brata, a następnie... co tu owijać w bawełnę... na jakiś lepszy przyodziewek dla siebie. Nigdy dotychczas nie dbała o to, chodziła w przestronnych kieckach po matce i w trzewikach, w których nawet oszczędna ciotka Urbanowa wstydziła się chodzić. Córce bezrobotnego nędzarza najgorszy łachman musiał się podobać, a zresztą kto by tam myślał o strojach, gdy do gęby nie ma co włożyć i gdy nieszczęścia się wałą jedno za drugim...

Lecz obecnie sytuacja była inna. Hieronim Kallinos przyniósł list Bartka Ropy wysłany z Neapolu i Zosia odetchnęła; przestała się lękać, że ojciec wpadnie w ręce policji francuskiej. Jeszcze bardziej ucieszyły ją uroczyste zaklęcia ojca, że on nie jest winien śmierci Pawła Dardenne'a.

--- A nie mówiłam wam?! Nie mówiłam?!

--- Wszyscyśmy, droga Zosieńko, wierzyli w niewinność twego ojca...

Nie musiała się również lękać o losy brata. Poczciwy pułkownik Barbenoir zapewnił Kallinosa, że Maciek Ropa już choćby przez wzgląd na swój wiek młodociany nie otrzyma zbyt surowej kary; a to, iż działał w afekcie i stanął w obronie honoru rodziny będzie dlań także okolicznością łagodzącą.

Tak więc brzemień najcięższych trosk odpadło. Odpadły również inne kłopoty: co dać jutro na obiad, za co kupić trochę ziemniaków, co porąbać, by móc ogień rozpaścić, itp. Takich zmartwień w ogóle nie znano w domu wujostwa, a poczciwy Urban, jego żona i mały Pierre prześcigali się wzajemnie w dogadzaniu gościom. Zosia nigdy jeszcze w życiu nie jadła takich przysmaków jak teraz. Rychło też przestała być *tyczką* i *straszydłem na wróble* (definicje zakochanego kuzynka). Po kilku tygodniach pobytu pod gościnnym dachem Urbana zaokrągliła się nieco, nabrała kolorów, krótko mówiąc, wyładniała tak, że Rémi Ollivier mógł się w niej z miejsca zakochać.

Rémi Ollivier! Zosia rumieniła się na samo wspomnienie rozkosznych przejażdżek we dwoje. Gdy szafirowy samochód, wydostawszy się z labiryntu ulic, wypadł na gościniec za miastem i mknął jak wicher, przymykała oczy w upojeniu; była przekonana, że taki pęd jest szczytem ziemskich rozkoszy. I gdy Rémi ustanowił taryfę: za każdą wycieczkę trzy całusy, przystała na tę cenę bez wahania. Kalkulowało się stanowczo, nie mówiąc już o tym, że Rémi całował zupełnie inaczej niż mały kuzynek Pierre. Mocniej, dłużej i znacznie przyjemniej. O niebo!

Znajomość z przystojnym szoferem obudziła w Zosi maleńką kokieterię. Rémi prezentował się wręcz elegancko. A ona? Brrr! Nie dbała o to nigdy, no dobrze, ale teraz dbać musi. Przez wzgląd na niego! Żeby mu wstydu nie robić. I żeby mu się bardziej... podobać. Zwęziła sobie i przerobiła najmożliwszą ze swoich trzech kiecek, przyszyła czerwony pompon do beretu, i nazajutrz Rémi aż krzyknął z zachwytu.

--- Nareszcie! Nareszcie zaczynasz trochę myśleć o swoim wyglądzie...

Pochwalił więc, ale to jego *nareszcie* i *trochę* dowodziły, jak daleko jeszcze było do ideału. Tej nocy Zosia prawie oka nic zmrużyła.

--- Muszę sobie sprawić jakąś sukienkę i płaszczyk. Muszę skądś na to wytrzasnąć pieniądze. Muszę

zacząć pracować i zarabiać...

Nazajutrz rano Zosia wznowiła poszukiwania garbatego malarza. Wiedziała, że nigdzie posady nie znajdzie, a ten garbus proponował jej wówczas jakieś zajęcie i mówił, że będzie mogła sobie ładnie zarobić. Ładnie!

Tym razem sprzyjało jej szczęście.

--- Garbaty malarz? Pan Ruiz Lolez?

--- Tak, tak się nazywał. Ruiz Lolez. Więc tutaj mieszka. Pamiętałam tylko, że przy bulwarze Raspail, ale numer domu uciekł mi z pamięci. Które piętro, proszę pani?

--- Piąte. Zaraz paniencie otworzę windę.

--- Och, nie. Dziękuję. Od czego schody... Bo przyznam się pani, że nie mam ani sou przy sobie. Nie mogłabym pani dać żadnego napiwku...

Konsjerżka uśmiechnęła się wyrozumiale.

--- Nie szkodzi. Pan Lolez mi tyle płaci, że mogę darmo obsłużyć jego wszystkie damy...

Jadąc windą, Zosia rozmyślała nad znaczeniem tych słów. *Jego wszystkie damy?* Może jego robotnice, urzędniczki czy coś w tym guście. *Damy* było oczywiście powiedziane żartobliwie...

Zaspany lokaj zmierzył Zosię zdziwionym spojrzeniem. Wyjaśniła mu szybko, że pan Ruiz Lolez polecił jej się zgłosić do niego. Nawet dał jej swój bilet wizytowy, ale... zostawiła go w domu przez zapomnienie.

--- Pan Lolez jeszcze śpi. Jest dopiero po ósmej!

--- Nie szkodzi, proszę pana. Ja zaczekam.

--- Będzie pani musiała uzbroić się w cierpliwość. Pan Lolez wstaje zwykle koło dziesiątej.

Powtarzając swoje *nie szkodzi, proszę pana*, Zosia weszła do przedpokoju a stąd do poczekalni. Tutaj Gervais ją pozostawił, zamknął drzwi i odszedł do studia, by ukończyć sprzątanie. Po chwili zaczęło stamtąd dobiegać buczenie elektrycznego odkurzacza. Monotonny szum podziałał usypiająco na Zosię. Była zresztą przeraźliwie śpiąca po dzisiejszej nocy i zdrzemnęła się w fotelu aż miło...

Jakiś łoskot ją zbudził. Odemknęła oczy i przez długą chwilę rozglądała się dokoła ze zdumieniem. --- Gdzie jestem? --- Przypomniała sobie wreszcie. Jej spojrzenie wędrujące po obrazkach zdobiących ściany zawadziło o antyczny zegar. --- Już po jedenastej. --- Nie chciało jej się wierzyć, że spała tutaj przez trzy godziny. Ten lokaj chyba zapomniał o mnie...

Zgadła. Gervais miał tyle spraw na głowie, że zapomniał. Gervais musiał posprzątać całe mieszkanie przed dziesiątą, przed przyjściem nowej modelki, Lili. Panna Lili nie życzyła sobie, by ktokolwiek, prócz malarza, przebywał w mieszkaniu, gdy ona pozuje. --- To mnie krępuje. Nie jestem zawodową modelką. --- Panna Lili robiła z malarzem, co chciała. Dzięki temu Gervais musiał codziennie na kilka godzin zniknąć z mieszkania, o co się zresztą nie gniewał. I dzisiaj wyszedł, podawszy wprzód malarzowi śniadanie, lecz o obecności Zosi całkiem zapomniał...

Zosia wysunęła się do przedpokoju. W głębi wisiała kotara. Wchłaniała ona w siebie szelest Zosinych kroków, lecz nie mogła całkowicie stłumić śpiewu rozbrzmiewającego po tamtej stronie, czyli w studiu. --- To on. --- Zosi najmocniej utkwiły w pamięci hipnotyzerskie spojrzenia czarnych oczu garbusa, teraz przypomniawszy sobie również jego barytonowy głos. --- Tango? --- Tak, to było argentyńskie tango, ale do oklepanej melodii Ruiz Lolez dorobił sobie nowy tekst. Albo improwizował teraz. W zmysłowych metaforach opiewał piękno kobiecego ciała. Wyrazy lubieżne, sprośne padały coraz częściej...

Zosia przystanąła, poczuła się nieswojo. Ale z ciekawości przysunęła oko do wąskiej szpary między skrzydłami portiery. Ujrzała garbusa. Ruiz Lolez ubrany w jakąś fantazyjną piżamę stał przy sztaludze na tle olbrzymiego okna, które zajmowało nieomal całą ścianę w głębi. Zosia widziała go jak na dłoni.

Śpiew urwał się nagle. Lolez zaklął, z pasją grzmotnął paletą o ziemię i wczepił sobie dłonie w gęstą czuprynę.

--- Nie! Nie! Nie! Nic mi znów nie wychodzi! --- Odwrócił się raptownie. Jego krzyk przeszedł w cichą skargę. Dlaczego ty mi się każesz tak męczyć?! Czy nie widzisz, co się dzieje ze mną?

Zosia była zdumiona. Czy on do siebie tak gada? Oszalał?!

--- Lili! Czy nie wysłuchasz mnie wreszcie?

Zosia przesunęła się w prawo i stanęła w pąsach. Teraz dopiero ujrzała ową Lili. Lili stała na drewnianym, trzystopniowym postumencie i nie miała na sobie ani strzępka odzieży! --- Bezwstydna! Jak ona może?! --- Zosia rumieniła się za tamtą. Była zgorziona, oburzona, ale nie mogła się oderwać od kotary. Patrzyła. Obserwowała znów malarza, który z wyciągniętymi rękami zbliżał się do czarującej modelki. Panna Lili stała nieruchomo jak posąg. Spoglądała jakby w okno, zdawała się zupełnie nie dostrzegać malarza, który uklęknął na najniższym stopniu podium i czołgał się w górę powoli. Ani nie drgnęła, kiedy przywarł ustami do jej stóp. Całował jej nogi coraz śmieiej, coraz wyżej. Dopiero gdy minął kolana, rozplotła dłonie złączone na karczku, wpiła drapieżne palce w jego włosy i stanowczym ruchem odsunęła natrętą głowę.

--- Panie Lolez, bo się pogniewam...

--- Pozwól... pozwól mi ucałować jeszcze twojego motylka.

--- Ale nic więcej!

Zosia dostrzegła owego motylka. Wysoko na prawym udzie modelki widniało znamię odrzynające się wyraziście od białego jak mleko tła skóry. Znamię to wielkości dwóch listków bzu miało istotnie kształt motyla;

--- No, dosyć już. Do pracy, mistrzu!

--- Lili, nie kpij sobie ze mnie... I ulituj się nade mną!

--- Kiedy ja naprawdę nie wiem, czego pan żąda ode mnie.

Zosia zastanawiała się nad tym całkiem poważnie, czego Ruiz Lolez właściwie chce od swojej modelki. I dowiedziała się zaraz. Po raz pierwszy w życiu słyszała niektóre z tych słów, jakie teraz padły, wielu nie rozumiała jeszcze, lecz pojęła cały sens namiętnego wyznania. Twarz ją paliła, serce tłukło się nieznośnie, jakiś wewnętrzny głos powtarzał *uciekaj!*, ale stopy jak gdyby przyrosły do podłogi; na równi z lękiem ogarniał ją słodki bezwład i radość tajemna, że ów przestrich nie zdoła jej stąd odpędzić.

A tamta, do której były skierowane te zaklęcia, pozostała nieczuła jak kamień. Być może, iż siliła się na to, by wytrwać w roli posągu, ale nie wypadła z tej roli do końca.

--- Czy chcesz pieniędzy? --- Malarz już tracił cierpliwość. --- Płacę ci więcej, niż płacił Fujita swojej Kiki. Sto franków za godzinę... To nic. Podwyższę ci znowu. I...

Zosia nie słyszała dalszych słów. Zamroczyło ją trochę to *sto franków za godzinę*. Czyli za dziesięć godzin tysiąc franków! Tyle, ile trzeba na kaucję dla brata. A za drugie dziesięć godzin można by się ślicznie ubrać od stóp do głowy. Piękny zarobek, a praca wcale nietrudna takie pozowanie malarzom, trzeba tylko spokojnie stać jak ta Lili... Jak ta Lili. Czyli nago!... Zosi znowu krew nabiegła do głowy. --- Ja bym się

nigdy na to nie zdobyła. Nigdy! --- Ale wizji banknotu tysiącfrankowego nie można było odpędzić tak łatwo...

--- Proszę mnie nie obrażać, panie Lolez. --- Głos pięknej Lili zabrzmiał zimno, "posągowo". --- Ani słowa więcej o pieniądzach!

--- Więc czego żadasz w zamian? Żebym się z tobą ożenił? Nie paliłem się nigdy do instytucji małżeństwa, ale...

--- Ani ja. Miałam już raz narzeczonego.

--- Wiem. Mówiłaś. --- Zgrzytnął zębami. --- Należałaś do niego.

--- Tylko raz.

--- Tak, należałaś. Gdy ja proszę, błagam, czołgam się u twych stóp... udajesz, że nie rozumiesz, o co chodzi. Wybałuszasz te swoje chabrowe oczy niewiniątka... Ale tamtemu oddałaś się bez wahania!

--- Nieprawda! On mnie wziął siłą!

--- Nieprawda! Nie wierzę w takie historyjki... Opowiedz, jak było, a zaraz cię złapię na kłamstwie... No? Czemu milczysz?... Mów!

Lili skinęła głową. Zaczęła opowiadać dzieje swojej pierwszej w życiu przygody. Z bezwstydną dokładnością opisywała każdą fazę tego wydarzenia, z bezprzykładnym realizmem malowała najbardziej drastyczne epizody owej walki z brutalnym napastnikiem. Nie pominęła żadnego szczegółu i żywą gestykulacją ilustrowała swoją cynicznie szczerą opowieść...

Ruiz Lolez niedługo zachował spokój. Już po chwili się zerwał, z zaciśniętymi pięściami zaczął krążyć po studiu. Znów przystawał, gryzł sobie dłonie, jęczał głucho, mełł w zębach jakieś hiszpańskie przekleństwa, odgrażał się, że zabije szczęśliwszego rywala, potem siadał na najniższym stopniu podium, wlepił wzrok w modelkę i słuchał, chciwie słuchał.

Zosia słuchała również. Za żadne skarby nie chciałyby stąd odejść już teraz. Wszystko, co tutaj dotychczas słyszała i widziała, było dla niej czymś zupełnie nowym, denerwującym, ale i podniecającym dziwnie. A ciekawość, jak się zakończy ta scena, przewyciężała z łatwością strach i ostrzeżenia tajemniczego głosu w duszy, który wciąż doradzał jak najszybszą ucieczkę z tego miejsca. --- Odejdę, ale niech tamta wpierw skończy opowiadać. --- Ową przygodę, tak drobiazgowo opisywaną przez jej bohaterkę, Zosia przeżywała w myśli najintensywniej z całej trójki...

Lili skończyła wreszcie swoją długą opowieść. Z wyżyn podium wejrzała na malarza skulonego u jej stóp na najniższym stopniu i uśmiechnęła się tajemniczo.

--- Już... Czy wątpi pan nadal, że ja dobrowolnie się...

--- Nie. Wierzę ci... Lili, daj ty mi adres tego łotra.

--- O, nie! Nigdy!

--- Kochasz go jeszcze? --- Spojrzał na nią z przestraczem.

--- Nigdy go nie kochałam.

--- Więc czemu chcesz go zasłonić przed moją zemstą? Przecież to, co on uczynił było haniebnie!

--- I zwierzęce...

--- I poniżające dla ciebie!

--- Ale rozkoszne! Niezapomniane!! Boskie!!!

Ruiz Lolez osłupiał... Lili rozprężyła ramiona, pochyliła się lekko wstecz, przeciągnęła się i błogo

uśmiechnięta patrzyła w jakiś punkt na suficie. Westchnęła. --- Boskie! --- Mówiła teraz szeptem. --- Był bestią, zgoda. Lecz o ileż więcej powabu mają dzikie odruchy bestii niż potulność domowego bydła! --- Spuściła głowę, musnęła malarza rozbrajająco niewinnym spojrzeniem...

Ruiz Lolez zerwał się na równe nogi. Potulne bydło domowe?! On?! Jednym susem przebył trzy wysokie stopnie i wtargnął na podium, lecz Lili nie pozwoliła się zaskoczyć; już stała przy sztalugach i zanosila się od śmiechu. Potem, gdy garbus popędził ku niej, uskoczyła zręcznie i zaczęła uciekać dokoła podium, śmiejąc się nieustannie. Drwiła sobie z pościgu. Zapędzona w którykolwiek kąt ogromnego studio, wymykała się w ostatniej chwili, często pod rozkrzyżowanymi rękami garbusa i biegła dalej niedościgniona, zwinna, smukła, roześmiana. Rzekłbyś, sarenka uciekająca przed niezdarnym, ociężałym buldogiem.

Dzika gonitwa przeniosła się na piętro, na galeryjkę obiegającą całe studio dokoła. Tam obecnie dźwięczał srebrzysty śmiech, stamtąd dobiegał tętent małych bosych stóp i odgłosy ciężkich kroków garbusa.

--- Nie ujdiesz mi!

--- Cha, cha, cha...

Jeszcze kilka okrążeń i odległość pomiędzy modelką a pościgiem zaczęła się kurczyć gwałtownie.

--- Mam cię, ptaszyno...

--- Nigdy! Cha, cha, cha... --- Ale śmiech już nie brzmiał tak naturalnie jak przedtem. W momencie gdy wyciągnięta dłoń malarza niemal dotykała jej pleców, Lili raptownie skrzyła ku schodom. Na powrót zbiegła na dół, lecz Ruiz Lolez zjechał po poręczy i wyrównał dystans. Był teraz uzbrojony w laskę. Obrócił ją, wysunął zgiętą rączkę przed siebie; w ten sposób niejako przedłużył swoje ramię i swój zasięg. Biegł powoli, niezgrabnie, ale z żelazną wytrwałością, podczas gdy Lili goniła resztkami sił.

--- Zmęczyłaś się... I tak nie ujdiesz... Poddaj się, mała...

--- Nigdy! Rozumiesz? Ty... mnie... nigdy! --- Była zadyszana, słaiała się z lekka, ale chichotała wciąż urągliwie. Aż w pewnej chwili skierowała się w stronę portiery oddzielającej studio od przedpokoju.

Zosia struchlała. Dopiero teraz, w małym ułamku sekundy, uświadomiła sobie całą niewłaściwość swojego postępowania... Co począć? Uciekać? Za późno! Najwyżej cztery metry dzieliły modelkę od kotary... Trzy metry!... Dwa!! Wysunięta rączka laski zahaczyła o rozpedzoną nogę i Lili runęła jak długa. A garbus na nią... --- Puść! Jak śmiesz!! Precz!!! --- Znowu zabrzmiał śmiech, lecz tym razem śmiech mężczyzny...

Zosia wyślizgnęła się wreszcie z mieszkania garbatego malarza. Nogi uginały się pod nią, w głowie huczało jej przeklecie, puls w skroniach walił młotami; oburącz musiała się trzymać poręczy, by nie runąć ze schodów. --- To samo mogło być spotkać mnie! --- Z marzeń o dużych zarobkach wyleczyła się gruntownie. Ponętna wizja banknotu tysiącfrankowego odleciała na księżyc, pożegnana tylko jednym westchnieniem: --- Maciek nieborak będzie musiał siedzieć aż do rozprawy sądowej...

Zosia wyszła z długiej sieni na ulicę i odetchnęła z ulgą. Jej było teraz znacznie lżej na sercu, za to innym ludziom ciężiej. Bowiem od kilku minut sprzedawano w Paryżu nadzwyczajne dodatki i kolporterzy wrzeszczeli na całe gardło:

--- POLSKIE WOJSKA ZAJĘŁY GDAŃSK! Dodatek nadzwyczaaaaj...

--- Nadzwyczaj dodaaa... WOJNA NA WŁOSKU!!!

ROZDZIAŁ XVI

Genewa. Dawniej *Rzym kalwinistów*. W starej, w dziesiątym stuleciu zbudowanej, katedrze Jean Calvin wygłaszał swoje kazania o [predestynacji](#), która wypływa z istoty chwały bożej, a objawia się w karaniu złych i zbawianiu dobrych ludzi.

Genewa. Obecnie *Rzym pacyfistów*. W nowym, w dwudziestym stuleciu zbudowanym, pałacu wygłasza się kazania o posłannictwie Ligi Narodów, które objawiać się winno w karaniu krwiożerczych i zbawianiu słabych, spokojnych ludów.

Właśnie taki pan przemawia. Zaledwie od godziny. Potem reasumuje. Jest optymistą, choć langusta w majonezie troszeczkę mu zaszkodziła. Oficjalnie jest optymistą. Wierzy, powiada, że dzięki dobrej woli zainteresowanych i ich sprzymierzeńców konflikt gdański uda się pokojowo zakończyć, i honorowo dla obydwóch stron. Wierzy, powiada... (majonez już mu się przestał odbijać i optymizm wzrósł do zenitu)... że niebawem wypełni się proroctwo i cały świat stanie się jedną owczarnią narodów rządzoną przez jednego pasterza, Radę Ligi.

Skończył. Oklaski. Dziennikarskie [watermany](#) jeszcze skrzypią, a nowy mówca już wstaje. Prezydent Senatu Wolnego Miasta. Delegat angielski patrzy nań z sympatią; ogromnie lubi jego głos, niski, poważny, cudownie monotony. Nareszcie będzie się można zdrzemnąć, bo tamten, spec od biblijnych porównań wrzeszczał, jakby na mityngu górników. Egoista! Cham! Oka człek nie mógł zmrużyć w tym hałasie. Za to teraz!... Anglik rozgląda się z zadowoleniem. Oto piękny przykład międzynarodowej solidarności. Kto żyje, poprawia się w fotelu, wspiera czoło na dłoni, przybiera minę zatroskaną, skupioną, i dyskretnie zasypia. Bo drzemka na walnym posiedzeniu, pod prysznicem natrętnych spojrzeń galerii nie jest wcale tak prostą rzeczą. Nie każdy umie przez sen potakiwać głową i na przemian przeczyć, jak delegat Gwatemali. I tylko jeden starowinka, Włoch, tak się tu wytrenował, że w końcu posiadał kunszt spania z szeroko otwartymi oczami. Wszyscy mu tego zazdroszczą w Genewie.

Prezydent Senatu mówi już od dziesięciu minut. Zanim przejdzie do meritum sprawy, musi pokrótce przedstawić dzieje dotychczasowych konfliktów Gdańska z Polską. Więc z istic niemiecką dokładnością wylicza wszystkie krzywdy, jakich grzeczne dziecię doznało od złej macochy. Więc gada, gada, gada...

Dziennikarzy również ogarnia senność, ale cóż; jakby na złość dwie arcyważne figury, minister z [Quai d'Orsay](#) i jego niemiecki kolega zaczynają dyskutować z ożywieniem. Niestety szeptem, lecz nietrudno poznać, że się kłócą. Oczywiście wytwornie, z uśmiechem na twarzy, jak przystało wielkim mężom stanu. Sprzecząją się w czasie przemówienia Prezydenta Senatu gdańskiego! Czyż komentarze potrzebne?!

Polski kurier dyplomatyczny zaciera dłonie, gdy to widzi. Młodzieniaszek przywiózł dziś z Warszawy szyfrowaną instrukcję (*Nie ustępować! Prestiż państwa wymaga, by za wszelką cenę zmusić... etc.*) a chwilowo młodzieniaszek asystuje i cieszy się ogromnie, że *Francja trzyma z nami*.

Ale polski delegat nie jest tak naiwny jak to miłe dyplomatyczne szczenię. On wie doskonale, że Francuz z Niemcem spierają się o rocznik burgunda, którym wszyscy zachwycali się przy lunchu. Lub może o przyprawę sałatki? Lecz całkiem na pewno nie o Gdańsk. Ten nudny temat nikogo tu nie interesuje, prócz zainteresowanych. Takich jest dwóch. Jeden właśnie gada... A ja muszę słuchać z uwagą gładzenia tego gaduły. Tylko ja muszę. Oj, dolaż moja, dola!

Gaduła z lekka grzmotnął pięścią w stół. Podniósł głos. Że niby wreszcie ukończył przedmowę

przemowy i przechodzi do przedstawienia stanu faktycznego ostatnich ubolewania godnych zajść...

Delegat polski budzi sąsiadów, Niemiec swoich sojuszników. Obudzeni z zemsty przerywają sen innym kolegom. Mobilizacja. Oszczędzają tylko Syjam, który przecudnie uśmiecha się przez sen. I słusznie, niech śpi. Co Syjam obchodzą awantury gdańskie? Akurat tyle, co Polskę nosaczna wśród kotów syjamskich.

Ubolewania godne zajścia w Gdańsku w oświetleniu mówcy wyglądają bardzo niewinnie. Oto garść dzieciaków obrzuciła niezbyt świeżymi jajami jakąś Żydówkę, która prowokacyjnie zachowywała się na ulicy, a już nazajutrz polskie torpedowce wtargnęły do Gdańska... Oto lista świadków, odpisy protokołów policyjnych i corpus delicti, skorupy jaj...

Delegat niemiecki trąca łokciem Włocha. --- Słyszysz pan? --- Staruszek przymyka oczy, by udowodnić, że czuwa. --- I co pan na to? --- Staruszek nie wie, o co chodzi, lecz od czego dyplomatyczna rutyna: --- *Se non è vero, è ben trovato* --- śmieje się i znowu podnosi powieki, gdyż potrafi spać tylko tak jak zajac.

Delegat polski prostuje. Że najmłodszy z "dzieciaków" liczy lat dwadzieścia trzy. Że rzekoma Żydówka Żydówką nie jest, tylko przechrzta; a poza tym żoną generała. Że słów jej nikt słyszeć nie mógł, gdyż jechała w zamkniętej limuzynie. Że bynajmniej nie ją obrzucono jajami, tylko posterunek polski w Westerplatte. Że owe jaja jajami nie są, lubo posiadają jajowaty kształt, a są de facto ręcznymi granatami, itd., itp... Oto lista świadków, odpisy protokołów i corpus delicti, skorupy owych "jaj"...

--- Nie ciekawym, który z was więcej tu nałgał --- myśli przewodniczący i poleca odczytać raport Wysokiego Komisarza Ligi Narodów w Gdańsku. Raport jest olbrzymi i w pierwszej części wybitnie wodnisty. Trudno się dziwić, Gdańsk to port, wody w nim do diabła i trochę... Za to w drugiej części raportu same cyfry, daty, paragrafy.

A za oknami wiosna! Na wysepce Jean Jacques Rousseau topole już wypuszczają pierwsze listki. Ciepły powiew południowego wiatru ciągnie doliną Rodanu w górę rzeki, marszczy toń Lemańskiego Jeziora i wabi na jezioro łabędzie. Na kanwie olbrzymiej fontanny drży tęcza, autograf słońca. Parowce wracają z Evian-les-Bains, z Lozanny, Vevey, Montreux. Na pokładach grają orkiestry, w tonacji ckliwie sentymentalnej. To najlepiej odpowiada nastrojowi parok wracających z Chillon. Ach, Chillon! Mniejsza o Byrona i jego *Bonivarda*, ale jak się tam można cudownie całować w tym starym zamczysku!... Szczęśliwe parki i szczęśliwe łabędzie. One nie muszą godzinami słuchać nudnych referatów o nowym zatargu *tej awanturniczej Polski z jakimś tam Gdańskiem*, jak biedne stenografki, stenotypistki, maszynistki, sekretarki Sekretariatu Ligi.

Choć właściwie to owe panienki nie są wcale tak biedne. Już z samych poborów może sobie każda ładny posag uciulać po kilku latach pracy. A inne dochody? Na przykład z urody. Dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie te *lizanki* (od *Liga*) są bardzo piękne. Jednym obiecującym spojrzeniem mogą rozbroić największego militarystę. Niestety jednak najwięksi militaryści zawsze najlepiej się dekują, to ich nawyk z czasów wojny. Do Genewy ślą delegatów skrzepowanych ścisłą instrukcją, tak jak niemowlę pieluszką. Okazało się to dowodnie w dzisiejszej sprawie: Czego żąda Polska?... Zadośćuczynienia ze strony Senatu; gdy to nastąpi, polskie torpedowce powrócą do Gdyni. Już w godzinę później!... Brawo! A czego żąda Wolne Miasto Gdańsk?... Bezzwłocznego wycofania polskich okrętów wojennych; gdy to nastąpi, Senat udzieli Polsce żądanej satysfakcji. Już w godzinę później!

I na tym utknęło. Na tej jednej godzinie! Oczywiście rutynowani dziennikarze ubrali to trochę, upiększyli i zabarwili pod kolor swoich dzienników. Czytało się więc nazajutrz:

Rzeczowego przemówienia Prezydenta Senatu słuchali wszyscy obecni z największą uwagą i zainteresowaniem. Natomiast mowa delegata Polski wypadła bardzo blado i nie wywołała najmniejszego oddźwięku wśród zebranych.

...Polska przez swoją prowokującą nieustępliwość zraziła sobie dzisiaj wszystkich, nie wyłączając najbardziej oddanych sojuszników. W tych warunkach sprawę można uważać za przesądzoną na korzyść Gdańska...

I również tak:

Rzeczowego przemówienia delegata Polski słuchali wszyscy obecni z największą uwagą i zainteresowaniem. Natomiast mowa Prezydenta Senatu wypadła bardzo blado i nie wywołała najmniejszego oddźwięku wśród zebranych.

Gdańsk przez swoją prowokującą nieustępliwość zraził sobie dzisiaj wszystkich, nie wyłączając najbardziej oddanych sojuszników. W tych warunkach sprawę można uważać za przesądzoną na korzyść Polski...

Lecz te wiarygodne informacje od własnych korespondentów i specjalnych wysłanników będą ludzi karmiły dopiero jutro. Na razie jest dzisiaj, i zapada zmierzch, i pora wracać do hoteli, by przebrać się do obiadu. Wyspani delegaci ślą przewodniczącemu spojrzenia błagalne. Ale członkowie Rady nie błagają ani nie proszą nigdy. Oni zawsze tylko żądają, rozkazują. Więc ich wzrok jest surowy, pełen wyrzutu: --- Czyś pan zwariował?! Zameczyć nas tu chcesz dzisiaj?! Czy nie widzisz, że słaniamy się ze zmęczenia? Odroczyć! Odesłać do komisji albo do wszystkich diabłów!

Przewodniczący udaje, że nie widzi. Chciałby koniecznie ruszyć tę sprawę z martwego punktu. Przecież chodzi już tylko o drobnostkę. O głupią godzinę! Czy panowie naprawdę nie mogą pójść na kompromis?... Nie mogą. Instrukcja! Nic się nie da zrobić... Więc proponuję równoczesność. O godzinie, powiedzmy, dziesiątej polskie torpedowce wyjdą w morze i w tej samej minucie Senat... Nie! Nie! Nie! Prestiż! Prestiż!! Prestiż!!!

--- Odraczam sesję do jutra.

Chóralne westchnienie ulgi. Do jutra! *Morgen, morgen, nur nicht heute*, nuci delegat niemiecki. Angielski pięści oburącz dłoń syjamskiego, że niby dla koncesji leśnych. Francuski kpi z nich wesoło; Francuzi zawsze wolą spódniczkę, nawet kryzys jest u nich rodzaju żeńskiego. Humory poprawiają się z błyskawiczną szybkością. Już nie ma śladu znużenia, śpiączki, ociążałości. Praca na dzisiaj skończona! Teraz jeść, teraz pić, teraz na dziewczynki!

A dziewczynki nad Lemanem są first class. Oczywiście import. Szwajcarki są ciężkie jak ser szwajcarski dla chorego żołądka. Dziewczynki dzielą się na kilka rodzajów. Więc najpierw te z Sekretariatu. Bardzo dystyngowane, bardzo uważające na formy. Gotówki nawet by im nikt nie śmiał ofiarować. Już prędzej czek. Lecz one wolą shopping. Shopping jest to wspólna pielgrzymka do lepszych magazynów po zakupy,

przy czym ona sobie wybiera, on płaci.

Drugi rodzaj to sezonówki. Te, co przyjeżdżają do Genewy tylko na sezon, czyli na czas trwania sesji. Artystki bez engagement, [detto](#) szpiegówki, pseudożony, divy, dziwy, wampiry, źdźziry, ale wszystko tip-top, high-life kokoci. Takie biorą najchętniej biżuterię. Rozumie się tylko na pamiątkę! Na pamiątkę cudnych chwil rozanielony dyplomata kupuje na przykład pierścionek, który ona zauważyła "właśnie" na wystawie. Kosztuje, powiedzmy, sześćset franków szwajcarskich. --- Najdroższy, jak to ładnie z twojej strony! Będę go zawsze nosiła na palcu. Kiedyś mnie z nim włożą do trumny, taka będzie moja ostatnia wola. --- ...A nazajutrz pierścionek jest na swoim miejscu w witrynie. Jubiler zwrócił damie pieniądze, strącając sobie dwadzieścia procent tytułem należnej prowizji. Dziesięć razy już robili tę transakcję i jeszcze z dziesięć razy ją robią.

Narybek dyplomatyczny wpada inaczej. Na młodych czyhają mistrzyni bluffu. Taka bujaczka robi wpieryw wywiadzik, kto zaczął ten amant, a potem: --- Jestem od lat przyjaciółką twojego szefa. No tak, chłopyszkę. Twojego ministra, pana X. Y! Z nikim bym go nie zdradziła, ale tobie, nie wiem, czy potrafię się oprzeć. Jesteś taki przystojny, inteligentny... --- Młodzieniec dostaje gorączki. Przyjaciółka ministra! Jedno słóweczko we właściwym momencie, na przykład, że on jest inteligentny... i awans. Potem drugi, trzeci. Szczyt góry marzeń widziany przez okulary takiej protekcji staje się dziwnie bliski, dostępny. Przyjaciółka pana ministra! [Beatrycza dla karierowicza!](#)

Na notorycznych nacjonalistów polują inne dziewczoje. Taka wyznaje w tajemnicy, że jest żoną delegata *odwiecznych wrogów*. Przyjechała tu incognito, by śledzić niewiernego małżonka. I chce się zemścić na nim, chce się oddać komuś, kogo mąż najbardziej nienawidzi... --- Więc mnie, piękna pani! --- Dyplomaciatko aż drży z podniecenia. Taki sukces! Ba, wiązanka sukcesów. Bo i osobisty tryumf nad wrogiem, i patriotyczna satysfakcja, i pozyskanie sobie konfidentki w głównej kwaterze przeciwnika, i [last not least](#)... darmo! No, jasne, że to wszystko gratis. Żona ministra! Żona!!... A jednak okazuje się, że także trzeba płacić. Pardon! Tylko pożyczyc. Zabrakło jej właśnie na drogę powrotną jakieś pięćset szwajcarskich, a że bawi tu incognito... Oczywiście ona mu zaraz odeśle. Telegraficznie!

Wśród przeróżnych odmian dziewczynek odrębną kastę stanowią nad Lemanem kurtyzany, [sit venia verbo](#), historyczne. Takie, co to stary Francesco albo George z lwią grzywą lub Gustav o wiecznie spoconych dłoniach czy wreszcie sam Arystydes! Genewska [specialite de la maison](#). Dla dziejopisa, dla biografów byłyby to nieprzebrane kopalnie wiadomości, gdyby nie megalomania tych dam. Na przykład:

--- Paneuropa, można powiedzieć, poczęła się tam --- i ruda Claudine wskazuje z dumą tapczan stojący w kącie pokoju... Ba, ale sto innych Kło-kło mówi kubek w kubek to samo o swoich łóżkach i każda gotowa na to przysiąc.

Damy te dzisiaj już nie są zbyt ponętne, starzeją się, do lokali mało uczęszczają, lecz powodzenie mają duże nadal. Zwłaszcza u turystów i u najmłodszych dyptomatów. Pierwsi przez snobizm, to zrozumiałe. Drudzy przez specyficzny mistycyzm. Mianowicie wierzy taki młodzieniaszek święcie, iż wszystko, z czym się osobiście zetknął geniusz wchłonęło w siebie cząstki jego genialności i może je na skutek nowego zetknięcia mechanicznie przenieść na inne osoby; tak sobie młodzian tłumaczy sens powiedzenia: spuścizna duchowa...

Dyplomaci spiesznie opuszczają salę posiedzeń. Dążąc ku czekającym limuzynom, gawędzą najprzyjaźniej Polacy z Niemcami, z Włochami Francuzi, i Czesi z Węgrami. A Paragwaj Boliwii daje szereg cennych wskazówek na temat nocnego życia tubylców. Teraz nie ma już żadnych uraz, intryg, koalicji, nie ma żadnych *odwiecznych wrogów*. Są tylko koledzy po fachu. Toć i aktorzy muszą się zabijać na scenie, a potem idą na wódkę w jak najlepszej zgodzie. To samo jest tutaj. W teatrze po przedstawieniu najspieszniej wychodzi publiczność, po niej artyści, personel techniczny, potem służba, gdy ukończy sprzątanie. Tak samo jest tutaj. Pusty gmach teatru napełniają widma i jęczą w ciemnościach, i skarżą się na swój przeklęty los. Zupełnie tak samo jest tutaj. Tysiące Chińczyków wymordowanych pod Szanghajem i w Mandzurii błądzą po sali posiedzeń, a dziesiątego listopada, w rocznicę zawieszenia broni, defiluje tędy dwanaście milionów poległych!

W Genewie każde dziecko wie, że w Pałacu Ligi straszy. I tak jest naprawdę, i nie można się dziwić; gdzie popełnią zbrodnię, tam musi straszyć. A nie było chyba większej zbrodni nad tę, jaką popełniono w tym pałacu. Jest to historia tak ponura, że może służyć za temat tylko do powieści kryminalnej. Czyli nadaje się również na bajeczkę dla dzieci. Boć przecież najkrwawsze *Mordgeschichten* opowiadamy właśnie dzieciom. W najprymitywniejszej bajce pod tytułem *Alibaba i czterdziestu rozbójników* są czterdzieści trzy trupy, w tym większość wymordowana w wyrafinowanie okrutny sposób wrzucym olejem. Takim rekordem nie może się poszczycić żadna powieść kryminalna... A legendy? A dzieje ojczyste? A najplugawsza kronika kryminalna, czyli historia powszechna? A last not least Biblia z jej *grandguignolskimi* scenami?... Tym karmimy od początku naszych milusińskich i dziwimy się naiwnie, że więzienia są stale przepelnione. I że tyle się popełnia masowych morderstw zwanych pięknie wojnami...

Dramat, jaki się rozegrał w pałacu genewskim wygląda w wersji bajkowej tak:

W dużym BIAŁYM DOMU żył raz bardzo mądry i szlachetny człowiek, zwał się WILSON. Żyła wówczas również bardzo nieszczęśliwa wdowa, która wielu synów straciła na wojnie; zwała się LUDZKOŚĆ. Pobralo się tych dwoje, a było proroctwo, że ich dziecię może przynieść szczęście całemu światu. Może, o ile zdoła unieszkodliwić straszliwych korsarzy, SAMUELA, ABLA, ROGERA i paru innych.

Dowiedzieli się piraci o tej wróżbie i postanowili zgładzić dzieciątko, skoro tylko przyjdzie na świat. Że jednak sami byli zbyt tchórzliwi, wynajęli sobie gromadę zbirów. Na czele tej bandy stanęli szefowie rządów dwóch wielkich mocarstw. Ci dwaj przybyli do WILSONA, stali się jego przyjaciółmi, pomogli mu budować wspaniały pałac genewski dla przyszłego władcy świata i często tam bywali w gościnie.

Dziecko przyszło na świat. Córeczka. Uszczęśliwieni rodzice nadali jej imię z dawna upatrzone, LIGA NARODÓW. Cały świat szalał z radości, ale zbiry czuwały. Jeden z nich własnoręcznie zadusił niemowlę, gdy matka spała. WILSON niebawem umarł ze zgryzoty, lecz matka nic nie wie

dotychczas.

Biedną LUDZKOŚĆ wypędzono z pałacu. Wytłumaczono jej, że taka stara nędzarka jak ona nie ma tu nic do roboty. Że przy dziecku muszą czuwać poważni mężowie stanu, politycy, dyplomaci. I biedna matka wierzy po dziś dzień, że LIGA żyje, że wzrasta w zdrowiu, że niebawem obejmie rządy nad światem i da mu upragnione szczęście, czyli wieczysty pokój. Nawet nie przeczuwa, że jej najlepsze dziecko, jej ukochaną LIGĘ, zamordowano już dawno!

Kropka. Bajka skończona, dziecińco... --- A sens moralny?... --- Nie ma. Jest za to niemoralny bezsens głupoty LUDZKOŚCI. Taka stara, doświadczona kobieta powinna się była dawno domyślić, co spotkało LIGĘ. Naiwna łatwowierność w jej wieku jest najczystsza głupota, a głupota nigdy nie budzi współczucia...

ROZDZIAŁ XVII

Udało się burzę zażegnać. Polska, jak zwykle ustąpiła. Polskie torpedowce opuściły Gdańsk, po czym Senat Wolnego Miasta udzielił Polsce żądanej satysfakcji. Przewodniczący serdecznie dziękował polskiemu delegatowi, zamknął nadzwyczajne posiedzenie Ligi i Genewa zaczęła się opróżniać. W przepelnionych sleepingach dyplomaci, kokoty, dziennikarze wypoczywali po "znojnjej" pracy nad Lemanem.

Za to w kuźni braci Lestów praca wrzała od świtu do nocy. Dawid Lest miał referat prasowy. Nie znaczy to, że sam pisywał artykuły, na to musiałby mieć chyba sto rąk. Nie. On tylko obmyślał tematy, które jego współpracownicy rozsiani po stolicach wszystkich państw Europy rozwijali odpowiednio. Niekiedy jeden taki *Leitmotiv* obowiązywał zaprzyjaźnione dzienniki w ciągu całego tygodnia, lecz bywało i tak, że Dawid Lest wysyłał nowe instrukcje dwa razy dziennie. Taki wypadek zaszedł właśnie dzisiaj. Jeszcze rano Dawid polecił wyszydzać Ligę Narodów i udowadniać, że dawno już, bo w czasie walk w Mandżurii straciła resztki autorytetu, tymczasem w południe otrzymał depezę od brata, że konflikt gdański zażegnany.

--- Do pracy, panno Rachelo!

--- List? Depeszę? Szyfr? --- Sekretarka już usiadła przy maszynie.

--- Tak, panno Rachelo... Nowe instrukcje... Zaczynam: *Niesłychana kompromitacja Polski w Genewie...* oraz... *Maleńki Gdańsk upokorzył megalomańskie pseudomocarstwo...* Wystarczy. Oni już będą wiedzieli, o co mi chodzi.

--- A dokąd, panie Dawidzie?

--- Madryt, Oslo, Kopenhaga, Sztokholm...

--- Słowem, grupa C. --- Nowy arkusik wjechał na wałek maszyny.

--- Tak... *Bezprzykładna klęska Polski w Genewie wykazała równocześnie zupełne osamotnienie Francji w europejskim koncercie państw.*

--- Już. Rzym i?...

--- Wiedeń, Budapeszt, Sofia... Powiedzmy jeszcze: Ankara. A zresztą, cała grupa A... Jedziemy dalej: *Przebaczyliśmy Gdańskowi, ulitowaliśmy się nad nim, ale to było nieodwołalnie ostatni raz. Przy najmniejszej nowej prowokacji postąpimy... postąpimy... a, mam! za wzorem Japonii...* Jeżeli ten osioł w Warszawie mnie dobrze zrozumie, to *wzory japońskie* staną się modne na łamach polskiej prasy.

--- Do całej grupy B?

--- Nie. Tylko Warszawa. Dla grupy damy coś lepszego, lecz najpierw dla Niemiec... *Nowa haniebna porażka Polski w Genewie dowodzi najlepiej, jak przesadzone są wieści o militarnej potędze nadwiślańskiego mocarstwka.*

--- Tak miękko dzisiaj?

--- To w artykułach stwardnieje, w Berlinie mamy najzdolniejszych ludzi. A mnie, uważa pani, zależy bardzo na tym, by w Niemczech dementować wiadomości o świetnie uzbrojonej armii polskiej. Obawa przed nią wciąż jeszcze czepia się skrzydeł pruskiego ducha odwetu.

--- Jak pan to ślicznie powiedział! *Czepia się skrzydeł ducha.* W panu siedzi duży kawałek poety!

Duży kawałek poety siedział swego czasu w kryminale za defraudację okrągłej sumki pięciuset tysięcy szylingów austriackich i wówczas z nudów próbował "robić wiersze". Od tego czasu nienawidził poezji... Dzięki temu panna Rachelo zamiast wdzięcznego uśmiechu za komplement oberwała reprimendę, którą na

szczęście przerwało wejście listonosza. Telegram! Telegram podpisany kryptonimem Rogera von Eldena był krótki:

Miałem telefon z Genewy. Jestem oburzony, że zaprzepaściliście tak wspaniałą sposobność. Przypominam punkt siódmy naszego kontraktu.

Punkt siódmy umowy zawartej w Rzymie pomiędzy triumwiratem a Lucjanem Lestem przewidywał srogie kary konwencjonalne za niewypełnienie pewnych zadań w **aproxymatywnie** określonych terminach... Nic tedy dziwnego, że Dawidek się zmartwił tą depeszą i że niecierpliwie wyglądał powrotu swego brata, wiekiem wprawdzie młodszego, lecz starszego doświadczeniem... kryminalnym.

Lucjan przyleciał z Genewy samolotem specjalnym, wylądował w Le Bourget o godzinie dwudziestej minut piętnaście i wpadł w braterskie ramiona. Już w taksówce rozpoczęli konferencję, której następstwa miały być fatalne dla Europy.

Rozpoczął Dawid. Z miejsca zaatakował starą koncepcję brata, by sprowokować Polskę. Jego zdaniem, był to **trud syzyfowy**. Polaków nie można sprowokować, wymagało ich nazbyt sto pięćdziesiąt lat niewoli, pozbawiło ich czupurności, wojowniczości, ambicji; czyż dzisiejsze załatwienie zatargu z Gdańskiem nie jest tego dowodem? Albo i polska prasa. Ani cienia jakiejś zaborczości! Utrzymanie stanu posiadania, to ich maksymalistyczny program. Po prostu rozpacz!... I naprawdę szkoda zachodu. Stokroć bardziej kalkuluje się wywołać jakąś grandę na granicy włoskiej. Południowcy mają inny temperament, o, wiadomo!

--- Tak, tak, ale druga strona. Francja dzisiaj pójdzie na wszelkie ustępstwa. Może nawet dalsze niż Polska... Bo Francja, braciszku, ma wszystko do stracenia, nic do wygrania. Francuscy ciułacze wojny nie chcą...

--- Kto by się tam pytał brudnego burżuja. O wojnie decyduje zawsze wojskowa klika. Niech tylko puści ze smyczy Drugi Oddział i prowokacja, jak się patrzy, gotowa.

--- Ba, żeby to Tardieu był znowu u steru!

--- Ja się zresztą wcale nie upieram przy Francji. Od czego Jugosławia?! Poubijać kilku weneckim lwom ogony i masz **casus belli**. --- Dawid Lest zarechotał śmiechem. --- Nic by mi takiej satysfakcji nie sprawiło, jak wybuch wojny światowej z powodu ogona kamiennego lwa. Wierz mi, Lucjanie, że nic!

Lucjan wierzył i przyznał bratu słuszność. Istotnie, śmierć kilkudziesięciu milionów ludzi dla tak "świętej" sprawy, to byłoby najzupełniej godne dwudziestego stulecia, jego ideałów i jego zbrodni!... Ale Lucjan nie kwapił się na włoski front, nie znał tamtejszego terenu, nie posiadał tam tylu wypróbowanych pomocników co w Niemczech i w Polsce. Powrócił więc do pierwotnej koncepcji, ale wprowadził do niej mały wariant: sprowokować Niemców!

--- Dziś już za późno, wyjadę z Paryża jutro.

--- Słusznie, Lucjanie. Po Genewie i przed robotą, jaka cię czeka na wschodzie, powinieneś sobie dzisiaj odpocząć.

--- Odpocząć?! Cha, cha, cha. Zabawić się chcę, mój drogi. Paryża mi szkoda na spanie! Zaległości odeślę w Prusach Wschodnich. A dziś wypuszczam się na całego!

Wypuścili się obydwaj. Gdy opuszczali pewien stary pałacyk przy rue Vaugirard był biały dzień. Dochodziła jedenasta! Z górą osiem godzin spędzili w tym przybytku ukrytym w szacownym domu, którego wygląd zewnętrzny żadnemu przechodniowi nie nasuwa brzydkich podejrzeń... Pełne osiem godzin, ale trzy czwarte tego czasu wypełniła drzemka. Lucjan zasnął aż miło, chociaż się odgrażał, że nie będzie tracił cennego czasu na spanie. Za to teraz był cudownie wypoczęty. I oczywiście głodny jak wilk w okolicy często nawiedzanej przez kłusowników. Poszli tedy na śniadanie do Café du Dôme i usiedli na werandzie, przy narożniku, tak że mogli obserwować zarówno obydwie bulwary krzyżujące się tuż obok jak i wąską rue Delambre... Na drugim chodniku tej ulicy stała jakaś młoda, elegancka dama i rozglądała się dokoła. Była najwidoczniej czymś zdumiona, lecz zdziwienie szybko ustąpiło miejsca zniecierpliwieniu. Raz po raz zerkała na zegarek osadzony w bransoletce i znowu rozglądała się da capo.

--- Zgrabna szelma, i ładna! --- Lucjan Lest już ją wypatrzył.

--- Gdzie? Która?

--- No, ta szafirowa. Zaraz ją tu przywabię. --- Wyjął z kieszeni portfel i jął się nim wachlować bardzo ostentacyjnie. W tej samej chwili szafirowa dama zeszła na jezdnię, zaczęła iść w stronę ich stolika. --- A, co, nie mówiłem?! --- Lucjan tryumfował. --- Do diabła! Ależ ona jest cudna! --- Ukrył portfel w kieszeni i czekał rozkosznie uśmiechnięty. Zmrużył oko...

--- Proszę pana, ja...

--- Służę pani --- Lucjan zerwał się z krzesła i... opadł na powrót jeszcze szybciej. Szafirowa dama spojrzała nań tak, jak się patrzy na rozdeptaną żabę. Szafirowa dama zwracała się nie do niego, ale do kelnera.

--- Czy pan nie wie, co się stało z moim samochodem? Był tego samego koloru co mój kostium. I zawsze tutaj czekał, a dziś...

--- Wiem, wiem. Znam to auto. Ale sęk w tym, że ono tu nigdy nie czekało.

--- Jak to! Przecież przyjeżdżałam nim tutaj więcej niż z dziesięć razy, a gdy wracałam w południe...

--- ...auto czekało na panią. Tak, tak, zawsze tu stało. --- Kelner się połapał, a nie chcąc wsypać szofera, rejterował. --- Czym mogę pani służyć?

--- Wermut. --- Usiadła przy jakimś stoliku, zapaliła, zaciągała się często. Jej zimne, wzdrgliwe spojrzenie musnęło znów pod włos Lucjana Lesta, zatrzymało się dłużej na jego karykaturalnie odstających uszach i prosto stamtąd spłynęło na ogromną spluwaczkę kawiarnianą.

--- Nie mogę powiedzieć, żebyś ją oczarował, braciszku... Tak, tak, spudłowałeś tym razem. Zapłać i pojedziemy do naszej fabryczki. --- Dawid zapalił się szczerze do fabrykacji masek gazowych. Wykombinował już jakąś bajecznie tanią namiastkę węgla aktywowanego do pochłaniaczy. Że namiastka diabła warta? To prawda, ale czy przyszłym nieboszczykom naprawdę potrzebny węgiel aktywowany? I przedłużenie życia o jedną głupią godzinę? Nonsens. Maski gazowe to przecież humbug przy najnowszych gazach. Tylko dobre schrony mogą ocalić ludność miast. Że jednak ludzie wierzą w maski i, gdy zabawa się zacznie, będą je kupowali za każdą cenę, więc trzeba maski fabrykować. Taki fabrykat może być ostatnią tandetą, ale musi z wyglądu przypominać dobrą maskę. To wszystko... Dlatego też on zamierza fabrykację tych "ozdóbek" uprościć, czyli obniżyć koszty ich produkcji. Albo się jest dobrym kupcem, albo...

--- Szafirowe auto! --- Okrzyk Lucjana przerwał wywody rozgadane go braciszka. Od strony dworca Montparnasse pędził bulwarem szafirowy samochód, śmignął obok kawiarni i pomknął dalej prosto, w kierunku Obserwatorium Astronomicznego. Obok przystojnego szofera siedziała szczupła dziewczyna w granatowym berecie. Rémi Ollivier właśnie odwoził do domu "swoją Polkę". Na powrót auta miss Violet Forban musiała czekać jeszcze pół godziny. Potem zapłaciła za wermut, wstała, przeszła obok braci Lestów, wsiadła do samochodu, zatrzasnąwszy drzwi, odepchnąwszy wprzód szofera.

--- Precz! Wyrzucam cię. Po papiery przyjść wieczór...

--- Ależ... ależ dlaczego, proszę pani... ja...

--- Dlatego, że mój samochód nie może służyć do wożenia dziwek!

Nacisnęła starter. Motor warknął i to od razu zelektryzowało osłupiałego szofera.

--- O, tak prędko to nie można u nas! Mnie się należy odprawa!

--- Ile? --- Już wyjmowała z torebki książeczkę czekową.

--- Odprawa... za... za trzy miesiące! --- zełgał na odważnego.

--- Trzy razy cztery to dwanaście, tak?

--- Trzy miesiące to tyle, co czternaście tygodni --- brawurował dalej.

--- Trzydzieści! Ja umiem liczyć!... Tu jest czek na trzydzieści tysięcy franków i żebym cię, człowiecze, więcej nie spotkała!

--- Jeszcze słóweczko, miss...

--- Nie mam z wami nic do...

--- W pani interesie!

To ją zaintrygowało. Odruchowo przechyliła głowę w stronę tajemniczo uśmiechającego się szofera.

Bracia Lestowie obserwowali tych dwoje z ciekawością. Tylko chodnik dzielił szafirowe auto od ich stolika, słyszeli więc każde słowo dotychczas. Lecz teraz szofer zaczął mówić szeptem. Trwało to kilkanaście sekund i nagle prawa dłoń młodej damy opisała szybki łuk. Rémi Ollivier błyskawicznie pochylił głowę. Dzięki temu nie dostał w twarz, ręka miss Violet trafiła za wysoko i skórzana czapka szofera sfrunęła do stóp Dawida Lesta. Równocześnie samochód ruszył z miejsca z takim impetem, jak gdyby startował do jakiegoś wyścigu.

--- Kim jest ta wojownicza dama?

--- Ta narwana Amerykanka? --- Rémi śmiał się na całe gardło. Podniósłszy czapkę, włożył ją sobie mocno na bakier. --- To jest miss Violet Forban.

--- Miss Forban! --- Lucien Lest zrozumiał teraz, dlaczego w odpowiedzi na swoje umizgi otrzymał tak wzgardliwe spojrzenie. I dlaczego oddalony szofer dostał lekką ręką czek na trzydzieści tysięcy franków. To była miss Forban!

Praktyczny Dawid Lest już myślał o ewentualnych korzyściach.

--- Ma pan teraz w ręku kopalnię złota --- rzekł, wskazując szoferowi wolne krzesło naprzeciw --- o ile pan coś niecoś wie o prywatnym życiu tej ekscentrycznej damy... Mógłbym służyć radą. --- Wzrokiem "zatelegrafował" bratu, że takie informacje mogłyby się im również przydać. --- Niech pan siada.

--- Dziękuję. --- Rémi zeszywniał, zmierzył obcych jegomościów prokuratorskim wzrokiem. --- Panowie pomylili się co do mnie. Ja szantażystą nie jestem! Jestem gentlemanem!

--- Czyli głupim [gojem](#) --- mruknął Dawid w ślad za odchodzącym.

--- Ale na ciebie spojrzał, no! Che, che, che. Jak na parszywego psa.

--- W każdym razie czulej, niż miss Forban spojrzała na ciebie!

--- Dajmy temu spokój. Nie ma sensu dogryzać sobie wzajemnie na kilka godzin przed moim wyjazdem... Więc to była miss Forban, hm, hm. Dałbym dużo za to, by wiedzieć, co w tej chwili porabia jej papa, mr. Samuel...

Mr. Samuel Forban obecnie kończył swój najpiękniejszy mecz na ringu amerykańskim. Jego przeciwnik, *trust Wolfson Steel Corporation* dzierżył bezapelacyjnie mistrzostwo świata aż do roku 1917. Wobec tego olbrzyma na karłów wyglądali nawet tacy czempioni jak *Krupp AG*, *IG Farbenindustrie AG*, *Dynamit AG*, *Vereinigte Stahlwerke AG* (które później utworzyły "ekipę" Rogera von Eldena), dalej *Constructora Naval de Ferrol*, *Schneider-Creusot*, *Škoda-Werke*, *Armstrong-Vickers*, *Nobel-Dynamite-Trust* (tworzące "drużynę" barona Abła Lazare'a) oraz *Zakłady Putiłowskie*, *The Bethlehem Steel Corp.* i *Mutoran Japan Company*.

W tym pięknym koncercie koncernów mr. Samuel Forban, dziedziczny król kauczuku i doków, był w roku 1914 nowicjuszem. Przeróżnych interesów już próbował przedtem, ale do żadnego tak się z miejsca nie zapalił jak do przemysłu wojennego. Ta szlachetna gałąź sportu przemysłowców najlepiej mu "leżała", to poznał od razu. I od razu stał się groźnym rywalem dla starych championów. Nie przez podbijanie cen, uchowaj Boże! Ani przez solidniejsze wykonanie swoich fabrykatów. Coś innego sprawiło ten cud, że intendenty państw wojujących uwzględniały w pierwszym rzędzie oferty młodziutkiej firmy *Forban Company*. Mianowicie łapówki! Łapówki dawali oczywiście wszyscy, lecz nikt nie posiadał tak subtelnej intuicji jak mr. Forban, nikt tak jak on nie potrafił odgadnąć, ile należy dać w łapę, komu i kiedy! W tym mr. Forban był niedoścignionym mistrzem.

Lata od 1914 do 1918 stanowiły, jak wiadomo, złoty okres dla przemysłu wojennego. Mięsa dla armat było wówczas takie mnóstwo, że mimo zachłanności mr. Forbana, ani *WSC (Wolfson Steel Corporation)* nie cierpiał głodu, ani pomniejsze koncerny. Lecz potem "wybuchnął" pokój. Forban miał *na czarną godzinę* swój faktyczny monopol kauczukowy i swoje stocznie, w których znowu mógł budować niewinne okręty handlowe i pasażerskie. Ale *WSC*, nastawiony wyłącznie na produkcję sprzętu wojennego, znalazł się w gorszej sytuacji. W bardzo kiepskiej. Gdyby nie dostawy dla armii amerykańskiej i fabryka samolotów *WSC* byłby się już dawno przewrócił.

W roku 1930, gdy Forban przejął większość akcji *Mutoran Japan Company*, Roger von Elden oświadczył z radością: --- Cały wielki przemysł wojenny świata znajduje się obecnie w rękach nas trzech! -- - Na co Abel Lazare odrzekł: --- Nie bagatelizujcie sobie starego Wolfsona; on teraz ledwie dyszy, ale przy pierwszym podmuchu koniunktury na pewno stanie na nogi. Kupcie go jak najprędzej, to ja wam doradzam. Ja!

Rada była dobra, gdyż *WSC* posiadał największe i najbardziej nowoczesne fabryki, ale perfidne było to *kupcie go jak najprędzej*. Forban przeniknął w lot swojego "francuskiego przyjaciela": --- Chcesz, żebym się udusił tym kąskiem, co? Nie, bratku! Wolę zaczekać, aż kąsek skłębnie w temperaturze kryzysu i aż nadejdzie pora ucztowania.

Taka pora nadeszła obecnie. Już z Neapolu mr. Forban wysłał szyfrem instrukcję do New Yorku, a nazajutrz po wizycie u dyktatora Włoch wyruszył jachtem w powrotną drogę do Stanów. Chciał osobiście dowodzić swoją armią na placu boju. Plac boju to oczywiście Wall Street. Gdy jacht *POWER* mijał Bedloe's

Island, dźwigającą Statuę Wolności, przygotowania do bitwy były gotowe. Dość powiedzieć, że **syndyk WSC** wytoczył czasopismom ponad 60 procesów. Ale dzienniki nie przejmowały się tym ani trochę. Posiadały uroczyste zapewnienie pełnomocnika mr. Forbana, że stary zarząd *WSC* niebawem ustąpi, a nowy zarząd wszystkie wniesione skargi cofnie. Oszczercza kampania w prasie zrobiła swoje. Za wzorem banku Forbana, który rzucał na giełdę całe pakiety akcji *WSC* i obniżał ich kurs z godziny na godzinę, wyprzedawała te akcje olbrzymia rzesza drobnych spekulantów, kupców, **clerków**, maszynistek, ach Boże, któż nie grywa na giełdzie w New Yorku?!

Mimo ogromnej podaży akcje *WSC* wsiąkały bez śladu. Jakies typy spod ciemnej gwiazdy skupowały wszystko do ostatniej sztuki. Skupywali je podstawieni ludzie Forbana, co nie przeszkadzało, że nazajutrz rano "zaprzyjaźniona" prasa posądzała o to starego Wolfsona: *WOLFSON PRÓBUJE RATOWAĆ KURS SWOICH PAPIERÓW... OSTATNI WYSIŁEK BANKRUTA...*

Nieszczęsny bankrut zdobył się istotnie na rozpaczliwy wysiłek. Nie miał funduszy na skupowanie swoich akcji, ale na akcję prasową jeszcze miał. Pozyskane przezeń dzienniki pokryły się mozaiką wojennych alarmów, życiem powtórzonych za prasą europejską, a wśród tego **puddingu** powtarzały się takie rodzynki: *WYBUCH WOJNY W EUROPIE JEST KWESTIĄ DNI! TYM SAMYM AKCJE WSC MUSZĄ PÓJŚĆ W GÓRĘ O 500% W CIĄGU KILKU TYGODNI! WIE O TYM BANDA NIKCZEMNYCH SPEKULANTÓW I, ZGODNIE ZE SWOJĄ ETYKĄ, CHCE POZBAWIĆ DROBNYCH AKCJONARJUSZY ICH KRWAWICY* etc., etc.

Trochę pomogło. Akcje *WSC* przestały zniżkować. Ale po kilku dniach nadeszła z Genewy wiadomość o pokojowym załatwieniu konfliktu gdańskiego. Prasa Forbana wyzyskała znakomicie tę sposobność: *NIE BĘDZIE WOJNY! LUDY EUROPY SZCZERZE PRAGNĄ POKOJU! TYM SAMYM POGRZEBANE ZOSTAŁY NADZIEJE RÓŻNYCH WOLFSONÓW, KTÓRZY, ZGODNIE ZE SWOJĄ ETYKĄ, CHCIELI SIĘ URATOWAĆ PRZED NIEUCHRONNYM BANKRUCTWEM KOSZTEM ŻYCIA MILIONÓW NIEWINNYCH LUDZI...* Tak, tak, to pisał mr. Samuel Forban. Z konieczności został pacyfistą. Oczywiście tylko na dwa dni. W ciągu tych dwóch dni na Wall Street rozgrywały się sceny dramatyczne. Akcje *WSC* spadły do 25% swojej nominalnej wartości. Bank Forbana nie musiał już sprzedawać pakietów wczoraj cichcem kupionych, podaż i bez tego trzasku była kolosalna.

Po zwycięstwie na Wall Street mr. Forban nacisnął "miarodajne czynniki", które z kolei wywarły potrzebny nacisk na radę nadzorczą towarzystwa akcyjnego *WSC*. Słowem, nadzwyczajne zebranie akcjonariuszy. Mr. Samuel przybył na nie wraz ze swoim sztabem i dowiódł, że posiada w swoich rękach 67% akcji towarzystwa. A zatem reprezentuje większość akcjonariuszy, obala stary zarząd, mianuje nowy, sam będzie tylko prezesem rady nadzorczej, a mr. Wolfson, założyciel *WSC*, może sobie obecnie pójść do diabła... Stary mr. Wolfson mruknął *o-kej* i postąpił jak gentleman. Czyli na miejscu palnął w łeb... sobie, zamiast mr. Forbanowi. Po czym mr. Forban postąpił również jak gentleman. Czyli posłał mrs. Wolfsonowej *wyraży serdecznego współczucia* i udzielił jej pozwolenia na tygodniowy pobyt w pałacyku należącym do *WSC*; w tej samej depeшы kondolencyjnej! A mrs. Wolfson mieszkała w tym domu od dwudziestu lat.

Tegoż dnia mr. Samuel cisnął w kąt szlafrok pacyfisty i przyzwani dziennikarze ujrzeli go w jego zwykłej zbroi. --- Panowie! Wybuch wojny w Europie jest kwestią dni! --- Któryś z młodszych lejbgwardzistów wytrzeszczył oczy ze zdziwienia: --- Ależ, mr. Forban! To są przecież słowa Wolfsona! --- Mr. Forban

uśmiechnął się nieporównanie. --- Powtarzam je właśnie przez pietyzm dla zmarłego dziś konkurenta, a pan zechce moją enuncjację wziąć na motyw przewodni dla swoich jutrzejszych artykułów... Wojna jest nieunikniona! Wojna da zatrudnienie olbrzymim rzeszom bezrobotnych! Wojna zakończy nareszcie przeklęty kryzys gospodarczy i już choćby za to należy ją błogosławić!... Te myśli panowie łaskawie rozwiną, upiększą, podeprą odpowiednio dobranymi cyframi ze statystyki, i w tym duchu proszę pisywać aż do odwołania...

Ów nowicjusz zagadnął jeszcze, czy, zdaniem mr. Forbana, Stany Zjednoczone wezmą udział w wojnie. --
- W Europie? Nonsens! Czyś kolega oszalał?! --- Ale mr. Forban nie darmo uważał się za wcielenie Marsa: --
-- W Europie zapewne nie, nie mamy w tym żadnego interesu. Lecz z drugiej strony zagraża Stanom poważne niebezpieczeństwo: Japonia! Jej zuchwalstwo, jej zaborczość w Chinach, które powinny być naszą kolonią, przechodzi już wszelkie granice. Dzięki cichemu poparciu intrygantów angielskich! Toteż jeżeli Anglia uwikła się w wojnę europejską, dla Stanów wybije godzina czynu. Jeśli nie chcemy, by Żółci za parędziesiąt lat wdarli się do Stanów, musimy ich zgnieść teraz!... O tym panowie mogą również pisać, ale w łagodnym, a długim crescendo. Krople wody, które stale padają na kamień zawsze w nim wyłobią dziurę, nagła ulewa nigdy. Proszę to sobie zapamiętać.

Po dziennikarzach "zaprzyjaźnionych" pism mr. Forban przyjął swoich dyrektorów i omówił z nimi program pracy na okres najbliższych dwóch tygodni. Olbrzymi stół w sali konferencyjnej upodobił się do witryny wielkiego magazynu zabawek. W długich szeregach ustawiono na nim przeróżne armatki, za nimi [jaszczyki](#), dalej maleńkie czołgi, kulomioty, miotacze min, auta i pociągi pancerne, samoloty, osobno pociski armatnie, bomby, miny, torpedy, znów osobno łodzie podwodne, torpedowce, trawlerzy itp. Śliczne modele. Artystycznie wykonane miniaturki wspaniałych maszyn do krajania... mięsa ludzkiego.

Generalny dyrektor zaczął mówić o bombach kruszących. W Europie fabrykowano już takie o wadze dwóch tysięcy kilo, w Stanach nawet dwa razy cięższe. Fachowcy z ramienia wojskowości są temu przeciwni. Dowodzą, że dziesięć bomb dwustukilowych da znacznie większy pożytek niż jedna dwutonowa, pomijając już ryzyko niecelności; bo niestety trzeba się liczyć z tym, że niejedna bomba trafi w park miejski, w rzekę, w pusty plac czy w podobnie nieproduktywny obiekt. Na dziesięć bomb trzy chybią na pewno, i to również przemawia za bombami lżejszymi. Tak twierdzą: Justrow, dr. Krohne, ppłk. Eyb, płk. Romani, a manewry lotnicze w Stanach potwierdziły słuszność ich tezy.

A zatem wojskowi mają słuszność... z punktu widzenia interesów państwa. Lecz te nie pokrywają się bynajmniej z interesami producentów. W interesie przemysłu wojennego leży, aby lotnicze bomby kruszące były jak najcięższe! Aby jeden duży samolot mógł zabrać z sobą tylko jedną bombę! To zwiększy zapotrzebowanie zarówno na bomby jak i na samoloty do bombardowania. Byłoby więc wskazane w sposób odpowiedni (tu odpowiedni gest palcami, jakby liczenia pieniędzy) przekonać miarodajne czynniki o słuszności poglądu przemysłowców, że tylko najcięższe bomby lotnicze wywołają pożądany efekt. Byłoby też wskazane uzgodnić w tej mierze taktykę z koncernem Lazare'a.

--- Bardzo słusznie --- pochwalił go mr. Forban. --- Proszę to zanotować i dopilnować wykonania. --- Znowu zagłębił się w fotelu i słuchał dalej, ale już z roztargnieniem. Niepotrzebnie napomknięto o Ablu Lazarze. Ciekawym bardzo, co tam knuje osławiony "[Shylock](#) Europy"? Mój wywiad zaniedbał się znowu, a tego kutwę trzeba mieć wciąż na oku!... Co on też robi obecnie?

Abel Lazare obecnie siedział przy kominku. Zziębły mu nogi, gdy wracał generalskim autem do Paryża z

departamentu Saône-et-Loire. Mianowicie z Creusot, gdzie wraz z swoimi umundurowanymi gośćmi asystował przy próbnym strzelaniu z dział rewolwerowych zupełnie nowego typu. Grzał się więc teraz przy kominku i gawędził z synem. Zaczęło się niewinnie od miss Violet Forban.

--- To byłaby wymarzona partia dla ciebie... Przez ten ożenek stałbyś się faktycznie królem przemysłu wojennego, bo Eldena wtedy zgniotłoby się z łatwością... Nie zapominaj, że Forban ma dziś w łapach *Mutoran Japan Co.* oraz *Bethlehem Steel Co.* i lada chwila wykończy starego Wolfsona! Tym samym przeskoczy Eldena i niemal dorówna mnie!... Czy ona ci się nie podoba?

--- Ależ tak, papo. Nawet bez *Mutoran* i *Bethlehem* podoba mi się bardzo.

--- A ty jej?

--- Trudno dociec. W każdym razie nie mogę z nią jeszcze dojść do ładu.

--- Samuel ją wytresował dobrze. A ty, urwisie, chcesz go naturalnie postawić wobec faktów dokonanych! --- Zmierzył syna karcącym wzrokiem, pogroził mu, lecz Armand nie przejął się tym ani trochę. Znał rasową obłudę swego ojca i wiedział, że te słowa nie są naganą, ale życzliwą radą.

--- Ba, o [fait accompli](#) tu ani marzyć nie można --- westchnął.

--- Taki cerber z tej ciotki?... Aaa, to się chwali, to się chwali.

--- Mniejsza o ciotkę, ale sama Violet jest surowa jak stara przeorysza i do obrzydliwości cnotliwa. Ani pocałować jej nie wolno...

--- Wobec czego ty, wstrętny demoralizatorze, wyciągasz ją na pewno na jakieś pikantne, podniecające widowiska!

--- Dziękuję papie za radę, ale już tego próbowałem. Niestety to śliczne cieleń nic nie rozumie. Ani najprostszych dwuznaczników... Był kiedyś znakomity dowcip o karnawałowych maskach...

--- À propos masek; czy byłeś wczoraj w fabryce? I jak tam?

--- Dzienna produkcja wynosi już dziesięć tysięcy sztuk.

--- Mało. Bardzo mało! Trzeba ją zwiększyć o tysiąc procent!

--- Po co? Czy sądzisz, że wojna naprawdę wybuchnie?

--- Odpędzam, drogi Armandzie, tę myśl ze wstrętem! Lecz, niestety, trzeba być zawsze przygotowanym na najgorsze. I trzeba myśleć o zabezpieczeniu niewinnych ludzi przed gazami. Dlatego uruchomiłem tę fabrykę. Dlatego dążę do zwiększenia produkcji masek gazowych. Marzę o tym, by każdego mieszkańca Europy zaopatrzyć w maskę. W dwie!

--- Ale nie bezinteresownie, co?

--- Armandzie, twoje dowcipy są niekiedy bardzo płaskie. Przemysłowiec nie może być instytucją dobroczynności, lecz ma święte prawo do godziwego zysku... A choćbym nawet chciał maski sprzedawać z zyskiem trochę większym niż godziwy, to i tak jeszcze będę prawdziwym dobroczyńcą ludzkości wobec takiego Forbana, który na pewno w ogóle o zaopatrywaniu ludności w maski nie myśli. Ja jeden o tym pamiętałem!

Abel Lazare miał słuszość, jeżeli chodzi o Forbana. Mr. Samuel marzył o wojnie co najmniej trzydziestoletniej, która by ogarnęła całą Ziemię, skoro z innymi planetami na razie jeszcze wojować nie można, mr. Samuel fabrykował wyłącznie narzędzia mordy... Natomiast mylił się baron Lazare, gdy przypuszczał, że tylko on sam posiada monopol na zyskowną humanitarność; Roger von Elden w Poczdamie, a bracia Lestowie w Colombes fabrykowali także maski gazowe. Również, jak on, w

największej tajemnicy, i również **en masse**. Oczywiście gotowe egzemplarze szły do olbrzymich magazynów, gdzie miały czekać na... koniunkturę.

--- Ach, drogi synu! Nie masz wprost pojęcia, jak wiele rozmyślałam o nieszczęśliwych ofiarach przyszłej wojny! Ileż to tysięcy ludzi poranią odłamki bomb lotniczych, ilu poparzą różne iperyty, luizyty. Setki tysięcy! Miliony!... Popyt na środki dezynfekcyjne, niektóre maści, lekarstwa wzrośnie nieprawdopodobnie! I na bandaże, na gazę, na watę. Trzeba by nad tym pomyśleć, tyle odpadków bawełny marnuje się u nas... na razie.

Zapisał sobie coś w notesiku i znowu zaczął wdychać.

--- A iluż zginie? Jeden z wojskowych mówił mi dzisiaj, że jeżeli ludność nie zaopatrzy się sama w maski i schrony przed wybuchem wojny, to przy pierwszym udanym ataku z powietrza zginie w większych miastach co najmniej dwadzieścia procent ludności! Słyszysz, Armandzie? Dwadzieścia procent! Czyli w Paryżu milion ludzi!... Połowę z tego, biedotę, pochowa się na koszt miasta we wspólnych mogiłach. Ale drugie pół miliona będzie potrzebowało trumien, co? Niechby po czterdzieści franków od sztuki... jest to zysk bardzo skromny, uważam... to na czysto dwadzieścia milionów! Nieźle, co? A przecież wojna nie skończy się na jednym ataku lotniczym, o tym nie ma mowy! --- Znowu coś zanotował... --- Tak, tak. Popyt na drewno wzrośnie fantastycznie. Miliony trumien, miliony krzyży na grób i...

--- Ho, ho, papa myśli o wszystkim. Maski gazowe, bandaże, wata, lekarstwa a dla nieboszczyków trumny. Słowem, pionowa rozbudowa przemysłu wojennego...

--- Nie żartuj sobie, Armandzie, nie żartuj. Wszystko dla dobra ludzkości!... A kiedy my dzisiaj dopiero zaczynamy poważnie myśleć o rozbudowie naszego przemysłu, to Roger von Elden, idę o zakład, już dawno ma wszystko świetnie zorganizowane... Jeśli nie gotowe!

Abel Lazare słusznie przewidywał. Roger był przygotowany od dawna, jemu zresztą najłatwiej było napełnić swoją beczkę prochu. A teraz Roger vom Elden podniósł dno owej groźnej baryłki, przechylił ją w stronę pogranicznego terenu, na którym już grasował Lucien Lest, i od niego tęsknie wyglądał iskry. Niekiedy tracił cierpliwość. Wówczas wymyślał Lestom od partaczy i sam redagował *tematy przewodnie* dla artykułów w kupionej prasie. Wówczas aż huczało w Europie od alarmów wojennych:

**BEZCZELNA PROWOKACJA! TEGOROCZNE MANEWRY ARMII POLSKIEJ MAJĄ SIĘ ODBYĆ
NAD GRANICĄ PRUS WSCHODNICH!**

oraz:

**NOWA FALA POGROMÓW W NIEMCZECH. CZY POLSKA POZWOLI BEZKARNIE MORDOWAĆ
SWYCH OBYWATELI WYZNANIA MOJŻESZOWEGO?**

albo:

DO AJACCIO PRZYBYŁY W CZORAJ CZTERY ESKADRY SAMOLOTÓW BOMBARDUJĄCYCH I SZEŚĆ MYŚLIWSKICH. NIE ULEGA WĄTPLIWOŚCI, ŻE KORSYKA STANIE SIĘ BAZĄ OPERACYJNĄ FRANCUSKĄ W PRZYSZŁYCH ATAKACH NA ŚRODKOWĄ ITALIĘ. DWA PUŁKI STRZELCÓW ALGIERSKICH WZMOCNIŁY OSTATNIO GARNIZON W TUNISIE.

również:

NOWE POGWAŁCENIE TRAKTATU WERSALSKIEGO. *BAYERISCHE FLUGZEUG-WERKE* FABRYKUJĄ JAWNIE SAMOŁOTY WOJENNE!

dla odmiany krótko:

CZY WOJNA WYBUCHNIE JUŻ W TYM MIESIĄCU???

Po czym znów:

SZWAJCARIA ZNIKNIE Z MAPY EUROPY. WŁOSI KOŃCZĄ BUDOWĘ NOWYCH DRÓG WIODĄCYCH KU POŁUDNIOWEJ GRANICY SZWAJCARII.

i:

JUGOSŁAWIA FORTYFIKUJE GRANICĘ BUŁGARSKĄ. REPORTER HOPKINS, KTÓRY PODAŁ WIADOMOŚĆ, ŻE DO BUDAPESZTU NADCHODZĄ NIEUSTANNIE TRANSPORTY WŁOSKIEJ AMUNICJI PRZEZ AUSTRIĘ, ZOSTAŁ ONEGDAJ WYDALONY Z WĘGIER I PRZYBYŁ W CZORAJ WIECZOREM DO PRAGI.

dalej:

ZA CENĘ GWARANCJI NIENARUSZALNOŚCI SWOICH OBECNYCH GRANIC ZE STRONY *IDOM* RUMUNIA WYSTĄPI Z MAŁEJ ENTENTY???

(Skrótem *IDOM*, czyli Italia-Deutschland-Österreich-Magyarország, nazywano od czasu III zjazdu w Rzymie domniemane czwórprzymierze Włoch, Niemiec, Austrii i Węgier.)

Niekiedy Roger von Elden wpadał w natchnienie. Czytało się wówczas takie elektryzujące telegramy na łamach najpoważniejszych dzienników:

POLSKA I CZECHOSŁOWACJA ROZPOCZEŁY CICHĄ MOBILIZACJĘ. WSZYSTKIE URLOPY ODWOŁANO. W NOCY ODBYŁO SIĘ NADZWYCZAJNE POSIEDZENIE POLSKIEJ RADY MINISTRÓW. SZEFE SZTABU ARMII CZECHOSŁOWACKIEJ PRZYLECIAŁ SAMOŁOTEM DO WARSZAWY, GDZIE POZOSTANIE DO JUTRA...

lub też:

W OKOLICY BORNHOLMU WIDZIANO PANCERNIKI *DEUTSCHLAND* ORAZ *ADMIRAŁ VON SCHEER* PŁYNAĆCE CAŁĄ PARĄ W KIERUNKU WSCHODNIM, TOWARZYSZYŁY IM TORPEDOWCE I TRZY ESKADRY HYDROPLANÓW...

i natychmiast w prasie niemieckiej:

RYBACY KASZUBSCY Z WIOSKI WITTENBERG WIDZIELI WCZORAJ DWIE ŁODZIE PODWODNE PATROLUJĄCE TUŻ OBOK WYBRZEŻA. BYŁY TO PONAD WSZELKĄ WĄTPLIWOŚĆ POLSKIE ŁODZIE PODWODNE, GDYŻ NIEMCÓW POZBAWIŁ TEJ BRONI TRAKTAT PRZEMOCY. RAJD TYCH JEDNOSTEK POLSKIEJ FLOTY WOJENNEJ NA WODACH NIEMIECKICH JEST ZUCHWAŁĄ PROWOKACJĄ POLSKĄ, KTÓREJ PUŚCIĆ PŁAZEM NIE WOLNO!

a równocześnie z drugiej strony:

W LASACH DOKOŁA WIOSKI PARASYNO STWIERDZONO OBECNOŚĆ SILNEGO ODDZIAŁU REICHSWEHRY Z JEJ MOTOROWYMI HAUBICAMI. WIADOMOŚĆ TA STAJE SIĘ SZCZEGÓLNIIE ALARMUJĄCA, JEŻELI SOBIE UŚWIADOMIMY, ŻE WIEŚ PARASYNO DZIELI OD GDYNI ODLEGŁOŚĆ ZALEDWIE TRZYDZIESTU PIĘCIU KILOMETRÓW. NIEMCY CHCĄ NAJWIDOCZNIIEJ ZAATAKOWAĆ GDYNIĘ TAKŻE I OD STRONY LĄDU. RYBACY Z HELU SPOTKALI NA PEŁNYM MORZU PANCERNIKI NIEMIECKIE, KTÓRE CO PRĘDZEJ OKRYŁY SIĘ DYMOWĄ ZASŁONĄ...

i wciąż w kółko:

ATMOSFERA W EUROPIE JEST NAŁADOWANA ELEKTRYCZNOŚCIĄ SILNIEJ, NIŻ W ROKU 1914. WYBUCH WOJNY JEST JUŻ TYLKO KWESTIĄ DNI!

Przez dwa tygodnie miliony czytelników otrzymywały taką strawę duchową. Trzy razy dziennie, rano, w południe i wieczorem. Jak obrzydliwą miksturę. A nierównie częściej, chociaż w nieregularnych odstępach, denerwujące *nadzwyczajne dodatki*. Jak bolesne zastrzyki dożylnie.

Nic dziwnego, że po czternastu dniach tej końskiej kuracji wielu znękanym pacjentów tęsknie wyglądało... operacji. --- Niechaj mi już lepiej przetną ten [karbunkuł](#), niech mnie tylko tak przekłęcie nie męczą. --- Lecz rozsądnych pacjentów było o wiele więcej. Ci woleli cierpieć nieskończenie długo, niżli poddać się ryzykownej operacji. Ci mówili: --- Traktat wersalski to wiecznie ropiejący wrzód, kryzys to gruźlica, ale nowa wojna, wojna chemiczna, to w dziewięćdziesięciu procentach gwarancja mojej śmierci, to miliony nowych kalek, przyszłych pasożytów z konieczności, to zniszczenie kwitnących miast i zabytków sztuki, i życiodajnych pól, i warsztatów pracy, to obłądny skok w ciemną otchłań barbarzyństwa!

Zdwojone tempo szczucia w prasie i podjudzania narodów przeciwko narodom miało na razie ten skutek, że do fabryk Forbanów, Eldenów, Lazare'ów zaczęły napływać terminowe zamówienia. Zmniejszono tu i ówdzie zasiłki dla bezrobotnych, zredukowano ponownie głodowe pensje urzędnikom, skasowano pewne wydatki na oświatę czy na szpitalnictwo, a zakupiono co prędzej kilka tuzinów samolotów bojowych, kilkadziesiąt wagonów amunicji, kilkaset armat i tym podobne pożyteczne artykuły pierwszej potrzeby... wojennej.

Ale wojna nie wybuchła... *i nie wybuchnie*, pisał zniecierpliwiony mr. Samuel Forban do Rogera von Eldena, ...*dopóki ten Twój Lest nie zmajszuje jakiej uczciwej prowokacji!!!*

ROZDZIAŁ XVIII

Wielce Szanowny Panie!

*Wiedziałam od dawna, że kobieta, która jest prawdopodobnie złym duchem Pańskiego syna, a całkiem na pewno jego prawą ręką w akcji pacyfistycznej na terenie Niemiec nazywa się **Wanda Gaharin**.*

*Lecz dopiero dzisiaj doniósł mi jeden z moich ludzi, że w Centralnym Laboratorium Pańskich fabryk chemicznych pracuje osobnik, noszący to samo nazwisko: **Gaharin**, i prawdopodobnie krewny sekretarki Pańskiego syna, Jana.*

Nie rzucam żadnych podejrzeń, nie twierdzę, że ów Mikołaj Gaharin jest konfidentem pacyfistów, ale tylko czuję się w obowiązku zwrócić WSzanownemu Panu uwagę na ten osobliwy bądź co bądź zbieg okoliczności.

Z najgłębszym poważaniem

Z 66

PS. Dziś stąd wyjeżdżam.

*

dawid lest

hotel chatham rue daunou

paris 2 e

otrzymałem dziś list pańskiego brata z Wrocławia stop pisze dziś stąd wyjeżdżam stop ale dokąd stop jeśli pan zna jego adres podać depeszą odwrotną stop muszę go mieć natychmiast stop to co pan drukuje bardzo miękkie niedołężne nic dziwnego że bezskuteczne stop po raz trzeci przypominam panom punkt siódmy naszego kontraktu stop

roger

*

Mamma Mia!

*Twój list złapał mnie szczęśliwie w dniu mego wyjazdu z **Fiume**. Bo już nie jesteśmy w Fiume, ale koło Tarvisio, i znowu wmacniamy mosty, naprawiamy gościńce, a z takim pośpiechem, jakby od tego zbawienie świata zależało. Wszyscy tu mówią, że będzie wojna. Nie z Austriakiem, choć przy jego granicy pracujemy. Nie, Mamo. Ale z Serbem! Za zgodą Austriaków przejdziemy przez przełęcz Tarvis, przez kawałek austriackiej Karyntii i od góry wpadniemy do Jugosławii.*

Tak mi tłumaczy jeden bardzo odczytany w gazetach zwrotniczy. Odwiedzam go codziennie i rozmawiamy dużo o wojnie. To znaczy, kłócimy się zawzięcie, bo ja za Twoim, Mateczko, przykładem uważam wojnę za najstraszniejsze nieszczęście. Nie zapomniałem, że mój biedny ojciec zginął rozszarpany granatem nad Piawą.

A on, niby ten zwrotniczy, mi mówi, że tylko przez tę wojnę, co teraz będzie, dostaliśmy pracę, ja i

tysiące innych robotników, więc powinniśmy wojnę błogosławić, a nie przeklinać... Taki on już jest pomyłony faszysta, ale zresztą całkiem porządny człowiek.

Wczoraj miałem niezwykle spotkanie. Czasem zdaje mi się, że to mi się chyba tylko przyśniło. Bo pomyśl, Mamo, widziałem Bartka Ropę! Myślałem, że go zmiażdżyły koła pociągu, kiedyśmy pod wagonami jechali z Neapolu, a on tu się nagle zjawia żywy i pełny na twarzy, jak nigdy dotychczas.

Ujrzałem go na dworcu w Tarvisio, gdy z moim zwrotniczym szliśmy do bufetu na lampkę wina. Ujrzałem Bartka w oknie wagonu. Stał i uśmiechnął się smutno tak, jak to on zawsze. Kiedy go poznałem, chciałem wskoczyć do wagonu i uściskać biednego przyjaciela, ale w sam czas złapałem jego wzrok. A po chwilce już wiedziałem, że Bartek jedzie pod strażą! Okropnie się przeraziłem. Pomyślałem sobie --- oho, nakryli nieboraka. --- Nie mogłem tylko skapować, czemu go tędy wiozą. Dopiero mój zwrotniczy pogwarzył z konduktorem i powiedział mi później, że tego Polaka po odsiedzeniu kary w Rzymie odwożą pod ciupasem do Polski.

Więc chcę Cię prosić, Mamo, byś poszła do sklepiku Urbana Kallinosa i powiedziała dzieciskom Bartka Ropy, że ich ojciec żyje, jest zdrowy i wraca do swojej ojczyzny.

A Ty, Mamo, kiedy nareszcie wrócisz do Swojej Italii? Nie pozwól się poniewierać urzędnikom, tylko idź prosto do pana konsula i proś, by Ci szybko wystawił potrzebny paszport. Naturalnie ani słówka nie piśnij, że wiesz, gdzie się obracam... Posyłam Ci w tym liście 50 lirów, a po wypłacie znowu Ci coś prześlę, byś miała na bilet. Tylko spiesz się, Mamusiu, żeby Cię wojna nie zastała w tym przeklętym dla mnie Paryżu i żeby nas nie rozłączyła z sobą na długo.

Całuję Twoje biedne, spracowane, a takie zawsze przedobre ręce

Twój syn Leonardo.

I nogi Ci całuję, o Mamma Mia, za to, że od początku wierzyłaś w moją niewinność. Tak, Mateczko. Raz jeszcze klnę się na pamięć mojego ojca, że nie zabiłem Pawła Dardenne'a.

*

miss violet forban

boulevard suchet paris 16-e

to o czym pisałem w liście jest może kwestią godzin stop wyjedź natychmiast do hiszpanii stop tam klimat będzie dobry na razie stop pieniądze wysyłam na banco de españa do barcelony stop powtarzam wyjeżdżaj z paryża co prędzej stop paryskie powietrze będzie dla ciebie wręcz zabójcze stop ściska cię mocno

twój ojciec

*

Najdroższa Moja Maud!

Otrzymałam dziś alarmującą depezę od ojca i uśmiełam się do łez z jego ostrożności. Ani razu nie użył słowa "wojna". Napisał za to, że paryskie powietrze będzie "wręcz zabójcze", że mam uciekać do Hiszpanii,

gdzie "klimat będzie dobry". Ba, ale dobry tylko "na razie"! To znaczy, że później i tam również powietrze stanie się "zabójcze".

Ach, Maud, nie masz pojęcia, jak mnie to wszystko bawi. Oczywiście nie myślę na razie wyjeżdżać z Paryża. Aż z trzech bardzo ważnych powodów. Mianowicie:

Bawię się tutaj świetnie i tylko żałuję, że Ciebie nie ma przy mnie.

Po drugie, w niedzielę, jak chyba wiesz z gazet, odbędzie się na stadionie w Colombes mecz Argentyna-Francja! Argentyńczycy bawią w Paryżu już od kilku dni i robią furorę. Wspaniałe dryblasy. Założyłam się z baronem Armandem Lazare'em, że oni wsuną jego Francuzom co najmniej 10 goli. Do zera! Zrozumiesz więc teraz, dlaczego nie mogę bezzwłocznie wyjeżdżać z Paryża, jak sobie tego życzy mój papa. Ty wiesz, jak ja przepadam za wielkimi imprezami sportowymi, jak szalenie lubię duże widowiska.

I właśnie dlatego (to jest to moje "po trzecie") chcę tu pozostać do wybuchu wojny. Muszę koniecznie zobaczyć parę ataków lotniczych na miasto. Będzie to na pewno najbardziej emocjonujące widowisko, jakie kiedykolwiek widziałam dotychczas. To będą, jak mówi baron Lazare, "sceny dantejskie"... Ale, à propos; czy nie wiesz, w którym muzeum wiszą obrazy tego Dantego? W Luwrze ich nie znalazłam ani w Cluny, a chciałabym koniecznie obejrzeć te sławne "sceny dantejskie". Również nie mogę odszukać w Paryżu owej "Bastylii", w której więziono madame Pompadour. Byłam na "Place de la Bastille" i zapytałam o to więzienie policjanta, ale ten zakpił sobie ze mnie. Powiedział: --- Bardzo mi przykro, ale pani się trochę spóźniła, Bastylię już zburzono. Gdyby turyści okazali potrzebną energię, biuro "Wagons-Lits-Cook" na pewno by ją odbudowało. Ale chwilowo nie mamy Bastylii na składzie. --- ...Niemożliwi są ci paryscy policjanci z tą swoją żartobliwością....

A więc pozostanę w Paryżu dopóki mi się wojna nie znudzi. Oczywiście możesz być spokojna o moje życie. Lasku Bulońskiego nikt bombardować nie będzie. Zresztą, skoro tylko się zacznie taki nocny spektakl, drapnę autem do St. Germain en Laye i z malowniczej górki będę spoglądała na płonący Paryż, niczym Kleopatra na pożar Rzymu. (Nie jestem całkiem pewna, czy żona Nerona zwała się Kleopatra, czy Mesalina, ale Tobie to przecież różnicy nie robi; prawda, Darling?)

Muszę już kończyć to pisanie, bo ciotka się niecierpliwi; chce mnie dzisiaj przedstawić jakiemuś biskupowi. Napisz mi, Droga Maud, co słyhać w New Yorku, co porabia nasza paczka, kto się z kim rozwiódł ostatnio, bo już od tygodnia nie miałam od Ciebie żadnego listu.

Całuję Cię tak po męsku,

Twoja Violet.

PS. Czy nie możesz się nareszcie nauczyć pisać listów bez "postscriptum"? To wcale nie jest w dobrym tonie!

PS. Kogo mój papa ma obecnie na stajni? Podobno z Marion zerwał. No, no!

PS. Szofer, którego wydalłam, kupił sobie taksówkę. Bałam się trochę, że mnie będzie chciał szantażować, ale nie, na szczęście! Kłania mi się zawsze tak uprzejmie, jakby zapomniał, że dostał w twarz na ożywionej ulicy. Zabawne.

PS. Mam wrażenie, że to już wszystko, co Ci chciałam dzisiaj napisać.

PS. Ach, prawda! Byłabym zapomniała o najważniejszej sprawie. Skoro otrzymasz ten list zatelefonuj do mego ojca i powiedz mu, że dostałaś ode mnie kartkę z Barcelony. To jest konieczne!!! Inaczej on gotów, cha, cha, cha, opóźnić dla mnie wybuch wojny. Dobrze, co?

PS. A podaj mi adres Bastylii i wymień muzeum, w którym wiszą obrazy Dantego. Ty przecież znasz Paryż tak dobrze...

*

mikołaj gaharin berlin neukölln

saalestrasse 18

meble nareszcie sprzedałam, lecz resztę pieniędzy mam otrzymać sobota co opóźni nasz wyjazd stop dzieci zdrowe kiedy przyjedziemy zadepeszuję jeszcze

jadwiga

*

Moja Kochana Żono!

Telegram otrzymałem. Wiadomość, że musisz opóźnić wyjazd z Paryża zasmuciła mnie, ale miałem tutaj gorsze zmartwienie. Przez Wandę! Mój szef, inż. Kopp wezwał mnie dzisiaj do siebie i bardzo dokładnie o nią wypytywał. Dałem mu słowo honoru, że nie komunikuję się z nią nigdy, że nie rozmawiałem z nią w ogóle od trzech lat, lecz czy on w to uwierzył?

Nie wyobrażasz Sobie nawet, jak mi ta historia może zaszkodzić w obecnej mojej sytuacji. Pojmiesz to sama, jeżeli spróbujesz spojrzeć na tę sprawę oczyma inż. Koppa: Wanda Gaharin jest filarem pacyfistycznego tygodnika "PAX", który nieustannie atakuje Rogera von Eldena, a teraz nagle zgłasza się do tegoż Rogera von Eldena niżej podpisany Mikołaj Gaharin i zbiegiem okoliczności otrzymuje dobrą posadę w Centralnym Laboratorium jego fabryk chemicznych.

Czyż w tych warunkach nie wyglądam na szpiega pacyfistów? Niestety tak, Droga Jadziu. I nie zdziwiłbym się ani trochę, gdyby mnie mój szef odsunął od najciekawszych ergo najbardziej zakonspirowanych prac w Laboratorium albo gdyby mnie nawet przeniósł na podrzędne stanowisko do którejś z fabryk Eldenowskich w zachodniej części Niemiec.

Z tych powodów postanowiłem nie wynajmować mieszkanca w malowniczo położonym Poczdamie, na co się tak cieszyłem. Trzeba będzie poczekać, dopóki się ta sytuacja nie wyjaśni, Na razie zamieszkanie wraz ze mną u pocziwego Franza Selda, który Cię, Jadziuniu, najserdeczniej w gościnę zaprasza. On ma tu ogromne mieszkanie, a sam ustawicznie wyjeżdża z Berlina, więc nie będziemy go krępowali. Powtarzam jego słowa.

Tylko przyjeżdżaj jak najprędzej, bo wojna może wybuchnąć lada dzień. Wszyscy tu tak mówią, nawet Franz, który jest doskonale o wszystkim poinformowany. Pisałem Ci już, jeśli pomnę, jak wysokie stanowisko on piastuje wśród "brunatnych koszul". A teraz powiem Ci jeszcze w zaufaniu, że Franz Seld jest upatrzony na komendanta Krakowa po zajęciu tej części Twojej ojczyzny, która ma być przyłączona do Niemiec w przyszłości. Nie masz pojęcia, jak oni tu mają wszystko zorganizowane w związku z niedaleką już okupacją Czechosłowacji i Polski. Może Ciebie to boli, bo wciąż jeszcze czujesz się Polką. Lecz ja ci powiadam, Jadziuniu, że to, co hitlerowcy zamierzają, tylko na dobre wyjdzie Twojej ojczyźnie. Bo

największymi wrogami nas wszystkich, aryjczyków są Żydzi! Oni zgubili moją biedną Rosję, oni Polskę gotują taki sam los, oni są straszliwą potęgą, której słabi Słowianie nigdy zwalczyć nie zdołają. Tego potrafią dokazać tylko tacy jak mój kochany przyjaciel Franz Seld. Niemcy. Młodzi Niemcy! Hitlerowcy! Oni zrobią porządek z pejsatymi Żydami polskimi i to Cię powinno jeszcze bardziej cieszyć niżli mnie, Rosjanina. Zresztą, skoro przyjedziesz, Franz Ci to wszystko dokładniej wytłumaczy i na pewno Cię przekona. Ach, jak on potrafi mówić!

Ale to, co mi wczoraj powiedział, okropnie mnie zaskoczyło. Bo nagle przypomniał sobie Wandę i zapytał, czy ona także tu przyjedzie. Jeżeli pamiętasz jeszcze wydarzenie, jakie Ci ongiś opisałem w liście, mianowicie to przykre spotkanie z Wandą w "Romanisches Café" to nie zdziwisz się chyba, że na chwilę zapomniałem języka w gębie. A Franz, na szczęście, musiał podejść do telefonu. Tak, tak, lecz to fatalne pytanie mnie nie ominie. I co wtedy? Przyznać się, że Wanda jest prawą ręką tak znienawidzonego przez hitlerowców Jana Eldena? Że jest pacyfistką? Czyli defetystką! Ach, Jadziu Droga, czy ja długo jeszcze będę znosił tyle przykrości przez Wandę?! To już nad moje siły...

Wiele miałbym Ci do powiedzenia na ten temat, ale to już ustnie, gdy przyjedziesz. Teraz muszę pędzić na dworzec, żeby złapać mój zwykły pociąg do Poczdamu. Inż. Kopp bardzo nie lubi, jeżeli ktoś się spóźni.

Kończę więc to pisanie, całuję najserdeczniej Ciebie i dzieciarnię,

Twój Mikołaj

*

roger von elden

villa flora berlin grunewald

brat był w warszawie stop dzisiaj jest zapewne w królewcu hotel adler stop piszę obecnie lepiej jak pan zapewne zauważył stop muszę dziś na kilka dni wyjechać z paryża stop

dawid

*

O Lili Moja Najdroższa!

Nareszcie znak życia od Ciebie. Po trzech tygodniach! Czy Ty masz pojęcie, czym były dla mnie te trzy tygodnie? Piekieł!!! Tego w ogóle opowiedzieć nie można. Wiedz tylko, że w ciągu tego czasu nie tknąłem palety i, jak szalony, biegałem po całym Paryżu, szukając Ciebie, Niedobra Dziewczyno. I przeklinałem Cię niekiedy, bo sądziłem, że zadrwiłaś Sobie ze mnie bezlitośnie.

Lili, ale tak dłużej trwać nie może! Przysiękałaś, że zostaniesz moją żoną, że weźmiemy ślub w czerwcu, a ja dotychczas nawet Twojego nazwiska nie znam, ani adresu, ani matki Twojej, ciężko chorej obecnie, jak piszesz. Pozwól, bym wraz z Tobą czuwał przy jej łóżu, bym Ci ulżył w pracy. Może potrzebujesz pieniędzy? Może wezwać do Twojej matki któregoś z najlepszych lekarzy? Mogę Cię zapewnić, że najslawniejszy

profesor będzie sobie poczytywał za zaszczyt, jeżeli go wezwie Ruiz Lolez! Mówię to bez zarzucia. Zresztą Ty sama wiesz dobrze, jaką posiadam markę w śmiecie, a co dopiero tutaj, w moim ukochanym Paryżu.

Nie! To jest nie do zniesienia! I znowu wyślę ten list na "poste restante", i znowu będzie leżał Bóg wie jak długo na poczcie, a ja od zmysłów odchodzę, bo każda minuta jest dla mnie wiekiem! Lili, Najśłodsza Dziewczyno, poniechaj tej gry w chowanego. Nie doprowadzaj mnie do tego, bym dla odszukania Cię miał się uciec do metody niegodnej gentlemana. Nie zapominaj, że posiadam Twój portret, że mogę go sfotografować i z pomocą tej fotografii odszukać Twój adres w prefekturze policji! Pod wpływem obłądnej tęsknoty za Tobą mogę popełnić coś takiego, to nie ulega wątpliwości. Do wszystkiego jestem zdolny, kiedy mnie nawiedza wspomnienie Twoich pieszczot szalonych.

Dzwonek... Nie zrywam się wcale. Wiem, że to nie Ty, niestety. Twój dzwonek dźwięczał inaczej, srebrzyściej, radośniej. To pewnie jakiś klient... Nie. To mój rodak, Juan Z. Rozmawia ze służącym. Słyszę jego głos. Niech sobie poczeka kochany Juan, dopóki nie pożegnaj się z Tobą. Ale w południe napiszę drugi list, a wieczorem trzeci, jak co dnia to czynię...

*Czy Ty je czytasz, te moje listy? I z jakim uśmiechem? Jeszcze nie spotkałem w życiu kobiety, która by miała tak szeroką skalę uśmiechów, jak Ty, Lili. W ogóle jesteś dla mnie wielką zagadką. Umiesz być anielsko dobrą, ale i najokrutniejszą dręczycielką; umiesz być niewinnym dzieckiem, ale i wyuzdaną samicą, której niejedna zawodowa "kapłanka miłości" mogłaby pozazdrościć rutyny; umiesz być zimną angielską lady, do której nawet modlić się nie ma człek odwagi, ale i wulkanem namiętności... **A czym jesteś naprawdę???** Często, bardzo często rozpamiętuję drobniaczko każde wydarzenie z okresu naszej trzymiesięcznej znajomości i słowo Twoje każde, a potem zastanawiam się nad tym, jakie jest Twoje rzeczywiste oblicze...*

Lecz mniejsza o to! Choćbyś była wcieleniem szatana, kocham Cię, Lili. Kocham Cię tak, jak by Cię żaden inny mężczyzna nie potrafił kochać. To nie jest frazes! To jest krzyk serca kaleki, który przez tę swą przekłętą, szpeczącą ułomność nie posiada szans przeciętnego zdrowego dryblasza. Ten mój obrzydły garb czynił Cię dla mnie niedosiężną. A jednak spełniły się moje najskrytsze, najzuchwalsze marzenia. Należałaś do mnie, dawałaś mi królewski dar Swojego ciała.

Och, ten mój Juan staje się niemożliwy. Puścił w ruch patefon i ryczy na całe gardło do wtóru. Nie mogę pisać w takim zgiełku, więc kończę. Całuję Cię, Cudna Moja Lili, calusieńką, od płomiennej aureoli Twoich puszystych włosów do szkarłatnych paznokietków stóp, a najgoręcej mojego ślicznego motylka

Twój Ruiz L.

*

*franz seld berlin neukölln
saalenstrasse 18*

dopiero dzisiaj przybyłem do królewca stąd zwłoka w odpowiedzi na pański list stop pomysł doskonały

*niestety niewykonalny stop ale mam nową koncepcję stop proponuję spotkanie gdańsk zamieszkać
kurhaus zoppot stop wyjeżdżam tam jutro i czekam pańskiego rychłego przybycia*

lucien

*

Wielmożny Panie Hieronimie!

Dziś tylko kartka, bom w drodze i jadę pod ciupasem. Tu, w Wiedniu strażnicy się zmienili. Ten nowy, ludzki człowiek dał mi napisać parę słów do rodziny. Siedziałem w pace dwa miesiące, niby w Rzymie, że to nie miałem paszportu i w ogóle o nic. Więc nie mógł żem zarobić i nic dla szwagra nie posyłam, aż mi wstyd. Szwagrostwo i moje biedne dzieciśka i Wielmożnego Pana pozdrawiam i kłaniam się pięknie

Bartłomiej Ropa

*

lucien leś królewicz

hotel adler

*jestem zdumiony brakiem wiadomości i rekordowym niedołęstwem stop jeżeli nie czujecie się na siłach
znajdę sobie innych ludzi stop nieodwołalnie po raz ostatni przypominam punkt siódmy naszego kontraktu*

roger

*

Wielmożna Pani

Hortensja Dardenne

w miejscu

Łaskawa Pani!

*Zdziwi się Pani, od kogo ten list, więc zacznę od tego, kto jestem. Jestem szoferem, od niedawna
właścicielem taksówki, a nazywam się Rémi Ollivier. Teraz już Pani wie.*

*I ja się chcę żenić z córką robotnika, który miał zamordować Pani Szan. Małżonka. Ale ja w to nie
wierzę, że to zrobił on. Bo ja czytałem jego list, przy którym chce się aż płakać. I jego córka Zofia (niby ta
moja narzeczona) przysięga się na wszystko, że jej ojciec nie byłby zdolny do tego, żeby choć psa zabić, a
co dopiero Pani Szan. Małżonka.*

*Pani była przy tym nieszczęściu i Pani jedna na świecie mogłaby powiedzieć, jak tam było naprawdę i
dlaczego się nie znalazł rewolwer, z którego padły te fatalne kule, i kto właściwie strzelał. Bo to, co pisały
gazety, to bujda, gazetciarze zawsze cyganią, wiem to od jednego redaktora. A także z własnej praktyki, bo
jak moja dawna chlebodawczyni wkantowała wóz na drzewo, to gazetciarze pisali, że, aby ocalić życie
dziecku, które wybiegło na szosę, miss Forban wolala wykręcić i rozbić się o drzewa. A to jest wierutne
łgarstwo, bo tam żadnego zupełnie dziecka nie było, za to miss Forban była pod dobrym gazem i przez to*

my się wykopyrtnęli. Takie to bujacje z tych gazeciarzy.

Więc niech Pani będzie taka szlachetna i zezna przed sędzią, jak tam było naprawdę, i czy Bartek Ropa jest winien śmierci Pani Szan. Małżonka. Przecież jemu gilotyna grozi, to raz. A po drugie, moja rodzina nosem krzywi --- Co?! Chcesz się żenić z córką mordercy?! --- No, a ja się chcę z nią żenić i postawię na swoim, żeby nie wiem co, tylko mi strasznie żal dziewczyny.

Ja się do Łaskawej Pani zgłoszę sam po odpowiedź za kilka dni.

Z najgłębszym szacunkiem

Remi Ollivier

*

roger von elden

villa flora Berlin grunewald

pański telegram odesłano mi do gdańska stop proszę jeszcze trochę cierpliwości stop przygotowania w toku stop lada dzień doniosę coś pozytywnego stop mieszkam zoppot kurhaus

lucien

*

Mój Drogi Nika!

Wyjadę z Paryża zapewne dopiero w poniedziałek, bo chłopcy chcą koniecznie zobaczyć niedzielny mecz futbolowy Argentyna-Francja. Więc za cztery dni zobaczymy się w Berlinie, czyli że mogłabym już nie pisać tego listu. A jednak piszę. Piszę, gdyż obawiam się, iż nie potrafiłabym Ci tego powiedzieć. W liście zawsze człek jakoś odważniejszy i bardziej wymowny...

Pomijam na razie to, coś nawypisywał o "dobrodziejstwach", jakimi Franz Seld chciałby uraczyć moją ojczyznę. O Żydach mam wyrobione zdanie, ale z dwójga złego wolę ich niż hitlerowców.

Piszę w sprawie Wandy i w jej obronie. Powiadasz, że Wanda może zwichnąć Twoją karierę. Czyż ona ze stokroć większą słusnością nie miałaby prawa powiedzieć tego samego o Tobie? Przecież ona mieszka w Berlinie od trzech lat, a Ty zaledwie od kilku miesięcy. Przecież ona od dawna "robi w pacyfizmie", gdy Ty dopiero od paru tygodni masz za chlebodawcę Rogera von Eldena...

Pacyfiści niemieccy, wśród których Wanda zdobyła sobie poważne stanowisko, mogą się zacząć odnosić do niej z największą podejrzliwością, skoro dojdzie do ich wiadomości, że Ty otrzymałeś posadę w Centralnym Laboratorium. --- A nuż ona także jest teraz na żołdzie fabrykantów broni? --- pomyśli sobie ten czy ów. --- Może ona jest zakonspirowanym szpiegiem militarystów? --- ...Czy to ci nie przyszło na myśl nigdy?

A jednak Wanda ani słówkiem o tym nie wspomniała w swoich dwóch listach, jakie od niej otrzymałam po Twoim wyjeździe z Paryża. Za to Ty żalisz się nieustannie i kraczesz, że przez nią stracisz posadę.... Więc cóż Wanda ma robić? Uciekać z Berlina? Czy zmienić przekonanie i zawód?... A, wstydz się, Nika! Tego się nie spodziewałam po Tobie.

No, no, nie gniewaj się, Nika. Wiem, że wszystkie te Twoje przesadne obawy płyną z troskliwości o nas, o przyszłość naszych młodszych dzieci. Ale nie wolno Ci zapominać, że Wanda także jest naszym dzieckiem, naszą pierwotną córką! Dostyc już chyba wycierpiała (a ja z nią) z powodu trzyletniej rozłąki spowodowanej tak błahym konfliktem z Tobą. Należy jej się za to jakaś satysfakcja, a nie nowe przykrości.

To, że nie dostałeś posady we Frankfurcie nad Menem, jak się spodziewałeś, ale właśnie tuż pod Berlinem, gdzie Wanda przebywa... uważam za widomy znak niebios, że czas już położyć kres tej niezgodzie rodzinnej. I ja w tym, że kres jej rychło nastąpi! Na to bądź przygotowany, Ty słaby mężczyzno, ale najlepszy z świecie Mężu. I na to również, że Twój iście rosyjski pesymizm, który się tak bujnie rozplenił w czasie naszej tak długiej rozłąki, spłonie doszczętnie w ogniu pieaszczot

Twojej stęsknionej Jadzi.

*

ruiz lolez

87 boul raspail paris 6

bądź spokojny wszystkie listy dostałam stop odwiozłam matkę do vichy stop jutro wracam do paryża stop wieczorem zatelefonuję stop czy oznaczyłeś datę ślubu stop jeżeli można przyspiesz

lili

*

JWPan

Roger von Elden

***Berlin**-Grunewald*

Wielce Szanowny Panie!

***Nareszcie** mogę się czymś pochwalić: Wykonałem to, do czego się zobowiązałem w naszej umowie, i dokładnie za 10 dni nastąpi wypadek, który **nieuchronnie** zapoczątkuje gorąco przez nas upragnioną **koniunkturę**.*

Smutne doświadczenia nauczyły mnie nie ufać poczcie, toteż omówienie wszelkich szczegółów odkładam do naszej osobistej rozmowy; przyjadę do Berlina w niedzielę i natychmiast zgłoszę się do WSzPana.

Stosownie do treści punktu 15-go naszej umowy, zawiadamiam równocześnie o tym radosnym fakcie mr. Samuela F. oraz barona L., i wszystkie trzy listy wysyłam pocztą

Z głębokim szacunkiem

Z 66

ROZDZIAŁ XIX

Salon *biedermeierowski*, wizyta w stylu angielskim, etykieta prawie hiszpańska, amerykańskie uprzejmości, język francuski. W powietrzu konglomerat zapachów: *Mitsouko* Gerlaine'a (miss Dorothy Corgrave), *Dandy* d'Orsaya (baron Abel Lazare), *Jockey-Club* Atkinsona (baron Armand Lazare), *Flit* (meble) oraz stęchlizna (rodzima woń nigdy nieprzewietrzanego salonu). Ponad tym wszystkim niewidzialny duch autora podręczników pt. *Savoir-vivre* tańczący tuż pod sufitem lansjera.

--- Bardzo, bardzo się cieszę, że pan przybył nas odwiedzić, baronie Lazare.

--- O, miss Corgrave... Jeżeli chodzi o mnie, to trudno mi wprost wyrazić, jak bardzo jestem szczęśliwy, że panią widzę. Żałuję niezmiernie, iż fatalny stan zdrowia nie pozwolił mi wcześniej złożyć powinnego uszanowania.

--- Syn pański, panie baronie, pan baron młodszy, mówił mi kiedyś o pańskiej niedyspozycji. Byłam niepocieszona! Moja siostrzenica oczywiście również. Obie byłyśmy niepocieszone. Tym bardziej cieszę się dzisiaj, widząc pana barona zdrowego. Ogromnie się cieszę. I ogromnie się smucę, że Violet nie ma obecnie w domu. Ona będzie niepocieszona, gdy się dowie o wizycie panów.

--- Jestem również niepocieszony --- Armand miał ochotę parsknąć śmiechem --- że nie zastaliśmy miss Forban. Zapewne wyjechała autem? Przy takiej pogodzie...

--- Och, tak. Pogoda jest dzisiaj prześliczna. Czyż nie jest?

--- Pani ma rację, miss Corgrave. Pogoda jest dziś prześliczna... Ja także ogromnie żałuję, że nie zastaliśmy miss Forban. Jestem wręcz niepocieszony. Mój syn również. Bo wizyta nasza miała, o ile tak można powiedzieć, podwójny cel. Pierwszy i najważniejszy, to złożyć uszanowanie pani, miss Corgrave...

--- Pan baron jest czarująco uprzejmy. Violet będzie niepocieszona.

--- O, miss Corgrave. Pani jest nazbyt uprzejma! To my jesteśmy niepocieszeni... Zwłaszcza, że ów drugi cel naszej wizyty dotyczy ściśle i wyłącznie osoby miss Violet Forban.

Miss Dorothy Corgrave zeszywniała podwójnie. --- Oświadczyny! --- przemknęło jej przez myśl. Powiedziała więc ponownie, że Violet będzie niepocieszona, gdy się dowie o wizycie seniora-barona i barona-juniora po czym:

--- I ja osobiście jestem niepocieszona, że nie mogę w imieniu Violet dać panom żadnej wyraźnej odpowiedzi. A ściśle biorąc, w imieniu jej ojca...

--- Ależ ja posiadam już zgodę jej ojca...

--- Czy tak? Ach, jakże się cieszę, że pan posiada zgodę jej ojca. Bo to przecież jest zawsze najważniejsze. Jestem stanowczą przeciwniczką dzisiejszego samostanowienia o sobie narod... to jest, chciałam rzec, młodych panien.

--- Słusznie, słusznie, miss Corgrave. Jestem niepocieszony, że pani słów, godnych tego, by je ryc na marmurze, nie słyszy moja siostra, która od najmłodszych lat była niepoprawną emancypantką.

--- O! Ogromnie żałuję, że nie miałam dotychczas przyjemności poznać pańskiej siostry. Czy ona mieszka także w Paryżu?

--- Mieszkała. --- Abel Lazare westchnął. --- Ale od trzydziestu lat nie żyje...

--- Ouuu. Jestem niepocieszona...

--- A ja jestem niepocieszony --- Armand "jechał" już resztkami anielskiej cierpliwości --- że nie

zastaliśmy miss Forban. Czy pani nie wie, miss Corgrave, dokąd ona wyjechała?

--- Ach, niech pan lepiej nie pyta. Rumienię się ze wstydu. Nie mogę doprawdy zrozumieć, gdzie Violet nabrała tak gminnych upodobań. Jestem wręcz niepokieszona, że dotychczas nie udało mi się tego wykorzystać... Ona... ona, czy mi to przejdzie przez gardło?... ona pojechała do Colombes na jakiś meee...

--- Na mecz futbolowy?! Dobrze wiedzieć. --- Armand Lazare powstał, złożył dworski ukłon pani domu.

--- Dосkoczę do Colombes i przywiozę miss Forban tutaj, jeżeli pani pozwoli...

--- Pozwalam najchętniej! Będę uszczęśliwiona, jeśli pan baron zabierze moją siostrzenicę z tego meczu.

Byłabym niepokieszona, gdyby...

--- Och, nie dopuszczę do tego, by pani była niepokieszona...

--- Zmiłuj się, Armandzie. Zabierasz mi limuzynę?

--- Odeślę ją papie, a wrócę autem miss Forban. Bo liczę się z tym, że będę musiał zaczekać aż do końca meczu.

--- Pan baron przecież zaczeka do powrotu mej siostrzenicy i swojego syna, czy nie? Violet byłaby niepokieszona, gdyby...

--- Zaczekam --- jęknął Abel Lazare, śląc wychodzącemu synowi spojrzenia pełne wyrzutu: --- Zdrajco! Zostawiasz ojca na pastwę tej nudnej piły?!...

--- Więc pan baron --- zaskrzeczała znowu miss Corgrave --- najpierw zwrócił się do mojego szwagra...

--- Ściśle biorąc, to mister Forban mnie prosił o to w liście...

Miss Dorothy Corgrave stanęła w poździe dziewiczych rumieńców. Pragnęła zapaść się w ziemię. Wstydziła się za szwagra. Więc on prosił kogoś, by ten oświadczył się Violet?! Do tego już doszło obecnie?!

--- Tu zaszło jakieś nieporozumienie, panie baronie. Byłabym niepokieszona, gdyby mi się go nie udało wyjaśnić!

--- Nieporozumienie? Pani chyba raczyła zażartować, miss Corgrave. Oto jest list mister Forbana. --- Przez omyłkę Abel Lazare wyjął z kieszeni list Lucjana Lesta donoszącego, że przygotował nareszcie wielką prowokację, która nieuchronnie spowoduje wybuch wojny polsko-niemieckiej. --- Przepraszam, to inny list... O, tu jest. Mister Samuel Forban życzy sobie stanowczo, by miss Violet natychmiast opuściła Paryż i pod moją opieką wyjechała do Biarritz. Proszę, niech pani sama łaskawie przeczyta ten list...

Miss Corgrave omal nie spadła z kanapy. Tu o wyjazd tylko chodziło, nie o oświadczyni, jak przypuszczała. Ładne **qui pro quo**! Miss Corgrave odczytała niedługi list już chyba z dziesięć razy i znowu zaczynała da capo. Nie miała odwagi spojrzeć w oczy gościowi. Ubzdurzyła sobie, że baron Lazare zrozumiał jej omyłkę, że spogląda na nią drwiąco i umyślnie przeciąga krępujące milczenie. Myliła się jednak. Abel Lazare milczał, gdyż duchem był tutaj nieobecny. Zazdrosną myślą ściagał syna, który zdołał się stąd wyrwać tak łatwo, podczas gdy jemu groziły wytworne nudy na trudny do obliczenia okres czasu. A szelma Armand pędzi teraz do Colombes, po czym z tą śliczną Violet... --- O ile ją znajdziesz w tym tłoku, che, che, che... O ile ją potrafisz odszukać wśród sześćdziesięciu tysięcy widzów!...

Armand Lazare dokazał tej sztuki. Przede wszystkim podjechał do miejsca, gdzie zaparkowano prywatne samochody. Było ich tam chyba z tysiąc, lecz szafirowych aut naliczył zaledwie dwanaście, a wśród tego tuzina znajdował się tylko jeden roadster marki Hispano-Suiza. Równie łatwo odszukał szofera miss Forban, gdyż następca Remigiusza Olliviera był Senegalczykiem, a czarnych szoferów jest w Paryżu stosunkowo bardzo niewielu. Armand znał już tego Negra i od niego dowiedział się obecnie, którą bramą

miss Forban weszła na trybuny olbrzymiego stadionu. Lecz wszystkie bramy były zamknięte. Ci, którzy nie dostali biletów, powitali Armanda kpunami. Że tylko na niego tu czekają. Że wprowadzie już przed południem ostatnie bilety były w pasku i z górą dwadzieścia tysięcy osób odeszło od pustych kas, ale dla niego znajdzie się wolne krzesło. Fotel! Kanapa! Mianowicie w szatni... Dziw, że mecz rozpoczęto bez niego, powinni byli zaczekać na takiego gogusia...

--- Bydło --- pomyślał Lazare-junior. --- Słusznie mówi ojczulek, że wojny są niezbędne, gdyż bez nich hołota rozmnożyłaby się zastraszająco. Tak, tak, to błogosławiona selekcja. --- Kiedy jeden z dozorców odszedł z wytworną wizytówką (lityry wytłaczane, obowiązkowo!), Armand dla zabicia czasu zaczął się przyglądać hołocie. Patrzył na tych ludzi tak, jak bakteriolog patrzy na transport królików doświadczalnych.

--- *Morituri*... Nie, nie. To nie są gladiatorzy, to świnki morskie u Pasteura... Ciekawym, ilu z was wyjdzie z życiem po kilku udanych atakach lotniczych. Niewielu chyba, jeżeli praktyka potwierdzi choć w połowie teoretyczne obliczenia fachowców... --- Wyobrażał już sobie, z jaką ciekawością będzie w Biarritz czytywał opisy ataku na Paryż...

Dwóch bubków z zarządu stadionu przybiegło cwałem przeproszać znakomitego gościa, że musiał czekać tak długo. Armand był wiceprezesem *Touring-Clubu*, członkiem wspierającym *Red Star* i kilkunastu innych klubów sportowych. Ale i bez tego wpuszczono by go z honorami. Takie nazwiska jak Lazare, Forban, Rockefeller itp. otwierają wszelkie sezamy na świecie, cóż dopiero bramę przepelnionego stadionu!

Zanim wszedł, obejrzał się, spojrzał jeszcze raz na hołotę; tej satysfakcji nie potrafił sobie odmówić. --- No i cóż, miłe bydelko? --- spytał wzrokiem uprzejmie. --- Wpuszczono mnie, czy nie? --- Tłum milczał, złośliwe uwagi skonały na ustach. Tłum spoglądał na Armanda z największym respektem, po zachowaniu się dwóch bubków zmiarkował, że ten młodzieniec jest grubą rybą. Bardzo grubą! Komuś przywidziało się już, że był podobny do angielskiego następcy tronu. Może trochę wyższy, ale z twarzy podobny. --- Więc Księżę Walii... Lecz w tłumie znalazł się ktoś inny, znający młodego barona. Ten wyjaśnił: --- To nie Księżę Walii, ale *księżę stali*, baron Armand Lazare.

Księżę stali przeciskał się od chwili ku łóżom. Bileter torował mu drogę wśród ciżby, bubki kroczyły po bokach dostojnego gościa, a pochód zamykał policjant. Lecz mimo tej asysty Armand ugrzązł w połowie ganku.

--- Musimy, panie baronie, zaczekać do przerwy. Tylko pięć minut.

Rad nierad musiał zaczekać. Dzięki swojemu wzrostowi mógł się rozglądać ponad głowami sąsiadów, ale niewiele mu to pomogło. Stadion wyglądał jak olbrzymi krater wulkanu wybrukowany głowami ludzkimi.

--- Superkomplet, panie baronie. Przeszło siedemdziesiąt tysięcy sprzedanych biletów!

W czasie kwadransowej przerwy ktoś z asysty Armanda odnalazł wreszcie *szafirową damę* siedzącą samotnie w łoży. Miss Violet wyglądała bardzo źle, Resztki pozorów ratował doskonały makijaż. Przynajmniej na odległość. Za to z bliska...

--- Na Boga! Czy pani chorowała?

--- Cierpię na bezsenność. Dzisiejszej nocy znów nie zmrużyłam oka.

--- Biedactwo. Trzeba było całe przedpołudnie pozostać w łóżeczku.

--- Ależ, baronie! Służba boża! Przecież dziś jest niedziela!

--- Och, ta okropna miss Corgrave jeszcze i pani zaszczepi dewocję.

--- Ciotka Dorota ma rację. My, neofici musimy być *plus catolique que le pape*, bo nas szczególnie mają

na oku. Czy pan tego nie doświadczył na sobie?

--- Nie dbam o gawiedź. Zresztą my, Lazare'owie, nie jesteśmy Żydami już od dwudziestu lat!

--- Tak. Ściśle biorąc, od osiemnastu... A my, od trzech pokoleń!

--- Mówmy lepiej o meczu. Jaki jest dotychczasowy wynik?

--- Ach, rozpacz! Zaledwie dwa ma zero.

--- Ho, ho, to wygram zakład. Boć ośmiu goli nie zrobią po przerwie.

--- I ja w to zaczynam wątpić --- westchnęła.

--- *Zaczynam wątpić*, kapitalne! Jeżeli o mnie chodzi, to zaczynam powątpiewać, czy Argentyńcy zrobią choćby dalsze dwie bramki. Południowcy grają koncertowo tylko do przerwy. Potem, proszę mi wybaczyć trywialność, potem "puchną". Wszelkie zalety można im przyznać oprócz wytrzymałości.

--- Tak pan sądzi? --- Po tajemniczym uśmiechu nastąpił niespodziewanie wybuch gniewu: --- Skandal! Po takim przyjęciu, jakiego tu doznali, taka nędzna gra. Niewdzięczna hołota!... Przed rokiem odbywali tournée po Stanach. Grali wprost koncertowo. Bosko!... A dzisiaj...

Piekielny gwar na stadionie zaczął szybko nacichać. Zawodnicy opuścili szatnię, podziemnym gankiem przeszli pod trybunami i u wylotu schodków wiodących na boisko ukazały się głowy idących w pierwszej parze Argentyńczyków.

To bramkarz i lewe skrzydło pomocy.

--- O, i Murzynów mają?

--- Tylko jednego. To najlepszy **back** świata! Herkules! A ten, z przewiazaną nogą to kapitan drużyny. Ów najwyższy to prawy łącznik. Obok...

--- Pani, widzę, orientuje się świetnie w tych sprawach.

--- Przystudiowałam program, stąd cała moja wiedza... Ten chudy to prawoskrzydłowy. Znany sprinter. Tamten najtęższy gra na centrum pomocy. Filar drużyny. Prawdziwy filar. Waży chyba z dziewięćdziesiąt kilo. A sapie!... Ten mały to lewy łącznik. Wspaniale gra na harmonii... Czytałam w gazecie --- wyjaśniła, gdy trochę zdziwiony Armand rozwinął program. --- Ten w białej czapce to ich trener...

Trener Cristobal Rubilla nie taił swojego niezadowolenia. Już w szatni nawymyślał ile wlezie każdemu pupilowi z osobna, teraz na okrasę dorzucił parę "komplementów" pod adresem całej drużyny: --- Rozwydrzona banda! Mordy zapite! Lubieżne karaluchy! Nnno, czekajcie! Jeżeli wy im nie wsuniecie choćby trzech dalszych goli, to ja wam wsunę kilka wywiadów w prasie, po powrocie do kraju. Już tam wasze Rosity, Pepity, Chiquity będą wiedziały, co począć, gdy się dowiedzą z gazet, jak żeście się tu lajdaczyli, wy, zakąły sportu!

Wobec tak straszliwej pogróżki *zakąły sportu* włożyły w grę całą duszę. Ale cóż z tego, skoro nocna hulanka wysłała siły z grzesznych cielsk...

--- Sądzę, że nie powiesz nic mojej narzeczonej --- rzekł po meczu bramkarz do trenera. --- Bądź co bądź wygraliśmy, i chyba nie będziesz świnią...

--- Będę! Wygrana trzy do dwóch z takimi patałachami to kompromitująca klęska dla zeszłorocznego mistrza! To hańba! Jedźcie sobie na bankiet sami. Ja się do was nie przyznaję, rozpustna bando!

Sapiąc z oburzenia, trener Cristobal Rubilla opuścił szatnię stadionu. Potężna rzeka ludzi poniosła go z sobą na stację w Colombes, gdzie czekały specjalne pociągi. Wsiadłszy na dworcu Św. Łazarza, Cristobal zaczął się bezradnie rozglądać dokoła; tej okolicy Paryża jeszcze nie znał. Za to znał już dobrze miejscowych

szoferów i zrobił nieprzystępną minę, gdy jakiś taksjarsz odemknął drzwiczki swojej "cytrynki" i wykonał zapraszający gest.

--- Dziękuję, pójdę pieszo. Do bulwaru Raspail to przecież bliźniętko, co?

--- Bardzo "blisko"... A pod który numer? Bulwar Raspail jest długi.

--- Pod osiemdziesiąty siódmy.

--- No tak, to koło Boul Montparnasse. Za godzinkę pan dojdzie.

--- Godzinkę?! --- Cristobal wyjął z kieszeni mapkę Paryża. Rozmowny taksjarsz pokazał mu na planie całą drogę, po czym wystąpił z taką propozycją:

--- I tak muszę jechać w tamtą stronę, więc zawiozę pana za pięć franków.

--- Aha, pojedziemy bez zegara? A te pięć franków to pan sobie... tego.

--- Nic sobie *tego*, mój panie. Jestem właścicielem taksówki! --- odparł szofer z godnością. --- Więc jedzie pan, czy nie?

--- Jadę, o ile mi pan pozwoli usiąść obok siebie. Nie lubię siedzieć w zamkniętym pudle...

Podczas jazdy rozgadali się na dobre. Szofer się domyślił, że ten jegomość wraca z Colombes, i spytał o wynik meczu. Wysłuchawszy potem zwięzłego sprawozdania, oświadczył z najgłębszym przekonaniem:

--- Dwa do trzech, tak, to się naszym upiekło. Mieli szczęście, że ten wyga Cristobal Rubilla zestarzał się i już nie gra. On by im dał, nno!

--- Hę?! Pan słyszał o Cristobalu Rubbb...

--- Też pytanie. Portkim w zębach nosił, a już wiedziałem, że Rubilla to najlepszy w świecie centr ataku! Ach, móc go zobaczyć raz w życiu!

--- Pańskie życzenie już się spełniło. Jestem Cristobal Rubilla.

Taksówka stanęła, jak wryta, a jechali właśnie przez ruchliwą rue Royale.

--- Pan?! Eee, pan żartuuu... rany boskie! --- Pochwycił paszport, który mu trener podał z uśmiechem. To naprawdę wielki Rubilla!!! Jaki zaszczyt! Pan pozwoli, jestem Rémi Ollivier, zwyczajny sobie szofer, ale człek uczciwy, eksbramkarz drużyny fabrycznej Renaulta i pański fanatyczny wielbiciel...

Wrzask klaksonów aut zatrzymanych przez taksówkę eksbramkarza zmusił go wreszcie do wyruszenia w dalszą drogę. Gdy przybyli do celu, Rémi oczywiście nie przyjął umówionej zapłaty. Oświadczył też, że czekałby tu do późnej nocy, by jeszcze raz móc ujrzeć mistrza, ale musi pędzić na ważną uroczystość rodzinną. Bo właśnie dzisiaj są jego zaręczyny...

--- Ha, w takim razie musi pan przyjąć ode mnie na pamiątkę ten drobiazg. --- Cristobal zdjął z małego palca pierścionek z szafirem otoczonym brylancikami, wcisnął go szoferowi w dłoń, skinął głową przyjaźnie i wszedł do bramy. Dużo czasu upłynęło, nim Rémi ochłonął ze zdziwienia. Potem, gdy porównał prezent hojnego Argentyńczyka z pierścionkiem, jaki zamierzał dziś ofiarować Zosi, zrobiło mu się przykro. Bez wahania postanowił dać Zosi pierścień z szafirem, a tę swoją tandetę zwrócić jubilerowi. --- Musi mi oddać pieniądze, jak mu powiem, że... że, o mam!... że narzeczona ze mną zerwała. Tfu, na psa urok...

Przez ten czas Rubilla zajechał windą na najwyższe piętro, wysiadł, podszedł do drzwi, zerknął na mosiężną tabliczkę i zadzwonił. Posłyszał łoskot, jak gdyby krzesło runęło, potem tętent szybkich kroków, zgrzyt klucza i...

--- Jesteś, najdroższa!

Na widok rozczarowanej miny garbatego malarza, Rubilla ryknął śmiechem.

--- Ty, widzę, oczekujesz damskiej wizyty... --- Trafności tego przypuszczenia dowodziło moc szczegółów w mieszkaniu malarza, ale najpewniej jego zachowanie się; bo z jednej strony cieszył się, że po tylu latach znów widzi kuzyna, a z drugiej klął go w duchu, że przybył właśnie teraz.

--- Słuchaj, Ruiz; skoro ta twoja dziewczyna nadejdzie, wyniosę się bezzwłocznie. Jesteśmy mężczyznami i rozumiemy się doskonale.

--- Dziękuję ci, stary. Ale kolację zjesz z nami. Tylko, Cristobalku, bez protestów. Jest mi to nawet bardzo na rękę, żeś przyszedł, jak teraz widzę. Bo będziesz mógł opisać mojej matce moją... żonę! Czekać, pozwól mi skończyć. Jestem na razie kawalerem, ale to już ostatnie dni. Zanim twój okręt dotrze do Buenos Aires, zanim zobaczysz moją matkę... będę już najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem... Nie, nie, Crist. To nie frazes. Jestem pijany szczęściem, słyszysz?! Słyszysz, ale tego nie rozumiesz, ty kochany cyniku. Żałuj, że nie rozumiesz. Zważ tylko; zdobyłem sobie sławę, popularność i pieniądze, dzięki temu miałem kobiet setki. Nie wyobrażasz sobie nawet, jakie piękności przewinęły się tędy... Ale to wszystko furda, wobec prawdziwej miłości! Całą swoją sławę i majątek oddałbym bez wahania, gdyby za tę cenę trzeba było kupić jeden uśmiech mojej Lili!

--- Ho, ho, ty jesteś niebezpiecznie zakochany! Czy masz fotkę swojego ideału?

--- Fotografiją?! Profanie, tego szukasz u malarza? Mam jej portret, ale nie pokażę ci go, dopóki nie zobaczysz oryginału... --- Spojrzał na zegarek. --- To dziwne. Zawsze była taka punktualna, a dzisiaj...

W tym momencie zadzwieczał dzwonek. Cristobal Rubilla bezwiednie poprawił sobie krawat; żaden mężczyzna nie może się obejść bez tego odruchu w chwili, gdy do pokoju ma wejść piękna kobieta.

--- To tylko telefon --- westchnął Ruiz Lolez, podchodząc do skrytki w ścianie. Zdjął słuchawkę z widełek. --- Ach, to ty, kochanie! Niedobra, czemu każesz czekać na siebie tak długo. --- Rozpromienił się cały, ale natychmiast zgasł, spochmurniał. --- Jak to! Przecież obiecałaś, dałaś słowo!... Matka? Nie rozumiem. Matkę odwiozłaś do Vichy. Przyjechała dzisiaj?... Wyraźne niedowierzanie zadzwieczało w jego głosie. Lecz w tej chwili przyszło mu na myśl, że kuzyn może sobie wysnuć najfałszywsze wnioski o Lili. --- Bardzo się cieszę, że moja *in spe* teściowa przyjechała, choć co prawda nie oczekiwałem tego przyjazdu dzisiaj. Tak... Właśnie... I naprawdę nie będziesz się mogła wyrwać z domu? Lili! Choćby na chwileczkę!...

--- Umilkł, słuchał, potakując smętnie, znowu westchnął. Ha, więc do jutra. Każę przynieść moc świeżych kwiatów, bo dzisiejsze przywiędną. Do widzenia, kochanie moje. Moja **żono!**...

Ruiz Lolez zamknął skrytkę z telefonem i powrócił do kuzyna. Nadrabiał miną, ale nietrudno było poznać, jak wielką przykrość sprawił mu ten zawód.

--- Przynajmniej mam cię czym poczęstować --- uśmiechnął się z przymusem i wskazał wspaniale zastawiony stół.

--- Nakrycia są dwa, właśnie tak, jak trzeba --- parsknął gość. --- Czy ona jest Angielką? --- Usiedli, zaczęli jeść...

--- Nie, ale najczęściej rozmawiamy po angielsku, bo Lili wychowywała się w Szkocji, u rodziców swojej matki. Lecz jej ojciec był rodowitym paryżaninem i moja Lili uważa się za Francuzkę. Od chwili, gdy się o tym dowiedziałem, pokochałem Francję jeszcze goręcej niż dotychczas. Uważam ją za swoją drugą ojczyznę. Będę walczył do ostatniej kropli krwi w jej obronie, kiedy wojna wybuchnie, a na to się obecnie mocno zanosi... Ty myślisz sobie w tej chwili: *garbusów do wojska nie biorą*...

--- Nonsens! Ani mi przez myśl...

--- Wiem, wiem, jesteś zawsze delikatny... Zapewne, garbusów w mundur nie ubiorą. Lecz w kataklizmie, jaki teraz nastąpi, wszyscy cywile będą żołnierzami, a każdy dom oblężoną fortecą! Wszyscy będą zagrożeni potwornym niebezpieczeństwem ataku gazowego, wszyscy będą zmuszeni do walki obronnej. A do walki zaczepnej użyje się mężczyzn, żołnierzy, którzy...

--- A dajże mi święty spokój z wojną! Mów o Lili...

--- Lili jest typem urody angielskiej: jasnowłosa, niebieskooka, wysoka, smukła, nogi i ręce rasowo długie, owal podłużny, nosk prawie prosty, ucho małe, broda jak u Angielek dość silnie zarys...

--- Przecież poznam ją jutro, po co mi ją opisujesz. Mów krótko: ładna?

--- Śliczna! Cudna!! Posągowo piękna!!!

--- Tak mówi każdy zakochany o swojej dulcynei.

--- Jestem malarzem! Znam się więc "cokolwiek" na kobietach.

--- Wierzę ci. Niemniej twierdzą, iż każdy zakochany, patrząc na swoją dziewczynę przez pryzmat najwyższego uwielbienia, nie dostrzega nawet tego, co innym samo rzuca się w oczy. Nie chodzi mi w tej chwili o wygląd zewnętrzny, wierzę, że twoja Lili jest skończona pięknnością. Ale...

--- Charakter?... Znamy się mniej więcej od trzech miesięcy i żadnych brzydkich rysów charakteru u niej nie dostrzegłem.

--- Kobiety mistrzowsko potrafią się maskować... przed ślubem.

Ruiz Lolez wzruszył ramionami.

--- Twój nieuleczalny sceptycyzm może człowieka zniecierpliwic. Powtarzam ci, że żadnych wad u mojej dziewczyny nie zauważyłem. Lecz gdyby nawet była... --- podniósł głos --- gdyby się okazała najbardziej przeciętnym człowiekiem z całą jego niedoskonałością, będzie moją żoną! Bo ją kocham! Bo ten, który prawdziwie kocha, wybacza wszystko!

--- Prócz zdrady, oczywiście. Tego żaden Hiszpan nigdy...

--- A ja bym jej i to wybaczył --- wtrącił Ruiz szeptem --- tak mi się zdaje przynajmniej. Cierpiałbym nieludzko, ale gdyby zaczęła się kajać, gdyby mi wytłumaczyła, że upadła pod wpływem jakiegoś specyficznego nastroju, jakiegoś, bo ja wiem, psychicznego załamania się... natenczas przebaczyłbym jej.

--- Hm, hm, hm. Swojego rodzaju abnegacja... Czyżbyś chciał przez to powiedzieć, że jesteś przygotowany na jej, hm, nie chciałbym cię urazić... na...

--- Nie bluźnij! Lili to uosobienie niewinności! To anioł! Myśl o zdradzie, o wyrządzeniu mi takiej krzywdy, nigdy nie zrodzi się w jej dziecinny serduszek. Jej imię, które właściwie brzmi *Lily* jest najoczywistszym symbolem dziewictwa jej duszy. To jest naprawdę **lilia!**

--- Biedny kwiatek. Takiemu zbereźnikowi musiał wpaść w szpony.

--- O, przepraszam! --- Ruiz Lolez znowu napełnił kieliszki. --- Ja się bardzo zmieniłem pod jej wpływem. Dość powiedzieć, że od dnia, w którym ją poznałem, nie miałem żadnej innej kobiety. A dalej...

--- Żadnej **innej!** Czyli ją miałeś!... Cha, cha, cha. Jakże zabawnie wyglądasz w poździe rumieńców. No, no, nie czerwień się tak, mój stary. Ani spojrzeniem nie zdradzę się jutro, że wiem, iż uszczknąłeś kwiat lilii... A teraz zmienimy temat, inaczej wstaniesz od stołu bardzo głodny. Teraz ty będziesz jadł i słuchał, a ja wyładuję mój worek rodzinnych plotek i wieści z kraju...

Tak się też stało, a po kolacji obydwaj przenieśli się do studia i zagłębili się z przyjemnością w przepaścistych fotelach. Ruiz nie zapalił lamp. Poprzez ogromne okno w suficie wdzierala się ukośnie

srebrna smuga księżycowego światła, a ta iluminacja była najbardziej odpowiednia dla malarskiej pracowni. Równie malowniczo wyglądał w tym półmroku niebieski płomyczek ognia maszynki spirytusowej, liżący szklaną kolbę, w której bulgotała woda.

--- Taką maszynkę do kawy muszę tu sobie kupić.

--- I ten likier również ci polecam --- dorzucił gospodarz, prezentując kuzynowi małą pękatą butelkę. ---

A do kompletu powinienes sobie wyszukać jakąś złotowłosą. Wiesz, że u nas, w Buenos, blondynek prawie na lekarstwo.

--- Tak, tak. Ona by miała duże powodzenie, a ja jeszcze większe rogi!

--- Więc jeszcze nie wyleczyłeś się z swoich cynicznych uprzedzeń.

--- Leczyłem się kilkanaście razy; jesteśmy, jak wiesz, chorobliwie kochliwi w naszej rodzinie... dlatego leczyłem się aż paręnaście razy. Ale zawsze z wynikiem... dodatnim.

--- Dodatnim?! A zatem?

--- Dodatnim, z punktu widzenia medycyny! Czyli dla pacjenta, ujemnym.

--- Czy rzeczywiście tyle cię spotkało tam zawodów? Bo w Paryżu...

--- Taaak! U was każda jest cnotliwa jak stara zakonnica. Miałem przyjemność przekonać się o tym zaledwie wczoraj!

--- O! Jakaś przygoda. Opowiedz mi tę historię.

--- Bardzo chętnie, gdyż będzie to nowym przyczynkiem do [apologii](#) mojego "cynizmu"... Było to tegoż dnia, którego do ciebie zatelefonowałem po raz pierwszy, czyli... obliczmy... w poniedziałek... Jak zawsze odczekałem dopóki ostatni z moich chłopców nie wlezie do łóżka, bo trener w podróży musi być także i niańką, po czym wyskoczyłem na Pola Elizejskie. Po małym spacerze usiadłem na werandzie kawiarni *Berry*, aby się trochę pogapić na przechodniów.

--- I nie mogłeś to zatelefonować po mnie?

--- Całe szczęście, że tego nie zrobiłem, inaczej byłaby mi przepadła ostatnia kuracja mego cynizmu... Otóż wszedłem do kawiarni *Berry*. Stolików wolnych było sporo, wybrałem więc taki z najpiękniejszym widokiem.

--- Z widokiem?

--- Na najprzystojniejszą w lokalu niewiastę. Jestem esteta... Ta, która mi wówczas wpadła w oko na werandzie *Berry* była naprawdę dziewczynką tip-top. Siadam więc przy sąsiednim stoliku, a w godzinę później już siedzimy razem. Funduję jej cocktail, bawię rozmową, opowiadam cuda o mej ojczyźnie, o podróżach i o swojej kolekcji fotografii z różnych stron świata, przy czym radzę jej koniecznie obejrzeć tę kolekcję... w moim mieszkaniu. Ale dziewczę jest bardzo cnotliwe, ani słuchać nie chce o takim epilogu. Pozwala się tylko odprowadzić do przystanku autobusowego i, w drodze łaski, przystaje na spotkanie nazajutrz, czyli w... zaraz...

--- We wtorek.

--- Tak. We wtorek idziemy do *Les Miracles*. Dziewczynka olśniona. Wyznaje, że nigdy nie była w tak wspaniałym kinie, tuli się do mnie z wdzięczności. Ale nic więcej. Dopiero w środę udaje mi się ją pocałować. W środę jesteśmy w restauracji. Przy obiedzie zwierzenia. Dziewczyna opowiada mi wzruszającą historię swojej pierwszej miłości, *i ostatniej!*, dodaje z emfazą. Jej narzeczony, lotnik, spalił się w powietrzu w jej oczach... Jestem naturalnie wzruszony do suchej nitki. Powtarzam: *biedactwo moje, maleństwo* i tym

podobne okolicznościowe wyrazy, głaszczę ją po włosach i błagam o przebaczenie, że onegdaj ośmieliłem się czynić jej pewne propozycje. Ona przebacza, przy pożegnaniu pozwala się pocałować w czoło, wracam do hotelu gotowy!

--- Jak to, gotowy?

--- Zakochany. W czwartek zyskuję jej wzajemność, oświadczam się, ona słucha zawstydzona, pyta nieśmiało, czy u Hiszpanów wszystko idzie w takim tempie. Potwierdzam, wciągam ją do taksówki i tam ją całuję do utraty tchu. Ona płacze, wyraża obawę, że ją porzucę i z nią nie ożenię. Przysięgam tedy, że mam najpoważniejsze zamiary, że jutro kupię pierścionek zaręczynowy, że pobierzemy się przed mym wyjazdem z Paryża. Przyrzekam wszystko i mam szczerzy zamiar słowa dotrzymać, bo jestem zakochany od czubka głowy do pięt włącznie. Szaleję! Wzburzony pocałunkami chcę ją zawieźć do siebie. Gdy się opiera, pytam z wymówką, czy mi nie ufa. --- To nie --- odpowiada, --- ale właśnie dzisiaj jest rocznica śmierci mojego narzeczonego. Jutro. Jutro będę twoja... - Zważ tylko, jaka subtelność uczuć, jaki pietyzm dla zmarłego lotnika... Naturalnie rezygnuję na dzisiaj, odkładamy przedślubną noc poślubną do jutra. Pójdziemy na kolację, potem na dancing, a potem... Iris skacze z radości...

--- Iris? Bardzo ładne imię.

--- Tak. Pachnie oranżerią. Imię równie kwiatowe jak Lil... przepraszam cię... Ale wracam do opowiadania. Iris odchodzi od zmysłów z radości, że pójdzie na dancing. --- Pierwszy raz w życiu! --- powtarza upojona. Chcę ją wziąć do *Lido*, lecz wymawia się, że nie posiada odpowiedniej toalety, zatem idziemy nazajutrz do jakiejś gorszej budy na Montmartre. I tu diabli przynoszą mojego bramkarza. Biorę go do galopu i dowiaduję się, ku swemu oburzeniu, że te draby niby to idą spać, a skoro wyjdę z hotelu, wymykają się na miasto i studiują nocne życie tubylców. No i tubylek... Ze względu na obecność Iris nie robię na razie piekła, nawet zapraszam Julia do stolika.

--- Julio, to ten bramkarz?

--- Julio Bermajo! Czyż nigdy nie słyszałeś tego nazwiska?! Ach, prawda, ty nie zajmujesz się sportem... Siedzimy tedy we troje, Iris, Julio i ja, że zaś we troje równocześnie tańczyć nie można, tańczymy z Iris na zmianę. Spostrzegam też po chwili, że ten bałwan pożera ją wzrokiem. Chcę go spławić, ale na próżno. Uwziął się smarkacz, żeby mi zepsuć wieczór. I zepsuł. Nie mogłem Iris kompromitować. Odprowadzamy ją do nocnego autobusu. Jestem wściekły, lecz przy pożegnaniu Iris pociesza mnie szeptem: --- Jutro zatelefonuję do ciebie, a wieczorem... Mówiąc mi to do ucha, musnęła mnie gorąco ustami. --- Ten niesympatyczny gbur zepsuł nam dziś wieczór, ale jutro ci to wynagrodzę, najdroższy mój... Autobus nadjeżdża, zabiera moją Iris, wracamy do hotelu, przy czym Julio inkasuje ode mnie uczciwe kazanie... W sobotę rano...

--- To znaczy, wczoraj.

--- Tak. Rano telefon. Oczywiście Iris. Powiada, że ktoś ze znajomych widział ją na dancingu i miała niezłe piekielko w domu, ergo w Paryżu musimy się mieć na ostrożności. Lecz od czego okolica Paryża? Fontainebleau wyłącza, bo tam ją znają, tam ma ciotkę. To się przyda, ta ciotka dostarczy jej alibi wobec rodziców. Już powiedziała w domu, że na całą niedzielę wyjeżdża do owej ciotki w Fontainebleau... A tymczasem ona wyjedzie do Wersalu i tam się spotkamy, tam spędzimy rozkoszną noc. Dobrze by było, gdybym pojechał do Wersalu już po południu, zarezerwował pokój, zamówił kolację, a potem czekał na nią na dworcu. Którym pociągiem przyjedzie, tego na razie nie wie, będzie się starała wyrwać z domu tak, by

najpóźniej o dziesiątej wieczorem wpaść w moje objęcia... Być może zresztą, że się trochę spóźni, jednakże przyjedzie z wszelką pewnością, i ja mam na nią czekać cierpliwie, choćby do rana. Spotka mnie za to słodka nagroda...

--- No, i?

--- Trochę mi to wszystko było niewygodne ze względu na dzisiejszy mecz w Colombes, ale dla mojej Iris pokonałbym był stokroć większe trudności... O szóstej, jak zwykle, zjedliśmy obiad, zjedliśmy, to znaczy ja i moja drużyna, po czym przyjąłem od moich pupilów uroczyste zobowiązanie, że najpóźniej o ósmej będą wszyscy w hotelu. Jeden po drugim dawał mi słowo honoru, Julio Bermajo dodał, że zdają sobie doskonale sprawę z tego, iż ostatnią noc przed tak ważnym meczem muszą spędzić cnotliwie... Uspokojony tymi zapewnieniami wyjeżdżam do Wersalu i kieruję swe kroki do hotelu *Vatel*.

--- Przy rue de Réservoirs. Znam go. Bardzo dobry hotel.

--- Owszem. Biorę tam śliczny dwuosobowy pokój z łazienką, zamawiam na dziesiątą first class kolację, wybieram marki win, po czym idę powoli na stację. Nagle spostrzegam, że nie mam przy sobie pierścionka, jaki kupiłem dla Iris. Przypominam sobie, że go pozostawiłem w mieszkaniu paryskim na nocnym stoliku. Na zegarku stwierdzam, że jeszcze nie ma ósmej. Do Paryża z Wersalu jest zaledwie osiemnaście kilometrów. Na pociąg trzeba by czekać i pociąg wlecze się trzydzieści pięć minut. Lecz samochód!... Krótka mówiąc, łapię taksówkę, przyrzekam szoferowi dobry napiwek, o ile będzie gnał całym gazem. Ruszamy pędem. W drodze obliczam, że wrócę do Wersalu około ósmej trzydzieści, zatem przybędę na czas, na pewno przed przyjazdem Iris. Ba, ale kiedy się człowiekowi spieszy...

--- Kiszka nawaliła?

--- Zgadłeś. Potem znów lekka awantura z policjantem o zbyt szybką jazdę i w rezultacie o godzinie ósmej dwadzieścia pięć jestem dopiero w Paryżu. Już z ulicy spostrzegam, że w pokoju bramkarza się świeci. Postanawiam wykręcić mu żarówkę, pędzę na górę, ale w korytarzu robię gorsze odkrycie: słyszę dźwięki harmonii i śpiew. Gniew mnie ogarnia. --- Nie dość, że sam nie śpisz, jeszcze innym przeszkadzasz?! Poczekaj, dryblasie! --- odgrażam się po drodze. Naciskam klamkę, drzwi zamknięte. Nie szkodzi. W chodzę do swojego pokoju, wsuwam do kieszeni etui z pierścionkiem i przez wspólny balkon dążę do jego kwatery. Przystaję. Wydaje mi się, że słyszę kobiecy głos. Jakiś znajomy. Przekłęcie znajomy! Jak burza wpadam do tego pokoju i... --- Cristobal Rubilla zgrzytnął zębami, wypił duszkiem filiżankę kawy, parsknął śmiechem bardzo głośnym, ale nie bardzo naturalnym --- i łapię in flagranti moją Iris zzz...

--- Z tym bramkarzem. Ohyda!

--- Nie! Nie z bramkarzem, ale **z całą drużyną!!!**

--- Nnnie rozumiem...

--- Wiem, nie znasz się na sporcie. Drużyna futbolowa składa się z jedenastu graczy, poza tym wzięłem sobie pięciu rezerwowych w tę podróż. Razem szesnastu chłopca! A wśród nich tylko jedna kobieta, moja słodka, niewinna, wstydliva Iris!... Oczywiście los rozstrzygał o kolejności. Che, che, che, che, che...

Sztuczny śmiech Cristobala długo rozbrzmiewał w studiu. Ruiz Lolez spoglądał na kuzyna wzrokiem pełnym najszczerzego współczucia, ale nie znajdował żadnych odpowiednich słów. Bo i cóż miał rzec? Potępić tę kobietę? To było chyba zbyt uczucie, a poza tym niezmiernie trudne; najbardziej ordynarne wyzwisko byłoby dla niej niezasłużonym komplementem... Więc pocieszać Cristobala?

--- Bycza historia, co? Che, che, che, che...

Garbaty malarz drgnął, pochylił się, ujął dłonie kuzyna. uściśnął je mocno.

--- Biedaku drogi --- rzekł cicho --- jak ty musiałeś cierpieć!

--- No, pewnie! Ja każę się tym smarkaczom uczciwie wyspać przed dzisiejszym meczem, biorę od nich słowo honoru, myślę, że śpią, a oni tymczasem łajdaczą się, piją i w rezultacie z biedą dziś wygrywają w stosunku trzy do dwóch, zamiast sześć do zera, jak liczyłem. Naturalnie, że cierpiałem --- brawurował. --- Każdy porządny trener mnie doskonale zrozumie.

--- Ależ nie to miałem na myśli.

--- Tylko? --- Cristobal Rubilla udał, że się dziwi.

--- Tylko tę twoją, jakby tu rzec... tę omyłkę, co do...

--- Iris? Że wziąłem zwyczajną kokotę za porządną kobietę? Eeech, mój drogi. To się każdemu mężczyźnie musi przynajmniej raz w życiu przytrafić. Lecz zwykle częściej... To znakomicie leczy epidemię złudzeń i naiwności męskiej. Po takiej nauczce człek patrzy na każdą kobietę tak, jak one wszystkie na to zasług...

--- Protestuję! Nie wolno ci operować ogólnikami! Nie znasz mojej Lili, a takich aniołów jest wśród kobiet bardzo wiele, na szczęście... Owa Iris, jak sam przed chwilą powiedziałeś, jest zwyczajną kokotą. Zatem...

--- Bo ja wiem, czy jest? Pieniądzy ode mnie nigdy nie żądała ani podarków.

--- Tym gorzej! Gdyż ostatecznie mogę usprawiedliwić nierząd uprawiany z nędzy, ale tutaj taki wypadek nie zachodził, prawda?

--- Nie. Iris, jak mi raz wspomniała, ma rodziców wcale zamożnych, tylko skąpych, jak większość Francuzów. Ubiera się bardzo gustownie, prawie wykwintnie.

--- A lat, ile sobie liczy mniej więcej?

--- Najwyżej dwadzieścia, lecz raczej osiemnaście.

--- Potworne! W takim wieku!... Ale ja ci przerwałem opowiadanie, jeżeli pomnę.

--- Bynajmniej. Opowieść skończona, epilog nastąpił parę godzin temu, mianowicie ów pierścionek przeznaczony dla mojej narzeczonej ofiarowałem szoferowi, który mnie tu przywiózł.

--- A jak zareagowałeś wówczas, gdyś ją ujrzał wśród tych...

--- Jak gentleman, który jest z zawodu trenerem. Powiedziałem: Ej, chłopcy, chłopcy, ładnie będziecie jutro wyglądali na boisku! Francuzi wrzepią wam z pięć goli jak nic! --- Pogroziłem im, wyszedłem na balkon i tamtędy powróciłem do swojego pokoju... Przez długą chwilę panowała u nich grobowa cisza. Byli skonsternowani. Dopiero Iris przerwała milczenie. Musiała powiedzieć coś pieprznego, gdyż nagle ryknęli wszyscy ogłuszającą salwą śmiechu. Znowu zabrzmiał jej głos. Zaraz potem któryś z nich zaczął grać na harmonii i bractwo bawiło się dalej. Do której godziny, tego nie wiem, gdyż wybiegłem na miasto i do rana piłem w jakiejś knajpie.

--- Chciałeś, biedaku utopić w kieliszku swoją rozpacz.

--- Może raczej wspomnienie sceny, która tak przekłęcie wżarła mi się w pamięć. --- Zniżył głos, pochylił głowę, ukrył twarz w dłoniach... --- Choćbym zacisnął powieki nie wiem jak mocno, widzę ją wciąż!... Jej płomienne włosy rozsypane na poduszce... Jej toczona ramiona obejmujące tamtego... Jej nogi lekko podniesione. Ach, te nogi precudne. Długie, smukłe, wąskie w kostce, o ślicznie zaokrąglonej łydce... Prawa noga zwisała z otomany. Na udzie dostrzegłem niezwykle znamię. Śniade, prawie brązowe, więc

odrzynające się wyraźnie od białego jak śnieg tła jej skóry. Jakby motylek...

--- Cooo?!

Cristobal Rubilla był tak zatopiony w swojej wizji, że nie zauważył, iż garbaty kuzyn zerwał się na równe nogi. Nie podpadło mu również dziwnie zmienione brzmienie jego głosu. Nie odmykając oczu, ciągnął dalej powoli:

--- Tak, motylek. To znamię ma kształt motyla. Stałem tak blisko otomany, że nie mogłem się pomylić. Ten śliczny motylek utknął mi w pamięci i...

Ruiz Lolez nie słuchał dalszych zwierzeń. Zataczając się, odszedł w róg pracowni, zdarł zasłonę okrywającą jakieś duże płótno rozpięte na sztaludze, podszedł do kontaktu i przekręcił taster. Obraz przedstawiał młodą, bardzo piękną blondynkę...

Cristobal oderwał dłonie od twarzy. W pierwszej chwili zamknął oczy oślepiony jaskrawym światłem trzech stuwieczowych lamp, potem zaczął mrugać, ze zdziwieniem spojrzał na trupio bladego kuzyna, aż w końcu jego wzrok padł na obraz, który wyciągnięta i rozdygotana ręka malarza wskazywała.

--- Iris! --- krzyknął. Zerwał się, zaczął szybko iść w stronę portretu. Nagle przystanął. --- Więc ona była twoją modelką?!

--- Ona... była... moją... **narzeczoną!!!** --- Ruiz Lolez oparł się o ścianę, gdyż nogi ugięły się pod nim. Powolnym, ale bardzo stanowczym ruchem wyciągnął z kieszeni rewolwer, odsunął bezpiecznik. --- To jest właśnie **Lili**, rozumiesz teraz?!...

ROZDZIAŁ XX

Roger von Elden odgarnął sobie z czoła kosmyk siwych włosów.

--- To pociąg korytarzowy? --- spytał, pochylając się nad mapą.

--- Tak, ale nadzwyczajny!

--- Czy Polacy się zgodzą?

--- Już się zgodzili. Przychylna odpowiedź polskiego ministerstwa komunikacji nadeszła onegdaj. A oto rozkład jazdy tego pociągu. --- Lucjan Lest położył obok mapy kartkę z następującymi notatkami:

<i>BERLIN, Bhf. Friedrichstrasse</i>	<i>godz. 17:31</i>
<i>BERLIN, Dworzec Śląski</i>	<i>godz. 17:54</i>
<i>FIRCHAIN</i>	<i>godz. 23:08</i>
<i>CHOJNICE (przyjazd)</i>	<i>godz. 23:21</i>
<i>CHOJNICE (odjazd)</i>	<i>godz. 23:29</i>
<i>TCZEW (przyjazd)</i>	<i>godz. 0:39</i>
<i>TCZEW (odjazd)</i>	<i>godz. 0:44</i>
<i>MALBORK</i>	<i>godz. 1:01</i>

Roger von Elden skinął głową. Znaczyło to tyle, co *Mów pan dalej*, wobec czego Lucien Lest podjął przerwany wątek swojego referatu:

--- Biuro turystyczne doradzało dobrodusznie, by ten pociąg wypuścić z Berlina o dwie godziny wcześniej. Że to angielska sobota, że wycieczkowcy lepiej się wyśpią w Malborku, itp. No, ale mnie zależy właśnie na tym, by pociąg wycieczkowy przejeżdżał przez polskie terytorium około północy! I postawiłem na swoim... Pociągiem tym pojedzie na pewno ponad tysiąc osób. Wycieczka jest aż nazbyt ponętna. Wyjazd w sobotę, powrót do Berlina w poniedziałek rano, tak że każdy zdąży do swego warsztatu pracy. Secundo: śmiesznie niski koszt. Podróż tam i na powrót, plus hotel w Malborku, plus całe utrzymanie, plus wstęp na boisko, itd., itd., a wszystko to za marne...

--- Wiem, wiem. Nie gubmy się w takich drobnostkach. Czy berlińscy lekkoatleci pojedą również tym pociągiem?

--- Nie, to niemożliwe. Sportowcy muszą zawsze odpocząć przed takimi zawodami, wyjadą więc stąd zapewne już we czwartek albo w piątek... Ale w wycieczkowym pociągu będziemy mieli bardziej cennych pasażerów. Korespondentów zagranicznych czasopism! Zarezerwowało się dla nich osobny wagon drugiej klasy i ten wagonik specjalnie ucierpi w czasie jazdy przez polski korytarz!

--- O tym mi pan gadaj!

--- Niestety, ta część "programu" wycieczki nie jest jeszcze dokładnie ustalona. Ale moi ludzie już są w Polsce i badają szczegółowo możliwość terenu, przez który przechodzi linia kolejowa Chojnice-Tczew. Napad na pociąg wycieczkowy nastąpi w każdym razie w samym środku polskiego korytarza, więc gdzieś

pomiędzy Czerskiem a Starogardem.

--- W biegu?

--- Nie umiem panu na to jeszcze odpowiedzieć, dopiero pojutrze oczekuję raportu z Tczewa. Być może, iż będzie wskazane pociąg zatrzymać fałszywym sygnałem. W środę pana zawiadomię.

--- Dobrze... A jak pan sobie wyobraża ten napad?

--- Kilkunastu ludzi obskoczy pociąg, powybijają kamieniami szyby, odda parędziesiąt strzałów rewolwerowych do wagonów, itp., wznosząc przy tym antyniemieckie okrzyki. Być może, iż do któregoś wagonu wrzuci się ręczny granat albo lekką bombę zapalającą.

--- Polskiej fabrykacji!

--- No, oczywiście! Chociaż, między nami mówiąc, wyniki późniejszego śledztwa będą dla sprawy obojętne... Nie muszę chyba dodawać, że w pociągu wycieczkowym pojedzie kilkunastu moich ludzi. Po jednym na każdy wagon. Ci już postarają się o wywołanie potrzebnej atmosfery wśród wycieczkowców i dziennikarzy. Dziennikarze zagraniczni będą mogli przekonać się na własnej skórze, na jakie niebezpieczeństwa są narażeni obywatele niemieccy w podróży przez osławiony polski korytarz. Zanim pociąg dotrze do Tczewa, moi ludzie spiszą piękne protokoły, na których zagraniczni dziennikarze złożą swoje podpisy w charakterze naocznych świadków. Takie dokumenty bardzo się przydadzą rządowi Rzeszy w tym zatargu...

--- Doskonale! Doskonale, ale co dalej? Dotychczas nie widzę nic konkretnego.

--- Trochę cierpliwości, panie von Elden... Pociąg z powybijanymi szybami przybędzie do Tczewa z pewnym opóźnieniem. Wycieczkowcy zdenerwowani nocnym napadem, pokaleczeni odłamkami szkła, poparzeni itd. zaczną uczciwie wymyślać Polakom. Już tam moi agenci dołożą wszelkich starań, aby awantura wypadła okazale i by kilku polskich urzędników zostało wypoliczkowanych. Czyż można się dziwić, że to nastąpi? Polacy zechcą naturalnie aresztować najbardziej krewkich Niemców. To wywoła gwałtowne sprzeciwy, nowe twarzobicia, chóralny śpiew pieśni specjalnie drażniących Polaków itd. Będę się starał doprowadzić do tego, by Polacy zatrzymali cały pociąg. Chociażby pod pretekstem, że chcą przeprowadzić śledztwo w sprawie nocnego napadu na pociąg korytarzowy. Zresztą urządzi się im takie piekło na dworcu, że już dla prestiżu będą musieli zatrzymać wszystkich.

--- Prócz dziennikarzy.

--- Rozumie się. A w tej grupie będzie też paru dziennikarzy niemieckich, którzy bezzwłocznie zaalarmują Berlin. Tutaj wypuścimy natychmiast nadzwyczajne dodatki o napadzie na pociąg wycieczkowy. Proszę nie zapominać, że to będzie w niedzielę! Tłumy na ulicach i taka sensacja!

--- Tak, tak. --- Roger von Elden zaczął szkicować na bloczku pierwszy taki komunikat, dyktując sobie półgłosem: --- Zabitych dwudziestu ośmiu, rannych ponad dwustu, pozostali w liczbie, dajmy na to, ośmiuset jedenastu uwięzieni przez Polaków, którzy kolbami zmuszali lżej rannych do pospiesznego marszu. --- Odłożył ołówek i jął zacierać dłonie. --- Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby te wiadomości wywołały spontaniczny odruch tłumów zebranych w Malborku, na przykład jakiś marsz na Tczew czy coś w tym guście.

--- Nie bądźmy optymistami. Marsz na Tczew, ba! Tak by na pewno zareagowali Włosi, ale Niemcy, proszę mi wybaczyć szczerą, panie von Elden, Niemcy po pokoju wersalskim stali się potulnymi owieczkami.

--- Niestety, niedostatek.

--- Dlatego też wolę nie liczyć na żaden marsz na Tczew. Za to liczę na to, że w niedzielę, najpóźniej koło południa, rząd Rzeszy wystosuje do rządu polskiego ostrą notę żądającą natychmiastowego wypuszczenia na wolność wszystkich obywateli niemieckich aresztowanych w Tczewie. Chyba tego mogą oczekiwać...

--- Bezwarunkowo! Użyję wszystkich swoich wpływów, aby to nastąpiło. Ale czy pan sądzi, że Polacy się nie ulękną? Och, panie Lest. Polacy, jak w ogóle wszyscy Słowianie, to jeszcze bardziej potulne barany niż my!

--- Wiem o tym i jestem przekonany, że Polacy wypuszczą z Tczewa zatrzymany pociąg wraz z jego pasażerami najpóźniej około godziny piątej po południu. A może i wcześniej...

--- Zatem cała prowokacja na nic!

--- Cierpliwości, panie von Elden. Proszę tylko cierpliwie słuchać dalej... Z Tczewa do Malborka jest zaledwie osiemnaście kilometrów. W godzinę po opuszczeniu terytorium polskiego moi wycieczkowcy będą już na stadionie pod Malborkiem. Nietrudno sobie wyobrazić, jaki tam ścisk będzie i jaki nastrój! Bo przecież nawet najlżej kontuzjowanego pasażera oblepi się plasterem angielskim i obandażuje po uszy!... Nagle na horyzoncie pojawi się samolot! Samolot z polskimi znakami, uważa pan?

--- Świetna myśl!

--- Samolot ten przyleci nad boisko stadionu i rzuci tam kilkadziesiąt lekkich bomb, oczywiście z nieszkodliwym gazem łzawiącym. Ale niech pan sobie wyobrazi, jaką to wywoła panikę.

--- Tak, tak. Dla większego efektu można by też puścić kilka większych petard i porcję dymów bojowych zmieszanych z łagodnymi [sternitami](#).

--- Zanotowałem... Samolot może jeszcze rzucić kilka półkilogramowych [elektronów](#) na trybuny; podpalić je, krótko mówiąc... Potem zawróci, ostentacyjnie poszybkuje w stronę polskiej granicy, by we właściwym momencie wykręcić na północ i wylądować na zakonspirowanej polance... Jeżeli ten "polski" najazd na Malbork nastąpi powiedzmy koło godziny osiemnastej, to w trzy godziny później będzie o nim wiedziała cała Europa.

--- No, gruba przesada!

--- A radio?

--- Nawet... Ale co dalej, pytam ponownie. Rząd Rzeszy wyśle nową notę, Polska odpowie, wyprze się tajemniczego lotnika, odwoła się do Genewy, zażąda międzynarodowej komisji, i znowu stoimy w miejscu!

--- Rządy mogą sobie noty wymieniać, ale patrioci niemieccy nie puszcza płazem dwóch tak zuchwałych prowokacji i w nocy z niedzieli na poniedziałek, rewanżując się za Malbork, sześćdziesiąt samolotów niemieckich złoży rewizytę Warszawie.

--- Nonsens! Pan sądzi, że komendant Reichswehry, że ten niedołęga...

--- Kto mówi o Reichswehrze! Czy *Nazi* nie posiadają od dawna swoich samolotów bojowych?! Albo *Stahlhelm*?!
--- Aha! Niezła myśl... A siedzibą *Stahlhelmu* jest właśnie [Marienburg](#)!... Czy tam obecnie jest parę eskadr?

--- W tej chwili jedna, o ile mi wiadomo. Lecz Malbork jest od Warszawy zbyt odległy jak na taki quasi-amatorski rajd lotniczy. Prawie trzysta kilometrów. Z Olsztyna jest już tylko sto osiemdziesiąt, ze Szczytna sto pięćdziesiąt, a z Niborku nawet sto dwadzieścia pięć! No i gdzieś tam w tych stronach przebywa obecnie

ponad sześćdziesiąt ciężkich samolotów. Dziwny zbieg okoliczności, prawda?

--- Rozumiem. A ile nas kosztował ten zbieg okoliczności?

--- Na razie bagatelkę, coś około pięćdziesięciu tysięcy marek. Reszta płatna po powrocie z nad Warszawy. Dziś takie czasy --- Lucien Lest westchnął żartobliwie --- że nawet największym patriotom zbyt ufać nie można... Ale mówmy poważnie. W poniedziałek rano Polska podniesie nieludzki wrzask w Genewie, Paryżu, Londynie itp., że ją napadnięto, że jej zdemolowano stolicę itd., itd., i bez wątpienia ogłosi mobilizację. Rząd Rzeszy oświadczy stanowczo, że nie ponosi żadnej odpowiedzialności za awanturniczą eskapadę *kilku swoich cywilnych lotników, którzy zresztą będą ukarani*, a równocześnie, czując się zagrożony przez mobilizację sąsiada, powoła pod broń co najmniej...

--- No, dalsze wypadki potoczą się już normalnym trybem. Chodzi mi tylko o wydarzenia przyszłej niedzieli, czy one są należycie przygotowane. Zacznę od końca. Primo, nocny rajd na Warszawę? Samoloty? Załogi? Instrukcje?

--- Wszystko, panie von Elden.

--- A bomby, jakie?

--- Kruszące, zapalające, gazowe, kombinowane, czego dusza zapragnie. W sumie sto czterdzieści ton.

--- Hm, stanowczo za dużo jak na pierwszą wizytę. W **naszym** interesie bynajmniej nie leży błyskawiczne zmiżdżenie Polski. Wręcz przeciwnie! Musimy dążyć wszelkimi siłami do tego, by Polska stawiała opór Niemcom przez całe lata. Rozumie mnie pan?

--- Rozumiem doskonale, panie von Elden. I skreślam bomby kombinowane.

--- Oraz pół kontyngentu bomb gazowych.

--- Również? Hm. Moim patriotom będzie to trochę trudno wytłumaczyć.

--- Ale nietrudno będzie ich wyprowadzić w pole. Wystarczy, jeżeli prześle im pan kilkanaście ton bomb napełnionych rzekomo jakimś nowym, piorunująco morderczym gazem, a w rzeczywistości adamsytem lub chloroacetofenonem. Zaraz wydam potrzebne dyspozycje inżynierowi Koppowi, do którego proszę się jutro zgłosić... A na razie wracam do moich pytań; najazd na Malbork?

--- Samolot jest już przemalowany, obecnie sznie. Pilota dostarczył mi *Stahlhelm*.

--- Dobrze. Tertio, napad na pociąg wycieczkowy?

--- W stadium organizacji. Najdokładniejsze informacje będę miał pojutrze. Kierownikiem tej niebezpiecznej ekspedycji jest znany panu Franz Seld.

--- A czy nowy stadion w Malborku będzie gotowy na czas?

--- Nie skończyliby go ani za miesiąc, lecz dzięki pańskiej subwencji robotnicy pracują na trzy zmiany i do soboty muszą skończyć... Krótko mówiąc, panie von Elden, wszystko jest w najlepszym porządku i od dzisiaj za tydzień rozpocznie się wielka gra... Jeżeli, tfu, na psa urok, jaki szatan nie pokrzyżuje mi szyków. No, ale mam ja dobrze na oku tego najgorszego szatana!

--- Mojego syna...

--- Bardzo przepraszam, panie von Elden. Tak mi się wyrwało.

--- Nie szkodzi, doskonale pana rozumiem... Hm, hm, hm. Więc jednak obawia się pan niespodzianek z jego strony?

--- I tak, i nie. Pan Jan von Elden jest niebezpiecznym przeciwnikiem, ale ostatnio udało mi się odwrócić jego uwagę od Prus Wschodnich i polskiego korytarza... Przypadkowo odkryłem jego achillesową piętę.

--- O! Zaciekawia mnie pan. Kobieta? Może ta Wanda Gaharin?

--- Nic podobnego! Jego ukochaną pupilką jest duża wieś pograniczna, której polska część zwie się Szczęśna Łąka, a Glücksaua niemiecka. Tam to, dzięki współpracy obydwóch nauczycieli, pan Jan urzeczywistnił swoje *braterstwo ludów* i jest niesłychanie dumny z tego, że wszyscy bez wyjątku mieszkańcy obydwóch wiosek wstąpili do jego *Ligi antywojennej*, że żyją z sobą w najlepszej zgodzie itd... Wysłałem tam więc dwóch zdolnych agitatorów, zrobiłem doniesienia na nauczycieli do ich zwierzchników, słowem, zaatakowałem z furią tę śmieszłą forteczki pacyfizmu.

--- I Janek dał się nabrać?

--- W zupełności! Pan Jan uwierzył w to, że ja nie mam nic ważniejszego do roboty, jak pokłócić kmiotków ze Szczęśnej Łąki z kmiotkami z Glücksaua. Te dwie nazwy niemal nie schodzą ze szpalt jego tygodnika. Proszę przejrzeć ostatnie cztery numery *PAX'u*, a sam się pan o tym przekona... Pan Jan von Elden, że tak powiem trywialnie, **zagapil się** w ten jeden punkt granicy polsko-niemieckiej, sądząc, iż właśnie tam ma paść iskra na prochy...

Lucien Lest miał słuszność, niestety. Intrygi jego agentów w Glücksaua i w Szczęśnej Łące, pobicie przez nieznaną sprawców nauczyciela Augusta Stotzeka, przeniesienie nauczyciela Zygmunta Ropelskiego i tym podobne wypadki, tak przeogromnie błahe w zestawieniu z wydarzeniami, jakie miało z sobą przynieść fatalne JUTRO, wręcz zahipnotyzowały Jana von Eldena. Szlachetny idealista dał się tym razem wyprowadzić w pole Lestowi. A obecnie, mniej więcej w tym samym czasie, gdy Lucien Lest składał sprawozdanie ze swojej podróży do Polski, Gdańska i Prus Wschodnich, Jan von Elden kończył list do Augusta Stotzeka:

...oraz cały szereg niemieckich pacyfistów łudzi się, że wszystkie te alarmy wojenne są inspirowane przez fabrykantów broni li tylko w tym celu, ażeby wywołać popyt na ich fabrykaty. Ale nic więcej! W możliwość wybuchu wojny nie chcą wierzyć. Nawet moi najbliżsi usiłują mi wyperswadować moją idée fixe... Czyż mogę się im dziwić? Toć tak doświadczony polityk jak Aristides Briand dnia 31 lipca r. 1914, uspokajał opinię publiczną dosłownie w ten sposób: "NIEMCY NIE WYPOWIEDZĄ WOJNY... NIE SĄ IDIOTAMI... MIELI DZIESIĘĆ LEPSZYCH OKAZJI..." itp., itp. A już nazajutrz wybuchła wojna światowa!

Dlatego też ja nie podzielam optymizmu moich przyjaciół. Dlatego przeraża mnie każdy nowy alarm wojenny w przekupionej prasie, każdy pozornie najdrobniejszy incydent na pograniczu, każda nowa lajdacka intryga agentów mojego ojca.

I dlatego błagam Pana, Kochany Panie Auguście, niechaj Pan ani na moment nie wypuszcza z rąk rządów nad sercami mieszkańców Glücksaua i Szczęśnej Łąki. Albowiem "NĘDZNYM OSZUSTWEM JEST POKÓJ BEZ PACYFIKACJI SERC I UMYSŁÓW!!!"

Dziś, gdy polskie władze szkolne przeniosły Zygmunta Ropelskiego, tylko Pan mi pozostał w tamtych stronach. Pan jest moją całą nadzieją!

Niechaj Pan się stara uwierzyć w to, że pokój w Europie i życie milionów niewinnych ludzi zależy wyłącznie od Pana! Absurd? "Credo, quia absurdum!"... Jeżeli każdy szczerzy pacyfista uwierzy w ten błogosławiony absurd, jeżeli będzie śmiało sabotował wojnę, wówczas runą ślupy

graniczne w całym świecie i nastanie złota era w dziejach ludzkości, era BRATERSTWA LUDÓW!!!

Drogi Panie Auguście! Tak bym chciał pospieszyć Panu z pomocą w walce z tymi dwoma agitatorami, którzy niewątpliwie są na żołdzie mojego ojca. Niestety nie mogę obecnie wyjechać z Berlina. Pomijam już to, że w ubiegłym tygodniu hitlerowcy znowu mnie mocno poturbowali i dziś dopiero po raz pierwszy zwlokłem się z łóżka, by ten list skreślić. Zatrzymują mnie tutaj poważniejsze sprawy niż stan mojego zdrowia.

I dlatego musi Pan na razie sam walczyć z tymi łotrami. Wierzę, iż wyjdzie Pan zwycięsko z tej walki, jak wierzę, że mieszkańcy Szczęsnej Łąki oraz Glücksau pozostaną wierni przysiędze, jaką złożyli, wstępując do naszej "Ligi antywojennej. Wierzę!

Ściskam Pańską szlachetną prawicę

Jan Elden

PS.

Proszę załączoną kartkę przesłać przez zaufanego człowieka Ropelskiemu. Sądzę, że jeszcze nie wyjechał.

List ten otrzymał August Stotzeck we wtorek pod wieczór, w dwie godziny po odejściu Ropelskiego, który był tu dzisiaj z pożegnalną wizytą. A w tej chwili Zygmunt Ropelski troskliwie karmił swoje zwierzaki przed czekającą je podróżą. Jego "ogród zoologiczny" składał się z dwóch jaszczurek, zaskrońca, żółwia, jeża, kameleona, kanarka, sroki, trzech par gołębi, kilku królików, nie licząc psa, którego Zygmunt tytułował przyjacielem. W trakcie tego karmienia ulubieńców nadszedł Wojciech Łubin. Pan naczelnik gminy Szczęsna Łąka miał minę zaaferowaną i poznać było nietrudno, że przybywa o coś prosić, ale, jako człek w świecie obyty, zaczął rozmowę od... pogody.

--- Ani dziś gorąco, ani zimno; w sam raz dobrze na podróż.

--- Aha --- przyznał Ropelski, łapiąc nową muchę dla swego kameleona.

--- Całą menażeryją pan nauczyciel zabierają?

--- Jak to, całą! Rozdarowałem między sąsiadów czternaście królików i osiem par gołębi! Zabieram tylko ulubieńców, bo z tymi nie rozstanę się nigdy!

--- Nigdy, hm, wielkie słowo. A jak pana nauczyciela wezmom do wojska? Bo o wojnie, że niby się zacznie, ino patrzeć, wszyscy mówią...

--- Głupstwo, panie Wojciechu; wojny nie będzie! Nie będzie, dopóki my żyjemy, my starsze pokolenie pamiętające tamtą potworną rzeź.

--- Dej Boże, dej Boże, amen... Ale ja tu do pana nauczyciela z interesem --- zniżył głos. --- Odesłali mi dziś tego skurczybyka, co to w Rzymie w pace siedział przez dwa miesiące.

--- Aha, waszego brata. Jakże mu to było, czy nie Kasper?

--- Niby Kasper.

--- Przypominam sobie tę sprawę, mówiliście o nim. To ten, który wyemigrował do Brazylii, prawda?

--- Bóg raczy wiedzieć, gdzie on się tam wagał po świecie --- Wojciech Łubin wruszył ramionami

--- dość, że musi znów wyemigrować ze Szczęsnej Łąki. I to dzisiaj!

--- Dlaczego?!

Naczelnik gminy Szczęsna Łąka na to pytanie nie dał wyraźnej odpowiedzi, ale nastroił takiego marsa, jak gdyby racja stanu wymagała, by marnotrawny braciszek natychmiast stąd odjechał. Potem wioskowy dyplomata wyladował cały zapas swojej chłopskiej chytrości, pragnąc przekonać Ropelskiego, że do bukietu zasług położonych dla Szczęsnej Łąki powinien na odjeźdźnym dorzucić jeszcze jeden kwiatek: zabrać z sobą Kaspra Łubina.

--- No, owszem, mogę to zrobić, ale co ja z nim pocznę?

--- Zgubi go pan nauczyciel w Warszawie, i już. On się tam już sam odczepi od pana.

--- I wróci tutaj.

--- Oho-ho! On tu już nie wróci nigdy! --- Wojciech uśmiechnął się jakoś dziwnie, trochę tajemniczo, trochę złowrogo.

--- A na bilet ma?

--- Pożyczę mu. Przysiągł mi, że odeśle... A jak nie odeśle, to niech go tam Pan Bóg skarże za krzywoprzysięstwo, czyli za moją krzywdę --- westchnął.

--- No, no, panie Wojciechu; cóż tam znaczy te parędziesiąt złotych dla najbogatszego we wsi gospodarza. Tyle, co dla mnie pięćdziesiąt groszy... A gdzież wasz brat?

--- Czeka na rozstajach pod krzyżem.

Tak też było. Kiedy furmanka minęła ostatnie chaty i łagodną serpentyną wgramoliła się na pagórek, Ropelski ujrzał jakiegoś człowieka klęczącego u stóp krzyża. Wojciech, który osobiście powoził, zatrzymał wóz.

--- Hej tam! W Warszawie też są kościoły --- zawołał i strzelił z bicia.

Rzekomy Kasper Łubin zerwał się na równe nogi, podszedł do wozu, niosąc mały tłumoczek, skłonił się Ropelskiemu i zajął miejsce pomiędzy nim a siedzącym na przedzie Wojciechem.

--- Wio, siwe!

Ruszyli w dalszą drogę.

Ropelski się odwrócił, aby pożegnalnym spojrzeniem objąć ukochaną wioskę. Ze szczytu pagórka widać ją było jak na dłoni, bowiem księżyc pięknie dziś przyświecał. Widać było jej obydwie części; bliższą, wschodnią, czyli Szczęsną Łąkę, i Glücksaue, zachodnią część. Tu i tam stały takie same chaty i stodoły, i płoty, i drzewa. Tu i tam gęsta szachownica pól świadczyła o ubóstwie wieśniaków. Tu i tam żyli ludzie dobrzy, zgodliwi, spokojni; chodzili w tym samym kieracie codziennych trosk i ten sam bicz kryzysu ich chłostał. Tu i tam chrześcijanie. Tu i tam język polski i niemiecki były w użyciu tak często, że większość mieszkańców nie wiedziała, jaka jest ich mowa ojczysta.

A więc wszystko to bracia, przyjaciele? August Stotzeck uczył, że bracia, i za to wytoczono mu dyscyplinarkę, na razie zaś obito go do krwi. Zygmunt Ropelski uczył, że bracia, i za to przeniesiono go na niższe stanowisko do jakiejś zapadłej dziury w województwie poleskim.

Zatem nie bracia? Nie przyjaciele?

Nie! Śmiertelni wrogowie!! **Odwieczni!!!**

--- Nacjonalistyczny obłąd! --- Ropelski splunął z obrzydzeniem, odwrócił głowę; jego wzrok padł na rzekomego Kaspra Łubina, na jego szczupłą twarz, zalaną łzami. --- Co wam?

--- Żal... Tylem lat tęsknił za nią, we śnie ją widywałem...

--- Więc czemu znów opuszczacie swoją wioskę?

Wojciech Łubin chrząknął ostrzegawczo i podciął konie.

--- Mus! --- westchnął zapytany.

W Międzychodzie nastąpiło pożegnanie z Wojciechem. Pan naczelnik gminy Szczęsna Łąka zamierzał tu sobie kropnąć mówkę, ale wzruszenie tak go "zakorkowało", że powiedział po prostu: --- Nie zapomnę nigdy pana nauczyciela, ani nikt z całej wsi.

--- Mniejsza o mnie --- odparł Ropelski, ściskając twardą dłoń Wojciecha --- bylebyście nigdy nie zapomnieli o naszej wzniosłej idei, bylebyście pozostali pacyfistami do ostatniego tchu!

--- Pozostaniemy! My, chłopcy wiemy, że połowa tych cholernych podatków idzie na zbrojenia, i dlatego jesteśmy szczerymi pacyfistami...

Ropelskiemu wydłużyła się twarz po takim dictum, czuł się tak, jak ongiś, gdy w czasie studenckich demonstracji oberwał gumową pałką przez łeb. Więc tylko dlatego zostali pacyfistami?! Dlatego tak ochoczo wpisywali się w poczet członków *Ligi antywojennej*?!... I tę bolesną niespodziankę musiał mu los zarezerwować na ostatnią godzinę?.

--- Jakże niskie pobudki, drogi panie Wojciechu. Czyż nie tłumaczyłem wam, że pacyfizm to...

--- Panie nauczycielu, trzeba wsiadać; pociąg do Poznania zaraz rusza...

ROZDZIAŁ XXI

W czasie podróży do Warszawy Zygmunt Ropelski zdążył szczerze polubić swojego towarzysza podróży. Rzekomy Kasper Łubin nie posiadał ani trochę pyszałkowej pewności siebie ani zamiłowania do blagierstwa, ani innych wad obieżyświatów; wręcz przeciwnie, był człowiekiem cichym, skromnym, potulnym. Gdy Ropelski wyraził zdziwienie, że w trzydziestym dziewiątym roku życia wygląda tak staro, jakby pięć krzyżyków nosił na grzbiecie, odparł z westchnieniem: --- To, co ja noszę na barkach, cięższe jest niż dziesięć krzyżyków, panie nauczycielu. Oj, wymagało mnie życie, dobrze wymagało!... --- Cechowało go także dobroć serca. Kiedy koło Kutna wpadła do przedziału osa, a napastowana przez nią kobieta chciała ją parasolką rozduśić na szybie, ujął się gorąco za złośliwym owadem i wypłoszył go za okno.

--- Wyście z tych, widzę, co to nawet muchy nie potrafiliby zabić --- zauważył z uśmiechem Ropelski, wychodząc na korytarz, by wypalić papierosa. Nikogo tutaj prócz nich nie było, zresztą pociąg świecił pustkami.

--- Ano, nie potrafiłbym uśmiercić głupiej muchy, prawdę pan powiedział. A jednak posądziła mnie, że zabiłem... człowieka --- zniżył głos.

--- Jak to?!

--- Tak to, panie nauczycielu, że ja nie nazywam się wcale Kasper Łubin, ale Bartłomiej Ropa!... Czyżby pan o mnie nie słyszał? --- spytał, widząc ogromne zdumienie Ropelskiego. --- A Wojtek Łubin mówił, że wszyscy czytali w gazecie. I dlatego musiałem uciekać ze Szczęsnej Łąki... Tak, tak; wszystkim se chytrze obmyślił, ale tego jednego nie przypuszczałem, że wy tu, w Polsce już wiecie...

--- I wy mi to mówicie, kim jesteście? Bez obawy?!

--- Bez. Bo pan by nie wydał na śmierć niewinnego człowieka. Czym to pana nie poznał przez te dwa dni?

--- A skąd mogę mieć pewność, że jesteście niewinny?

--- Gdybym się poczuwał do winy, nie spowiadałbym się panu...

--- Jeszcze się nie wypowiadali --- wtrącił żywo Ropelski, którego nagle ogarnęła ciekawość.

Wypowiadał mu się więc Bartek, czyli opowiedział mu najdokładniej swoje smutne dzieje, a gdy ukończył, za oknami po prawej stronie zakwitła świetlna reklama hotelu *Polonia* przy Alejach Jerozolimskich.

--- Władek!

--- Zygmus! --- Młody kapitan wskoczył do wagonu i pochwycił brata w objęcia. Potem odwrócił się w stronę swojego ordynansa. --- Felek, bierz walizki pana profesora i jazda z nimi do taksówki.

--- Walizki sam poniosę --- odparł Zygmunt Ropelski --- niech on raczej weźmie moje klatki.

--- Klatki?! --- Elegancki oficer zajrzał do przedziału i ręce załamał na widok skrzynek oblepionych papierem, przez którego otwory wyglądały łebki gołębi. --- Ta menażeria należy do ciebie?!

--- A do kogo?

--- Myślałem, że do tego pasażera. --- Kapitan Władysław Ropelski wskazał Bartka Ropę, który skromnie stał w głębi przedziału, trzymając na rękach małego legawca.

--- Ach, prawda, prawda. Zupełnie o was zapomniałem. Hm, hm, hm. Gdzież wy się podziejecie na noc,

Bartłom... to jest, drogi Kasprze?

--- Niech się pan nauczyciel o mnie nie trapi. Przenocuję w jakiej przykopie, mnie nie dziwota, a noc dziś będzie pogodna.

--- W przykopie? W Warszawie?! Dobry sobie! To twój znajomy, Zygmuncie?

--- Mój... tego, mój sąsiad ze Szczęsnej Łąki --- zelgał Zygmunt. --- Sąsiad i przyjaciel! Przyjeżdża tu szukać pracy.

--- Z tym będzie cięższa sprawa, ale o noclegu pomyślimy. W najgorszym razie przenocuje z moim Felkiem. Pssst! *Żadnych ale!* --- stłumił energicznie niemy protest zażenowanego Bartka. --- Rozkaz! Przyjaciele mojego kochanego brata są moimi przyjaciółmi --- uśmiechnął się grzecznie, lecz ręki Bartkowi nie podał, broń Boże! Polska to nie Francja ani USA.

Bracia Ropelscy z walizkami odjechali taksówką, Felek z Bartkiem i wraz z całą "menażerią" ulokowali się w konnej dorożce. Kiedy drynda ruszyła z miejsca, Felek zaczął fanfaronować na temat Warszawy.

--- To ci ruch, co?! To się nazywa miasto!... Teraz skręcamy w Marszałkowską. Główna ulica! Drugiej takiej chyba nie ma na świecie!

Bartek potakiwał uprzejmie. Po Berlinie i Paryżu główna ulica Warszawy prezentowała się bardzo skromniutko, a cóż dopiero mówić o ruchu ulicznym: toć nawet w robotniczej dzielnicy Paryża widywał ruch znacznie większy niż tutaj.

--- A ta brzydka buda, to pewnie jakiś podmiejski dworzec, co?

--- Podmiejski?! --- Felek był szczerze oburzony. --- To jest Dworzec Wiedeński! Główny dworzec w Warszawie!... Buda, widzicie go! --- mruczał pod nosem, dotknięty uwagą *wsiowego chama*, i ukarał go w ten sposób, że zamilkł...

Nazajutrz wczesnym rankiem obudził Bartka łoskot potężnego silnika. Felek oczywiście ani nie drgnął na swojej pryczy, był widocznie przyzwyczajony do tych hałasów, ale Bartek nie mógł już zasnąć. Postanowił zamknąć okno, zwlókł się więc z łóżka, podszedł do okna, wyrzał z ciekawości i nagle oczarowało go to, co zobaczył. Zobaczył lotnisko. Ujrzał samoloty, które wytaczano z hangarów, ujrzał lądującą awionetkę, ujrzał w chwilę później start jakiejś innej maszyny. Potoczyła się po błoniu ze wzrastającą szybkością, podskoczyła raz, drugi, trzeci, muskając ziemię kołami tak prawie, jak jaskółka lustro jeziora w locie całuje, potem zadarła ogon mocniej i zaczęła się wspinać ku żaróżwionym ze snu niebiosom. Kiedy zataczała półkole i pochyliła się na wirażu, promienie wschodzącego słońca zagrały przecudnie na jej skrzydłach, odbiły się od metalu jakby od zwierciadła i zachwycony Bartek musiał oczy zmrużyć. Potem samolot przedelfilował wzdłuż ulicy Wawelskiej, przy której stała willa Ropelskich, śmignął przed Bartkiem stojącym w oknie mansardki, znowu skręcił, znów jął się wspinać w górę lekko, zwinnie, chyżo, aż w końcu pochłonęły go przestworza.

--- Piękne! Przepiękne!! --- Bartek pierwszy raz w życiu widział samoloty z tak bliska. --- Nie ma chyba większej rozkoszy w życiu nad takie fruwanie. --- Usiadł na parapecie okna, tak jak stał, w bieliźnie, i zamyślił się. Dawno już doszedł do konkluzji, że *świat to rajski ogród, ale ludzie przeważnie są świnię i chlew z niego robią*, jak to jędrnie wyrażał. Lecz teraz nagle strzeliło mu do głowy, że skoro pilot szybujący w przestworzach oderwał się fizycznie od ludzkiego bagna, to pewnie jego myśli również biegną podniebnym szlakiem, który wiedzie wprost do stóp Boga. --- Czyli --- wnioskował pocziwie, każdy z nich jest prawie aniołem! --- Westchnął zazdrośnie, nie przeczuwając, że już za parę dni jego naiwne

rozumowanie weźmie w łeb, że zobaczy potworne dzieło zniszczenia, dzieło swoich *prawie-aniółów*...

Jakiś zegar wieżowy zaczął wybijać godzinę. Piąta. Bartek ubrał się pospiesznie, pragnąc jak najwcześniej wszczać poszukiwania pracy. Zszedł na dół po cichutku, aby nie zbudzić domowników, ale tuż przed ulicą powstrzymała go nieprzewidziana przeszkoda: furtka była zamknięta, a klucza ani śladu... I co teraz? Przeleźć przez płot? Płotek był niski, lecz gdzieś w pobliżu dudniły powolne kroki, typowy krok policjanta. Do takiego spotkania Bartek bynajmniej się nie kwapił, choć miał w kieszeni pismo zaświadczające, że nazywa się Kasper Łubin. Rad nierad musiał zaczekać, aż go ktoś z domowników stąd wypuści. Rozglądając się dokoła, stwierdził, że mały ogródek jest niesłychanie zaniedbany.

--- Nawet zeszłorocznych liści nie sprzątnięto! --- zgorzzył się. Pod schodkami wiodącymi na werandę willi znalazł trochę szczerbate grabie, łopatę i coś, co ongiś było miotłą. Uzbrojony w ten oręż zabrał się do oczyszczania ścieżek a potem grządek i klombów porośniętych chwastami tak, że na przykład niskie *kierzki* truskawek na pewno jeszcze tegorocznego słońca nie oglądały. Rozgrzawszy się uczciwie, zdjął marynarkę i, gdy chciał ją zawiesić na drzewku, zrobił nowe odkrycie: --- Gąsienice! O, wy ścierwa zuchwałe!

Punktualnie o godzinie 7:15 podawano w willi śniadanie, gdyż kapitan Władysław Ropelski musiał być w biurze na ósmą. Kazimierz Ropelski o tej samej porze otwierał swój sklep przy ul. Marszałkowskiej, a dzieci obydwóch braci uczęszczały do szkół dość odległych od Kolonii Staszica. I właśnie przy śniadaniu zapadła rodzinna uchwała, której mocą rzekomy Kasper Łubin otrzymał godność nadwornego ogrodnika na czas, dopóki nie znajdzie sobie jakiegoś bardziej popłatnego zajęcia w Warszawie.

--- Nie macie pojęcia, jaki to pracowity człowiek --- zachwycała się pani Salomea Ropelska, matka rodu, przemiła, siwiuteńka staruszka.

--- Za to mamy pojęcie, jakim rasowym leniem jest mój Felek --- parsknął kapitan Ropelski, ucałował dłoń matki, musnął ustami policzek żony, huknął wesoło: --- Cześć! Czołem! Czuwaj! --- i wybiegł z jadalni, rycząc na ordynansa, żeby mu przyniósł teczkę.

Po południu cała rodzina wyległa do ogrodu podziwiać Bartkowe wyczyny ogrodnicze. Nie szczędzili mu pochwał, a Felkowi żartobliwych przytyków, aż w końcu pan ordynans, dotknięty trochę dlań niezrozumiałym epitetem *tytan lenistwa*, odmaszerował do kuchni, by wylać złość na Kaspra, *przeklętego pierona poznańskiego*.

--- Jakaż tu zgoda panuje w tym domu --- myślał Bartek z uznaniem, obserwując ukradkiem zachowanie się wszystkich Ropelskich. Ale już wieczorem przekonał się, że owa harmonia nie jest wcale tak idealna, jakby się wydawało. Oszklone drzwi z jadalni na werandę otwarto na oścież, więc Bartek, odpoczywający po całodziennej pracy na małym trawniku przed werandą, słyszał niemal każde słowo. Słyszał, lecz nie rozumiał, o co chodzi, nie rozumiał powodów kłótni pomiędzy braćmi Kazimierzem a Władysławem. Wymiarkował tylko, że wojskowy gardłuje za Piłsudskim, a wymyśla Dmowskiemu, zaś Kazimierz jest wręcz odmiennego zdania. Przy tym powtarzały się najczęściej dość cudackie słowa: *sanacja* i *endecja*. --- Ki diabeł? --- medytował Bartek. Cechował go zawsze *indyferentyzm*, jeżeli chodzi o politykę. Nie uczęszczał nigdy na wiece zwoływane przez pętających się na emigracji agitatorów, nie czytywał z reguły artykułów politycznych. Z dawna już wyrobił sobie zdanie, że każda klika wszystko przyrzeka wyborcom, a niczego nie dotrzymuje, gdy się dorwie do władzy i tylko sobie kieszenie napycha.

Sprzeczka w jadalni stawała się coraz gwałtowniejsza. Gdy mężczyźni trochę zachrypli, wstąpiły w szranki kobiety. Pani kapitanowa ujęła w dłonie męzowski sztandar, młodziutka Magdzia Ropelska

wyręczyła ojca endecka. Byłaby może zgnębiła flegmatyczną stryjenkę, gdyby nie to, że matkę wspomogli jej dwaj synowie, Staś i Miś, liczący w sumie 25 lat. Na pomoc Magdzi, osaczonej aż przez trzech przeciwników, wyruszała w bój babcia Salomea, tymczasem mężczyźni także odpoczęli i cała rodzina podzielona na dwa obozy pograżyła się doszczętnie w odmęty naiwnej, bezpłodnej dyskusji politycznej, nazpikowanej obficie wzajemnymi oszczerstwami. Typowo polska "idylla"!

--- Czy wiesz, Zygmuncie, czemu odebrali autonomię uczelniom? Bo Żydzi tego żądali! Bo za to im przyrzekli pożyczkę zagraniczną!

--- Czy wiesz, Zygmusiu, dlaczego w Niemczech odebrano **debit** wszystkim pismom polskim, prócz endeckich? Bo endecy pokumali się z hitlerowcami!

--- Od chwili zniesienia autonomii żydowska prasa w Anglii od razu zmieniła front. Za to tysiące polskich studentów zmarnieją na bruku!

--- Gdy cała Polska rozpoczęła bojkot filmów niemieckich, endecy zwalczali ten bojkot!

--- Tak, gdyż bojkot był potrzebny wyłącznie Żydom! A wy się Żydom wysługujecie! Jesteście ich parobkami!

--- Parobkami jesteście wy, hitlerowskie **landsknechty**!

Tym trybem doszło po godzinie ciągłego crescendo do wielkiego trzaskania drzwiami, lecz nazajutrz po kolacji dyskusja polityczna zaczęła się da capo, a Felek wyjaśnił zdziwionemu Bartkowi, że tak jest tutaj codziennie.

--- Oni by się pewnie bez tego nie mogli... --- tu Felek użył swojej koszarowej gwary na określenie procesu trawienia.

Jedna tylko osoba nie zabrała dotychczas głosu, Zygmunt Ropelski. Wsparty na łokciu, zapatrzony tępo w jakiś punkt na ścianie, przysłuchiwał się czerzej gadaniu z dobrze udaną obojętnością.

--- Czemu **on** nic nie gada?! --- irytował się Bartek. Po dwóch takich słuchowiskach Bartek zorientował się już z grubsza w sytuacji politycznej w Polsce, ale nie wiedział, która strona ma rację; czy kapitan, nazywający endecków warchołami, szkodnikami i jeszcze gorzej, czy też pan Kazimierz, który znów sanatorom wymyślał od złodziei, gwałcicieli prawa i jeszcze dosadniej. Wyliczali sobie wzajemnie tylko wady, obojętnie czy prawdziwe, czy nie, ale żadnych zalet. I jak tu w takich warunkach dokonać wyboru? A może *wart pałac Paca, a Pac pałaca?*... Bartek czekał tedy niecierpliwie na opinię Zygmunta Ropelskiego i z góry akceptował jego zdanie. --- Przecież on jest najmądrzejszy z nich wszystkich! Jakże, **nauczyciel!**

Bartek wreszcie się doczekał. Było to w sobotę. Nieodzowna po kolacji dyskusja polityczna zaczęła się tym razem od **scholastycznych** dociekań, kto jest najgroźniejszym wrogiem Polski: Żyd, czy Prusak. A może bolszewik?

--- Dziś będą mieć ozorami do północy, bo jutro mogą długo spać. Niedziela --- mruknął Felek, kładąc się na trawniku obok Bartka.

Tymczasem nastąpiło coś, czego nawet Felek nie przewidywał. Pani Salomea, wyczuwszy, być może, niechęć najmłodszego syna do tych utarczek słownych, zaproponowała, aby panowie poszli sobie do miasta; niech zabiorą Zygmunta do jakiego kabaretu, czy na dancing, niech się chłopiec trochę rozerwie po tyłu latach pustelniczego życia na zapadłej wsi.

--- Dobrze, mamó, tylko pozwól mi skończyć --- oponował kapitan Ropelski. --- Niebezpieczeństwo najazdu niemieckiego...

--- Cicho, synku, cicho! Jak już zaczniecie, to będzie się gadało do północy... Dla mnie jedno jest pewne: ktokolwiek by się ośmielił napaść na Polskę, otrzyma należytą odprawę! Kłócimy się, lecz w obliczu niebezpieczeństwa pogodzimy się wszyscy natychmiast i wspólnymi siłami wojnę wygramy!

--- Brawo, mamó! Brawo! --- Wiwatowały zgodnie obie grupy!

Bartek aż usiadł ze zdumienia. Nie wierząc uszom, posłał wzrok na zwiady do jadalni, która o tej porze stale rozbrzmiewała echemi zaciekłych kłótni. Mówiono tam i dzisiaj podniesionym głosem, lecz różnicy zdań nie było żadnej. Nieubłagani przeciwnicy pogodzili się nagle i z jednakowym uniesieniem odmieniali we wszystkich przypadkach wyraz **wojna**. Magiczne wrażenie wywołał ten wyraz w willi Ropelskich.

--- A tak samo będzie w całym kraju! --- grzmiał kapitan. --- Jesteśmy gotowi! Jesteśmy uzbrojeni aż po zęby! My, wojskowi, czekamy z utęsknieniem dnia walnej rozprawy z naszym odwiecznym wrogiem!

--- Szaleńcy! --- Wszystko ucichło. Wszyscy spojrzeli ze zdziwieniem na autora tego okrzyku, a już chyba najbardziej zdumiony był Bartek, że pan nauczyciel przemówił. Nareszcie! --- Szaleńcy, czy wy nie chcecie tego zrozumieć, że waszym największym wrogiem, jest właśnie **wojna**?!

--- Ach, prawda! --- przypomniał sobie pan Kazimierz. --- Toć on nam przecież przysyłał broszurki jakiegoś Jana Eldena.

--- Pacyfista! --- Kapitan Władysław Ropelski ryknął śmiechem ogromnym. --- Ech, braciszku, tym nam nie zaimponujesz. My tu mamy na składzie pacyfistów krajowego wyrobu. Pisują pocieszne historyjki w *Wiadomościach Literackich*...

--- Same Żydłaki! A każdy Żydziak, wiadomo, boi się wojny... Dlatego też dla mnie pacyfizm jest emanacją żydowskiego tchórzostwa!

--- Kazimierzu! Czy i mnie uważasz za tchórze?!

--- Nie! Tyś walczył w roku 1920. Ale tym bardziej jest dla nas bolesne, że później dałeś się opętać nikczemnym defetystom!

--- Pozwólcie i mnie słóweczko --- wtrąciła pani Salomea, podeszła do Zygmunta i oparła mu na ramieniu swoją starczą, pomarszczoną dłoń. --- Powiedziałeś, syneczku, że naszym największym wrogiem jest wojna. Jakże to? Przecież głównie wojnie zawdzięcza nasza ojczyzna odzyskanie swojej niepodległości! Bez wojny, bez jedynej w dziejach klęski obydwóch stron wojujących, Austrii, Niemiec i Rosji, nigdy byśmy...

--- Tak! --- przerwał twardo. --- To była **nemezis** dziejowa. Zawdzięczamy swą wolność wojnie, ale nie kuśmy Boga! Nie prosimy o nową wojnę, abyśmy odzyskanego cudem skarbu nie utracili ponownie, i już bezpowrotnie!

--- Nie ma strachu --- twierdził kapitan --- nic nie stracimy, przeciwnie odzyskamy Gdańsk, Prusy Wschodnie i resztę Śląska!

--- A Litwa, tatusiu? Litwy nie zabierzemy?

--- Zabierzemy, Stasiu, zabierzemy, bądź spokojny.

--- A Kijów, tatusiu?

--- To już później, Michasiu.

Michaś rozplakał się na poczekaniu. Jak Staś chce Litwy, to tatuś mówi *zabierzemy*, a on prosi tylko o Kijów i musi czekać; Staś zawsze ma większe względy u tatusia. Gdy kapitanowa uspokajała młodszego syna, Władysław Ropelski wyliczał zalety wojen według recepty von Moltkego, Maxa Schelera i im

podobnych:

--- Bez wojen świat zapadłby się całkiem w bagno materializmu. Wojna rozwija najszlachetniejsze cnoty, jakie drzemią w człowieku: męstwo, obowiązkowość, wierność ideałom, gotowość do ofiar, religijność, solidarność, miłość bliźniego i...

--- Miłość bliźniego?! Nie, o taki cynizm nigdy bym cię... Uch. --- krzyknął nagle i odruchowo cofnął się wraz z krzesłem, gdy niespodziewanie ujrzał tuż obok swojej twarzy niesamowitą maskarę, głowę w masce gazowej i w zbyt dużym stalowym hełmie. Dowcip trzynastoletniego Stasia rozbawił wszystkich, prócz Zygmunta, ofiary tego żartu. Tarzali się ze śmiechu. --- A widzisz! Pacyfista zawsze się tak łatwo przestraszy... --- Staś włożył maskę do puszki.

Kapitan Władysław Ropelski klasnął w dłonie.

--- Ćwiczenia! Najpierw Staś. Uwaga! *Po-go-to-wie ga-zo-weeee!*

Staś wysunął prawą rękę za siebie i wolnym ruchem przeniósł puszkę na piersi.

--- Powoli, powoli, jeszcze gazu nie czujesz... Za nisko. Maskę należy podnieść na wysokość siedemnastu centymetrów od brody. Taaak... Baczność! *Gaaaaz. Maskę chwyć!... Nałóż!... Sprawdź, zaaap-nij!* Doskonale. Teraz Miś...

Po Michasiu popisywali się Magdzia, pani kapitanowa, trochę ociężyły pan Kazimierz, wreszcie stara babunia. Kapitan aż prychał z zadowolenia.

--- Hej, chłopcy, czy lękacie się chloru, fosgenu, iperytu?

--- My-się-ga-zów-nie-bo-i-my! --- wyskandowali wszyscy **unisono**.

--- I cóż ty na to, drogi pacyfisto?

--- Ja? Nic. Stwierdzam tylko, że przykry dla mnie klimat pogotowia wojennego panuje w tym domu.

--- I w całej Polsce! --- wtrącił z dumą kapitan.

--- I wszyscy posiadacie maski gazowe?

--- Na razie mamy w domu tę jedną, lecz w razie potrzeby kupię maski dla wszystkich domowników, nie wyłączając naszej dzielnej Kasi, która też świetnie wykonuje ćwiczenia --- wskazał na kucharkę, która właśnie wkraczała do jadalni, by pozbierać talerze. --- Jeszcze przecież wojna nie wybuchła...

--- A jeśli wybuchnie niespodziewanie któregoś dnia czy nocy?

W tej chwili zadzwieczał telefon. Chłopcy pomknęli do aparatu na wyścigi.

--- Tatusia proszą. Bardzo pilna sprawa, mówi ten pan.

--- Wzywają mnie do biura --- wyjaśnił kapitan, powróciwszy do jadalni, ale minę miał trochę niewyraźną. --- Felek pójdzie ze mną, poniesie mi teczkę. --- Nie chodziło o teczkę, tylko o to, że kapitan nie chciał wywoływać zaniepokojenia. Gdyż nie do biura go wezwano wraz z ordynansem, ale do koszar! --
- Pogotowie marszowe? Cóż to ma znaczyć, u licha?!

--- Musiało zajść coś bardzo poważnego! --- zwierzała się pani Salomea najmłodszemu synowi, gdy zostali sami. --- Ja Władka znam. Dość mi spojrzeć na jego usta. Gdy je tak mocno zaciśnie, oho! A gdy w dodatku wicherzy sobie swoją śliczną czarną czuprynę, to już jest bardzo niedobrze! Jak myślisz, Zygmysiu, dlaczego oni go wezwali? Jak przypuszczasz? --- W jej głosie drgał niepokój, jej oczy spoglądały na syna błagalnie, ale i przenikliwie. --- Tylko mów prawdę. Niczego nie ukrywaj przed starą matką!

Zygmunt Ropelski był w nie lada kłopotcie; skądże on mógł wiedzieć, dlaczego nagle, a tak dyskretnie, zmobilizowano oficerów, skoro powody tego i innych podobnych zarządzeń znało zaledwie kilkanaście

osób. Dwie godziny temu w pałacu Rady Ministrów odbyło się posiedzenie, którego zwołanie spowodowała przyczyna pozornie bardzo błaha. List. List napisany w języku niemieckim. Jego fotograficzna odbitka leżała pośrodku stołu, jego polskie tłumaczenie miał przed sobą każdy z obecnych dygnitarzy. Treść listu brzmiała:

Droga Lotte!

Musisz natychmiast wyjechać z Warszawy! Zagraża Ci potworne niebezpieczeństwo! Na samą myśl, że ten list mógłby przyjść za późno, serce mi bić przestaje.

Ach, Lotte, cóż bym dał za to, żebym mógł dziś przylecieć po Ciebie i sam Cię umieścić w bezpiecznym miejscu. Niestety, to niemożliwe. Nie mogę nawet wyjawić Ci, jakiego rodzaju jest to niebezpieczeństwo i w ten sposób zyskać pewność, że nie zbagatelizujesz Sobie tego listu. Jestem oficerem!

Wyjedź w sobotę, a już najpóźniej w niedzielę rano. Wyjedź do jakiegokolwiek miejscowości, byle była odległa od Warszawy o co najmniej 50 km. I broń Boże nie spiesz się z powrotem. W poniedziałek sama zrozumiesz, że nie ma już do czego wracać. W poniedziałek wraz z tymi Niemcami, którzy zostaną przy życiu, będziesz już w drodze do ojczyzny przez Czechosłowację, czy ja zresztą wiem którą?

Lotte Najdroższa! Jeżeli mnie kochasz, jeżeli życie Ci się uśmiecha, to usłuchasz. A jeśli zostaniesz w Warszawie, zginiesz nieuchronnie! Na dusze moich rodziców się klnę, że mówię prawdę, że nic nie przesadzam... Zresztą, co mi tam; dla ocalenia Twojego życia uczyniłbym wszystko, więc zdradzę tajemnicę. Słuchaj, Lotte. W poniedziałek o świcie Warszawa będzie już tylko jedną kupą gruzów! I jedną wielką mogiłą!... Rozumiesz teraz?

*Och, Boże, Boże! Co ja robię! Jeśli ten list wpadnie w niepowołane ręce, będę rozstrzelany! Musisz go spalić natychmiast po przeczytaniu. **Natychmiast!***

Lotte, zaklinam Cię po raz ostatni. Dla mojego spokoju wyślij w niedzielę kartkę z miejscowości, do której się schronisz. Koniecznie! Może otrzymam ją w poniedziałek i odetchnę. Lotte! Moje życie i nasze szczęście składam w Twoje dobre ręce. I tulę Cię do serca, Kochanie Ty Moje, i całuję Twoje wierne oczęta

Twój O.

Wiceminister spraw wojskowych dorzucił garść wyjaśnień:

--- List ten nadano w Szczytnie jako ekspres polecony. Adresatka otrzymała go dzisiaj...

--- Więc jest taka urzędniczka w niemieckim poselstwie?

--- Jest, panie kolego. Przed godziną wyjechała do Skierniewic, chociaż nigdy przedtem na weekend nie wyjeżdżała z Warszawy. Dowodzi to, że nie zlekceważyła ostrzeżenia kochanka czy narzeczonego. List wraz z kopertą, zgodnie z życzeniem nadawcy, spaliła zaraz po przeczytaniu.

--- I pomimo to zdążyliście go sfotografować?!

Zapytany uśmiechnął się wyrozumiale, jak gdyby chciał przez to powiedzieć, że wprowadzie *sq rzeczy na*

ziemi i niebie, o których nie śniło się filozofom, ale dla dobrego wywiadu nie ma żadnych niemożliwości. Potem z naciskiem zwrócił uwagę obecnych na jedno zdanie z listu tego O. -- nazwijmy go Ottonem X. -- mianowicie: *cóż bym dał za to, żebym mógł przylecieć po Ciebie*.

--- To *przylecieć* dowodzi, że piszący jest lotnikiem! A skądinąd wiadomo wywiadowi, że w okolicy Szczytna przebywa od tygodnia przeszło pięćdziesiąt dużych samolotów bojowych! Nie, nie, to nie są pogłoski, to fakt! Trzech ludzi, z których jeden nie wie nic o drugim, trzech zaufanych ludzi pracujących dla polskiego wywiadu w tej części Prus Wschodnich przysłało tę alarmującą wiadomość. Ich raporty są najzupełniej zgodne z tą małą różnicą, iż jeden z nich oblicza ilość zakonspirowanych tam samolotów na siedemdziesiąt sztuk...

Po dokładnym zreferowaniu sprawy i przejrzeniu rozszyfrowanych raportów owych trzech wywiadowców rozpoczęła się właściwa narada. Cywile z chytrą uprzejmością oddali pierwszeństwo wojskowym. Wiceminister spraw wojskowych oświadczył na to, że w czasie wojny wiedziałby doskonale, jaki użytek zrobić z ostrzeżenia Ottona X. Ale cóż, na razie jeszcze wciąż trwa pokój --- na nieszczęście! --- westchnął szczerze. Drugi generał uważał, że to nie ma znaczenia. Niemcy chcą jutro napaść na Warszawę, list Ottona X. dowodzi tego niezbicie! Należy więc się bronić, a klasyczną metodą obrony jest... atak. Krótko mówiąc, należy uprzędzić napastników. Należy już dzisiejszej nocy wysłać odpowiednią ilość samolotów na Szczytno, odszukać to zakonspirowane w lasach lotnisko i zbombardować je doszczętnie! To byłoby, jego zdaniem, najlepsze wyjście z sytuacji...

Cywile zaprotestowali stanowczo. A jeżeli list Ottona X. jest zwykłą mistyfikacją?! Jeżeli Niemcom właśnie chodzi o to, by Polacy wykonali taki rajd lotniczy na terytorium Prus Wschodnich?... Względy strategiczne muszą ustąpić politycznym. Francja będzie naszym sojusznikiem tylko w tym wypadku, jeżeli będziemy zaatakowani. Poza tym w całym świecie obowiązuje dziś taki kurs, że ogólną sympatią darzy się napadniętego. Czyż nie było tego dowodem jednogłośne potępienie Japonii w Genewie?

--- Diabelnie mało to pomogło Chinom --- bąknął wojowniczy generał, lecz w końcu przekonali go, że Polska w żadnym razie nie może wystąpić w roli napastnika. A zatem trzeba na razie radzić nad obroną Warszawy. I tu znowu trudność. Gdyby to było w czasie wojny, gdyby się miało niezbity pewność, że stolicy zagraża atak z powietrza, natenczas sprawa byłaby prosta. Wyewakuowałyby się sporą część mieszkańców i wydałoby się inne niezbędne zarządzenia. Lecz w obecnym stanie rzeczy? Niech się okaże, iż to jednak była tylko mistyfikacja, niech żaden atak nie nastąpi, to co wtedy? Bezprzykładna kompromitacja!

--- I w takiej chwili --- jęknął strapiony zastępca szefa rządu --- jego tu nie ma!... Hallo, panowie! Mam myśl! Odleczę dziś jeszcze do Wilna i osobiście mu wszystko zreferuję. On już znajdzie na pewno dobrą radę.

--- Nikt z nas w to nic wątpi, panie ministrze... Ale też nikt nam nie zwróci co najmniej dziesięciu godzin zwłoki, jaka stąd wyniknie.

--- Jednak ja muszę się z nim jutro rano zobaczyć. Bez tego...

--- A my musimy tymczasem przygotować obronę Warszawy!

--- On zadecyduje!

--- On by nam nie przebaczył całonocnej beczynności w obliczu zagrażającego niebezpieczeństwa! Musimy, powtarzam, przygotować obronę Warszawy...

Dalszą naradę upstrzyły hojnie takie nazwy jak zenitowe działa, balony zaporowe, reflektory, samoloty

myśliwskie, sygnały, zasłony dymne, maski gazowe, kolumny sanitarne i tym podobne rodzyunki wojenne, aż w końcu poprosił o głos ów wojowniczy generał:

--- W zupełnie wyjątkowej sytuacji, w jakiej się znajdujemy należałoby, moim zdaniem, skopiować francuski pomysł *Faux Paris*.

--- Fałszywy Paryż? --- cywile o tym jeszcze nie słyszeli i długi czas musieli siedzieć jak na tureckim kazaniu, gdyż wojskowych z miejsca porwał, *oczarował*, projekt kolegi.

--- Świetna myśl! Proszę o mapę szczegółową okolic Warszawy... Dziękuję... Ponieważ oczekujemy ataku z północy, musimy naszą fałszywą Warszawę wysunąć na północ od stolicy.

--- Jesteśmy przy tym w szczęśliwszym położeniu od Francuzów o tyle, że Wisła pod Warszawą nie posiada takich zakrętów jak Sekwana w Paryżu.

--- Tak, tak, o rzece musimy wciąż pamiętać, gdyż stanowi ona najlepszy drogowskaz dla lotników. Czyli, że nie możemy wyjechać poza Jabłonnę, bo tam Wisła skręca wydatnie... Zresztą trzeba *la fausse Varsovie* zrobić bliżej...

Stanęło na tym, że Kępa Tarchomińska odegra rolę Bródna, a Nowodwory, Tarchomin, Świdry, Winnica i 6 folwarków leżących między szosą a linią kolejową do Jabłonny, rolę Pragi.

--- Przez Wisłę przerzucić cztery podwójne linie świateł dla zamarkowania czterech mostów warszawskich. Zanotował pan? Rzekomy Most Poniatowskiego tuż za Bielanami... Teraz przechodzę do określenia granic samej Warszawy: Bielany, Wawrzyszew, Poligon, aż po Babice. Potem przez Lipków, Jakubów, Sieraków, Leśne Młociny, Buraków Mały znowu do Wisły. Obszar jest plus minus jednakowy... Będą mieli co bombardować, che, che, che.

Cywilom zaświtało w głowach, ale jeszcze wielu rzeczy nie rozumieli.

--- Pan chce tam zbudować domy z tektury? W ciągu jednego dnia?

--- Ani mi się śniło! Dla zmylenia nieprzyjacielskich nalotów wystarczy najzupełniej maskowanie świetlne. Wzdłuż dróg i pastwisk zainstaluje się lampy tak, że z góry będzie to wyglądało jak oświetlone ulice, place, aleje. Dawniej bywało trochę kłopotu z fabrykacją pozornych dworców kolejowych, ale dzisiaj nawet pociągi w biegu i tramwaje imitują się świetlnie.

--- Rozumiem. Jutro wieczorem będą dwie Warszawy, fałszywa i prawdziwa.

--- Tak, tylko prawdziwa pograży się w egipskich ciemnościach. Niemieccy lotnicy ujrzą jedynie *une fausse Varsovie*, a te łąki, pola, piachy, mogą sobie obrzucać bombami do woli... Oczywiście będziemy ich ostrzeliwali, będziemy! Bezkarne im ta napaść nie ujdzie, zapewniam pana ministra.

--- Wierzę... A co się stanie z ludnością Świdrów, Młocin i jak się tam zowią wszystkie te osady przeznaczone na zagładę?

--- Ach, to najmniejsze zmartwienie, panie ministrze. Po prostu ewakuacja...

Ewakuacja. O północy kapitan Władysław Ropelski na czele kompanii piechoty wkracza do Tarchomina. Żołnierze walą w drzwi. --- Co to, napad? Policjaaa! --- Nie napad, tylko po prostu ewakuacja. Należy się ubrać i w ciągu godziny opuścić wieś. Co kto zdoła unieść, niech zabierze, reszty będzie pilnowała miejscowa policja. Tak, taaak, nic tu nie zginie. --- Panie kapralu, mój synuś ma zapalenie płuc! Jakże go mogę wynosić na ziab z gorączką? --- Kapral nic na to poradzić nie może. Rozkaz. Ewakuacja. W sąsiedniej chałupie rwetes, jęki, wycie, młoda kobieta skręca się w bólach porodowych. Zafrasowana akuszerka wyjaśnia, że to już trwa od trzech godzin, mąż tej biedaczki co dopiero wyjechał po doktora. Kapral ma

dobre serce. Zapewnia, że u sąsiada zarekwiruje drugi wóz dla położnicy. --- Ależ, panie starszy! Jej teraz ruszyć z łóżka nie wolno! --- Ha, w takim razie wsadzi się ją na wóz wraz z łóżkiem. Rozkaz. Ewakuacja... W dziesiątej chacie płacz; wieśniak w agonii, do rana chyba nie dociągnie. Plutonowy bardzo współczuje, ale musi wykonać rozkaz. Ewakuacja... --- Panie sierżancie, jeśli pan ma dzieci, to proszę do tej chałupy nie wchodzić. Szkarlatyna! Mieli ten drobiazg zabrać do szpitala, ale jakoś... --- Sierżant już wysłał żołnierzy po wóz, ładuje *zadzumioną famulę*, a po drodze na wóz wgramolił się tuzin innych dzieciaków, zdrowych, lecz znużonych długim marszem. I tak dalej, i tak dalej, rzeczy znane, zwyczajne. **Po prostu** ewakuacja...

ROZDZIAŁ XXII

Nastał dzień. Ziemia wyrwała się z czarnych łap nocy i padła w objęcia słońca. Nastał dzień z utęsknieniem oczekiwany przez Rogera von Eldena i innych Forbanów, Lazare'ów, czy Lestów. Bartek Ropa wylegiwał się do dziewiątej, przy niedzieli mógł sobie na to pozwolić. Od kucharki dowiedział się, że pan kapitan dotychczas nie wrócił.

--- Ani Feluś!

--- Aha, tu cię boli --- mruknął Bartek z zazdrością, gdyż Kasia podobała mu się ogromnie. Był już niewątpliwie zakochany, skoro wciąż o niej myślał, nawet, co tu ukrywać, w kościele! Przy obiedzie zauważył, że Kasia raz po raz pociąga nosem. --- Cni się panie Kasi za Felusiem --- westchnął.

--- Och, to nie to... Szama nie wiem, czo mi jest, ci tężsknota, ci coś inne wentualnie... --- i rozbeczała się. Jej gwara zawsze śmieszyła Bartka, ale jej łzy wzbudziły w nim natychmiast bezmierną tkliwość. I odwagę! Zerwał się z ławki, podbiegł, ostrożnie, a przecież zaborczo, objął Kasię wpół, przygarnął ją krzepko do siebie, nie pojmując, skąd mu się wzięła ta śmiałość, i nie wierząc swojemu szczęściu. Po tylu, tylu miesiącach srogiemu postu móc tulić w ramionach kobietę!... Byłby ją tam wycałował za wszystkie czasy, ale w korytarzu zaczęły człapać pantofle. --- Och, pani Szalomea! --- pisnęła Kasia i co prędzej wyrzuciła Bartka z kuchni drugimi drzwiami.

Po południu Bartek znalazł się w Parku Łazienkowskim. Był najedzony, wypoczęty, zadowolony. Miał dach nad głową, zajęcie, nie musiał się już lękać pościgu policji francuskiej. Siedział sobie wygodnie na ławce, spoglądał na łabędzie pływające się w słońcu, i mógł tu pozostać bezpiecznie, spokojnie, jak długo mu się spodoba. W podobnie korzystnej sytuacji życiowej nie znajdował się od tak dawna!... A na przyczynkę Kasia! Gdy wychodził z domu powiedziała mu Kasia, że się czegoś lęka, że nie chciałaby dzisiejszej nocy pozostać sama, że przyjdzie do niego... I czyż życie nie jest rajem?!

--- Kocham cię, Kasieńko! Ożenię się z tobą! --- marzył głośno... Dwie młode dziewczyny siedzące na tej samej ławce parsknęły śmiechem, posłyszawszy taki monolog. Bartek spojrzał z urazą na *głupie kozy*, powstał i poszedł dalej. W Alei Ujazdowskiej wchłonęła go w siebie szumiąca rzeka ludzka. Cudna pogoda wywabiła z domów takie tłumy, lecz coś innego było powodem ogólnego podniecenia. Do uszu Bartka dobiegały wciąż urywki rozmów:

--- Ja w napad na pociąg nie wierzę. To plotka albo szwabska prowokacja!

--- ...i wypoliczkował go. Gdyby to Polak zrobił w Niemczech, no!

--- Nadzwyczajny dodaaaa!

--- ...już czytałem. To jest właściwie ultimatum...

--- Tego, panie dziu, płazem puścić nie wolno! Autorytet, panie dziu...

--- ...śpiewali w Tczewie *Deutschland, Deutschland über alles...*

--- Ale jaki cel tej ewakuacji?

--- ...szwagra w Babcicach. Mówił, że saperzy przez całą noc...

--- Widziałem, jak przed pałac Rady Ministrów zajeżdżały auta...

--- ...nie. On jest w Wilnie.

--- Ano, to będzie wojenka...

--- ...chemiczna! Bakteriologiczna! To nie to, co dawniej, mój panie.

--- Na każdy atak jest obrona. Myśl ludzka pracuje nie tylko nad wynajdywaniem coraz doskonalszych narzędzi ataku, ale i...

--- ...i zostanę sanitariuszką. Mnie jest bardzo do twarzy w...

--- Mojego męża na front nie wyślą, nie ma obawy...

--- ...damy szwabom nauczkę!

--- Niech żyje armia! Niech żyje! Śmierć Niemcom!

--- ...jesteśmy świetnie przygotowani. Mówił mi jeden sierżant, że...

Bez końca brzęczały Bartkowi w uszach takie urywki zdań i okrzyki, lecz prawie nic z tego nie przeniknęło do jego świadomości. Jego to wszystko nic a nic nie obchodziło; gdy on miał swoje ciężkie zmartwienia, także się nikt tym nie przejmował... Minął już Plac Trzech Krzyży, szedł Nowym Światem, jak inni, i myślał wyłącznie o swoim szczęściu.

--- Gdy tylko zacznę więcej zarabiać, ożenię się z Kasią... Do Francji nie wrócę, o, nie ma głupich! Czy mi to źle w Polsce teraz? Tu pozostanę. Aż do śmierci! Dzieci sprowadzę i... Co one tam robią niebożęta w Paryżu. Maciuś? I Jędrzek-bolszewik? I moja Zosieńka?...

*

Zosia w tej chwili była dziwnie zelektryzowana. Po raz pierwszy bowiem spotkała ową płomiennowłosą modelkę, której przygoda odstraszyła ją od przyjęcia niewyraźnej posady u garbatego malarza. Krótko mówiąc, Zosia ujrzała pannę Lili vel Iris.

--- Eee, szkoda czasu, Zosiu. Jedziemy na przechadzkę.

--- Chwileczkę, Rémi, chwileczkę. Chciałabym się jej przyjrzeć z bliska. Ona chyba zaraz stąd wyjdzie. Po cóż by w kwaciarni długo siedziała? --- Zosia podeszła do wystawowego okna kwaciarni, zawróciła do taksówki, oznajmiła narzeczonemu, że *ona telefonuje* i znowu pobiegła do okna. Rémi Ollivier rad nierad przyłączył się do swojej dziewczyny... --- Idzie! Widzisz, Rémi. Już wychodzi... Ach, jaka ona śliczna!

Drzwi kwaciarni się otworzyły, stanęła w nich młoda, czarująca dama i, ku bezgranicznemu zdumieniu Zosi, Rémi Ollivier uklonił się grzecznie.

--- Ty ją znasz?! --- Małą kobietkę zadrasnął cierń zazdrości.

--- Tsss, nie tak głośno... Naturalnie, że ją znam. Jej zawdzięczam to, że dziś jeżdżę własną taksówką. To jest miss Violet Forban...

--- Ta milionerka? Ależ głupstwa pleciesz, mój Rémi! To jest panna Lili, modelka garbatego malarza, jakże mu to, aha, Ruiz Lolez... Na pewno Lili, mogę przysiąc na to! Przyjrzałam się jej wtedy bardzo dokładnie...

--- No, ja jej się chyba dokładniej przyjrzałem, gdym służył u niej, i mogę dać głowę, że to jest miss Forban... Czekaj no, Zosiu, ten garbus mieszkał przy bulwarze Raspail, mówiłaś.

--- Tak. Numeru nie pamiętam, ale to było blisko bulwaru Montparnasse...

--- Czyli blisko *Café du Dôme*, gdzie zawsze musiałem na nią czekać...

--- O, jedzie tędy! --- Zosia wskazała szafirowe auto; właśnie wysunęło się z bocznej uliczki i zmieszało się z rzeką samochodów, które na Wielkich Bulwarach płyną potrójną strugą w obydwie strony. --- Ty, przecież to jest twój dawny wóz! --- stwierdziła ze zdumieniem.

--- A widzisz! Mówiłem zaraz...

--- Tak, ale ta, co siedzi przy kierownicy, to na pewno modelka Lili!

--- Wierzę ci, Zosiu. Wierzę i rozumiem teraz. A to ci numer z tej miss Forban, cha, cha, cha. W modelkę się bawi, cha, cha, cha, cha. --- Nagle przestał się śmiać i splunął. --- Myślałem, że taka ma lepszy gust --- mruknął, myśląc o garbusie.

--- Cóż chcesz, to bardzo przystojny mężczyzna, co obok niej siedzi...

Policjant zatrzymał właśnie całą rzekę aut, by piesi mogli przebiec z jednego chodnika na drugi. Szafirowy roadster miss Forban ugrzązł w odległości kilku metrów od miejsca, gdzie stała Zosia, mogła się więc dobrze przyjrzeć zarówno rzekomej Lili jak i jej towarzyszowi, którym był baron Armand Lazare.

--- Tak, ten bubek jest przystojny --- przyznał Rémi --- skądś go już znam z widzenia... Zośka! Jedźmy za nimi! Dla zabawy...

--- Jedźmy! --- Trzymając się za ręce, pobiegli do taksówki i ruszyli w ślady szafirowego auta. --- Zabawimy się w detektywów. Jak w filmie --- cieszyli się i dokazywali jak para beztróskich dzieciaków. Nie czytali nadzwyczajnych dodatków donoszących o napadzie na niemiecki pociąg korytarzowy i zatrzymaniu w Tczewie Niemców jadących na zawody lekkoatletyczne do Malborka. Nie słyszeli okrzyków kolportera: *NIEMCY WYSŁAŁY POLSCE ULTIMATUM! TERMIN UPŁYWA DZIŚ O DZIESIĄTEJ WIECZOREM!* Nie przeczuwali, że tej nocy rozpadnie się w gruzy gmach Pokoju Wersalskiego, że **JUTRO** rozpocznie się nowa gehenna ludzkości, że wir nieszczęść, klęsk i katastrof wciągnie w swoje odmęty również ich dwoje, tak dzisiaj zdrowych, radosnych, szczęśliwych...

*

O godzinie dziesiątej wieczorem Bartek Ropa przebywał jeszcze na Placu Teatralnym. Wiedział, że dostanie się do domu tramwajem linii 17. Wsiadł tedy do siedemnastki i zajechał... na Żoliborz.

--- Na Filtrową pan chciał? Ach, to należało jechać w przeciwnym kierunku... Niech pan zostanie, za kilka minut tam wracamy.

--- Ale ja mam tylko piętnaście groszy przy sobie.

--- Ha, to pan musi wracać na własnych pedałach. Bilet kosztuje dwadzieścia pięć groni.

Przez dobrą godzinę błądził Bartek po żydowskiej dzielnicy, aż wreszcie dotarł do Placu Teatralnego i tu ugrzązł. Olbrzymie tłumy zalegały cały plac i wyloty uchodzących tu ulic. Gdzieś ktoś przemawiał. Bartek nie widział mówcy i prawie nic nie słyszał. Lecz raz po raz zrywał się grzmot oklasków, padały szpetne wyzwiska pod adresem Niemców, aż w końcu gruchnęła w niebo pieśń: *Nie damy ziemi*. Bartek ani się obejrzał, kiedy mu strącono z głowy czapkę. Oberwał przy tej okazji kilka uczciwych szturchańców, czym skonsternowany zaczął się przeciskać pod murem kamienic. Minęło znów pół godziny, nim dotarł do ulicy

Wierzbowej. Tu było trochę luźniej. Odsapnął więc, otrząpał o kolano zakurzoną czapkę, włożył ją na głowę i ruszył w swoją drogę. Nagle przystanął, obejrzał się z trwogą. Od Placu Teatralnego pędziło z wyciem kilkudziesięciu młodych mężczyzn, potrząsając groźnie laskami. Za nimi walił cały tłum. Bartek zdjął znów czapkę i przytulił się do ściany gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

--- Kogo oni gonią? --- nie mógł odgadnąć.

--- Hańba zdrajcom! Precz! Na latarnię germanofilów!

--- Jezus Maria! Czyżby oni... --- Bartek odetchnął. Pierwsze szeregi demonstrantów przebiegły tuż koło niego i nie wyrządziły mu żadnej krzywdy. Lecz dla dalszych szeregów był zaporą w drodze, rwący potok ludzki ściśnięty w wąskim korycie ulicy Wierzbowej zgarnął wszystkich gapiów i poniósł ich z sobą. Znowu jakiś plac; jakby obszerniejszy. Znowu się trochę przerzedziło i Bartek ujrzał przednią straż demonstrantów przy robocie; laskami tłukli na drobne kawałki wystawową szybę jakiegoś sklepu w szarym domu naprzeciw.

--- Czy to niemiecki sklep? --- spytał jakiegoś sąsiada.

--- Gorzej! To siedziba zdrajców! Pacyfistów!

Bartka poniósł tłum ku ulicy Królewskiej. Ze zdemolowanego sklepu wynoszono moc gazet i rzucono je na jedną kupę na środku jezdni. Jeden arkusz porwał wiatr z tej sterty i cisnął go Bartkowi w twarz.

--- *Wiadomości literackie* --- odczytał.

--- Precz z tą szmatą! Nie czytać tego plugastwa żydowskiego!

Jakiś poważny jegomość wyrwał Bartkowi gazetę i podarł ją na strzępy.

Tymczasem z rozbitego sklepu wyniesiono już resztkę gazet i zaczęto wynosić meble, ba, nawet maszyny do pisania. Wszystko rzucono na stos.

--- Prędziej! Prędziej! Bo policja może...

--- Gwiżdżę na policję! --- odparł piegowaty młodzieniec kierujący całą tą akcją. Z flegmą zapalił sobie fajeczkę, potem schylił się i przytknął płonąca zapałkę do sterty gazet przywalonej meblami.

--- Pali się! Wiwat!

Piegowaty młodzieniec stanął na tle płonącego stosu i wygłosił krótkie przemówienie utkane z patriotycznych frazesów. Oklaskiwano go, choć tylko najbliżej stojący mogli coś niecoś słyszeć, tak anemiczny miał głosik. Gdy podnosił dłoń w górę wołano *Niech żyje*, gdy ją opuszczał w dół: *Precz! Hańba!*

--- Niech żyje wojna!

Co mówił? Aha, podniósł dłoń w górę.

--- Niech żyjeeee!!!

--- Bracia! Teraz pójdziemy pod poselstwo niemieckie!

Co mówił? Aha, spuścił rękę.

--- Preeecz! Na latarnię!

W chwili, gdy słup ognia wystrzelił ponad poziom dachu szarego domu, na tyłach tłumowi zabrzmiały okrzyki przestachu.

--- Policjaaaa! Policja szarżuje!

Tłum zakołysał się, zafalował, ruszył z miejsca.

--- Towarzysze, zbiórka, pod poselstwem niemieckim! --- piał co tchu piegowaty młodzieniec, jeden z

tutejszych agentów Lucjana Lesta i pierwszy zaczął zmykać w stronę Placu Małachowskiego.

--- Policja! Uciekaaać!

Bartek nie uciekał. Usiadł na schodach szarego domu i z ciekawością oczekiwał dalszego rozwoju wypadków.

--- Gdybym zmykał, mógłby ktoś pomyśleć, że to ja podpałem --- rozumował.

Plac szybko zmieniał dotychczasowy wygląd. Tłumy już zdążyły zniknąć. Małe grupki ludzi stały tu i ówdzie, pozując na spokojnych obywateli, którzy nie mają nic wspólnego z demonstrantami. Oddział konnej policji popędził w stronę Placu Małachowskiego. Z czterech ciężarowych aut pokrytych płóciennymi daszkami wysypała się hurma pieszych policjantów. Z Wierzbowej wypadły trzy wozy straży ogniowej.

--- Trochę za późno --- rozśmiał się Bartek.

--- A ty, co tu robisz?! Nazwisko? Legitymacja?

No i przekonał się Bartek, że w takich wypadkach jednak lepiej zwiąć. Bo nic tu przecież nie zawinił, a egzaminowali go tak, jak gdyby on właśnie był głównym podżegaczem czy podpalaczem. W dodatku, zapytany o nazwisko, zaciął się fatalnie: --- Bartłom... to jest tego, Kasper Łubin, proszę pana.

--- A-ha! Brać go!

Znowu jechał policyjnym samochodem, jak niegdyś w Rzymie. Jeździł po całym mieście, gdyż awantury wybuchały w różnych stronach Warszawy, a nowoczesna [kibitka](#) jeszcze nie posiadała kompletu. Aż w pewnej chwili, gdy auta policyjne stanęły w ulicy Pięknej, zgasły wszystkie światła. Zarówno w domach jak i latarnie uliczne. Gdzieś zawyła przeraźliwa syrena, za nią druga, trzecia, dziesiąta. Od Marszałkowskiej przybieżał nieoświetlony motocykl z przyczepką.

--- Zgasić światła! Żeby mi się który nie ważył!...

Motocykl popędził do następnego postoju taksówek i dorożek konnych.

--- Widziałeś? Mieli hełmy na głowach i na piersiach maski gazowe!

Bartek odburknął coś sąsiadowi. Cóż go to obchodziło, że ktoś tam ma hełm czy maskę. Bartek miał swoje zmartwienie: Kasia przyrzekła go odwiedzić dzisiejszej nocy, mieli spać razem, tymczasem licho go wplątało w jakąś głupią historię i dzisiejszą noc spędzi znowu w kozie...

--- A czemuż te psiekrwie tak ryczą?

--- Pewnie znów próbny alarm. Straszą ludzi niepotrzebnie, zamiast...

--- Cicho tam! --- huknął policjant.

Syreny umilkły niebawem. W mieście panowała jakaś dziwna cisza. Nawet ludzie w oknach i na balkonach rozmawiali zniżonym głosem. Aha, znowu motocykl. Podjechał do policyjnych aut, przystanął. Ktoś przemówił:

--- Władować wszystkich na jeden samochód i odwieźć ich...

Kazano wysiąść Bartkowi i jego trzem towarzyszom niedoli. Taka sama garstka aresztowanych wysypała się z drugiego wozu, po czym wszyscy musieli wsiąść do pierwszego auta, gdzie przymusowych pasażerów było najwięcej. Dzięki temu Bartek znalazł się na końcu ławki, tuż obok jednego z dwóch policjantów siedzących przy wejściu do ruchomej paki. Samochód zaczął się posuwać ostrożnie naprzód. Dotarłszy do Alei Ujazdowskiej, skręcił w lewo i jechał tą samą drogą, którą rozmarzony wówczas Bartek kroczył jakieś 6 godzin temu. Koło ulicy Foksal musieli przystanąć. Przed chwilą zderzyły się tu w ciemnościach dwie taksówki, po czym wpadło na nie wojskowe auto sanitarne. Ofiary podwójnego karambolu miały więc

przynajmniej opiekę lekarską na miejscu, za to rozbite wehikuly zatarasowały ruchliwą ulicę na dłużej.

--- Stać!

--- Panie posterunkowy, ja się spieszę na dworzec! Jadę do Łodzi...

Tłum parsknął śmiechem.

--- Pociągi dziś nie chodzą, panie ładny. Na piechotkę trzeba by...

--- Zgasić! Nie wolno zapalać światła!

--- To nie światło, panie posterunkowy. To tylko papieros.

Tłum znów zarechotał śmiechem. Nikt się nie kwapił do domu, chociaż od godziny niezliczone megafony porozmieszczane w całym mieście powtarzały aż do znudzenia:

--- NIKOMU NIE WOLNO OPUSZCZAĆ MIESZKANIA! POBYT NA ULICY JEST NAJSUROWIEJ WZBRONIONY! WINNI PRZEKROCZENIA TEGO ZAKAZU... --- itd., itd.

Tłum bawił się doskonale... na razie, a zachrypnięci posterunkowi dali za wygraną. Pokpiwano sobie z nich w dodatku.

--- Panie posterunkowy, zgubiłem żonę w tych ciemnościach. Niech mi pan przyświeci...

Tłum ryczał z radości...

Aż nagle huknęło coś w oddali. Po pierwszej detonacji nastąpiły w błyskawicznym tempie dalsze, tak że niebawem zlały się w jedno nieprzerwane, złowrogie dudnienie.

--- Co to?!

--- Jezus Maria! Biją się?

--- Eee, nocne ćwiczenia albo próbny alarm [LOPP-u](#).

--- Pan widać nie był na wojnie, mój panie!

--- Uciekajmy! Niemcy bombardują Warszawę!

Tłum zaczął się szybko przeredzkać. Straszliwe dudnienie przybliżało się, głużyło już ryk megafonu powtarzającego w kółko swoje: --- ...OPUSZCZAĆ MIESZKANIA! POBYT NA ULICY JEST NAJSUROWIEJ WZBRONIONY! WINNI... --- itd. Pomimo to policjant siedzący obok Bartka twierdził, że doskonale odróżnia huk pękających bomb od strzałów artylerii.

--- To zenitówki. A, do diabła! Wałą tak często, jak z kulomiotu!

--- I jeszcze wszystkich samolotów nie zestrzelili?

--- Głupiś. Ty myślisz, że to tak łatwo trafić z ziemi? Żeby zestrzelić jeden samolot trzeba wypukać całą stertę pocisków armatnich.

--- A ile, panie posterunkowy, kosztuje jeden pocisk?

--- Ile? Hm, pewnie jakieś paręset złotych...

--- Mój Boże --- westchnął Bartek w tym miejscu --- ile by za to można kupić chleba! Iluż głodnych nakarmić! Ilu bezrobotnych zatrudn...

--- Milczeć! Widzicie go, mędrka! Komunistę.

--- Tak, tak --- wtrącił drugi policjant --- to musi być bolszewik!

Bartek był zdumiony. Więc bolszewicy to ci, którzy tak myślą, jak on w tej chwili? Ha, jeśli tak, to on się z nimi najzupełniej solidaryzuje...

--- Tarrrrach-bu-bu-bummm! --- zagrzmiało gdzieś bliżej.

Jak dotychczas wszystko było w porządku, czyli podstęp ze świetlnym maskowaniem udał się

znakomicie. Nieprzyjacielscy lotnicy bombardowali z zapalem wschodnią część Puszczy Kampinoskiej oraz pola, łąki, pastwiska i paręnaście opróżnionych osad na północ od Warszawy; bombardowali w błogim przekonaniu, że demoluja stolicę Polski i truja gazami jej mieszkańców. Najwięcej kruszących bomb runęło na okolicę Wólki Węglowej, gdzie przez odpowiednie rozmieszczenie swiateł skopiowano wiernie główny dworzec Warszawy; najwięcej zapalających *elektronów* spadło na Leśne Młociny, jako na rzekomą dzielnicę żydowską; *Juda verrecke! Usmaz się żywcem!*

Lecz pośród gromady napastników, wśród tych kilkudziesięciu powietrznych korsarzy, znalazł się jeden... człowiek. Ten prawdziwy człowiek nie mógł się zdobyć na to, by mordować bezbronych, niewinnych ludzi pogrążonych w śnie, chociaż to byli przecież tylko *zawszeni Żydzi* i *polskie świnię*. Na widok tysięcy swiatełek błyszczących tam, w dole, opuściło go "męstwo", które mu wmawiano od dziecka. Nie mógł! Nie mógł nacisnąć dźwigni, nie mógł zwolnić bomb zawieszonych pod swoim samolotem. Po prostu nie mógł! A również nie mógł wracać z tym ładunkiem, bo tym samym podpisałby wyrok śmierci na siebie, na swoją matkę staruszkę, która by nie przeżyła takiego ciosu. Szybował więc dalej w przestworzach i modlił się żarliwie o natchnienie...

--- Dzięki Ci, Boże! Tak, tak, tak uczynię! Nie udowodnią mi winy!

Znalazł wyjście. Wyjście z tej sytuacji było niezmiernie proste, musiał snadź być ogromnie zdenerwowany, że dawno już na to nie wpadł. Oto zrzuci te bomby w takim miejscu, gdzie nie będzie żadnych swiatełek, gdzie zatem będą pola, łąki czy jakie nieużytki, a gdzie nie będzie ani ludzi, ani równie litości godnych zwierząt... Dodał więc gazu i po chwili płynął już ponad... Warszawą pogrążoną w egipskich ciemnościach. I osobliwym zrzędzeniem losów, gdy kilkudziesięciu żądnych mordu lotników ciskało potworne swoje bomby na tereny zupełnie opuszczone przez ludzi, ten szlachetny i miłosierny człowiek wbrew swoim intencjom siał zniszczenie w gęsto zaludnionym mieście. Straszliwa i tragiczna omyłka!

Pierwsza celna bomba spadła na Plac Inwalidów, druga zrównała z ziemią jakiś dom na Nalewkach, trzecia wyrznęła w Teatr Wielki, czwarta w Uniwersytet. Utrzymując mniej więcej ten sam dystans od Wisły, swojego drogowskazu, szlachetny lotnik płynął wciąż w kierunku południowym i w miarowych odstępach naciskał fatalną dźwignię...

--- Ile by za to można głodnych nakarmić --- powtórzył Bartek głośno, wsłuchując się ze wzrastającym wzburzeniem w coraz bliższe odgłosy detonacji.

--- Stulisz pysk?!... Nałóż no mu bransoletki.

Zadźwięczały kajdanki, które drugi policjant wyjmował z kieszeni.

--- Dawaj łapy!... No, do ciebie mówię -- szturchnął Bartka w żebro.

Bartek posłusznie wyciągnął dłonie, w ciemnościach dotknął nimi ręk policjanta, ścisnął je bezwiednie i nagle... łysnęło się. Przerażliwa jasność oślepiła wszystkich na moment. Równocześnie ciężki samochód podskoczył w górę, stanął dęba, zwałił się na bok. Kilkanaście stłoczonych w nim osób utworzyło jedną stertę ludzkiego mięsa. Huk, jakby dziesięć piorunów uderzyło naraz, zagłuszył jęki i wycie...

Bartek wraz z obydwojma policjantami legł na samym spodzie i dzięki temu ocalał. Ale przez kilka minut borykał się z przygniatającymi go trupami, ale strumienie krwi tamtych przemoczyły go do nitki. Na czworakach wyczołgał się z tego małego cmentarza. Potem wstał, zaczął iść przed siebie, znowu był wolny. Nogi uginały się pod nim, lecz szedł. Potykał się na szczątkach roztrzaskanych samochodów, wpadał na ludzi biegnących we wszystkich kierunkach, tratował obalonych, nie wiadomo, czy żywych, czy zabitych,

czy rannych, przewracał się, lecz wstawał natychmiast i znowu siedł. Coraz prędeej, coraz prędeej, aż w końcu zaczął biec. Uciekał. Ścigało go wspomnienie straszliwego przeżycia, ścigał go strach, że to samo może się powtórzyć lada chwila. Toć za nim dudniły wciąż zenitowe działa i bomby ryczały bezustannie, napastnicy pastwili się nad *falszywą Warszawą* za Bielanami.

Na Placu Trzech Krzyży zatrzymano go. Dalej nie można bez maski, w Alei Ujazdowskiej spadły podobno bomby gazowe. Skręcił więc w prawo, w Nowogrodzką. Wzorem innych ludzi zadarł głowę w górę. Jakaś kobieta wrzeszczała rozdierająco:

--- Gwiazdy gasną! Patrzcie! Jedna za drugą! To koniec świata!

Trudno jej było wytłumaczyć, że to "całkiem po prostu" polskie samoloty ponownie zakrywają Warszawę przesłonami dymnymi. Już raz zrobiono ten zabieg, gdy stacje podsłuchowe oznajmiły komendzie miasta, że nieprzyjacielski nalot znajduje się w odległości trzydziestu kilometrów od Warszawy. Niestety wiatr porozdzierał te sztuczne chmury i trzeba było zacząć od nowa.

--- Tarrach-bummm!

Miłosierny lotnik gdzieś za Wilanowem wykonał półobrót w prawo i wracał do swojej eskadry, zrzucając po drodze ostatnie bomby.

--- Wyrznęło w Stację Filtrów.

--- Moim zdaniem, w Plac Wyścigowy. Spudłował szwab-ścierwo!

--- Reflektor! Tam! Tam!

Ludzie oswoili się już widać albo ciekawość przemogła wszystko, gdyż gapiono się z balkonów, z otwartych okien, i w bramach także stały liczne sylwetki z głowami zadartymi ku obłokom. A tam, w górze, krzyżowały się srebrne szpady reflektorów szukających zbłąkanego napastnika. Wyglądało to tak, jak gdyby kilku pijanych malarzy paćkało wapnem sufit na czarno pomalowanej kopule. Długie pędzle światła głąskały niebo z gorączkowym pośpiechem, aż wreszcie jeden z nich znalazł, czego szukał. Znieruchomiał natychmiast, a w parę sekund później przyłączyły się do niego inne smugi świetlne. Teraz przemówiła artyleria. Dwie baterie ustawione na lotnisku mokotowskim pokropiły szrapnelami okolicę przelotu złośliwej muchy ściganej nieubłaganie przez reflektory.

--- Trafia?

--- Nie trafia.

Według statystyki z roku 1918 zużywano na jeden zestrzelony samolot 7.000 pocisków u Francuzów, 5.000 u Niemców, 4.550 u Anglików. Przy strzelaniu **w dzień!** Czasami wystrzelano potrójną porcję, a jednak lotnik umknął. Ale jeśli miał pecha...

Lotnik niemiecki, który nie chciał mordować mieszkańców Warszawy był wyraźnym pechowcem. Już po czwartej salwie fiknął kozła, wpadł w korkociąg i pędził w objęcia ziemi, wlokąc za sobą puszysty ogon płomieni i dymu.

--- Trafiony! Trafiony! Spada! Dobrze mu tak, ścierwu!

Całe gromady ludzi pobiegły ulicą Żelazną ku Siennej, gdzie zestrzelony samolot runął na dach domu i podpalił go oczywiście. Ale Bartek nie poszedł z innymi. Był śmiertelnie znużony, tylko snu łaknął. Strzelanina nie przerażała go już, zresztą nacichała powoli. Odpocząć! Odpocząć! Wyciągnąć się i nie myśleć o niczym, zapomnieć o tej kupie ludzkiego mięsa, pod którą się leżało, brrr!

Obudził się w jakimś rowie przydrożnym, zziębnięty, obolały, chory. Zakaszłał, splunął, ślina była

różowa.

--- Och, znowu! Dogodziłem sobie tej nocy...

Tej nocy? Zaraz, zaraz, było coś w programie... Ach, prawda! Kasia! Lękała się biedaczka, miała złe przeczucia, nie chciała być sama tej nocy i przyrzekła Bartkowi, że...

--- Przepadło --- westchnął smętnie --- a wszystko przez to, że wsiadłem do złego tramwaju. Żeby nie to... ech, Kasiu, Kasieńko...

Robotnicy szli do swoich warsztatów pracy. Zapytani wytłumaczyli Bartkowi, którądy dojdzie do ulicy Wawelskiej.

Przed willą Ropelskich stało sporo ludzi jak na tak wczesną godzinę.

--- Na co oni się tam gapią?

Gdy podszedł bliżej, zrozumiał. Willa nie posiadała ani okien, ani drzwi, i część dachu była zerwana. Tknięty najgorszym przeczuciem zaczął się energicznie przeciskać ku wyłamanej furtce.

--- Puśćcież mnie! Ja tutejszy. Ogródnikiem tu jestem.

--- Ależ pan jest ranny! Całe plecy oblane krwią!

--- Nie moją --- odburknął, pchnął troskliwego jegomościa, wpadł do ogródka i stanął jak wryty. W tym miejscu, gdzie wczoraj znajdował się uporządkowany przez niego klomb kwiatów, dzisiaj zagradzał drogę lej głęboki na dobre 5 metrów, a dwa razy szerszy w górnym obwodzie. --- O Jezu! Tutaj wyrżnęło!

--- To musiała być bomba kombinowana --- mówił ktoś na ulicy --- krusząca a zarazem gazowa.

Gaz? Bartek ścierpł. Okrążył lejowatą jamę, pognął ku wyrwanym drzwiom i tylnymi schodami dostał się do kuchni.

--- Kasiu! Kasieńko!

Nie było tutaj nikogo. Przez korytarz wpadł do właściwego mieszkania. Najpierw jadalnia. Tu również żywego ducha. Dalej salonik...

--- Rany boskie!

--- Tęgawy pan Kazimierz Ropelski leżał w piżamie na środku pokoju, z rozkrzyżowanymi rękami. W kącie, na kanapie siedziała sztywno sędziwa pani Salomea, opierając dłonie na głowie klęczącego przed nią Zygmunta Ropelskiego. On był jej najmłodszym synem i ulubieńcem. On był daleko przez tyle, tyle lał, za to znalazł się najbliżej w chwili wspólnej śmierci. Strasznej śmierci. Wykrzywione konwulsyjnie twarze, wybałuszone oczy dawały świadectwo prawdzie.

--- Rany boskie! --- powtarzał Bartek w kółko, szczękając zębami z przerażenia, ale przez długi czas nie mógł odlepić wzroku od zapatrzonej jakby w jego stronę staruszki. Wreszcie przewyciężył swój bezwład i wybiegł do sąsiedniego pokoju. Gabinet kapitana Władysława Ropelskiego. Tutaj nie było nikogo, ale ten pokój wyglądał najdziwniej. Poprzewracane krzesła, fotele, a na podłodze liczne strzępy koszul, piżamy i pstrokatego kaftanika zdawały się wskazywać na to, że rozegrała się tutaj jakaś zaciekle walka. Na wyrwanym rękawie koszuli zauważył Bartek kilka plam krwi.

--- Czyżby tu odłamki bomby kogo poraniły?

Przeczyło tej hipotezie to, że lampy i oszklone obrazy pozostały zupełnie nieuszkodzone.

Ślizgając się wzrokiem po ścianach, Bartek przypomniał sobie nagle, że w tym pokoju wisiał zawsze hełm kapitana i jego maska gazowa. Nie było ich tu obecnie. Może się więc jedna osoba ocaliła? Ta myśl wyrwała Bartka z zadumy, pchnęła go z miejsca, w którym utknął... Bóg raczy wiedzieć, jak dawno temu;

może przed chwilką, może przed godziną.

Z gabinetu jedne drzwi wiodły do sypialni kapitanostwa, drugie do saloniku (i tędy Bartek tu wkroczył), trzecie do hallu i głównej klatki schodowej. Mijając te drzwi, zoczył znowu kawałek kaftanika. Na progu. Zatem tą drogą uciekała Kasia. Odemknął drzwi szybko, wszedł do hallu.

--- O, Jezu, Jezuniu!

Na najniższym stopniu schodów leżał Staś Ropelski. Na jego obnażonym ciele widniały ślady licznych sińców i zadrapań. W rękach kurczowo zaciśniętych trzymał stalowy hełm, tuląc go do szczupłej klatki piersiowej.

--- Co ci to pomogło, nieboże...

U szczytu schodów dojrzał Bartek dwie ludzkie sylwetki.

--- Kasia! Moja Kasia!

W spódnicy, powyżej pasa obnażona klęczała Kasia tuż przed otwartym oknem, z dłońmi splecionymi na karku. Na twarzy miała maskę gazową, ale cóż z tego, skoro bez pochłaniacza i z rozbitymi okularami. Pochłaniacz trzymała w prawej ręce Magdzia Ropelska, a lewą dłonią obejmowała w kostce nogę klęczącej Kasi. Obydwie były pokrwawione, posiniaczone znacznie bardziej niż Staś, snadź decydująca walka o maskę rozegrała się pomiędzy nimi.

--- Tak, tak --- mruczał Bartek, schodząc na dół --- gdyby tu było więcej tych masek, byłiby może wszyscy wyszli cało... A gdzie pani kapitanowa?

Znalazł ją w sypialni. Leżała na swoim łóżku, trzymając w objęciach młodszego synka. Michaś wyglądał tak, jak gdyby spał, był prawie niezmienny. Stężenie gazu musiało być w tym pokoju najmniejsze.

--- To biedactwo się chyba nie męczyło długo.

Bartek dla dodania sobie odwagi monologował wciąż głośno i tym razem jego głos obudził jakieś echo. Coś westchnęło z jękiem, coś poruszyło się w najciemniejszym kącie sypialni i znowu znieruchomiło.

--- Kto tu jest?! --- wrzasnął Bartek. Zwłoki spotykane tutaj co krok siały grozę, znak życia w tym domu przerażał również. Wlepiając wzrok w ów mroczny róg pokoju, Bartek cofał się ku drzwiom. Balansował ręką na oślepi, by znaleźć futrynę, i przypadkowo natknął się dłonią na kontakt elektrycznego światła. Chwila wahania, po czym ciekawość przemogła. Przekręcił taster.

--- Kto pan? Skąd się pan tu wziął?

Bartek uważał się już za domownika, więc indagował tamtego ostro. Zmierzył go badawczym spojrzeniem od czubków zabłoconych butów aż do bujnej czupryny włosów bielusieńkich jak mleko. Hm. Twarz tego jegomościa wydała mu się znajoma. Tak, tak, na pewno znał kogoś bardzo podobnego, ale tamten wyglądał o wiele młodziej. I włosów nie miał siwych, nie, nie... Znow monolog:

--- Wojskowy, hm... trzy gwiazdki, hm, kapitan. Kapitan?! Czyżby!...

Bartek rzucił się naprzód, tamten podniósł głowę i spojrzenia ich spotkały się z sobą. Tak, to był kapitan Władysław Ropelski. Przybył tutaj o dwie godziny wcześniej niż Bartek i... i zupełnie osiwiął.

--- Panie kapitanie! --- Bartek zaszlochał. Od wczoraj napatrzył się niemało na potworności wojenne, lecz nic nie mogło się równać z wyrazem oczu tego nieszczęśnika, z jego nieludzkim bólem...

--- Panie kapitanie! --- Bartek osunął się na kolana, jak to czynił w kościele, przed obrazem Męczenników.

Nie było odpowiedzi, nie było lamentów, bluźnierstw złorzeczeń; zaciśnięte usta kapitana Ropelskiego ani

drgnęły. Za to jego wzrok mówił! I wolał do nieba o pomstę. I przeklinał najstraszliwszego wampira ludzkości, który tej nocy opuścił piekło, aby **JUTRO** rozpocząć swe żniwa.

Przed willą Ropelskich gromadziło się ludzi coraz więcej. Wszyscy mówili o wojnie. Dzieci również. Dzieci zawsze naśladują starszych. Dzieci ustawiły się dwójkami, jak dorośli żołnierze, i nagle do willi wtargnęła znana piosenka dorosłych żołnierzy, nucona dziecinnymi głosikami:

--- *Jak to na wojence ładnie, jak to na wojence ładnie...*

Bartek ryknął przeraźliwie, wydało mu się, że ktoś wciska mu w uszy żelazne pręty rozpalone do białości. Zerwał się, zacisnął pięści i wybiegł stąd, bełkocząc najplugawsze przekleństwa.

KONIEC

